Lisa
Jackson

DOLINA STRACHU

ROZDZIAŁ 1

Wczoraj

Regan Pescoli płonęła.
I to wcale nie namiętnością.
Płonęła gniewem. Była wściekła. Rozjuszona. Wkurzona jak diabli.
Zaciskała dłonie na kierownicy dżipa tak mocno, aż pobielały jej kłykcie. Zgrzytała zębami i wpatrywała się w szybę gniewnym wzrokiem, jakby samą siłą woli mogła przywołać twarz bezdusznego drania, który doprowadził ją do takiego stanu.
- Sukinsyn - warknęła, gdy dżip na przydziałowych oponach zimowych zatańczył na oblodzonej szosie. Serce biło jej jak oszalałe, a policzki nabrały rumieńców mimo ujemnej temperatury na dworze.
Tylko jedna osoba na całej planecie mogła doprowadzić ją do takiej wściekłości. Jej mąż, Luke „Lucky" Pescoli, czego dowiódł także dzisiaj. Nie, dzisiaj było gorzej, bo przekroczył niewidzialną granicę, którą wyznaczyła Regan, a którą do tej pory respektował. Cholerny dupek. Przeżyła z Luckym Szczęściarzem wiele lat, ale nie nazwałaby ich szczęśliwymi.
A teraz ni stąd, ni zowąd dupek chce jej odebrać dzieci.
Przy akompaniamencie znanych piosenek bożonarodzeniowych płynących z samochodowego radia gnała jak wariatka Przez strome ośnieżone góry Bitterroot. Dżip o zamglonych szybach posłusznie wiózł ją przez przełęcz, zapierając się kołami w oblodzoną jezdnię. Przełęcz stanowiła kręgosłup potężnej góry, która dzieliła jej domek od gniazdka Lucky'ego i jego nowej żony, lalki Barbie o imieniu Michelle.
Zazwyczaj Regan ciepło myślała o tej naturalnej barierze.
Dzisiaj, wobec pogarszającej się pogody, stanowiła nie lad problem.
Ostatnia rozmowa telefoniczna z Luckym powracała do niej, jakby odtwarzała sobie w głowie zacinającą się płytę. Zadzwonił i oznajmił, że jej dzieci, syn i córka, które wychowywała niemal samotnie, są u niego. I dorzucił tym swoim protekcjonalnym tonem: „Rozmawialiśmy długo, dzieci, Michelle i ja... i razem doszliśmy do wniosku, że Jeremy i Bianca powinni zamieszkać z nami".
Od tej chwili było już tylko gorzej.
- Spakuj dzieci, bo zaraz po nie przyjeżdżam. Psa też zabieram. Chcę mojego syna, moją córkę i chcę mojego psa. Jadę po nich, jasne?
W kulminacyjnym momencie rzuciła słuchawką.
Zamknęła drzwi na klucz i ruszyła, zdeterminowana, by wszystko wyjaśnić i odzyskać dzieci. Albo zabić Lucky'ego. Albo i jedno, i drugie.
Samochód zajęczał w rozpaczliwym proteście, gdy zwolniła. Musiała jednak sięgnąć do schowka na rękawiczki po paczkę papierosów ukrytą na sytuacje kryzysowe i bardzo

stresujące - była pusta. Świetnie. Zgniotła opakowanie i cisnęła na podłogę przed fotelem pasażera. Już od jakiegoś czasu zamierzała rzucić palenie, całkowicie i nieodwołalnie. Zdaje się, że właśnie to zrobiła.
- „Cóż, na dworze tak paskudnie" - zawodził w radiu kobiecy głos. Pescoli wyłączyła odbiornik.
- I tu masz rację - burknęła i szarpnęła kierownicą, gdy autem zarzuciło w prawo. Opony ślizgały się przez chwilę, ale utrzymały się na nawierzchni.
Nawet tego nie zauważyła.
Nie zwracała także uwagi na wysokie sosny, świerki i jodły. Majestatycznie wznosiły się wzdłuż drogi i opuszczały ku ziemi gałęzie obciążone śniegiem niczym strażnicy czuwający na ostrym zimnym powietrzu, wśród wirujących płatków spływających z niewidocznych chmur. Wycieraczki nieźle radziły sobie ze śniegiem, ale widoczność i tak była nie najlepsza, bo mimo ciepłego nawiewu wewnątrz, szyby zasnuwała wilgoć.
Pescoli zmrużyła oczy. Oddałaby wiele za papierosa, zwłaszcza teraz, gdy zbierała siły przed nadciągającą konfrontacją. Zanosiło się na gigantyczną awanturę. Tyle, jeśli chodzi o „Wesołych świąt", „Wszystkiego najlepszego" i „Pokój ludziom dobrej woli". Nie w przypadku Lucky'ego. Nigdy w życiu. Wszystkie banały, że powinna załatwić to w cywilizowany sposób ze względu na dzieci, że warto okiełznać emocje i zachować spokój, topniały jak śnieg na szybie.
Nie może, po prostu nie może odebrać jej dzieci.
Owszem, Regan pracuje w policji i często bierze nadgodziny. Ale to chyba nic dziwnego, szczególnie teraz, wobec ataków zimy, awarii elektryczności, zasypanych i nieprzejezdnych dróg. A do tego dochodzi jeszcze pierwszy seryjny morderca w tym zakątku Montany.
Był to groźny, świetnie zorganizowany i sprawny zabójca. Najpierw strzelał w opony samochodów, a następnie „ratował" poszkodowane kobiety. Zabierał je do tajnej kryjówki, leczył, zdobywał ich zaufanie i wdzięczność, a potem nagie wypędzał na mróz na odludziu. Przywiązywał je do drzew i porzucał na śmierć w leśnej głuszy.
Boże, oddałaby wszystko, by wsadzić go za kratki.
Do tej pory drań zabił pięć kobiet. Ostatnia ofiara, Hannah Estes, żyła jeszcze, kiedy ją odnaleziono. Przetransportowano ją helikopterem medycznym do szpitala, ale zmarła, zanim odzyskała przytomność i zdołała zidentyfikować sukinsyna. Rozbite samochody ofiar odkrywano niedaleko od miejsc, gdzie zostawiał kobiety na powolną śmierć. Oczywiście były jeszcze inne dowody. Przede wszystkim listy, które zabójca skrupulatnie przypinał nad głowami ofiar. Jednak żaden ślad nie dawał się powiązać z jednym choćby podejrzanym. Nie żeby takowego mieli. Wobec faktu, że ofiar, z tego co wiedzieli, nic nie łączyło, nie mieli nawet pół podejrzanego.
Na razie.
To się zmieni. Na pewno.
A tymczasem, gdy Pescoli i cały cholerny wydział odwalał nadgodziny, żeby przyskrzynić pieprzonego świra, Lucky Pescoli miał czelność zabrać jej dzieci i oznajmić, że będzie walczył o prawo do opieki nad nimi.
Żałosny gnojek.
Rzuciła słuchawką niecałe pół godziny temu, zadzwoniła do swojej partnerki, detektyw Alvarez, z prośbą o zastępstwo i teraz od domu sukinsyna dzieliło ją niecałe piętnaście minut jazdy. Już miała włączyć płytę Tima McGraw, ale zdała sobie sprawę, że to własność Lucky'ego, więc zaraz ją wyjęła i cisnęła na podłogę obok pustego opakowania po marlboro lights. Na chwilę stanął jej przed oczami Nate Santana, z którym niedawno się związała. Miękła przy nim jak wosk, ale wiedziała, że to mężczyzna nie dla niej. Zdecydowanie nie. Przystojniak, jakich lepiej omijać szerokim łukiem. Kowboj, o którym nie powinna myśleć teraz, gdy ma ważniejsze sprawy na głowie.

Cholerny Lucky!
Koła się poślizgnęły. Zwolniła. Od lat jeździła tymi drogami w najgorszą pogodę, ale teraz jest wściekła i chyba trochę szarżuje.
Trudno.
Gniew dodawał jej energii.
Poczucie krzywdy napędzało.
Skręciła za ostro i wpadła w poślizg, ale odzyskała panowanie nad dżipem, w ostatniej chwili ratując się przed uderzeniem w barierkę, za którą była tylko przepaść zwana kanionem Cougar.
Zmieniła biegi. Kolejny poślizg, jakby drogę pokrywała warstwa lodu, i to tutaj, w pobliżu ostatniego wzniesienia. Jeszcze kilka metrów, potem zakręt i zacznie się zjazd...
Samochód znowu wpadł w poślizg.
- Tracisz wprawę - mruknęła do siebie.
Bum!
Rozległ się huk wystrzału, któremu zaraz odpowiedziało echo.
Regan odruchowo skuliła się i sięgnęła po broń.
Dżip zadrżał i nagle zrozumiała, co się dzieje. Dookoła cholerna zawierucha, a ktoś zrobił sobie z jej samochodu tarczę strzelniczą.
Nie ktoś. To morderca! W ten sposób unieruchamia ofiary!
Koła ślizgały się po oblodzonej nawierzchni, a pas bezpieczeństwa zablokował się automatycznie. Serce podeszło jej do gardła. Regan - choć nadal za kierownicą - była całkowicie bezradna.
Samochód obracał się coraz szybciej, zbliżając do krawędzi urwiska. W panice chwyciła telefon komórkowy, ale aparat wysunął się z jej dłoni, gdy dżip runął między drzewa i skały. Trzask rozdzieranego metalu, jej krzyki i odgłos tłuczonego szkła zakłóciły śnieżną ciszę. Poduszka powietrzna uderzyła ją z impetem. Do środka wdarło się lodowate powietrze.
Łup! Samochód zatrzymał się na boku z przerażającym odgłosem wgniatanej karoserii, przez okno wpadły kamienie i kawałki szkła. Poczuła przeszywający ból w szyi i ramieniu i wiedziała, że jest ranna.
Krew spływała jej na czoło. Dżip zsuwał się jak po torach, coraz niżej, przez zarośla, a potem zaczął się toczyć.
O Boże...
Jedną ręką ściskała kierownicę, drugą kurczowo trzymała pistolet. Świat wirował, szczękała zębami. Oczyma wyobraźni widziała ofiary mordercy. Przesuwające się obrazy: nagie kobiety, martwe, posiniałe z zimna, ze śniegiem i lodem we włosach, przywiązane do drzew tak mocno, że sznury przecinały ich skórę do krwi, która początkowo płynęła, by potem zastygnąć na mrozie.
Jezu, nie.
Bum!
Samochód znów się zatrzymał, stanął na przednim zderzaku. Wstrząs przeszył Pescoli aż do kości. W barku płonął żywy ogień, poduszka powietrzna nie pozwalała oddychać, a drobinki kurzu z eksplozji blokowały wzrok.
A dżip odbił się od drzewa i mknął teraz w dół, coraz szybciej i szybciej.
Pescoli nie mogła myśleć. Spowita obłokiem bólu, z trudem zachowywała przytomność. Kurczowo zaciskała dłoń na pistolecie. Miała jeszcze dubeltówkę, ale musiałaby najpierw odblokować zamek. No i czy w ogóle będzie ją w stanie unieść.
Musi. Bo jeśli przeżyje ten upadek i zobaczy, że zbliża się do niej drań ze strzelbą, załatwi go. Bez żadnych pytań. Przez chwilę myślała o swoim życiu i o tym, jakiego narobiła w nim bałaganu: dwoje dzieci, pierwszy mąż w grobie, drugi mąż i wreszcie Nate Santana, włóczęga i seksowny sukinsyn, z którym nie powinna w ogóle się zadawać.

Tyle pomyłek.
Nie myśl o tym. Trzymaj się. Zachowaj przytomność. Zachowaj życie. Przygotuj się na spotkanie ze świrem i odstrzel mu jaja.
Zacisnęła zęby i próbowała odblokować zamek na strzelbie - nic. Broń ani drgnęła. Starała się nie panikować, bo przecież nadal miała pistolet. Zacisnęła na nim dłoń, czerpiąc pociechę z chłodnego dotyku.
Najpierw strzelaj, potem zadawaj pytania.
Usłyszała kolejny głuchy odgłos, gdy dach się zapadał.
W jednej oślepiającej sekundzie zrozumiała, że zaraz umrze.

Idealnie!
Obserwuję, jak dżip koziołkuje i spada w dół kanionu. Drzewa drżą, z ich gałęzi spadają chmury śniegu, a burza tłumi odgłosy pękającego szkła i rozdzieranego metalu.
Ale nie mogę spocząć na laurach czy odetchnąć z ulgą. Przede mną jeszcze dużo pracy. A ta kobieta, Regan Elizabeth Pescoli... O, przepraszam - detektyw Pescoli - jest inna niż pozostałe.
Może mnie zidentyfikować.
O ile przeżyła.
O ile zachowała przytomność.
Muszę być ostrożny.
Szybko zwijam plastikową płachtę. Rozłożyłem ją w miejscu, z którego miałem idealne pole do strzału. Wrzucam ją do plecaka, upewniam się, że gogle zasłaniają mi oczy, a maska narciarska, czapka i kaptur zakrywają mi twarz. Spokojny, że mnie nie rozpozna, zabieram strzelbę i brnę przez gęsty śnieg, zadowolony, że dzięki świeżym opadom wkrótce nie będzie tu żadnych śladów mojej obecności.
Zostawiłem samochód w opuszczonym obozie drwali, jakieś trzy kilometry dalej. Trzy kilometry w trudnym terenie to kilka godzin wędrówki. Pescoli to nie piórko, a niewykluczone, że będzie walczyć.
Ale ja umiem sobie z tym poradzić.
Zaczynam wędrówkę, schodzę ze wzgórza, które góruje nad szosą, kluczę, by ukryć ślady. Idę dnem zamarzniętego potoku, jest wąski i ciemny, to droga okrężna, ale warto nadłożyć dodatkowy kilometr. Po pierwsze, zmylę trop, a nie mogę przecież ułatwiać życia tym durnym gliniarzom; po drugie, detektyw Pescoli trochę bardziej zmarznie, a wtedy chętniej przyjmie oferowaną pomoc. Choć na pewno będzie czujna.
Nie wierzę, że wyszła z takiego wypadku bez szwanku, że zdołała wydostać się z samochodu i uciec. Nie po tym, co widziałem i słyszałem, gdy dżip runął w dół kanionu. A jeśli nawet jakimś cudem przeżyła i udało jej się wyczołgać z wraku, jestem gotowy.
Na samą tę myśl czuję przypływ adrenaliny. Zawsze lubiłem polowanie, osaczanie zwierzyny, uwielbiałem sprawdzać się w starciu z godnym przeciwnikiem.
Uśmiecham się pod neoprenową maską narciarską, bo wiem, że Regan Pescoli z pewnością takim będzie.
Uciekaj, myślę i zaciskam dłoń na strzelbie. Biegnij co sił, ty głupia policyjna suko!
A i tak mi się nie wymkniesz.

Pescoli oddychała z trudem.
Czuła ucisk w klatce piersiowej, okropny, nieprzyjemny. I ból... Boże, ten ból.
Miała wrażenie, że spoczywa na niej cały ciężar pokiereszowanego dżipa, że miażdży jej mięśnie, wydusza resztki tlenu z płuc, resztki życia z ciała.
Nie dramatyzuj.
Uciekaj!

I to szybko!
Ratuj własny tyłek!
Wiesz dobrze, co jest grane. Nic dobrego. Wręcz przeciwnie.
Pobudzona, silna dzięki adrenalinie, z desperacją usiłowała odpiąć pas bezpieczeństwa, odepchnąć od siebie cholerną poduszkę powietrzną, pozbyć się bólu, który emanował z barku. Jęknęła.
Jezu!
Do niedawna ciało reagowało na każde polecenie, teraz nie mogła go zmusić do najmniejszego ruchu. Dalej! Nie masz czasu!
Wiedziała, że tam jest, gdzieś w pobliżu.
Czuła jego obecność.
Wiedziała, że idzie po nią. I ma mordercze zamiary, od których nie odstąpi.
Na Boga, Pescoli, uciekaj!
Wstrzymała oddech, zacisnęła zęby i wbiła palce w szczelinę między fotelami, gdzie znajdował się przycisk zwalniający pas bezpieczeństwa.
Kliknięcie.
W końcu!
Teraz żeby jeszcze udało się otworzyć wgniecione drzwi albo wydostać przez przednią szybę... Ale nic się nie zmieniło. Pas ani drgnął.
Co takiego? O nie!
Spróbowała ponownie.
Rozległ się ten sam metaliczny dźwięk, ale klamra się zacięła. Tak samo jak strzelba.
W panice próbowała raz za razem, lekceważąc ból. Bała się, że morderca zjawi się lada chwila i będzie po wszystkim. Po niej.
Nie poddawaj się! Masz jeszcze czas!
Krew płynąca z rozcięcia na skroni zamarzała. Było jej coraz zimniej i szczękała zębami, bo przez zbitą szybę do środka wpadały śnieg i wiatr, a mimo to czuła krople potu pełznące wzdłuż kręgosłupa.
Pieprzony psychol mógł się pojawić w każdej chwili.
Cholera jasna, jestem jak kaczka do odstrzału! Muszę się stąd wydostać!
Może, gdyby zdołała dosięgnąć komórki albo policyjnego radia...
Ponownie spróbowała odpiąć pas bezpieczeństwa. Jednak był to daremny wysiłek - cholerna klamra zacięła się na dobre. Do licha! Musi przeciąć pas... Ale czym? Wyciągnęła rękę i usiłowała otworzyć schowek przy kierownicy, ale on także się zablokował.
- Na miłość boską - mruknęła, gdy udało jej się wbić zaledwie jeden palec w szczelinę...
Lewą dłoń ciągle zaciskała na broni. W kieszeni miała nóż. Jeśli go dosięgnie... Albo włączy radio... Albo komórkę... Albo zestaw bezpieczeństwa. Dlaczego nie miała go na sobie? No tak, była już po służbie, więc małe radyjko, które czasami mocowała do ramienia, poniewierało się gdzieś na tylnym siedzeniu. Uważała, że nie będzie jej potrzebne podczas konfrontacji z Luckym.
Zagryzła wargi i próbowała dosięgnąć kieszeni, w której nosiła nóż z ząbkowanym ostrzem. Była pewna, że poradzi sobie z pasem bezpieczeństwa.
Usiłowała wsunąć prawą rękę do kieszeni spodni i walczyła z ogarniającą ją paniką. Czuła, że lada chwila może wystąpić szok pourazowy. Wtedy straci wszelkie szanse.
Nawet o tym nie myśl. Działaj. Dasz radę, wiesz o tym.
Stłumiła przerażenie i namacała nóż opuszkami palców. No dalej, dalej. Wsunęła rękę głębiej do kieszeni i cały czas nasłuchiwała, ale słyszała tylko oszalałe bicie swego serca.
Oczekiwała trzasku gałęzi pod stopami, dźwięku, który nie pasowałby do lodowatej dziczy, znaku obecności człowieka, który ostrzegłby ją, że morderca jest tuż-tuż.

Koledzy z wydziału ją znajdą, była o tym przekonana. Wcześniej czy później. W końcu zlokalizują położenie jej samochodu. Nie miała co prawda komputera pokładowego, ale dosyć elektroniki, by zdołali ją namierzyć. Koledzy z wydziału. Walczący po stronie dobra. Ale teraz mieli pełne ręce roboty, a ona sama powiedziała, że musi mieć trochę czasu dla siebie. I dlatego albo padnie ofiarą mordercy, albo zamarznie w tym samochodzie, zanim ją znajdą.
Strach i gniew przyszły jednocześnie. I w tej samej chwili zacisnęła palce na nożu.
Nareszcie!
Skoncentrowała się na wyciągnięciu go z kieszeni, wzdłuż nogi, z dala od bólu. Drżały jej ręce, ale się udało. Ostrożnie otworzyła ostrze i przecięła poduszkę powietrzną, która opadła z cichym sykiem. Odepchnęła ją i zaczęła ciąć pas. Policzki jej zdrętwiały, traciła czucie w palcach.
Gdyby nie obrażenia, szybko uporałaby się z pasem. Teraz jednak przecięcie tkaniny wymagało maksymalnego wysiłku. Zabrała się do pracy. I wtedy poczuła raczej, niż zobaczyła, że nie jest sama.
Cholera jasna.
Zamarła. Palce lewej dłoni zaciskały się na półautomatycznym glocku. W ciasnej przestrzeni był bezcenny. Kiedy się wydostanie z wraku, spróbuje jeszcze raz odblokować strzelbę. Może wtedy się uda.
Słyszała tylko wycie wiatru i własne spanikowane serce. Widziała jedynie biel, miliony gniewnych płatków. Tworzyły zasłonę, za którą kryły się cienie i twory jej wyobraźni. Serce o mało nie wyskoczyło jej z piersi.
Wiem, że tam jesteś, draniu. No, pokaż się.
Nic.
Zwilżyła popękane usta i powiedziała sobie, że to tylko wyobraźnia płata jej figle. Zazwyczaj nie wierzyła w przeczucia, intuicję - czy to kobiecą, czy policyjną. Ale teraz, tutaj, w zamarzniętym kanionie...
Czy coś się poruszyło? Tam, w zaroślach, kilka metrów od samochodu?
Z bijącym sercem zmrużyła oczy. Lodowate kryształki opadały na jej twarz.
Nic.
Nie! A jednak coś się porusza. Upuściła nóż, zacisnęła obie
dłonie na pistolecie. Wycelowała przez wybitą szybę. Cień?
Strzeliła, gdy cień się poruszył.
Bum!
Kula trafiła w pień ośnieżonej sosny. Kora i śnieg rozprysły się na wszystkie strony. Wielki jeleń wyskoczył zza drzew i pognał w górę; przerażony szary cień niknący za białą kurtyną.
- O Boże! - wyszeptała nabuzowana adrenaliną. Jeleń, to tylko pieprzony jeleń!
Powoli wypuściła powietrze z płuc i ponownie zajęła się pasem. Wmówiła sobie, że przesadza, gdy zobaczyła ruch w resztkach lusterka.
Spojrzała uważniej. Nic.
Weź się w garść.
Jeszcze jeden ruch i pas puścił. I wtedy poczuła ostre ukłucie w kark.
Co to takiego?
Dotknęła szyi i znalazła coś zimnego i metalowego niedaleko kręgosłupa. Z przerażeniem wyrwała strzałkę. Igła, cylinder z płynem i tłok uruchamiający się samoczynnie.
Zrobiło jej się słabo.
Mało brakowało, a upuściłaby ją. Co jej wstrzelił? W wąskim pojemniku mogło być wszystko - narkotyk, trucizna?
Poczuła mdłości.

Nie! Myśl! Drań jest blisko...
Znowu dostrzegła ruch w resztkach lusterka - rozmazany, Przesuwający się kształt.
Mrugnęła kilka razy, chcąc odzyskać ostrość widzenia, podniosła pistolet, ale było już za późno; palce nie reagowały, nie wypełniały poleceń mózgu, w głowie jej się kręciło, w całym ciele czuła mrowienie.
Narkotyk...
I znowu ruch w strzaskanym lusterku.
Broń. Musi... sięgnąć... po... broń.
Usiłowała działać, zobaczyć napastnika, ale ogarnęło ją odrętwienie. Głowa opadła jej na bok, pistolet wysunął się spomiędzy palców, świat wirował w zwolnionym tempie, wszystko spowijała mgła.
- Nie! - wybełkotała zesztywniałym językiem, próbując odnaleźć broń.
I wtedy go zobaczyła. Zbite lusterko zniekształcało obraz, ale był tam, potężny, cały w bieli, w masce narciarskiej na twarzy. Wielkie gogle zasłaniały oczy.
Odpływała, traciła przytomność, ale słyszała jeszcze, jak powiedział:
- Detektyw Pescoli. - Zabrzmiało to tak ciepło, jakby ją znał. Był zaledwie o parę metrów... Gdyby zdołała wycelować... - Wygląda na to, że miała pani wypadek.
Przewróciła oczami i ostatkiem sił warknęła:
- Idź do diabła.
- Już tam byłem, droga pani detektyw, ale teraz przynajmniej będę miał towarzystwo. Panią.
O nie, pomyślała w przypływie desperacji. Udało jej się chwycić pistolet. Uniosła go niezdarnie, powoli; nacisnęła spust. Ciszę przerwała seria wystrzałów Ale spudłowała.
Był tak blisko, a ona nie trafiła. Strzelała w drzewa, głazy i Bóg jeden wie w co jeszcze.
Westchnął i mlasnął językiem.
- Pożałuje pani tego.
Chciała spróbować jeszcze raz, ale palce odmówiły jej posłuszeństwa. Jedyne, na co się zdobyła, to atak ręką, kiedy się zbliżył. Zaczepiła paznokciami o jego maskę narciarską, zdarła mu skórę. Jęknął zaskoczony.
- Suka!
Tak jest, draniu, mam pod paznokciami twój naskórek i DNA. Kiedy mnie znajdą, już po tobie.
Widziała krew na jego policzku. Sięgnął do plecaka, wyjął…
Co to jest? Fartuch? Cholera, nie może się skoncentrować...
Wszystko jest takie niewyraźne... Ale powinna wiedzieć, co trzyma w ręku.
Kaftan bezpieczeństwa?
Przeszył ją lodowaty strach.
Wiedziała już, że nie umrze szybko, łatwo. Nie, zachowa ją przy życiu. Będzie torturował i karmił, a w końcu zabije. Jak pozostałe.
Ale kaftan bezpieczeństwa? Skrępowana, bezradna... jakby znał jej najskrytsze lęki.
Biel ją oślepiała, śnieżyca zasłaniała i jego, i kaftan.
Gdy traciła przytomność, nie czuła strachu, tylko determinację, że jeśli kiedykolwiek się ocknie, załatwi drania. I to jak. Wyśle go na dno piekła, w otchłań, z której nie ma powrotu.
Oby tylko miała ku temu okazję.

ROZDZIAŁ 2

Dzisiaj

Gdzie ona się podziewa, do cholery?

W okolicznych kanionach hulała śnieżyca. Nate Santana przechadzał się po stajni z komórką przy uchu. Bezużyteczny aparat milczał jak zaklęty.
- No, dawaj, dawaj! - domagał się, choć wiedział, że nic z tego nie będzie.
Regan Pescoli zniknęła bez śladu.
Na wyświetlaczu małego telefonu nic się nie pojawiało.
Zdenerwowany, wcisnął go do kieszeni spranych dżinsów i powiedział sobie, że musi zachować spokój. Po prostu ostatnie Wydarzenia w małym, sennym miasteczku Grizzly Falls negatywie na niego wpływają. Nic takiego.
A jednak zżerał go niepokój, nie dawał zapomnieć, że wraz z Pescoli zniknęło wszystko, co w jego życiu dobre, a Regan, niech ją szlag trafi, to najlepsze, co go spotkało od... Od San Lucia.
Jego myśli przybrały mroczny kierunek, gdy wrócił pamięcią do ostatniej kobiety, która zmieniła bieg jego życia, ale szybko zepchnął na dno wspomnień piękną twarz Shannon Flannery.
Teraz musi się uporać ze świadomością, że Regan nie chce z nim rozmawiać.
Naprawdę?
Przeczesał włosy palcami, zerknął w głąb stajni, gdzie młody, uparty ogier przyglądał mu się bacznie, jakby rzucał wyzwanie.
Na ogół w towarzystwie zwierząt zapominał o wszystkim. Życie nauczyło go, że o wiele łatwiej dogadać się z nimi niż z ludźmi. Zwierzętom można zaufać. Są bardziej stałe. Jednak tego zimnego ranka nie mógł się skupić, cały czas myślał o Regan.
Jezu, ale go trafiło. Wcale mu się nie podobało, że jakimś cudem zakradła się do jego serca. Pozwoliłeś jej na to. Pozwoliłeś, żeby romans bez zobowiązań przekształcił się w związek na granicy prawdziwego zaangażowania.
Zacisnął usta na samą tę myśl.
Była dla niego najgorszą możliwą kobietą.
Wymyślał sobie w duszy, obrzucając się coraz bardziej wyszukanymi przekleństwami. Już dawno żadna kobieta nie zawładnęła nim do tego stopnia. Mógłby się z nią kochać o każdej porze dnia i nocy. Na miłość boską, Regan jest przecież policjantką, detektywem z biura szeryfa okręgu Pinewood.
Co ci to mówi?
Z daleka!
A jednak przyciągała go jak oaza na pustyni.
Spojrzenie w okno wystarczyło, by się przekonać, że śnieżyca wszech czasów nie odpuszcza. Lodowata wichura hulała po wąwozach tego zakątka Montany. Lód zamalował szyby, a śnieg padał tak gęsty, że Santana nie widział nawet jasnych okien swojej chaty, zaledwie trzydzieści metrów od stajni.
Tu, wewnątrz przestronnej stajni z wybiegiem, było ciepło. Przyjemny nawiew sapał i dyszał, wzbijał w powietrze resztki letniego kurzu i jego nozdrza wypełniły zapachy, które znał od dziecka końskiego potu i skóry. Konie wierciły się boksach. Młoda, niespokojna klacz zarżała nerwowo. Te dźwięki i zapachy zwykle go uspokajały. Szczerze mówiąc, czuł, że bliżej mu do zwierząt niż do ludzi. Czy kobiet, jeśli już o to chodzi.
Póki nie poznał cholernej Regan Pescoli.
Dwoje dzieci.
Dwa nieudane małżeństwa.
Ich związek, który praktycznie ograniczał się do seksu, nie był ani romantyczny, ani konwencjonalny.
Żadnych obietnic.
Żadnych deklaracji.

Żadnych zobowiązań.
Żadnych problemów.
Jasne?
Więc dlaczego jest taki spięty i niespokojny? Czy chodzi o to, że nie może się z nią skontaktować? Bywało już, że nie rozmawiali ze sobą przez kilka dni, a raz nawet był to cały tydzień. Ale nie ostatnio. Ostatnimi czasy kontaktowali się prawie każdego dnia. Albo każdej nocy. Wcale na to nie narzekał.
Powtarzał sobie, że w Grizzly Falls zasięg bywa kiepski i nawet Brady Long, szef Santany i wielki dupek, a zarazem dziedzic ogromnego majątku, który szastał pieniędzmi na prawo i lewo, nie zdołał jeszcze przekonać nikogo, by tu w górach wybudowali więcej masztów. Co Santanie zazwyczaj odpowiadało. Samotnik [2] natury, nie lubił nowoczesnych technologii ani im nie ufał.
Do dzisiaj.
No i co z tego, że nie możesz się z nią skontaktować? Wiesz doskonale, że ma teraz pełne ręce roboty. Seryjny morderca ciągle nie został złapany, a przy tej pogodzie pewnie co chwila gdzieś brakuje elektryczności, samochody spadają w przepaść, ludzie zamarzają. Jest zajęta i tyle. Nie panikuj.
A jednak nadal to czuł. Intuicja mówiła mu, że coś jest nie tak. Czuł mrowienie w karku i gorycz w ustach jak zawsze, gdy nadciągały kłopoty. Och, pewnie, że niektóre z nich sam prowokował, miał na koncie wiele złamanych serc, ale i tak wyczuwał, gdy miało się zdarzyć coś złego. I zawsze tak było.
- To cholerna indiańska krew w twoich żyłach - mawiał jego ojciec, ilekroć mu o tym opowiadał. - Twój pradziadek, a może prapradziadek, ze strony matki był podobno wielkim indiańskim szamanem. Leczył dotykiem. Ale i rzucał klątwy. Tak twierdziła twoja matka. Pochodził z plemienia Arapaho... Chyba. A może Czejenów? Nieważne. Kiedyś we śnie zobaczył grzechotnika czy coś takiego i tak to się zaczęło. Został czarownikiem. Pewnie masz to po nim, synu.
Po tych rewelacjach ojciec wsuwał w usta kawałek tytoniu, żuł z rozkoszą, spluwał i wycierał wargi rękawem koszuli.
- Po mojemu to stek bzdur.
Co prawda Santana nigdy nie uważał, żeby jego przeczucia miały związek z indiańskim dziedzictwem. Dzisiaj jednak coś wyczuwał. Coś mrocznego i bardzo złego. Coś, co niosło zagrożenie, i to jej, Regan.
Zacisnął zęby i postanowił zignorować przeczucia. Nie przyjmował ich do wiadomości i nie przyznawał się do nich, bo nie chciał skończyć jako obiekt drwin. Jak staruszek Ivor Hicks, jakoby porwany przez kosmitów, czy Grace Perchant, która hoduje mieszańce psów z wilkami i twierdzi, że rozmawia ze zmarłymi. Czy Henry Johansen, farmer, który piętnaście lat temu spadł z traktora, uderzył się w głowę i od tej pory, jak zapewniał, słyszy myśli innych ludzi. O nie, Santana będzie trzymał język za zębami, nie stanie się pośmiewiskiem współmieszkańców.
A jeśli chodzi o Regan, później się z nią skontaktuje, tak czy inaczej, jak zawsze. Zresztą nie są małżeństwem, nie są nawet parą i oboje właśnie tego chcieli.
Lucyfer, młody ogier, łypał na niego groźnie i rył kopytami miękką ziemię na maneżu. Czarny, nie licząc przekrzywionej gwiazdy na czole i jednej białej pęciny. Niektórzy mówili o nim, że jest niezależny, inni, że narowisty. Nate uważał, że to jedno i to samo. Koń rozdął chrapy, szeroko otworzył oczy, błysnął białkami, na skórze pojawiły się plamy potu.
- Spokojnie - szeptał Santana, ale w sercu wiedział, że nie na spokój. Koń także to wyczuwał. To był jego prawdziwy talent, żeby nie powiedzieć: dar. Rozumiał zwierzęta, szczególnie

konie i psy. Szanował je, ale brał takimi, jakie były. Nie przypisywał im ludzkich cech i po latach obserwacji nauczył się z nimi pracować.
Niektórzy uważali, że jest dziwny, inni porównywali go do zaklinacza węży, twierdzili, że to indiańskie dziedzictwo. W rzeczywistości była to wypadkowa zdrowego rozsądku, uporu i dobroci. Po prostu umiał pracować ze zwierzętami. Może to zasługa krwi Arapahów w jego żyłach, choć pewnie nie.
Zdjął z haka zwój liny, wszedł na maneż i powoli ruszył w stronę ogiera. Podmuch wiatru uderzył w szyby. Młody karosz zadygotał.
- Spokojnie. - Santana ciągle się zbliżał. Powoli. Bez nerwów. Choć w głębi duszy odczuwał to samo napięcie, które kazało koniowi reagować - strach na granicy paniki. Po błysku w jego oczach wiedział, że Lucyfer zaatakuje lada chwila.
Łup!
Drzwi do stajni stanęły otworem.
Santana znieruchomiał.
A Lucyfer skorzystał z okazji. Kopyta poderwały się, wzniecając obłoki kurzu, i koń ruszył galopem, mijając go tak blisko, że Nate poczuł jego oddech i ciepło razem z porywem lodowatego montańskiego wiatru.
Jego pies, syberyjski husky, wył tak głośno, że pobudziłby zmarłych. Wszystkie konie rżały nerwowo.
- Nakita, cicho! - krzyknął i pies położył się niechętnie. Obserwował go niebieskimi ślepiami.
Lucyfer biegał niespokojnie. Gdyby mógł, uciekłby stąd, przeskoczyłby ogrodzenie maneżu i pogalopował hen, przed siebie, przez rozlegle posiadłości Brady'ego Longa.
- Świetnie - mruknął Santana, świadom, że zaufanie, jakie ogier zaczynał do niego czuć, zniknęło bez śladu. - Po prostu świetnie.
Spojrzał na otwarte drzwi, szukając winnego, który ni trzasnął.
- Ej! - zawołał. Wspiął się na ogrodzenie oddzielające maneż od pozostałej części stajni. Zeskoczył.
Nic, nikogo. W progu nikt nie stał. Tylko Nakita znowu zaczął wyć, wpatrzony w śnieżną kurzawę.
Z zewnątrz do stajni wpadało lodowate powietrze. I tylko powietrze.
Nate zamknął drzwi, sprawdził zasuwę i znowu ciarki przeszły mu po plecach. Zamknął drzwi, kiedy tu przyszedł, na pewno.
Może jednak do tego stopnia pochłonęły go rozważania o kobiecie, która nie dawała znaku życia, że tego nie dopilnował? Zasuwka ostatnio szwankowała; od dawna miał się nią zająć, ale zawsze było coś pilniejszego do roboty.
I znowu to dziwne uczucie, że ktoś tu jest, że nie jest sam. Ale ciszę zakłócały jedynie odgłosy niespokojnych koni, parskania i prychnięcia. Spojrzał na boksy, zauważył, że gniada klacz i płowy wałach wpatrują się w to samo miejsce koło poideł. Lucyfer już nie biegał, ale nerwowo potrząsał łbem. Był blisko Santany. Patrzył mu prosto w oczy.
Nate zdjął widły z haka i ruszył w stronę ciemnego zakątka,
Dzyń!
Telefon na ścianie stajni.
Mało brakowało, a umarłby na zawał.
Zacisnął dłoń na rękojeści wideł, a drugą chwycił słuchawkę.
- Santana - warknął, jednocześnie przeczesując wzrokiem wnętrze.
- Mówi detektyw Selena Alvarez z biura szeryfa okręgu Pinewood.
Czuł, jak napinają się wszystkie mięśnie w jego ciele.
- Tak?
- Jestem partnerką detektyw Pescoli.
To już wiedział, nie wiedział natomiast, czy Regan zdradziła jej, że coś ich łączy.

- Mhm.
- Pescoli nie przyszła dzisiaj do pracy. Pomyślałam, że może będzie wiedział, co się stało.
A zatem ich związek nie był dla niej tajemnicą. Dobrze.
- Nie widziałem się z nią.
- a wczoraj?
Zacisnął usta.
- Też nie.
- Proszę posłuchać, wiem, że macie romans. Nie opowiada o tym, ale dodałam dwa do dwóch, więc jeśli wie pan, gdzie ona teraz jest...
- Nie wiem. - Wpadł jej w słowo. - Ostatni raz widziałem ją kilka dni temu i tyle. - Zacisnął zęby. - Cały czas usiłuję się do niej dodzwonić, na komórkę i domowy. Bez rezultatu.
- Tego się obawiałam. - Zaklęła.
Słyszał jej zdenerwowanie i przeszył go lodowaty dreszcz.
- Kiedy się do pani odezwie, proszę jej powiedzieć, żeby do mnie zadzwoniła - poprosił.
- Dobrze. - Wyczuwał, że Alvarez chce skończyć rozmowę.
- Jak pani myśli, co się z nią stało? - zapytał.
- Gdybyśmy wiedzieli, nie dzwoniłabym do pana. - Rozłączyła się. Cały czas miał w uszach jej słowa. Złe przeczucie nie ustępowało. Skoro nawet policja nie wie, gdzie jest Regan, sprawy mają się gorzej, niż przypuszczał.

Bum!
Grace Perchant otworzyła oczy.
Chociaż, jak pomyślała, wcale ich nie zamykała. Zamrugała, usiłując oczyścić umysł. I wtedy niedaleko rozległ się huk grzmotu.
Dokoła padał śnieg. Stała pośrodku drogi w ocieplanych butach, flanelowej nocnej koszuli i długim płaszczu. Przemarzła do kości. Sheena, jej pies, potężna suka, była w pobliżu, jak zwykle wierna i czujna. Sheena o inteligentnym spojrzeniu i czarnej sierści wbrew wilczej krwi. Czekała cierpliwie.
Zawsze tak było.
Za każdym razem, gdy Grace miała... Atak.
- Boże drogi - sapnęła. Palce jej zdrętwiały, oddech tworzył mały obłoczek.
Powróciły obrazy z wizji. Brutalne, prawdziwe, bolesne jak kawałki szkła wbijające się w mózg.
Przez chwilę widziała kobietę w rozbitym dżipie. Obolałą. I napastnika. To czyste zło.
Serce zabiło jej szybciej, gdy obraz się zmienił; teraz zobaczyła kobietę skrępowaną kaftanem bezpieczeństwa. Ciągnie jąna czymś przez zasypany śniegiem kanion. Mężczyzna w bieli. Mężczyzna o złych zamiarach.
I znowu zmiana otoczenia; teraz kobieta stoi przywiązana do drzewa, naga, rude włosy zesztywniały na mrozie, toczy dokoła złotymi oczami wypełnionymi strachem.
Regan Pescoli.
Policjantka.
Grace Perchant nie miała wątpliwości - potwór ją porwał. Zaatakował. Zamierzał zabić. O ile już tego nie zrobił.
Nie po raz pierwszy miała tę wizję; już przedtem widziała mordercę w akcji.
Wtedy, a było to zaledwie kilka dni temu, usiłowała ostrzec Pescoli, powiedzieć, że grozi jej niebezpieczeństwo, ale policjantka ją zbyła.
Jak wszyscy.
Teraz obrazy stawały się coraz wyraźniejsze. Coraz bardziej realne. Spojrzała na ciemne niebo, czuła, jak śnieg topi się na jej skórze. Szczękała zębami z zimna. Od jak dawna jest na zewnątrz? Jak daleko zaszła, wędrując jak lunatyczka tą pustą krętą drogą?

- Chodź, Sheena. - Otuliła się płaszczem. - Do domu. Ogromna suka, ważąca prawie siedemdziesiąt kilo, ruszyła
radośnie ich tropem, który już nikł pod śniegiem. Grace nie pamiętała, kiedy wyszły z domu. Ile kilometrów zrobiła - kilkadziesiąt czy jeden? Świat w nocy wszędzie wygląda tak samo. Nie poznawała okolicy, choć po wizjach doświadczała większej niż zwykle jasności umysłu. Nie szkodzi ślady są świeże i jeszcze widoczne. Chyba sobie niczego nie odmroziła.
Ale jeszcze może.
Ruszyła za psem.
Nienawidziła tych wizji, wolałaby ich nie mieć, ale nie miała na to wpływu. I tak będzie aż do śmierci, myślała ponuro. Otuliła się płaszczem. Nie pamiętała nawet, kiedy go włożyła. Pod nogami skrzypiał śnieg.
Wszystko zaczęło się, gdy miała trzynaście lat, od wypadku, w którym zginęli jej rodzice i starsza siostra, Cleo. Pogoda była podobna do dzisiejszej - zimowa noc. Kłóciły się z siostrą na tylnym siedzeniu, a ojciec jechał mimo nadciągającej śnieżycy. Stare volvo wspinało się na wzgórze, silnik warczał głośno, koła się ślizgały, z głośników radiowych płynął tylko szum.
- Pieprzony śnieg - burczał ojciec. - Na wiosnę wyprowadzamy się na Florydę!
- Nie! - Cleo go usłyszała. - Nie możemy! Tutaj są wszyscy moi przyjaciele!
- Nieważne - mruknął i zgasił radio. Zacisnął usta jak zawsze, kiedy podjął decyzję.
Reflektory samochodu jadącego z przeciwka wydobyły z mroku jego twarz i Grace, która siedziała za matką, pomyślała, że wygląda całkiem staro - zmarszczki i bruzdy stały się bardziej widoczne.
Cleo zrobiła kwaśną minę.
- Powiedz mu, że się nie przeprowadzamy! - błagała matkę.
A matka odwróciła się, spojrzała jej w oczy i zapewniła:
- Oczywiście, że nie.
- Mówię poważnie. - Ojciec zmrużył oczy, oślepiony światłami gdy zbliżali się do mostu nad kanionem, którego dnem płynął potok Boxer Creek, jakieś piętnaście metrów niżej.
- Nie! - Cleo odpięła pas bezpieczeństwa, pochyliła się, dojęła jego barków. - Nawet nie żartuj na ten temat. Ja się nie wyprowadzam.
- Skarbie, nikt się nie wyprowadza. Ojciec jest sztygarem w kopalni. Spokojnie. Nie denerwuj się.
I nagle:
- Co jest, do cholery? - Panika ścisnęła gardło ojca, gdy samochód z przeciwka był coraz bliżej. - Wyłącz światła, kretynie. - Błysnął reflektorem.
- Hank! - Mama zwróciła mu uwagę. Reflektory, dwa oślepiające koła światła, zalały ich samochód. - Hank! Uważaj!
Za późno!
Chcąc uniknąć zderzenia, ojciec szarpnął za kierownicę i samochód wpadł w poślizg. Stracił nad nim panowanie. Ciężarówka zahaczyła o ich tylny zderzak i volvo zawirowało na oblodzonym asfalcie.
Cleo krzyknęła. Poleciała na Grace.
Grace uderzyła głową w szybę. W jej czaszce eksplodował ból. Mama krzyczała:
- Uważaj, uważaj, o Boże!
Samochód uderzył w barierkę, odbił się, wrócił na śliską jezdnię i nagle znalazł się po drugiej stronie mostu.
Tym razem volvo przebiło się przez balustradę z przerażającym hukiem rozdzieranego metalu, pękających opon, rozbitego szkła.
O Boże, Boże, Boże...
Samochód runął w przepaść.

Cleo wrzeszczała.
Mama się modliła.
Ojciec klął.
Grace straciła przytomność.
Nie poczuła upadku, nie wiedziała, że matka skręciła kark, że złamane żebra przebiły ojcu płuca, że impet wyrzucił Cleo z samochodu i zginęła, przygnieciona masą metalu.
Ocknęła się osiemnaście dni później, w szpitalu, gdzie jej powiedzieli, że straciła całą rodzinę. Że umarli. Ona przeżyła, choć była na granicy śmierci, leżała w lodowatym potoku, ale odniosła minimalne obrażenia, kilka siniaków i lekkie wstrząśnienie mózgu.
Nie znaleziono drugiego pojazdu, ani jego kierowcy. Kiedy dowiedziała się, że jej najbliżsi zginęli, odparła krótko:
- Nie.
Dlatego, że ich słyszała.
Rozmawiała z nimi.
Ze wszystkimi: z mamą, tatą, Cleo.
I tak do dzisiaj, prawie pół wieku później.
Oczywiście lekarze uznali, że zwariowała, że ma halucynacje, że to efekt uszkodzenia mózgu.
Niestety nie, pomyślała. Pies pokonał zakręt i zobaczyła swój domek przycupnięty wśród zasp na niewielkim wzgórzu. Przyspieszyła kroku i rozcierając ramiona, tłumaczyła sobie, że nie ma sensu opowiadać nikomu o ostatniej wizji. Zlekceważą ją i wyśmieją.
Przed wypadkiem zdarzało się, że pogrążała się w marzeniach. Często zostawała sama na placu zabaw, bo nie słyszała dzwonka i krzyków innych dzieci.
Dokuczano Grace i wiele razy wracała do domu z płaczem, ale mama tłumaczyła jej, że jest wyjątkowa, choć Cleo krzywiła się, że jej siostra to świr. Dzisiaj wizje Grace uznano by za fantazje dziecka o wybujałej wyobraźni. Nie było powodów medycznych, by traciła przytomność. Jeśli wierzyć testom, była przeciętnie inteligentna, ale mama zawsze szeptała jej do ucha, że jest mądrzejsza niż ci, którzy się z niej nabijają, że współczucie należy się tym, którzy nazywają ją półgłówkiem.
Ale rany zadane w dzieciństwie goją się długo i po wypadku - kiedy Grace regularnie rozmawiała ze zmarłymi rodzicami i siostrą, czym bardzo martwiła ciotkę Barbarę, i zaopiekowała się pierwszą parą młodych wilczków, których matka zginęła od strzelby kłusownika - wizje się nasiliły. Były coraz bardziej rzeczywiste, coraz wyraźniejsze.
A jednak dzieciaki miały rację. Nie jest normalna.
Podeszła do drzwi - najwyraźniej zostawiła je uchylone. W środku było zimno, wiekowy piec nie wytrzymywał konkurencji z lodowatym powietrzem z zewnątrz. Grace zamknęła drzwi, zapaliła światło i zdjęła buty.
Była spięta, zdenerwowana, roztrzęsiona.
Odwiesiła płaszcz, włożyła szlafrok, zawiązała pasek w talii, Rozpaliła w kominku i w zadumie obserwowała, jak płomienie liżą papier i suche drewno. Gdy polana zajęły się na dobre, niosąc obietnicę ciepła, Sheena zwinęła się w kłębek na posłaniu, które Grace własnoręcznie jej uszyła.
- Dobra sunia - mruknęła, ogrzewając dłonie nad paleniskiem. Zerknęła na zegar, który stał na gzymsie, obok spłowiałe-go zdjęcia całej rodziny. Było już rano, do świtu zostało zaledwie kilka godzin. Nie mogła uwolnić się od wizji Regan Pescoli.
Ogień płonął równym płomieniem, złote cienie tańczyły po małym saloniku, w którym spędziła całe życie.
- Ten dar to prawdziwe brzemię - powiedziała do Sheeny. Suka ułożyła się, opierając łeb na łapach, i bacznie przyglądała się Grace. - Nic dziwnego, że tak mi się obrywa.

Rod Larimer, właściciel pensjonatu, mówił o niej: „nasza lokalna wariatka". Bob Simms, kłusownik, który dwadzieścia lat temu zastrzelił waderę, uważał, że jest porąbana jak drwa na zimę. „Zamknąć ją", powtarzał. Manny Douglas, dziennikarz z lokalnej gazety „Mountain Reporter", opisał ją jako element kolorytu lokalnego Grizzly Falls. Wrzucił ją do jednego wora z Ivorem Hicksem, który twierdził, że w latach siedemdziesiątych porwało go UFO, i Henrym Johansenem, który spadł z traktora, uderzył się w głowę i twierdził, że słyszy ludzkie myśli.
Jak ty, podsunął wewnętrzny głos.
Ale nie wszyscy uważali ją za wariatkę. Niektórych fascynowało jej jasnowidztwo. Sandi Aldridge, właścicielka Dzikiego Willa, zawsze była dla niej miła, a ciotka Barbara, choć zła, że musiała tu przyjechać, by zaopiekować się jedyną ocalałą córką brata, zawsze powtarzała, że powinna pokornie przyjąć dar boży.
Ha! Grace sięgnęła po pogrzebacz, dźgnęła polano, aż strzeliło iskrami. Wyprawa na posterunek nie będzie przyjemna. O nie. Szeryf Dan Grayson nie przepadał za nią, Selena Alvarez, partnerka Pescoli, wydawała się oschła i nieprzystępna. No, ale ma swoje tajemnice, Grace to wyczuwała. Nie miała ochoty przekonywać ani Graysona, ani Alvarez czy kogokolwiek innego do swoich wizji. Nie miała siły na wysłuchiwanie drwin.
- Co robić? - zapytała psa, ale odpowiedział jej głos ojca, wyraźny, donośny.
- Bądź rozsądna - poradził szorstko. - Trzymaj buzię na kłódkę.
Ale matka, jak za życia, nie zgadzała się z nim.
- Nieważne, co ludzie gadają. Tu chodzi o życie. Jesteś jej to winna. Zrób, co możesz.
- Ale nic nie mogę - zaprotestowała Grace. Powoli ogarniało ją ciepło.
- Nie możesz? - Matka wydawała się bardziej odległa, choć Grace niczego nie widziała, absolutnie, tylko słyszała głosy. Jak zawsze.
Wyprostowała się i spojrzała na zdjęcie na kominku. Widok rodziny na ganku ściskał ją za serce, zaraz jednak odrzuciła smutek.
Znowu miała przed oczami uwięzioną twarz Regan Pescoli. Odetchnęła głęboko. To tylko kwestia czasu, zanim zbierze się na odwagę i zmierzy z kolejną falą kpin, gdy pójdzie na policję.
- Wiesz - poinformowała sukę - czasami dar staje się przekleństwem.

Już trzecia po południu.
Selena Alvarez wydmuchała nos. Siedziała za biurkiem na posterunku i gniewnie łypała na ekran komputera. Dzwoniła do Pescoli na komórkę - bez skutku, usiłowała się skontaktować z jej byłym mężem Luckym Pescolim, ale nie odbierał. W końcu zadzwoniła do Santany, a ten z kolei nic nie wiedział. Co prawda Pescoli nie zdradziła nazwiska ostatniego ze swoich kochanków, ale Alvarez była pewna, że to on. Typ Pescoli: przystojny włóczęga, który zawitał do Grizzly Falls przed kilku laty, i teraz wpadł jej w oko.
Jeśli chodzi o mężczyzn, Pescoli była niepoprawna.
Jej pierwszy mąż, szkolna miłość, Joe Strand, zginął na służbie, ale mówiło się, że był nieco na bakier z etyką. Pescoli wyznała Alvarez, że wyszła za niego, kiedy okazało się, że jest w ciąży. Nie układało im się jednak, byli w separacji. Luke Pescoli, jej drugi mąż, przystojny i niepoważny, był jej dłużny kilka tysięcy dolarów w zaległych alimentach.
Problem Pescoli polegał na tym, że wybierała mężczyzn, kierując się ich wyglądem, a nie charakterem czy zasadami. Nate Santana to doskonały przykład. Milczący typ, o ostrych rysach czarnych włosach i przenikliwych ciemnych oczach, które niczego nie zdradzają. Umięśniony kowboj, który z równą pasją ujeżdża mustanga, co kocha się do białego rana. Dobry raz na jakiś czas, ale nie materiał na męża, choć Pescoli twierdziła, że nie zamierza się już z nikim wiązać na stałe.

Alvarez wydmuchała nos i skarciła się za niepokój. Pescoli do niej zadzwoniła. Alvarez jeszcze raz odsłuchała wiadomość: „To ja. Słuchaj, mam sprawę do załatwienia, chodzi o Lucky'ego i dzieci. Może mi to zająć trochę czasu, więc mnie nie sypnij, dobrze?" Pescoli mówiła stanowczo, zdecydowanie, gniewnie.
Tylko że dzwoniła wczoraj.
Dzisiaj się nie odezwała.
Coś jest nie tak. Pescoli można wiele zarzucić, ale nie to, że się nie angażuje w pracę. Zadzwoniłaby jeszcze raz, zwłaszcza że aresztowano kobietę, która mogła być ich seryjnym zabójcą. Niemożliwe, żeby darowała sobie takie wydarzenie, przecież poświęciła tyle czasu i wysiłku tej sprawie.
Alvarez pociągnęła nosem i cisnęła chusteczkę do kosza pod biurkiem. Przeziębienie coraz bardziej dawało jej się we znaki.
Zastanawiała się, czy przesadza, ale chyba nie. Co prawda jej partnerka wspomniała, że sprawa, którą chciała załatwić, może trochę potrwać, ale aż tyle? Alvarez zerknęła na zegar. Pescoli dzwoniła do niej wczoraj po południu. Nieco później doszło do zatrzymania, jak sądzono, seryjnej morderczyni. W Spokane w stanie Waszyngton.
Alvarez nie była taka pewna.
Dzisiaj nic nie szło jak należy. Ale wkrótce szeryf Dan Grayson poleci do Spokane, żeby zweryfikować, czy tamtejsza policja naprawdę ujęła osobę, która od kilku miesięcy terroryzowała ten zakątek Montany.
Osobiście w to nie wierzyła. Owszem, zatrzymana miała mordercze zamiary wobec pewnej kobiety, Ala na razie Alvarez nie udało jej się powiązać z innymi zabójstwami.
Zerknęła na zdjęcia ofiar leżące na biurku. Pięć kobiet. W różnym wieku, różnego chodzenia, niezwiązane ze sobą. Zagryzła usta. Regan Pescoli ciężko pracowała nad tą sprawą. Zrobiłaby wszystko, by brać udział w aresztowaniu podejrzanej, bez względu na bałagan w życiu osobistym. A niemożliwe, żeby nie słyszała ostatnich nowin. Trąbiły o tym wszystkie stacje radiowe i telewizyjne. Większość dziennikarzy pognała do Spokane, tylko nieliczni zostali w Grizzly Falls, ciekawi, jak się rozwinie ta sprawa, najgłośniejsza od czasu porwania Ivora Hicksa przez kosmitów trzydzieści lat temu.
Spojrzała na zegar. Prawie piąta... Niemożliwe, żeby Pescoli sobie to darowała.
Coś jest nie tak.
Alvarez odsunęła krzesło i starała się nie myśleć o ostrzeżeniu udzielonym Pescoli przez samą Grace Perchant. Grace to stara dziwaczka, ale ma zdolności paranormalne, jeśli ktoś wierzy w takie rzeczy. Alvarez nie wierzyła. Wiedziała tylko, że dziwaczka hoduje mieszańce psów z wilkami, rozmawia ze zmarły-[m]i i trzyma się na uboczu. Ale niedawno, gdy wstąpiły z Pescoli do Dzikiego Willa na przekąskę, Grace podeszła do ich stolika. Mówiła niskim głosem, a jasnozielone oczy wydawały się zaniepokojone.
- On wie o tobie - powiedziała do Pescoli, wpatrzona w dal, w punkt, który widziała tylko ona.
- Kto? - Pescoli weszła w rolę.
- Myśliwy.
Alvarez poczuła wtedy, jak powietrze staje się zimne. Ogarnął ją strach.
- Ten, którego szukasz - wyjaśniła Grace. - Jest w nim zło. Nie spocznie. To myśliwy.
Pescoli była zła i dała to odczuć starszej pani, ale była że przerażona. Obie wiedziały, że Grace ma na myśli mordercę ochrzczonego przez prasę mordercą z Bitterroot.
Myśliwy.
To prawda.
I wyśmienity strzelec.
On, powiedziała Grace wyraźnie. Nie: ona. Nie kobieta, która w Spokane domaga się adwokata i którą wszyscy podejrzewają o serię morderstw.

Alvarez znowu wydmuchała nos i oparła się wygodniej. Nie łatwo ją przestraszyć, ale dzisiaj nie znajdowała w sobie zwykłej odwagi.
Koszmar spoglądał z kolorowych zdjęć na biurku. Pięć kobiet. Spojrzała na pierwszą ofiarę, pierwszą z pięciu, o których wiedzieli.
Może jest ich więcej.
Niewinne kobiety, nagie, przywiązane do drzew w środku lasu, porzucone na śmierć, długą i bolesną, w okowach mrozu.
- Psychol. - Selena zacisnęła usta i wyjrzała przez oszronione okno na ponury dzień. Nad górami kłębiły się ołowiane chmury, zapowiadając kolejną śnieżycę. Część okręgu już pozbawiona była elektryczności. Robiło się coraz zimniej. - Wesołych świąt - mruknęła pod nosem. Gwiazdka tuż-tuż.
Odłożyła zdjęcie pierwszej ofiary i spojrzała na pozostałe, Miała wrażenie, że dobrze je wszystkie zna.
Theresa Charleton, mężatka, bezdzietna, nauczycielka z Boise w stanie Idaho, była u rodziców w Whitefish w Montanie. Jej nagie ciało znaleziono przywiązane do świerku, w korze wyryto jej inicjały i gwiazdę, a do pnia morderca przyczepił karteczkę z taką samą informacją. Podejrzewali, że najpierw strzelił w opony jej zielonego forda, a gdy samochód runął do wąwozu, wyciągi z wraku nieprzytomną Charleton, zabrał gdzieś do swojej kryjówki i tam opiekował się nią, pomagając wrócić do zdrowia. A potem bezlitośnie zagnał do lasu, przywiązał do drzewa i zostawił na śmierć pod karteczką z jej inicjałami i gwiazdą.
Alvarez patrzyła na zdjęcie zrobione na miejscu zbrodni, od punktu, w którym znaleźli jej samochód. Pozostałe ofiary spotkał ten sam los. Druga była Nina Salvadore, samotna matka z Redding w Kalifornii. Jej czerwonego focusa znaleźli wiele kilometrów od ciała. Notatka nad jej głową wyglądała tak:

T S C N

Nikt, ani deszyfranci, ani agenci FBI, nie potrafił wyjaśnić, o co chodzi. A potem, jedna po drugiej, spływały informacje o kolejnych ciałach: Wendy Ito i Rony Anders. Hannah Estes znaleźli w pobliżu opuszczonego domku myśliwskiego jeszcze żywą. Zabrali ją do szpitala, ale morderca bezczelnie przeniknął do środka i dopilnował, by umarła. Nie zdążyła powiedzieć, co jej zrobił, nie zdążyła go zidentyfikować, a szpitalne kamery nie zarejestrowały nawet jednego przydatnego ujęcia.
Cholerny pech.
Wszystkie te kobiety jechały opustoszałymi drogami przez góry Bitterroot. Napastnik strzelał im w opony i, podobnie jak w przypadku Charleton, wyciągał z wraku samochodu, zabierał do swojej kryjówki, kurował, a potem rozbierał do naga, przywiązywał do samotnego drzewa gdzieś w środku lasu i zostawiał na śmierć. Jedyne, co różniło kolejne liściki, to liczba liter i pozycja gwiazdy. Do tej pory zginęło pięć kobiet, a przekaz brzmiał:

WAR THE SC I N

Z każdą kolejną ofiarą liter było więcej, bo jej inicjały dołączamy do poprzednich. Ludzie szeryfa i agenci FBI proponowali coraz nowsze rozwiązania tej łamigłówki. Panowały dwie skrajne opinie: że litery trzeba jakoś umiejętnie poprzestawiać albo że w ogóle nie mają znaczenia, a morderca po prostu sobie z nich żartuje.
W głębi serca czuli jednak, że jest świetnie zorganizowany inteligentny. Chciał nie tylko coś im przekazać, ale i udowodnić, że jest nich lepszy, mądrzejszy. Jeżeli jednak wiadomość ma sens, oznacza to jedno - że upatrzył sobie ofiary już przedtem, że wybrał właśnie te, a nie

inne kobiety, że z rozmysłem prowokował wypadki, a potem wyciągał poszkodowane z wraków samochodów, leczył je i karmił, by na koniec wysłać na bezlitosną śmierć.
Nie napastował ich seksualnie.
To byłoby nie na miejscu.
Nie chodziło mu o dominację fizyczną, raczej emocjonalną.
Z tego, co wiedzieli, mógł je przecież zabić od razu, strzelić w głowę albo zostawić w roztrzaskanym samochodzie bez szans na przeżycie, ale nie, ratował je, a dopiero potem skazywał na śmierć.
Jak dotąd był od nich lepszy.
Tylko że dzisiaj, jeśli wierzyć prasie i policji ze Spokane, mordercę aresztowano i okazało się, że to... kobieta.
Nie.
Alvarez upiła łyk stygnącej herbaty, wzięła pastylki na kaszel i po raz setny przejrzała swoje notatki.
Ponownie wybrała numer Lucky'ego Pescolego. W słuchawce rozległ się rozchichotany głosik Michelle, jego żony:
- Witaj, tu Lucky i Michelle. Nie ma nas teraz w domu, ale nagraj się... a może los się do ciebie uśmiechnie!
Rzyg. Alvarez nie znosiła słodziutkich tekstów na automatycznej sekretarce. Nie nagrała się. Wpatrywała się w listy od mordercy.
Craig Halden, jeden z agentów FBI przydzielonych do tej sprawy, skopiował gwiazdy ze wszystkich listów na jedną kartkę, zachowując ich oryginalne położenie, i tym sposobem dowiedzieli się, że morderca rysuje gwiazdozbiór Oriona. Alvarez poszperała w Internecie i dowiedziała się, że według greckiej mitologii Orion został ukąszony przez skorpiona i potem trafił na nieboskłon.
Jeśli jej teoria jest prawdziwa, ostatnie słowo przekazu to: skorpion, a notatka może brzmieć: WAR OF THE SCORPION, wojna skorpiona, albo, ku czemu bardziej się skłaniała: BEWARE THE SCORPION, strzeż się skorpiona. Inicjały Pescoli pasują do obu.
Tak jak przewidziała Grace Perchant.
- Cholera. - Serce jej krwawiło, gdy patrzyła na zdjęcia ofiar. Sięgnęła po chusteczkę z pudełka, które opróżniało się w zastraszającym tempie.
Czy Pescoli to kolejna ofiara?.
Alvarez zmrużyła oczy. To by znaczyło, że jej samochód leży gdzieś pod śniegiem z dziurą po kuli w oponie.
A jeśli tak, znajdą go, wcześniej czy później.
A może pokłóciła się z byłym? I doszło do przemocy?
Cokolwiek się wydarzyło, było to coś złego.
Pociągnęła nosem i łyknęła kilka tabletek na przeziębienie. Oby się myliła.

Rozdział 3

Pescoli czuła się tak, jakby potraktowano ją młotem pneumatycznym. Bolał ją każdy mięsień, najmniejszy ruch sprawiał, że wzdłuż kręgosłupa wędrowała fala bólu i eksplodowała makabrycznym łupaniem w głowie.
Jęknęła cicho i usiłowała rozejrzeć się dokoła.
Leżała na plecach, a zimno przenikało każdy centymetr jej ciała. Uniosła powieki i wytężyła wzrok, próbując zobaczyć coś w ciemności. Gdzie jest? Ale jedynym źródłem światła było oszronione okienko i niczego nie udało jej się rozpoznać.

Usiłowała przewrócić się na bok. Głowa ciążyła jej jak ołów, żebra dawały o sobie znać, mięśnie zesztywniały z chłodu. Było tak zimno, że z trudem myślała. A ramię... Jezu, czy ktoś wyrwał je ze stawu?
Zamrugała, skupiła wzrok i zorientowała się, że znajduje się w malutkim pomieszczeniu. W kącie stał wygaszony zimny piec na drewno. Nad nią znajdowało się małe okienko, a całe umeblowanie stanowiły prycza i cienki śpiwór.
Co jest, do cholery?
Drzwi oddalone były o jakieś trzy metry, ale w jej obecnym stanie równie dobrze mogłoby to być trzysta. Chyba połamała sobie żebra... Wybiła ramię... Poraniła się... Ale jak?
Miała mętlik w głowie, ból przyćmiewał wspomnienia. Lewe ramię pulsowało boleśnie od barku po nadgarstek. Oby skończył się na stłuczeniu, nie złamaniu. Odruchowo sięgnęła po służbową broń, ale oczywiście nie było jej w kaburze. I nie tylko broni była naga.
Nie licząc kajdanków na prawym przegubie - przykuto ją pryczy.
Cholera.
Zapewne są to jej własne kajdanki. Czuła się jak idiotka, usiłując uwolnić rękę, choć i tak wiedziała, że nic to nie da.
- Niech to szlag - mruknęła, próbując zebrać myśli.
Rozejrzyj się dokoła. Postaraj się dowiedzieć, gdzie jesteś, co tu jest, czy znajdziesz coś, co pomoże ci w ucieczce. Może sukinsyn był na tyle nieuważny, że zostawił tu gdzieś kluczyki od kajdanek, telefon albo nawet pistolet.
Wytężyła wzrok, ale nie dostrzegła niczego, co mogłoby jej się przydać.
Była czymś przykryta, jakby wojskowym kocem, który zdążył się z niej zsunąć. Z wysiłkiem wyciągnęła rękę i nakryła się po szyję szorstką wełną. Dopiero teraz zdała sobie sprawę, że z zimna szczęka zębami. W pomieszczeniu nie było nic więcej, nawet szklanki wody. Tylko posłanie. Z tego, co widziała.
Ktoś ją tu sprowadził.
Ktoś może czeka za drzwiami.
Już nabierała powietrza w płuca, by zacząć krzyczeć, ale w ostatniej chwili zmieniła zdanie.
Myśl, Regan. Myśl.
Zamknęła oczy i skupiła się, zapomniała o bólu, przywołując wspomnienia czające się na skraju świadomości. Jechała samochodem... Tak. Za wszelką cenę chciała dotrzeć do domu cholernego byłego męża. Zabrał dzieciaki i jej psa, Cisco... Tak? Nadchodzą święta Bożego Narodzenia. Była wściekła, jechała do domu eks... I co dalej?
Nie pamiętała.
Zamknęła oczy i usiłowała coś sobie przypomnieć, cokolwiek… Huk wystrzału? Głośny, aż niosło się echo. Po lodowatych kanionach.
O Boże... Samochód... straciła nad nim panowanie, wpadł w poślizg, zgrzyt rozdzieranego metalu, trzask pękającej szyby... Nagle ponownie przeżywała upiorne chwile, gdy dżip runął do kanionu, koziołkując i odbijając się od stromych zboczy.
Zadrżała, ale nie krzyknęła. Uczepiła się tego wspomnienia, powykręcany metal, rozsypane odłamki szkła, poduszka powietrzna, padający śnieg i krew... Miała ręce we krwi, rany na twarzy, ale z pistoletem w dłoni czekała, przytłoczona ciężarem samochodu w głębokim wąwozie.
A potem... potem... No właśnie, co potem?
Zacisnęła mocno powieki, usiłując odtworzyć bieg wydarzeń. Jakim cudem znalazła się tutaj, naga, obolała, zamknięta w ciemnym pomieszczeniu. Pamięć płatała jej figle. I wtedy to usłyszała - dźwięk zza drzwi.
Serce zabiło jej szybciej, gdy go zidentyfikowała - zgrzyt krzesła przesuwanego po podłodze. Drewno szurające o kamień. Potem dobiegły ją głuche kroki, jakby bosych stóp.
Wstrzymała oddech.

Idzie do niej.
Początkowo poczuła ulgę, zaraz jednak jej miejsce zajęło inne, mroczniejsze uczucie. Przerażenie tętniło jej w żyłach. Instynkt podpowiadał, że ten, kto kryje się za masywnymi drzwiami, ma złe zamiary.
Nie wiedziała dlaczego, nie mogła sobie przypomnieć powodów niepokoju, ale wyczuwała, że ten, kto ją tu sprowadził, nie zasługuje na zaufanie.
To nie zbawca. To kat.
Stłumiła strach. Wiedziała, że człowiek za drzwiami planuje coś przerażającego.
Przygotowała się psychicznie.
Czekała.
Kroki minęły drzwi.
Los ją oszczędził.
Ale w głębi serca wiedziała, że to tylko chwilowa zwłoka.
I wtedy, w oślepiającym ułamku sekundy, przypomniała sobie.
Wszystko.
Serce zamarło jej w piersi. Wpatrywała się w grube drzwi z dębowych desek, jakby chciała przewiercić je wzrokiem i zobaczyć pomieszczenie, w którym czekał cholerny seryjny morderca.

- Namierzyłaś ją? - zapytał szeryf, mijając biurko Alvarez. W kożuszku, wysokich butach i grubych rękawicach zmierzał już do wyjścia. Labrador Sturgis dreptał za nim.
- Nie.
- O cholera. - Zdenerwowany, zacisnął usta, w oczach pojawiły się złe błyski. Zapewne jeszcze nie tak dawno temu pasowałyby do niego przymiotniki: mroczny, przystojny, wysoki. Ale teraz, wobec szalejącej zimy, która paraliżowała cały okręg, w środku polowania na seryjnego mordercę, Grayson się przygarbił, jego twarz przecinały zmarszczki, a we włosach pojawiły się nitki siwizny.
Mimo to był najbardziej interesującym mężczyzną, jakiego spotkała od bardzo dawna, przemknęło jej przez głowę.
Ani Grayson, ani Alvarez nie uwierzyli, że kobieta, którą zatrzymano w Spokane, to seryjny morderca, który terroryzował miasteczko Grizzly Falls. Dopiero kiedy nabiorą pewności, że zabójca na dobre znalazł się za kratkami, i kiedy wreszcie ucichnie śnieżyca, najgorsza, jaka nawiedziła ten okręg w ciągu ostatnich pięćdziesięciu lat, odetchną z ulgą. Sytuacji nie poprawiał fakt, że jedna z policjantek zaangażowanych w dochodzenie zaginęła bez śladu.
- Kiepska sprawa - rzucił przeciągle. - Próbuj dalej.
- Dobrze, ale uwierz mi. Pescoli nie odbiera. Ostatni kontakt to wiadomość, jaką nagrała na mojej poczcie głosowej.
- Sprawy rodzinne, tak mówiłaś.
- Z byłym. Chodziło o dzieci. Nie wdawała się w szczegóły.
Jego oczy pociemniały.
- To było wczoraj - zauważył. Wypowiadał na głos jej myśli. - Znajdź ją. Niech ktoś pojedzie do niej do domu. Chyba mamy kogoś w tamtej okolicy? Wyślij Rule'a. Albo Watersheda. Skontaktuj się z nimi. - Kayan Rule z drogówki wyglądał raczej jak zawodnik z drużyny NBA niż policjant. Nie miałaby z nim szans. Watershed natomiast to prawdziwy wrzód na tyłku. Dobry gliniarz, ale prymityw, który opowiada głupie kawały i uważa się za donżuana.
- Załatwię to. - Wyłączyła komputer. - Sama do niej zajrzę. I tak jadę w tamtą stronę - dodała.
Chciała, ba, musiała zrobić coś, cokolwiek. Nie mogła tylko siedzieć za biurkiem, gapić się na zdjęcia ofiar i wczytywać w listy, które morderca zostawiał na miejscu zbrodni. Jeśli

jeszcze przez minutę będzie się zastanawiać nad jego pokrętnym sposobem myślenia, to sama zeświruje.
- Na pewno?
- Tak. - Odsunęła się od biurka, wstała, sięgnęła po służbową broń w kaburze i kurtkę.
- Dobrze. - Grayson zerknął na zegarek. - I niech ktoś pogada z Luckym Pescolim. - Potarł policzek dłonią. - O tej porze roku ludziom odbija. Niby to czas miłości i pojednania, a zawsze rośnie liczba samobójstw i morderstw. Przemoc domowa. - Spojrzał Alvarez prosto w oczy. - Detektyw Pescoli bynajmniej nie słynie z opanowania.
Alvarez nie mogła temu zaprzeczyć. Grayson włożył kapelusz.
- Daj znać, jeśli się czegoś dowiesz. Sprawdziliście dyspozytorkę? Nie zgłaszano jakiegoś wypadku?
- Nie odzywała się do nich. I nie było informacji o wypadku. Grayson przesunął dłoń na kark. Pokręcił głową.
- To nie w jej stylu. Powęsz trochę. - Zerknął w okno na śnieżny pejzaż. - Kiedy tylko pogoda na to pozwoli, lecę z Chandler i Haldenem do Spokane - oznajmił. Miał na myśli dwójkę agentów FBI, których przydzielono do sprawy seryjnego mordercy.
- Ta kobieta aresztowana w Spokane to nie nasz seryjniak - oświadczyła stanowczo Alvarez.
Grayson zacisnął usta.
- Mam nadzieję, że się mylisz. Spojrzała na notatki rozłożone na biurku.
- Nie pasuje do profilu. Idę o zakład, że ma alibi dla każdego morderstwa.
- Federalni już to sprawdzają.
- Ja też. - W tej sprawie Alvarez nie ufała nikomu. Nawet federalnym.
- Tymczasem znajdź Pescoli.
- Znajdę - obiecała, przypinając kaburę. Grayson uderzył pięścią w ścianę i ruszył do wyjścia, ale drogę zablokowała mu Joelle Fisher, recepcjonistka i naczelna plotkara wydziału. Miała koło sześćdziesiątki, wyglądała o dziesięć lat młodziej, nosiła pantofelki na wysokich obcasach, krótkie obcisłe sukienki i małe żakieciki. Platynowe włosy czesała w hełm rodem z lat pięćdziesiątych. Każdy włosek był zawsze na swoim miejscu.
Dziwny styl, mieszanina różnych epok, ale Joelle wyglądała całkiem nieźle.
W tej chwili, spowita w czerwień, paplała o przyjęciu świątecznym, jakby nie zdawała sobie sprawy z koszmaru ostatnich tygodni.
- Zona Corta obiecała, że przyniesie swoje popisowe ciasteczka. Zajęły drugie miejsce w konkursie podczas kiermaszu kościelnego i to tylko dlatego, że Pearl Hennessy w ostatniej chwili zdecydowała, że wystartuje ze swoimi babeczkami imbirowymi, wie pan, tymi z nutką pomarańczy. A one są nie do pobicia, prawda?
Alvarez nie słuchała dalej. Im mniej wie o rodzinie Corta Brewstera, zastępcy szeryfa, tym lepiej. Nie lubiła go, choć nie potrafiła powiedzieć, dlaczego. Niby porządny facet, od lat w wydziale, od niemal ćwierć wieku wierny żonie, ojciec czworga dzieci, podpora lokalnego Kościoła metodystów, a jednak coś ją w nim drażniło, wyczuwała jakiś fałsz.
Bo wszędzie węszysz podstęp, nikomu nie ufasz, ale przecież wiesz dlaczego, prawda? Masz własne tajemnice, których nikomu nie zdradzasz.
Zignorowała ten złośliwy komentarz, który narodził się w jej głowie, uznając, że ma prawo nie lubić Brewstera. Całkiem niejasno doszło do incydentu, który utwierdził ją w tej niechęci. Okazało się, że Jeremy, syn Regan Pescoli, chodzi z Heidi, rozpuszczoną piętnastoletnią córką Corta. Dzieciaki złapano na piciu alkoholu i napięcie między Pescoli a Brewsterem było niemal namacalne.
Wesołych świąt.
Paplanina Joelle trafiała w próżnię, Grayson w ogóle jej nie słuchał.
- Tak, tak, zrobisz, jak uważasz - mruknął. Rozdzwoniła się jego komórka. Odebrał.

Alvarez minęła ich na korytarzu, szybko, zanim Joelle zaatakuje ją w sprawie ciasteczek. Owinęła szyję szalikiem i wyszła przed budynek, gdzie powietrze zdawało się iskrzyć od mrozu. Naciągnęła rękawiczki i minęła maszt, na którym trzepotała amerykańska flaga. Kątem oka dostrzegła telewizyjny wóz transmisyjny, ostatni, który jeszcze stał po drugiej stronie ulicy. Kierowca trzymał kubek gorącej kawy i para zasnuła okna szoferki. Inni dziennikarze odjechali. Pognali za najświeższym tropem do Spokane. Ten jednak został, samotny strzelec czatujący pod wydziałem policji w Grizzly Falls. Pomarańczowa smuga i litery KBTR zdobiły biały bok furgonetki.
Alvarez starannie unikała ludzi z KBTR. Rzadko miała do czynienia z reporterami i bardzo jej to odpowiadało. Lepiej zachować swoje sprawy dla siebie. Zdrapywała właśnie szron z przedniej szyby, gdy zobaczyła, że do miasteczka wjeżdża stary pikap Ivora Hicksa. Świetnie, pomyślała. Ivor garbił się za kierownicą, wytężając oczy ukryte za grubymi szkłami. Miał na głowie futrzaną czapę i pomarańczowe nauszniki.
Wyglądał jak wielka sowa.
Świr, przy którym Grace Perchant, lokalna zaklinaczka duchów z okręgu Pinewood, wydaje się wzorem zdrowia psychicznego.
Ivor zaparkował na ulicy i wyskoczył z wozu. Jego buty zniknęły w zaspie, którą na skraju ulicy zostawił po sobie pług śnieżny.
- Jest szeryf? - zapytał. Okulary zaszły mu mgłą.
- Właśnie wychodzi.
- Może jeszcze go złapię... - Skrzywił się z bólu, bo dokuczał mu artretyzm, i poczłapał w stronę posterunku. Alvarez kamień spadł z serca, że się oddalił i darował jej opowieść o porwaniach przez UFO, przy czym jego ulubionym wątkiem była ta część, której bohaterem był on sam. Twierdził, że nadal się komunikuje z Crytorem, generałem gadzich sił kosmicznych czy czegoś równie idiotycznego i regularnie zdawał miejscowym policjantom sprawozdania z tych rozmów podsycanych przez jego płynnego przyjaciela Jacka Danielsa. Dzisiaj Ivor to problem Graysona, nie jej.
Alvarez wsiadła do służbowego dżipa, podkręciła ogrzewanie do maksimum i wyjechała z parkingu. Włączyła się do ruchu, przemykając stromymi uliczkami w dół zbocza Boxer Bluff. Część miasteczka, w tym i posterunek, leżała na wzgórzu, ponad dwieście metrów nad zabytkowym centrum Grizzly Falls, „Starego Grizzly", jak mawiali tubylcy. Sklepiki, restauracje, nawet gmach sądu przysiadły przy głównej ulicy ciągnącej się wzdłuż rzeki, usianej wodospadami, którym miasteczko zawdzięczało nazwę.
Radio policyjne trzeszczało. Zbliżała się do granicy miasta. Jeszcze raz zadzwoniła do Regan i od razu połączyła się z pocztą głosową. Usiłowała rozproszyć obawy, które nie dawały jej spokoju. Jest tysiąc powodów, dla których Pescoli nie odbiera, setka wyjaśnień, dlaczego nie przyszła do pracy. Niekoniecznie musi się okazać kolejną ofiarą psychopatycznego mordercy...
Ale jej inicjały pasują, prawda? Jeśli morderca naprawdę daje nam coś do zrozumienia, R i P, czyli jej inicjały, pasują do napisu, który zabójca powoli, metodycznie zdradza: „*Beware the scorpion*" - Strzeż się skorpiona, albo „*War of the scorpion*" - Wojna skorpiona, a może „*Wary of the scorpion*" - Nie ufaj skorpionowi?
- Co to ma znaczyć? - Zastanawiała się na głos. - Wojna skorpiona? Strzeż się skorpiona? Bez sensu. - Nacisnęła pedał gazu. Dżip piął się pod górę. Domów było coraz mniej, natomiast las gęstniał.
Alvarez nie oczekiwała, że zastanie Pescoli w domowym zaciszu. Jedyne, co by ją tam zatrzymało, to śmiertelna choroba, a i wtedy powinna mieć dość oleju w głowie, by zadzwonić. Chyba że jest ranna i nie może dojść do telefonu.
Albo porwał ją psychopata...

Selena wzdrygnęła się, jakby chciała fizycznie odepchnąć tę myśl od siebie. Pescoli była wściekła, kiedy zostawiała jej wiadomość, sądząc po jej głosie - gotowa skręcić kark byłemu mężowi. Ale to nic nowego. Regan i Lucky mieli za sobą kiepskie małżeństwo i, jak mawiała Pescoli, „jeszcze kiepściejszy rozwód".
Alvarez się nie nagrała, jechała dalej odśnieżoną drogą, na której żwir wbił się w śnieg i zamarzł na asfalcie. Żeby wjechać w boczne uliczki, trzeba było się przebić przez nasyp, który zostawił za sobą pług śnieżny.
Sosny i świerki o igłach pokrytych lodem strzegły drogi prowadzącej do domu Pescoli. Nie widziała żadnych świeżych odcisków opon.
Kiedy minęła wąski mostek i kilka zakrętów, chata pokazała się w całej okazałości. Z boku stał zasypany śniegiem pikap syna Pescoli, drzwi do garażu były zamknięte. A ciemne okna rozświetlały jedynie kolorowe lampki na choince.
Alvarez zaparkowała obok wozu Jeremy'ego, wzięła chusteczkę, wytarła nos, wysiadła i zostawiła sznur śladów, idąc do drzwi. Weszła na ganek, zapukała i czekała. Nikt jej nie odpowiedział, nie słyszała też rozmów, telewizji ani szczekania psa. Okolicę wypełniała niesamowita cisza, gęstniała wraz z nadejściem nocy.
Nacisnęła dzwonek, a potem ponownie zastukała w drzwi. Na darmo.
- Pescoli?! - krzyknęła. - To ja, Alvarez! - Jej głos niósł się echem, odbijał od ścian kanionów otaczających to pustkowie.
Po kolei zaglądała do okien, zasłaniając oczy, żeby nie widzieć w szybie własnego odbicia, ale w środku nie było nikogo. Jedyne źródło światła stanowiły lampki na choince, nawet telewizor był wyłączony. Widziała brudne naczynia na stole i pudełko po pizzy, ale żadnych oznak życia. Ani śladów przemocy.
Obeszła cały domek, przyklejony do stromego zbocza. Na tyłach zajrzała do okien Jeremy'ego. Także ciemne.
Nikogo nie ma.
Gdy sprawdziła już cały dom, wróciła do garażu, znalazła małe okienko, wspięła się na palce i zajrzała. Pusto. Cała rodzina zniknęła.
Alvarez niepokoiła się coraz bardziej, gdy sprawdzała wszystkie miejsca, w których można ukryć klucze. Nie znalazła ich pod wycieraczką ani w doniczce koło drzwi wejściowych. Sprawdziła na gzymsie i nad oknem.
Nic.
To policjantka. Nie zostawi ich koło drzwi.
Alvarez ponownie podeszła do garażu. Szukała tam, ale również niczego nie znalazła. Zatrzymała się koło wylotu komina. Mało prawdopodobne.
- Bez ryzyka nie ma zabawy.
Zębami ściągnęła rękawiczkę, wsunęła dłoń do wylotu i poczuła chłód metalu.
- Bingo - mruknęła. Chwilę później weszła do domu kuchennymi drzwiami. Otoczył ją zapach sera i pepperoni. - Pescoli?! - zawołała. Powoli wchodziła coraz dalej, do kolejnych pomieszczeń małego domku. Salonik połączony z jadalnią i kuchnia świeciły pustkami. Choinka stała w kącie, niebezpiecznie pochylona w stronę kominka, pod udekorowanymi gałązkami dostrzegła kilka paczek. Na sfatygowanym stoliku koło równie wiekowej kanapy poniewierały się wczorajsze gazety, krzycząc nagłówkami o seryjnym mordercy. W łazience, zastawionej kosmetykami do pielęgnacji skóry i włosów, nie było ani kropli wody, lustro lśniło, wanna była sucha. W pokoju córki Regan królował chaos: płyty, buteleczki lakieru do paznokci, filmy i ubrania pokrywały całe łóżko i podłogę. Na biblioteczce tłoczyły się pluszaki i lalki, z których, jak się domyślała Alvarez, Bianca już wyrosła.
Sypialnia Regan, tylko nieco większa i bardziej uporządkowana, była pusta.
Alvarez pokonała skrzypiące schody i pchnęła drzwi do pokoju Jeremy'ego, malutkiego pomieszczenia z telewizorem, konsolą do gier i komputerem w nogach łóżka. W pokoju było

ciemno, nie licząc małej lampki typu Lava, która rzucała na ściany dziwaczne refleksy. Spod łóżka wystawały brudne naczynia. Ściany nikły pod plakatami koszykarzy i gwiazd rocka. A wszystko spowijał słodkawy zapach marihuany.
A więc Jeremy przypala.
Świetnie, pomyślała. Jeszcze tego Pescoli brakowało: nastoletniej córki, która dorasta w zastraszającym tempie, i syna, który sięga po narkotyki i romansuje z rozpuszczoną jak dziadowski bicz latoroślą zastępcy szeryfa. Rozejrzała się po pokoju. Najchętniej skopałaby Jeremy'emu tyłek.
Tylko że oczywiście nie mogła tego zrobić, bo go tu nie było.
Na szafce nocnej stało zdjęcie Joego Stranda, jego biologicznego ojca, choć to Lucky Pescoli go wychowywał i był jedynym mężczyzną stale obecnym w jego życiu.
Może ja też sięgnęłabym po dragi, gdyby mnie to spotkało, pomyślała. I do tego Bianca, której egoizm zasługiwał na złoty medal.
Jako samotna matka Pescoli miała pełne ręce roboty.
Pokój Jeremy'ego nie zawierał żadnych wskazówek na temat tego, gdzie mogła teraz być Pescoli. Alvarez wróciła na górę do kuchni. Czuła się jak intruz, gdy patrzyła na patelnię z resztkami przysmażanych kartofli.
- Gdzie ty się podziewasz? - zapytała. Podeszła do biurka. Poniewierały się na nim koperty - rachunki z czerwonym nadrukiem: „Pilne".
Nie było śladów walki. Niczego, co sugerowałoby użycie przemocy, tylko małe zadrapania na podłodze - zapewne dzieło psiaka, którego także nie było, choć jego miseczka z wodą ciągle stała na ziemi.
Zerknęła przez okno na ślady przed garażem - do połowy wypełnione świeżym śniegiem. A zatem Pescoli wyjechała jakieś dwanaście godzin temu. Może więcej.
Postanowiła sprawdzić jeszcze sam garaż. Włączyła latarkę; i spod zmarszczonych brwi patrzyła na kałuże tam, gdzie parkował wcześniej wóz Pescoli. Jak dawno temu?
Odłożyła klucz do schowka. Miała złe przeczucie. Narastało powoli, ale było coraz silniejsze. Coś stanowczo było nie tak.
Wróciła do dżipa, jeszcze raz obrzuciła domek wzrokiem i zadzwoniła do Graysona. Nie odbierał, więc zostawiła mu wiadomość, a potem wyjechała na drogę, która powinna zaprowadzić ją do domu Lucky'ego Pescolego.
Oby sukinsyn był w domu.

Rozdział 4

Boże, ratunku - szepcze przerażony kobiecy głos, a ja ćwiczę dalej.
Dziewięćdziesiąt trzy dziewięćdziesiąt cztery, dziewięćdziesiąt pięć.
Odliczam każdą pompkę. Pot zalewa mi oczy, drżą ramiona. Dłonie płasko przylegają do zimnej kamiennej posadzki, ogień syczy na kominku i spowija pokój złotym blaskiem. Pali mnie twarz, zadrapania jeszcze się nie zagoiły, pot jest dosłownie solą na moje rany.
Na zewnątrz mroźna noc. Burza huczy i wyje w pustym kanionie, śnieg się nawarstwia. Lodowe kryształki wspomagają moją misję.
- Proszę, pomóż mi...
Słyszę rozpacz w jej głosie; przynosi mi ukojenie, choć zarazem wybija z rytmu.
Dziewięćdziesiąt sześć. Dziewięćdziesiąt siedem.
jestem w doskonałej formie, jak żołnierz, mam proste plecy, na mięśniach lśni pot, barki i ramiona wyją z bólu, ale to dobry ból, słodka rozkosz treningu, dowód tryumfu ducha nad materią.

Dziewięćdziesiąt osiem. Dziewięćdziesiąt dziewięć.
Teraz płacze, szlocha i jęczy w małej sypialni. Jak zagubione, ślepe kocię, które w ciemności przyzywa matkę.
Idealnie.
Zatrzymuję się, ale tylko na kilka sekund, bo ostatnia pompka to prawdziwy rytuał. Powoli obniżam moje ciało. Aż klatka piersiowa omal nie dotyka podłogi. Wtedy ręce unoszą mnie do góry, do pozycji wyjściowej, którą utrzymuję przez minutę. Próbuję dostrzec swoje odbicie w kamiennej posadzce - perfekcyjne mięśnie, gęste włosy, przystojna twarz... Żyły napinają się z wysiłku.
Pieprzone sto.
- Halo... pomocy, błagam - jęczy. - Czy ktoś mnie słyszy? Już czas.
Zwalniam napięcie mięśni i wstaję powoli. Biorę ręcznik z oparcia krzesła, ścieram z siebie pot, nasłuchuję. Im dłużej czeka, im bardziej się martwi, tym szybciej obdarzy mnie zaufaniem.
Już idę, odpowiadam w myślach, świadom, że muszę zareagować, odegrać swoją rolę, udawać, że mi zależy. Pocieszę ją, dodam otuchy, podam leki przeciwbólowe, zaproponuję gorącą herbatkę i przyjacielski uścisk, aż zapragnie więcej, będzie szukała u mnie pociechy i otuchy. Nie będzie łatwo, zdaję sobie z tego sprawę, to uparta, inteligentna kobieta i niełatwo będzie ją złamać, ale znajdę na to sposób, zdobędę jej zaufanie, sprawię, że mi się odda, duszą i ciałem.
Nie żebym miał to przyjąć.
Ale jeszcze będzie mnie błagała, żebym ją przytulił, żebym wyznał, że ją kocham, czego oczywiście nie zrobię. Już widzę tę nadzieję w jej oczach, drżenie pełnych ust, czuję dotyk jej dłoni, gdy przesuwa nią po moim ciele w erotycznym zaproszeniu.
Ale ja nie ulegnę.
Nigdy nie ulegam.
Dorzucam drew do ognia, aż strzelają iskry, wygłodniałe płomienie liżą polana, węgle żarzą się czerwono, wypełniają prymitywną chałupkę ciepłem i przytulnością. Idę do małej łazienki, szybko pozbywam się śladów treningu, wkładam dżinsy i sweter. Ot, zwyczajny człowiek z gór.
Szlocha cicho w sąsiednim pokoju. Na bosaka idę do mikroskopijnej kuchenki. Gorąca woda już paruje na małym palniku.
Świetnie.
Zalewam herbatę wrzątkiem, patrzę, jak woda przybiera barwę tytoniu. Nagle powraca niewyraźne wspomnienie kobiety z przeszłości. Ostrożnie, z zimnym wyrachowaniem maczała torebkę herbaty w wyszczerbionym kubku. Była ładna, miała pełne piersi i usta, zawsze muśnięte brzoskwiniową szminką i zawsze wykrzywione; aura niezadowolenia spowijała ją jak chmura. Pachniała papierosami i perfumami i uważała się za moją matkę.
Ale, jak wiele innych, okazała się oszustką.
Moje ręce drżą.
Słyszę jej obelgi:
- Idiota.
- Kretyn.
- Nieudacznik. Nic z niego nie będzie. Herbata zaraz się wyleje.
Powoli wypuszczam powietrze z płuc. A potem z wprawą pozbywam się gorzkiego wspomnienia i znowu spokojny, niosę kubek przez salonik, w którym niedawno ćwiczyłem, do pokoju mojego jeńca. Uspokoiła się, chyba chce ukryć przede mną fakt, że płakała.
Usiłuje wziąć się w garść.
Co jest niemożliwe.
Pukam lekko i uchylam drzwi z wiekowych desek. Światło wdziera się w ciemność.

Leży na posłaniu. Przerażona. Ma szeroko otwarte oczy i ślady łez na policzkach.
Kim jestem? Zbawcą czy potworem?
Rycerzem w lśniącej zbroi?
Dobrym samarytaninem?
Czy ucieleśnieniem zła? Wkrótce się przekona.
Luke Pescoli osobiście otworzył drzwi.

W całej swojej prawie dwumetrowej okazałości stanął w progu parterowego domku. W domowym dresie, ze zmierzwionymi blond włosami wyglądał, jakby przerwała mu intensywną sesję przed telewizorem, który huczał w tle. Słyszała, że to wiadomości; oczywiście informacją dnia było aresztowanie kobiety podejrzanej o serię zabójstw. Zadziorny terier Regan biegł w stronę drzwi, szczekając i warcząc. Pazurki dźwięcznie stukały o podłogę z polerowanego drewna.
- Spokój, Cisco! - fuknął Pescoli. Zasłonił sobą drzwi, gdy psiak chciał wybiec na zewnątrz.
Alvarez obiecała sobie, że przeprowadzi tę rozmowę bardzo profesjonalnie; do tej pory tylko raz widziała Lucky'ego i to przelotnie.
- Dzień dobry, panie Pescoli. Jestem detektyw Selena Alvarez z...
- Tak, tak, wiem - żachnął się. - O co chodzi? - Usiłował zapanować nad psem.
- Szukam Regan.
- Regan?
Za jego plecami dostrzegła wielką choinkę, różową i tandetną. Stała obok telewizora. Z wnętrza dolatywał słodkawo-korzenny zapach cynamonu.
- To pańska była żona.
- No tak, wiem. Po co te ceregiele? Nie ma jej tu. I nie powinno być.
- Zaginęła. Zostawiła mi wiadomość, że się do pana wybiera i...
- Zaginęła? - przerwał jej ostro. W piwnych oczach pojawiła się czujność. - Jak to: zaginęła?
- Nie pojawiła się dzisiaj w pracy. W domu jej nie ma.
- Jaja sobie pani ze mnie robi? - zapytał z niedowierzaniem.
- Lucky! - zawołał kobiecy głos za jego plecami. Michelle, jego druga żona, drobna, zgrabna kobietka, wyszła z salonu. - Jak ty się wyrażasz? Pamiętaj, że jest tu Bianca.
- Litości! - sapnęła córka Regan. Przepchnęła się przed Lucky'ego i mierzyła Alvarez podejrzliwym wzrokiem. - O czym pani mówi? Niemożliwe, żeby mama zaginęła. - Spojrzała na ojca. - To taki żart, prawda? - Ale była zaniepokojona. W oczach; podobnych do oczu ojca, pojawił się strach.
Zbył ją machnięciem ręki. Patrzył na Alvarez.
- Proszę zacząć od początku.
- Chciałam pana prosić o to samo.
- Na miłość boską, proszę wejść do środka. - Michelle groźnie łypnęła na męża i nadąsała się jak mała dziewczynka. - Na dworze jest lodowato, a nasze rachunki za ogrzewanie i tak są niebotycznie wysokie.
Lucky niechętnie odsunął się od drzwi. Alvarez otrzepała śnieg z butów, zanim przekroczyła próg. Po chwili znalazła się w pomieszczeniu wypełnionym świątecznymi dekoracjami. Oprócz różowej choinki zobaczyła kolorowe lampki nad kominkiem i świeczniki, które wznosiły się ponad stosami myśliwskich i sportowych czasopism na stoliku. I jeszcze ceramiczne elfy o wielkich oczach i, jak się Alvarez wydawało, złośliwych uśmiechach, które czaiły się pod stołem oraz na parapecie.
- Więc nie widział pan Regan od...
- Od zeszłego tygodnia, odkąd zabraliśmy dzieci - dokończył Lucky.

- Od piątku - uściśliła Michelle. Wskazała Selenie jeden z foteli przy kominku. Nad wygaszonym paleniskiem widać było plastikowy but Świętego Mikołaja, jakby staruszek akurat schodził kominem. - Po południu.
- Ale rozmawiał pan z nią przez telefon. - Kątem oka widziała ekran telewizora, w którym pokazywano materiał o podejrzanej. Akurat wsiadała do policyjnego wozu. „Najnowsze wieści ze Spokane w stanie Waszyngton", głosił podpis. „Podejrzana w areszcie".
Przysiadła na skraju niebieskiego fotela. Były mąż partnerki zajął, jak jej się wydawało, stałe miejsce na kanapie. Cisco, podły zdrajca, usadowił się koło niego i wbił w Alvarez paciorki oczu.
- Owszem, wczoraj. Kiedy się dowiedziała, że dzieci są u mnie... - Wiadomości przykuły jego uwagę. - Wygląda na to, że morderca z Bitterroot został w końcu przyskrzyniony - rzucił i od razu się poprawił: - Morderczyni.
- To się jeszcze okaże.
- Może pojechała do Spokane, żeby wziąć udział w aresztowaniu?
- Przecież policjanci wiedzieliby o tym - prychnęła Bianca. Nerwowo zagryzała dolną wargę.
- Co powiedziała? - Alvarez ściągnęła Lucky'ego na ziemię.
- Przez telefon? Skinęła głową. Wzruszył ramionami.
- Że jedzie do nas. Powiedziałem jej... Powiedziałem, że chcemy z Michelle wystąpić o pełne prawo opieki nad dziećmi, a Regan się wkurzyła. Oświadczyła, że zaraz przyjedzie i kazała mi spakować dzieci i psa.
- Przyjechała?
- Nie. - Uciekł przed twardym spojrzeniem Alvarez. - Myślałem, że ochłonęła i zmieniła zdanie.
- Doprawdy?
- Doprawdy. Ona tak ma. - Był zirytowany, ale przynajmniej jej słuchał. - Już nieraz tak było: mówiła jedno, a robiła drugie. Ona tak ma.
- No właśnie - zawtórowała Michelle.
- Pracuje pani z nią. Na pewno sama pani wie, że bywa w gorącej wodzie kąpana - ciągnął Lucky.
- Nie, jeśli chodzi o dzieci. - Dopiero teraz Selena zauważyła, że syna Regan nie ma z nimi w pokoju. - A gdzie Jeremy? Jest tutaj?
- Nie, pojechał do miasta.
- W taką pogodę? - Wskazała okno, za którym szalała śnieżyca.
- Ma prawie osiemnaście lat i jeździł już w trudnych warunkach. To nic takiego. Pożyczyłem mu swój wóz, bo jego został w domu, u Regan. - Podniósł głowę, jakby coś nagle przyszło mu na myśl. - Mówiła pani, że była u niej?
- Nie ma jej tam, nie ma też jej samochodu.
- I nie odbiera telefonu? - Pochylił się, podniósł słuchawkę aparatu stojącego na stoliku obok kanapy i wybrał numer byłej żony, jakby uważał, że sam jeden osiągnie to, z czym sobie nie radzi cały posterunek. Regan nie odbierała. Rozłączył się i wybrał kolejny numer. Czekał na połączenie. - Na komórkę też pani próbowała - domyślił się.
- Owszem - odparła Selena ostrożnie.
Czekał ze zmarszczonymi brwiami. Gdy usłyszał pocztę głosową Pescoli, rozłączył się i wpatrywał w aparat.
- Tato? - W głosie Bianki pojawiło się drżenie. - Gdzie jest mama?
- Och, pewnie z jakimś frajerem, którego poderwała...
- Lucky, dosyć! - Michelle gniewnie zacisnęła różowe usteczka. Może wcale nie jest taka zła.
- Ale znajdziecie ją, prawda? - Bianca wodziła wzrokiem od Alvarez do ojca.
- Oczywiście - zapewniła Selena, choć czarno to widziała. -Proszę mi dokładnie opowiedzieć o wczorajszej rozmowie.

Lucky gniewnie patrzył w okno, obserwował, jak śnieg uparcie atakuje ziemię.
- Pokłóciliśmy się. To nic nowego. Myślałem, że wparuje tu, gotowa mnie zabić, ale kiedy nie przyjechała, uznałem, że postanowiła ochłonąć. Już prawie święta. Siedziała po uszy w tej sprawie z seryjnym zabójcą, myślałem, że sobie odpuściła. Wiem, że to niewiarygodne, ale nawet jej się to zdarza.
Zadźwięczał sygnał.
Michelle zerwała się na równe nogi i pobiegła do kuchni, mijając małą jadalnię.
Bianca wbiła wzrok w ojca.
- Ale mamie nic nie jest?
- Oczywiście, że nie. - Lucky błysnął zębami w uśmiechu. Emanował pewnością siebie.
Zadzwoniła komórka Alvarez. Wstała, wyszła do holu, żeby mieć odrobinę prywatności.
- Alvarez - rzuciła, wyjęła chusteczkę z kieszeni i słuchała Corta Brewstera, zastępcy szeryfa.
- Złapaliśmy sygnał z samochodu Pescoli, z przełęczy Horsebrier. - Żołądek Alvarez fiknął salto. Jechała tą przełęczą w drodze do Lucky'ego z domu Pescoli. - Rule jest na miejscu, widzi samochód. Roztrzaskany, zasypany śniegiem. Nasi już tam jadą, wóz holowniczy też.
Alvarez obejrzała się przez ramię. Bianca wpatrywała się w nią wielkimi oczami. Lucky ponownie skupił się na serwisie informacyjnym. Boże, co za bałagan.
- Ktoś widział kierowcę? - zapytała ściszonym głosem.
- Jeszcze nie - odparł ponuro. - Rule mówi, że na dżipie jest dobrych kilkanaście centymetrów śniegu. Nie wie, jak poważne są uszkodzenia wozu i czy ktoś jest w środku.
- Już jadę - zapewniła. W myślach analizowała wszystko to, co Brewster powiedział, i to, co przemilczał. Temperatura w nocy spadła grubo poniżej zera. Jeśli Regan nie wydostała się z wraku...
Rozłączyła się i wróciła do saloniku. Bianca nie spuszczała jej z oka.
- Muszę iść. Jeśli pan sobie coś przypomni, proszę o telefon.
- Chodziło o mamę. - Bianca się domyśliła. Poszarzała na twarzy.
- Jeszcze nie wiadomo. Możliwe, że znaleźliśmy jej wóz, ale to jeszcze nic pewnego.
- Gdzie? - Bianca zerwała się z fotela.
Dopiero teraz Lucky skoncentrował się na Selenie. Wyłączył telewizor. Michelle, w kuchennych rękawicach w bałwany, weszła bocznymi drzwiami. Ona także słuchała.
- Na razie nic nie wiadomo, ale już wkrótce będę wiedziała więcej - odparła Alvarez. - Zadzwonię.
- Nie... Ja z panią pojadę. - Bianca już szła do drzwi, ale Lucky wyciągnął rękę i ją zatrzymał. Chyba dopiero teraz w pełni uświadomił sobie powagę sytuacji.
- Nie możemy przeszkadzać policji w pracy, kochanie. Detektyw Alvarez obiecała, że do nas zadzwoni, i na pewno dotrzyma słowa.
Alvarez szła do drzwi z ciężkim sercem. Jedno jest pewne: Regan nie spotkało nic dobrego. Wiedziała o tym. Wiedział także Lucky Pescoli. Tylko Bianca łudziła się dziecinnie.

Rozdział 5

Alvarez stała na oblodzonej drodze, która przecinała przełęcz Horsebrier, i obserwowała niespokojnie, jak ekipa ratunkowa pokonuje urwisko na linach. Było ciemno, w kanionie hulał wiatr, ale śnieżyca ustała, nie zasypywała okolicy białym puchem, przynajmniej chwilowo.
Zmęczona, głodna - żołądek przyrósł jej już do krzyża, lekarstwo na przeziębienie dawno przestało działać, Alvarez, podobnie jak inni policjanci i strażacy, zjawiła się na miejscu wypadku. Ustawiono blokadę drogi, race strzelały w niebo z głośnym sykiem, stanowiąc

dodatkowo upiorny element białego pejzażu, który przecinały światła wozów policyjnych, reflektorów i rozżarzone czubki papierosów.
O wiele, wiele niżej, zagrzebany w śniegu, leżał wrak samochodu Regan Pescoli. Ratownicy wrócili na górę.
- Pusty - oznajmił Randy, strażak o zawsze rumianych policzkach. Pokręcił głową, spojrzał na kolegę, Gary'ego Goodwina, którego Alvarez widziała tylko kilka razy w życiu. - Masz fajki?
Goodwin potwierdził ruchem głowy i podał koledze otwartą paczkę winstonów razem z zapalniczką.
- Torebka? - zapytała Alvarez. Randy, w grubych rękawicach, nieudolnie grzebał w paczce, starając się wyciągnąć papierosa.
- Nie widziałem.
- Broń? Na pewno miała przy sobie broń: pistolet i strzelbę.
- Nic. - Przecząco pokręcił głową. - Ale jest ciemno. Szukałem uważnie, miałem jednak tylko latarkę i niewykluczone, że coś przeoczyłem. - W końcu udało mu się zapalić.
- Na pewno nie. - Goodwin wrócił wzrokiem do urwiska. -Były tam śmieci, okulary przeciwsłoneczne, puste pudełko po papierosach, torby z zakupami, ale w ogóle z samochodu niewiele zostało. Może znajdziemy coś więcej jutro, w świetle dziennym. - Nie wydawał się przekonany. Wsunął papieros do ust.
Alvarez w milczeniu przyznała mu rację. Pewnie większość funkcjonariuszy także się z nim zgodzi. Jeśli to seryjniak porwał Pescoli, usunął z dżipa wszelkie ślady, zabrał wszystko, co mogłoby stanowić jakąś wskazówkę, jak zawsze.
Alvarez zrobiło się niedobrze. Zaniosła się kaszlem. Mężczyźni się odsunęli. Machnęła ręką.
- To nie przez dym, jestem przeziębiona.
Nie wrócili na poprzednie miejsce. Alvarez wcale się im nie dziwiła. Odchrząknęła i wbiła wzrok w lodowaty krajobraz. Jedyna nadzieja w sposobie działania mordercy, który zazwyczaj leczył ofiary, zanim skazywał je na śmierć na mrozie. A więc Regan ma jeszcze trochę czasu. Jeśli żyje i jeśli nie odniosła zbyt poważnych ran, da radę uciec. Pescoli będzie wiedziała, z kim ma do czynienia. Pozostałe ofiary nie miały tyle szczęścia.
Szczęścia, dobre sobie. Jezu, co za bałagan.
Tkwiła na urwisku jeszcze pół godziny, zanim zdecydowała się wracać. Nie było tu nic więcej do roboty. Chłopcy z kryminalistyki sprawdzą samochód i teren, mają do dyspozycji nowoczesny sprzęt. Dżip trafi do warsztatu, gdzie rozłożą go na części i obejrzą każdy fragment. Jeśli morderca popełnił błąd...
Cóż, byłaby to jego pierwsza pomyłka.
A czas płynął nieubłaganie, mijały kolejne bezcenne sekundy życia Regan Pescoli.
Potarła dłonie w rękawiczkach, chcąc odzyskać czucie w palcach. Także stopy jej zdrętwiały i to mimo grubych skarpet i porządnych butów. Ciekło jej z nosa, miała zatkane uszy. Powinna zażyć kolejną dawkę leku.
Podeszła do urwiska i spojrzała w dół, w rozpadlinę, w którą runął samochód Pescoli.
Jakim cudem morderca wiedział, że akurat w tym czasie Regan Pescoli będzie tędy przejeżdżać?
Skąd?
Zdenerwowana, odwróciła się i spojrzała na wzgórze nad szosą. Miał stamtąd świetne stanowisko do strzału. A jednak trudno uwierzyć, że dopisywało mu aż takie szczęście.
Rano, jeśli pogoda się utrzyma, policjanci przeszukają teren - może znajdą łuski albo miejsce, gdzie napastnik czatował na ofiarę. Może tym razem los się do nich uśmiechnie.
Zmrużyła oczy. Czy drań naprawdę rozbił na wzgórzu obozowisko w środku zamieci?
Wiedział.
Wyobraziła go sobie, jak czeka. Cierpliwie, spokojnie. Z palcem na cynglu.

Przeszył ją dreszcz, chłodniejszy niż powiew nocy.
Jakim cudem morderca wiedział, że Pescoli będzie tędy jechała, wściekła jak osa? Od jej eks? Od dzieci? A może morderca założył podsłuch w jej komórce i znał treść rozmów?
A może po prostu sukinsyn miał farta?
Ale jakie jest prawdopodobieństwo tej opcji?
Szczęście. Szczęściarz. Znowu to samo. A przecież Szczęściarz, Lucky, to przezwisko, z którego Luke Pescoli był wyjątkowo dumny. Dziwne, niepokojące skojarzenie.
Chwytasz się brzytwy.
Pociągnęła nosem i uparcie wpatrywała się we wzgórze, choć jego szczyt spowijał mrok. Wyobrażała sobie mordercę czekającego w pobliżu mimo śnieżycy. Nie wiadomo skąd, ale wiedział, że Pescoli będzie tędy przejeżdżała. Nikt, nawet największy świr, nie czatowałby na tym mrozie godzinami, ba, dniami, nie wiedząc, czy czekanie da mu upragniony efekt.
Nie zapominaj, że ten tutaj to prawdziwy szajbus. Ma cel, do którego dąży. Poszukiwanie odpowiednich kobiet trwało pewnie miesiącami, może latami. Może takie bezczynne wyczekiwanie go podnieca.
Oczyma wyobraźni widziała go, jak leży na śniegu albo na czymś, co izoluje go od zimna, jak opiera karabin na zwalonym pniu albo głazie, a może ma podpórkę - dwójnóg albo trójnóg? Z zimną krwią celuje, przesuwa lufę...
To myśliwy, zabójca o pewnym oku snajpera. Zacisnęła zęby. Jakim cudem, do cholery, zdołał wycelować tak idealnie, że trafił w oponę i posłał samochód na dno kanionu?
Chuchała w dłonie, patrzyła na obłoczki pary z ust.
Czy znał ofiary, zanim je zaatakował?
O co mu chodzi? Nie o seks, w każdym razie nie o pełny stosunek. Żadne zwłoki nie nosiły śladów gwałtu czy współżycia, nie znaleziono nasienia, nie było uszkodzeń ciała w okolicach narządów płciowych. Wręcz przeciwnie, sekcje wykazały, że rany odniesione podczas wypadku zaczynały się goić, kobiety wracały do zdrowia. I wtedy morderca brutalnie, bezlitośnie przywiązywał je nagie do drzew w odludnych zakątkach i zostawiał na pewną śmierć.
Ludzie z biura szeryfa okręgu Pinewood przejrzeli wszelkie możliwe bazy danych w poszukiwaniu sprawnych strzelców, którzy byliby zdolni do czegoś takiego, a interesowali ich byli wojskowi, najemnicy, antyrządowi ekstremiści, myśliwi, policjanci i zwycięzcy konkursów strzeleckich. Każdy, kto umie obchodzić się z bronią. Jednak na razie nie mieli ani jednego podejrzanego.
Dopiero ta kobieta w Spokane...
Ale żadnym sposobem nie mogła ponosić odpowiedzialności za zniknięcie Pescoli z tego prostego powodu: trudno być w dwóch miejscach jednocześnie. Pescoli widziano tu, w Grizzly Falls, był z nią także kontakt telefoniczny, podczas gdy zatrzymana przebywała prawie trzysta kilometrów dalej, w Spokane, w stanie Waszyngton. Miasta dzieliły góry i całe Idaho.
W takim razie kto strzelał? I kto morduje?
To na pewno ktoś stąd, kto zna okolicę na tyle dobrze, by wybierać odpowiednie miejsca, i kto najwyraźniej ma problem z kobietami. Zacisnęła usta na myśl o mordercy, który tak bardzo utrudnia życie jej - policjantce w spódnicy. To za mało powiedziane - policjantce o latynoskich korzeniach. Czasami miała wrażenie, że się z nią drażni, że ją prowokuje.
Wyczuwała, że morderca żywi głęboką nienawiść do kobiet. Wszystkich, bo najwyraźniej kolor skóry nie miał dla niego znaczenia. Strzelał bez pudła, unieruchamiał samochód, a potem „ratował" kobietę, wydobywał ją z wraku samochodu i zabierał w nieznane miejsce.
Potężny mężczyzna, sądząc po śladach, które zabezpieczyli.
Miejscowy, który zna okolicę i czuje się swobodnie wśród przyrody.
Strzelec.

Człowiek o wysokiej inteligencji, świetnie zorganizowany - umie namierzyć ofiary, odszukać je, zranić i zabić.
Człowiek przepełniony nienawiścią.
Natychmiast przyszło jej do głowy kilka nazwisk: Dell Blight, potężny olbrzym z brzuchem równie wielkim jak jego pogarda dla policji. Wiele razy zamykali go za pijaństwo, a kiedyś nawet groził im bronią, ale nie wyglądał na mistrza intelektu.
Rod Larimer, właściciel Buli and Bear, pensjonatu B&B, jak mawiali miejscowi, zacierał teraz ręce, interes kręcił się znakomicie, a wszystko za sprawą nagłej niesławy, jaka spłynęła na miasteczko. No i Rod nienawidził szeryfa Graysona. Był kilkakrotnie żonaty, ale kobiety zawsze go zostawiały. Pytanie tylko, czy umie strzelać?
Dalej, Otis Kruger, wredny pijak, który ma w domu maty arsenał i który przechwalał się, że w sezonie ochronnym zastrzelił sarnę i to z dużej odległości. Położył ją jednym strzałem. Zamknęli go za kłusownictwo. Miłośnik broni o niskim IQ to niebezpieczne połączenie, ale czy to możliwie, żeby okazał się seryjniakiem?
Selena wypuściła powietrze z płuc. Najlepsi strzelcy w okolicy to mężczyźni, z którymi ma do czynienia na co dzień: policjanci i inni mundurowi. Ale nie, nie zapuści się na te tereny, nie zacznie podejrzewać, że ktoś, kto ślubował strzec prawa, mógłby tę przysięgę złamać.
Wiatr się wzmagał, było coraz zimniej, strażacy powoli pakowali sprzęt. Dzisiaj nic więcej nie da się zrobić.
Alvarez bolała głowa, piekły oczy, z nosa leciało już ciurkiem. Odmeldowała się i pojechała do siebie. Za wszelką cenę chciała choć trochę odpocząć, żeby rano spojrzeć na całą sprawę świeżym okiem. Kiedy jednak jechała dziwnie pustą górską drogą, a jej reflektory wydobywały z mroku kolejne drzewa przykryte czapami śniegu, czuła, jak chłód przenika do jej duszy. Wzdrygnęła się, przerażona, że już nigdy nie zobaczy Pescoli żywej.

- Jak się czujesz? - wyszeptał niski męski głos.
Pescoli gwałtownie uniosła powieki, ale pomieszczenie spowijała ciemność, nie licząc pojedynczej smugi światła. Z latarki? Serce biło jej jak szalone, w żyłach buzowała adrenalina.
W pierwszej chwili nie wiedziała, gdzie jest, ale zaraz sobie przypomniała: jazda oblodzoną szosą, huk wystrzału, koziołkujący dżip, wąwóz...
I jej wybawca.
Przypomniała sobie mężczyznę w goglach, który wydobył ją z wraku samochodu i uwięził tutaj.
- Zadałem ci pytanie.
Wydawał się zirytowany. I dobrze. Ona też jest zła.
- A jak ci się wydaje, że się czuję?
- Nie najlepiej.
- Czuję się tak, jakbym miała wypadek, do którego by nie do szło, gdyby jakiś dupek nie strzelił mi w oponę. - Wytężała wzrok, ale nie widziała go, światło latarki ją oślepiało. - Kim jesteś, do cholery?
- Nie wiesz?
- Niech się zastanowię. Nie, nie jesteś świętym Piotrem, nie stoimy u bram niebieskich. Gdzie moje ubrania?
Prychnął, ale zobaczyła błysk bieli; odsłonił zęby w uśmiechu, jakby bawiły go jej słowa.
- Nie, nie jestem świętym Piotrem. I nie, nie czeka cię zbawienie. - Słyszała śmiech w jego głosie. - A ubranie odzyskasz.
- Kiedy?
- Kiedy tak zadecyduję.

Chce ją złamać, upokorzyć, sprawić, że zmięknie, sama i naga w ciemności, ale nie ugnie się przed psychologicznym szantażem.
- Dlaczego mnie tu sprowadziłeś?
- Chcę ci pomóc.
- Strzeliłeś mi w oponę! To się nazywa pomoc? - Była zdenerwowana, a strach podsycał emocje. Przesuwał światłem latarki po jej ciele, kolejny sposób, by ją upokorzyć. Zatrzymał promień światła na jej piersiach. Cholerne sutki nabrzmiały z zimna. Słyszała, jak głośno wciąga powietrze. Zrobiło jej się niedobrze.
- Jesteś piękną kobietą, Regan - powiedział to zupełnie poważnie.
- A ty jesteś świrem. Zdawał się jej nie słyszeć.
- Świetnie wyrzeźbiona twarz, wysokie kości policzkowe, mocno zarysowany podbródek... Długie nogi... Ładne piersi, ciemne sutki... Brzuch płaski mimo dwójki dzieci...
Wiedział, że ma dzieci? Wpadła w panikę. Miała na końcu języka uwagę, żeby nie wspominał jej dzieci, ale bała się, że jeśli to powie, odsłoni swoją piętę achillesową; nie może okazać, że dzieci są dla niej wszystkim. Instynkt ostrzegał ją, że jeśli jej przeciwnik dowie się o tym, Jeremy i Bianca skończą tak jak ona, uwięzieni przez tego świra. Ze strachu zaschło jej w gardle.
- A twój chłopak, ten włóczęga...
Co?
- Docenia cię? Czy Santana dobrze cię traktuje? Naprawdę było jej niedobrze. Co jeszcze ten bydlak o niej wie?
- A może interesuje go tylko szybki numerek na sianie, ostre rżnięcie? - Cały czas mówił dziwacznym, szorstkim szeptem, jakby się bał, że go rozpozna. - Lubisz to, co? Lubisz, kiedy przystojny drań dobiera ci się do majtek. Mam rację? Lubisz to?
- Jesteś chory.
- Chory? - Wcale się nie przejął. - Niedługo zmienisz zdanie.
Oddałaby wszystko za broń, jakąkolwiek, pistolet, nóż, nawet kij bejsbolowy albo laskę. Choć była słaba, waliłaby drania, aż jego czarna dusza trafiłaby do piekła. Nie miała jednak broni ani sił, by go zaatakować. Światło latarki powędrowało niżej, zatrzymało się u złączenia ud. Miała wrażenie, że pali ją żywym ogniem.
Starała się nie myśleć o upokorzeniu, bo to by znaczyło, że wygrał. Robił to celowo. Nie da się też sprowokować uwagami o Santanie czy jej życiu erotycznym.
- Podnieca cię torturowanie kobiet? Poniżanie ich? Przetrzymywanie siłą?
Nie odpowiedział, przesunął światło latarki wzdłuż jej nóg.
- Czemu zadajesz sobie tyle trudu? Czemu aranżujesz wypadki, a potem udajesz, że pomagasz ofiarom? Czemu ich po prostu nie zabijasz?
- Nie rozumiesz tego, co?
- Oświeć mnie - warknęła, wpatrzona w mrok, w miejsce, gdzie powinna być jego twarz.
- Jesteś policjantką, Regan. Detektywem. Powinnaś sama na to wpaść. - Podszedł na tyle blisko, że gdyby nie ból i kajdanki, zerwałaby się i wykręciła mu ramię, aż osunąłby się na kolana, albo wymierzyłaby mu cios w podbródek, po którym straciłby oddech. Albo wbiła mu nos w głąb czaszki.
- Wiem więcej, niż ci się wydaje. Chcesz się przekonać? - Może, jeśli nakłoni go do mówienia, dowie się czegoś, pozna jego tożsamość.
- Nie ma czasu.
- A co innego masz do roboty?
Podszedł bliżej i latarka wyczarowała z mroku cienką smugę srebra w jego drugiej ręce. Co do cholery?
Co to jest?
I nagle zrozumiała - strzykawka. O Boże, nie.

Wpadła w panikę. Nie miała pojęcia, co jest w strzykawce, ale nie pozwoli, żeby jej to wstrzyknął.
- Czekaj - szepnęła. Usiłowała się przesunąć. Ma wolne nogi. Może go kopnie. Z całej siły, między nogi albo w twarz.
- Nawet o tym nie myśl - szepnął szorstkim, ochrypłym głosem, który wydawał się jej dziwnie uwodzicielski.
Przeszył ją dreszcz, strach przenikał do kości. Musi znaleźć jakiś sposób, żeby... Skoczył! Zaatakował nagle jak puma skacząca na grzbiet jelenia, który się niczego nie spodziewa. Rzucił się na posłanie. Usiłowała się poruszyć, ale to było bezcelowe. Przygwoździł ją kolanami, usiadł na niej okrakiem, przytłoczył swoim ciężarem.
Krzyknęła z bólu. Miała wrażenie, że miażdży jej obolałe żebra, że płuca stanęły w ogniu. Wiła się i kopała, ale ból ją paraliżował, zresztą niełatwo byłoby zrzucić z siebie ponad sto kilo żywej wagi.
- Nie! - zawyła w panice. - Proszę, nie! - Próbowała się poruszyć. Bez efektu.
Zaledwie centymetry dzieliły jego krocze od jej nosa, czuła zapach potu. Pochylił się lekko. Odłożył latarkę. Złapał ją za skutą rękę.
Chodź opędzała się wolną ręką, odparowywał jej ciosy, a potężne nogi w dżinsach ani drgnęły. Może zdoła go ugryźć...
Poruszyła się, ale przewidział to, zobaczył błysk odsłoniętych zębów.
- Ostrożnie - poradził i odsunął się na bezpieczną odległość. - Albo zajmę czymś te twoje gorące usta. Zapewniam, nie będziesz żałować.
Wzdrygnęła się. Pomyślała, że zaraz zwymiotuje. Prosto na niego.
Roześmiał się, siedząc na niej okrakiem. Jego śmiech był sztuczny i przerażający. Dudniący dźwięk z otchłani piekieł.
- Dopadniemy cię - syknęła. - Jeśli nie ja to ktoś inny. Masz to jak w banku. Dopadną cię i załatwią jak wściekłego psa.
Zaatakował błyskawicznie. Wbił jej igłę w ramię.
Poczuła ostre ukłucie i nieprzyjemny nacisk tajemniczego płynu.
- Drań! - wychrypiała, a on znowu się roześmiał - szyderczo, pogardliwie. Przesunął $_s$ię wyżej, tak że jeg$_0$ krocze znajdowało się bardzo blisko jej ust.
Jej żołądek fikał salto za saltem, a jednak walczyła dalej, kopała.
Na darmo, niepotrzebnie traciła siły.
Latarka z głośnym hukiem potoczyła się po kamiennej posadzce. Zatrzymała się przy drzwiach, sp$_0$wiła pomieszczenie mdłym światłem. Zbyt słabym, by go rozpoznać. W makabrycznej poświacie wyglądał dziwacznie i upiornie. Krył oczy za okularami przeciwsłonecznymi, a na głowie miał czapkę bejsbolową. Twarz nikła w gęstej brodzie, a jednak dostrzegła jego rysy. Mocne. Szorstkie. I ślady paznokci na policzku, które sama zostawiła.
Znam cię, pomyślała. Nagle ramiona stały się bardzo ciężkie, ból w piersi ustąpił. Zasypiała.
Znam cię, ty żałosny dupku, i, do cholery, pewnego dnia wydostanę się stąd, a wtedy, przysięgam na Boga, dopadnę cię i tak ci skopię...

Rozdział 6

Nate Santana otworzył scyzoryk i rozciął sznur, którym związane były bele siana. Konie czekały cierpliwie. Postawiły uszy i obserwowały go ciemnymi błyszczącymi oczami. Tylko Lucyfer się denerwował, prychał i potrząsał czarną grzywą.
Do świtu było jeszcze kilka godzin, ale Santana wstał wcześniej niż zwykle. Denerwował się. Nie mógł spać, cały czas dręczyły go koszmary z Regan Pescoli w roli głównej.

W jego snach albo się z nim kochała, patrząc na niego znacząco, z lekkim prowokacyjnym uśmiechem na ustach i unosząc brwi, gdy ją rozbierał i kochał się z nią, albo błąkała się w ciemności, a on biegł przez mroczny las i wołał ją. Migała mu wśród oszronionych drzew. Obudził się zlany zimnym potem, dręczony przeczuciem, że dzieje się coś złego.
Zdążył już oporządzić konie i nakarmić je - odmierzył owies, dolał wody do poideł, upewnił się, że rury nie zamarzły w arktycznych objęciach zimy, która sparaliżowała większą część stanu.
Czasami sam się zastanawiał, czemu tu wrócił. Przecież nie został mu już nikt z rodziny. Powiedzmy sobie szczerze, musiałeś spadać z Kalifornii, a Brady Long zaoferował ci pracę i dach nad głową.
Rozciął kolejną belę, słabnący zapach suchego siana niósł wspomnienie lata. Wrzucił je widłami do boksu Lucyfera, który teraz czekał spokojnie, jakby był najgrzeczniejszym koniem na ranczu.
- Nie nabierzesz mnie - poinformował Santana czarnego ogiera, choć myślami był daleko stąd. Wykonywał machinalnie poranne obowiązki, ale cały czas czekał na świt i dzwonek telefonu.
Gdy skończył, wyszedł na dwór. Zazwyczaj najbardziej lubił właśnie te godziny przed świtem, na krótko przed tym, nim wstanie słońce, gdy na niebie lśnią jeszcze gwiazdy, a czyste powietrze przesyca spokój, który zniknie wraz z blaskiem dnia.
Tego ranka jednak gwiazdy kryły się za chmurami, lodowaty wiatr hulał wśród budynków rancza Lazy L, posiadłości Branego Longa.
Pojedyncza lampa spowijała zimowy krajobraz dziwnym światłem. Po raz pierwszy od wielu dni w jej blasku nie tańczyły niebieskawe płatki śniegu.
Na szczęście śnieżyca, która szalała w tym zakątku gór Bitteroot, ucichła. Przynajmniej chwilowo.
A Regan Pescoli nadal się do niego nie odezwała.
Widział wczoraj w telewizyjnych wiadomościach, że policja w Spokane zgarnęła kobietę, która mogła być odpowiedzialna za śmierć kilku osób. Prawdopodobnie to ona siała postrach w górach Bitterroot. W pierwszej chwili pomyślał, że Regan pewnie brała udział w zatrzymaniu podejrzanej, ale zaraz odrzucił tę myśl - Alvarez dzwoniła do niego już po aresztowaniu.
Zamknął drzwi stajni i pokonał zasypany śniegiem parking w drodze do swojej chaty. Nakita truchtał koło jego nogi. Husky, pełen energii, radośnie brykał w białym puchu, nurkował w zaspach, aż widać było tylko ogon, i wynurzał się szczęśliwy, rozglądając się za nową zabawą.
- Głuptas z ciebie - powiedział Santana, ale z uśmiechem patrzył, jak pies pokonuje trzy stopnie prowadzące na werandę i otrząsa się ze śniegu. Niecierpliwie drapał w drzwi. - Wiem, wiem.
Santana wszedł do domku składającego się z trzech pokoi i sypialni na antresoli. Był to pierwszy budynek wzniesiony na ranczu, miał ponad sto lat. Początkowo mieszkali w nim właściciele, potem jednak w okolicy znaleziono miedź, rodzina Longów zbiła majątek i wybudowała rezydencję z cedru i kamienia nad Potokiem Milton.
Choć po chacie hulały przeciągi, Santana wolał ją od apartamentów, które przeznaczono dla personelu na strychu jednego skrzydła głównej rezydencji. Niech mieszka tam Clementine, gospodyni, ze swoim nastoletnim synem Rossem, ale Nate? Nie. Gdy przyszło co do czego, przedkładał prywatność nad wygodę. Zresztą wolał być bliżej zwierząt. I jak najdalej od Brady'ego Longa, jeśli ten akurat raczył zaszczycić ranczo swoją obecnością.
Staroświecki kominek w saloniku kusił przyjemnym ciepłem. W ciągu minionych pięćdziesięciu lat modernizacja nie ominęła także małego domku, który wyposażono w

elektryczne grzejniki listwowe, ale Santana lubił wiekowy kominek i płomienie tańczące za szklaną szybką. Uważał, że dla tego widoku warto pocić się na wiosnę, rąbiąc drwa.
Regan Pescoli nie była tu ani razu. On także nie przekroczył progu jej domu, jakby zawarli niemy pakt o nienaruszaniu własnej prywatności.
- Idiota - mruknął pod nosem. Oboje starali się ze wszystkich sił zaprzeczać czemuś, co dla niego z każdą chwilą stawało się coraz bardziej oczywiste - stracił dla niej głowę.
Powiesił kurtkę i kapelusz na wieszaku przy drzwiach. Nakita chciwie chłeptał wodę i niecierpliwie trącał nosem miskę na żarcie. Santana ściągnął ocieplane spodnie i buty i ustawił je przed kominkiem. Dorzucił drew do ognia, nakarmił psa, ukroił sobie grubą pajdę ciemnego pieczywa, posmarował masłem, zjadł i poszedł pod prysznic.
Cały czas miał w głowie jedną myśl: Regan zaginęła.
Wytarł się szybko. Rysy mu spoważniały, ale starał się nie panikować. Nie mógł sobie jednak wmówić, że wszystko jest w porządku, że po prostu jest zajęta czy nawet że go unika.
Ubrał się i wrócił przed kominek. Cały czas miał wrażenie, że dzieje się coś złego.
Jak wczoraj, kiedy powiew wiatru otworzył drzwi stajni, a ty się przeraziłeś? Spójrzmy prawdzie w oczy, Santana, balansujesz na granicy paranoi. I to przez kobietę. A przysięgałeś sobie, że nigdy do tego nie dojdzie.
Usadowił się w podniszczonym fotelu i sięgnął po pilota od telewizora. Pies już chrapał smacznie na dywaniku przed kominkiem. Santana czuł, jak napinają mu się mięśnie, gdy włączał poranne wiadomości.
Co takiego powiedziała partnerka Regan, gdy dzwoniła, by zapytać, czy wie, gdzie się podziewa Regan? „Gdybym wiedziała nie dzwoniłabym do pana". I znowu to niepokojące uczucie w brzuchu.
Jezu, Santana, nieźle cię trafiło. Nie możesz o niej zapomnieć. Jak to mówiła? Interesuje ją związek bez zobowiązań? Brzmiało nieźle, co? Tylko że nie możesz przestać o niej myśleć, nie możesz o niej zapomnieć. I, powiedzmy sobie szczerze, wcale tego nie chcesz.
Zacisnął usta. Nie tak dawno zarzekał się, że już więcej żadna kobieta się do niego nie zbliży. Ale Pescoli o włosach, które w słońcu płonęły czerwienią i złotem, Pescoli o oczach raz żółtych, raz zielonych, podeszła go niepostrzeżenie. Była silna, inteligentna i miała złośliwe poczucie humoru, którym zawsze go zaskakiwała.
No i jeszcze seks.
Ostry, szybki.
Albo zmysłowy, powolny.
Nigdy nie miał jej dość, nieważne, jak bardzo był wyczerpany po kolejnej sesji miłosnej w podmiejskim motelu. I nigdy się z nią nie nudził. Uwielbiał patrzeć na nią, kiedy się kochali. Podniecał go widok jej nabrzmiewających sutków, oczu rozpalonych namiętnością...
Nigdy się nią nie nasyci.
Już dawno uznał, że to wspaniała kobieta, ale zawsze uważał, że będzie mógł odejść bez żalu. Teraz nie był już taki pewien.
Teraz umierał ze strachu, a Nate Santana nie był tchórzem. Ba czasami się nawet zastanawiał, czy aby na pewno wszystko z nim w porządku. Mając do wyboru walkę albo ucieczkę, zawsze wybierał walkę, przez co nieraz wpakował się w kłopoty. Bo też nie zawsze była to właściwa decyzja.
Podobnie jak romans z Regan Pescoli.
Wszystko w niej zdawało się ostrzegać go przed większym zaangażowaniem: dwa małżeństwa, dwoje nastoletnich dzieci i jej praca w wydziale zabójstw To fakt, nie powinien był się z nią wiązać i może naprawdę nie zauważyłby błysku w jej oczach, nie poczuł jej zapachu, nie dostrzegł, że wydaje się nim bawić. Zaczęło się pewnego wieczoru w barze, gdy rzuciła mu wyzwanie: najpierw był bilard, potem siłowanie się na rękę, a na końcu zawody w piciu whisky. Zagrał w jej grę i to był jego pierwszy błąd,

Drugim było pójście z nią do łóżka.
A teraz na jaw wychodził trzeci: zaangażował się. Zależało mu na niej. Tęsknił.
- Niech to wszystko szlag trafi!
Wypił dwie filiżanki czarnej kawy i zastanawiał się, czy zrobić sobie jeszcze jedną kanapkę, ale uznał, że nie przełknie nic więcej. Kątem oka oglądał prognozę pogody; nie koncentrował się, gdy mówili, że na razie będzie bez zmian, ale oprzytomniał, gdy zapowiedziano kolejną burzę.
Świetnie.
Czas mijał. Zerknął na zegar nad kominkiem i zmarszczył brwi. Jeszcze godzina do świtu.
- Cholera - mruknął pod nosem. Nie znosił bezczynności. Zagwizdał na psa, podszedł do kominka i zaczął wkładać poszczególne warstwy ubrania, które nie tak dawno z siebie zdjął. - Chodź, Nakita! - zawołał. Pies przeciągał się i ziewał. - Jedziemy do miasta.
Najwyższy czas odnaleźć Pescoli.

Alvarez miała za sobą fatalną noc. Zwlokła się z łóżka, poczłapała pod prysznic. Darowała sobie makijaż. Wysuszyła gęste włosy, ściągnęła je gumką i upięła w ciasny koczek na czubku głowy. Zerknęła w lustro: oczy załzawione od przeziębienia, matowa skóra, czerwony nos.
- Dzisiaj nie masz szans w konkursie piękności - poinformowała swoje odbicie w lustrze, a potem umyła zęby i wypłukała usta płynem antybakteryjnym.
Nie może się rozchorować. Nie teraz.
Włożyła grube rajstopy, sweter i służbowe spodnie. Z powagą przyglądała się sobie i dumała, co się stało z nastolatką, którą kiedyś była. Z dziewczyną, która szczyciła się urodą, obnosiła ze szczupłą figurą i przesadzała z makijażem, by podkreślić wielkie oczy wysokie kości policzkowe, pełne usta.
Ale to było dawno, w innym życiu.
Kiedy jeszcze wiedziała, co to śmiech i nadzieja.
Zmarszczyła brwi, odepchnęła wspomnienia, założyła kaburę.
Teraz żyje inaczej, ma inny system wartości. Nie liczy się dla niej, jak dawniej, czy jest słodka, ostra czy śliczna. Ani teraz, ani nigdy więcej.
I dobrze.
Tylko że jest sama.
Nie ma męża ani chłopaka.
- I co z tego? - mruknęła, podgrzewając w mikrofalówce wodę na herbatę. Niedawno zastanawiała się nad sprawieniem sobie zwierzaka. Czemu nie? W domu czekałaby na nią żywa istota.
Może ptaszek? Kanarek albo papużki faliste, albo... Nie no, co za bzdury. Ptak? W klatce? Który będzie rozsypywał nasionka i załatwiał się na gazetę na dnie klatki? Albo siedział na karniszu z podciętymi skrzydłami?
Może innym to pasuje.
Jej nie.
Wszystko w porządku. Jest sama i tak jest dobrze. Właśnie tego chce.
Zerknęła na biureczko zasypane stosem zdjęć i notatek o seryjnym mordercy. Mieszkała tu od trzech lat, odkąd się przeprowadziła z San Bernardino, i cały czas była sama. W jej łóżku nie spał żaden mężczyzna. Mówili o niej, że jest odludkiem i Królową Śniegu. Raz podsłuchała nawet, jak Pete Watershed z wydziału dzielił się z innymi swoimi obserwacjami, że Alvarez to pewnie „woli, no wiecie, kochać inaczej". Nawet teraz, choć czuła się marnie, to wspomnienie poprawiło jej humor.
Ciekawe, jaka byłaby ich reakcja, gdyby znali prawdę.
Chociaż, oczywiście, nic jej to nie obchodzi.

A Watershed to debil, tak swoją drogą.
Mikrofalówka brzdęknęła. Wyjęła niemal wrzącą wodę i wrzuciła do kubka torebkę herbaty. Jej babka zawsze twierdziła, że miód i cytryna dodane do herbaty pomagają zwalczyć przeziębienie, ale Alvarez nie miała ani jednego, ani drugiego.
Musi wystarczyć skórka pomarańczowa.
- Cytrus to cytrus - przekonywała samą siebie, dmuchając na gorący napój. Parzył w usta, ale niósł ulgę gardłu.
Ciągle miała zatkane uszy, dlatego dzwonek komórki docierał jakby z oddali. Wyjęła aparat z kieszeni i podniosła klapkę.
- Alvarez.
- To nie ona. - W głosie Graysona pobrzmiewał niesmak. - To się kupy nie trzyma. Naśladowczyni, na to wygląda, choć nadal nie wiemy, skąd tak dobrze znała metody działania mordercy, by próbować zabić Jillian Rivers w ten sam sposób. - Głośno wypuścił powietrze z płuc. - Naprawdę liczyłem, że to ona i będziemy mogli zamknąć sprawę, ale nic z tego.
Alvarez się nie zdziwiła. Poprzedniego dnia do późnej nocy sprawdzała daty, miejsca i alibi podejrzanej. Nic się nie zgadzało. Zatrzymana kobieta nie mogła zamordować Theresy Charleton, Niny Salvatore, Wendy Ito, Rony Anders czy Hannah Estes.
Co więcej, Alvarez była przekonana, że sprawcą jest mężczyzna. Potężny facet, na tyle silny, że wynosi ofiary z zaśnieżonych wąwozów, dość inteligentny, by ukryć je bez śladu, o sokolim wzroku i pewnej ręce. Prawdopodobnie nie ma jeszcze sześćdziesięciu lat, jest wysoki i atletycznie zbudowany.
A teraz na dodatek zginęła jej partnerka.
Wzdrygnęła się, gdy Grayson powiedział:
- Dobrze byłoby mieć drania za kratkami.
- W końcu nam się uda.
- Coś nowego w sprawie Pescoli? Brewster mówi, że znaleźli jej wóz.
- Nic.
- Cholera.
Dokładnie to samo miała na myśli.
- Znajdźcie ją.
- Znajdziemy.
- Jezu, co za burdel.
- Dorwiemy drania i odzyskamy Pescoli żywą - powiedziała z przekonaniem w głosie. Sama nie wiedziała, czy mówi prawdę, czy kłamie.
- Mam taką nadzieję. - Odchrząknął. - Wracam do miasta. Chandler i Halden jeszcze tu zostaną, wyjaśnią wszystko z ludźmi ze Spokane, postarają się dowiedzieć, skąd ta kobieta wiedziała tyle o morderstwach. Zobaczymy się na posterunku, zwołam spotkanie zespołu. Chcę znać rezultaty badania kryminalistycznego samochodu Pescoli i miejsca wypadku. I jej domu. Załatw nakaz, pogadaj z jej dziećmi i... Zresztą sama wiesz, co robić.
- Już się do tego zabieram.
- To dobrze. Do zobaczenia.
Rozłączyła się, dopiła do końca wystygłą herbatę i wyszła na dwór. Słońce wstawało nad wschodnimi szczytami, na ulicach wzmagał się ruch.
Pescoli nie było od dwóch dni.

Rozdział 7

Suce należy się nauczka!

Przeczesuję włosy palcami i staram się opanować, ale dłonie mi drżą, a mięśnie napinają się jak cięciwy, gdy przechadzam się przed kominkiem.
Wszystko przez nią.
Nie pozwól, żeby zalazła ci za skórę. Pamiętaj, ty tu rządzisz. Ty masz władzę. Ona jest ranna. Skuta. Zamknięta. Ty tu rządzisz. Ty. Nie ta żałosna idiotka, parodia policjantki, która nie wie, gdzie jej miejsce. Nie zepsuj wszystkiego, nie teraz, gdy dotarłeś tak daleko, gdy do mety tak blisko.
Nie teraz, gdy czeka cię jeszcze tyle pracy.
Nie tylko tutaj, z nimi, ale i z nim. On także wkrótce tu będzie. Uspokój się. Przygotuj. Nie możesz spudłować. Musisz trafić.
Zamykam oczy. Liczę do dziesięciu... dwudziestu... Czuję, jak napięcie w barkach ustępuje. Wsłuchuję się w odgłosy burz$ w wycie wiatru, zacinanie deszczu ze śniegiem... i nic. Tylko cisza i trzask drew na palenisku.
Spokój.
Nic z tego, mimo uspokajającej przemowy i ciszy zimowego dnia z trudem nad sobą panuję, skupiam się na całości, myślę o sprawie.
Moje zadanie jest zbyt ważne, bym mógł sobie pozwolić na luksus zdenerwowania. Muszę być jak skała. A jednak... wstrząsnęła mną do głębi. Zalazła mi za skórę i z trudem opanowuję gniew.
Ja.
Oaza spokoju.
To przez tę sukę.
Panią detektyw.
Regan Pescoli mnie drażni. Nie mogę na to pozwolić. Ani teraz, ani później, póki wszystko się nie skończy.
Szukając wyciszenia, sięgam po jej pistolet, ważę chłodną stal w dłoni. Jest w tym coś, co przynosi ukojenie. Muskam lufą policzki i szyję, zamykam oczy, rozkoszuję się jej dotykiem.
Nie pozwolę, by taki wrzód na tyłku jak Regan Pescoli wyprowadzał mnie z równowagi, nie teraz, gdy muszę zachować maksymalną koncentrację.
Oddycham powoli, podchodzę do barku, nalewam sobie wódki. Uspokaja mnie, pozwala choć na chwilę zapomnieć o suce.
Mam ważniejsze sprawy na głowie.
Odkładam pistolet, sięgam po strzelbę.
Już czas.

Znam go.
Ta myśl nie dawała Pescoli spokoju. Leżała na posłaniu, ciągłe skuta.
Znam go, a ten świr ma dość oleju w głowie, by zdawać siebie sprawę z tego, że mogę go rozpoznać.
Półprzytomna, osłabiona, wsparła się na łokciu i zobaczyła smugę światła płynącą z okienka. Świt? Ranek?
Przez chwilę pomyślała o Santanie. Za każdym razem, gdy odzyskiwała przytomność w tym zimnym, ciemnym pomieszczeniu, miała wrażenie, że jej towarzyszy. W jej snach było go pełno. Ilekroć się budziła, sama, uwięziona, zamykała oczy, by przywołać jego twarz. Tęskni za nią? Domyśla się, że stało się coś złego? W tym właśnie problem z ich idiotycznym związkiem bez zobowiązań: żadne nie wiedziało, co akurat porabia drugie. Powtarzała sobie, że właśnie tego chciała, ale teraz wiedziała, że to stek bzdur.
Na myśl, że nigdy więcej go nie zobaczy, czuła fizyczny ból.
Nie zaczynaj teraz. Zobaczysz go, na pewno. Musisz. Jesteś matką, na miłość boską, nie możesz się poddać i pogrążyć w rozpaczy. Do cholery, Pescoli, rób coś! Ratuj się!

Zacisnęła zęby i ignorując pulsowanie w barku oraz obolałe żebra, spróbowała się poruszyć. Ból był przeszywający, ale do wytrzymania. Była pewna, że żebra są złamane; zaczęło się od wypadku, a sprawę pogorszył świr, który na niej usiadł, zanim wstrzyknął jej Bóg jeden wie co. Pewnie środek uspokajający, domyślała się, coś, co miało sprawić, że będzie otępiała i bierna. I może przeciwbólowy, bo przecież zasnęła i obudziła się z nadzieją, że żebra są tylko poobijane, nie połamane. Bolały cały czas, ale mogła się poruszać, a oddech nie był już nieludzką torturą.
O ile pamiętała, wrócił raz, odkąd podał jej zastrzyk; sprawdził, jak się czuje, przyniósł wodę i zupę. Nie karmił jej, zostawił jedzenie - zupę z puszki o zapachu rosołu. I jeszcze szpitalny basen - najgorsze upokorzenie.
Sukinsyn dotykał jej, gdy leżała bez ruchu, oszołomiona.
To dlatego jest tu ciemno, spekulowała, w miarę jak ustępowało działanie narkotyku. I dlatego tak rzadko tu wchodzi, dla tego zakłada okulary przeciwsłoneczne, czapkę bejsbolową.. Może nawet jego broda jest sztuczna. Ukrywa się.
Problem w tym, że nie miała pojęcia, kim jest. W każdym razie - jeszcze nie. Spojrzała na drzwi i smugę światła nad progiem. Co jakiś czas zasłaniała ją postać, zatrzymywała się, jakby jej dozorca zaglądał przez niewidoczny judasz lub nasłuchiwał, co się dzieje.
Na myśl, że ją obserwuje, poczuła dreszcz. Nie zastanawia się nad tym, interesuje cię jedno - jak się stąd wydostać. Skoro zadał sobie tyle trudu, żebyś go nie rozpoznała, musi się obawiać, że możesz go zdemaskować. A skoro tak właśnie jest, to znaczy, że nie wyklucza twojej ucieczki.
Ani przez chwilę nie łudziła się, że zachowa ją przy życiu albo wypuści; nie po to włożył tyle wysiłku w jej porwanie, nie po tym, jak potraktował pozostałe ofiary.
A jednak nie była pewna.
Czy miało sens ukrywać twarz, gdy oboje wiedzieli, jaki czeka ją koniec?
Musi jakimś sposobem poznać jego tożsamość i uciec, stwierdziła, gdy na niebie wschodziło słońce.
I to szybko.
Zanim będzie za późno.

W końcu! Przełom w cholernej pogodzie!
Brady Long z zadowoleniem spoglądał w czyste niebo. Po tygodniu arktycznego mrozu i burz mógł wreszcie wsiąść do helikoptera i pokonać dystans między Denver i Grizzly Falls. Trochę rzucało podczas lotu, ale Brady uwielbiał wyzwania, nieważne, czy chodziło o ujeżdżanie rozjuszonego byka, wspinaczkę stromym klifem setki metrów nad przepaścią, ekstremalne narciarstwo, podniebne nurkowanie czy inne szaleństwa, dzięki którym w jego żyłach płynęła czysta adrenalina.
Żył dla takich chwil. Nie znał uczucia strachu, nie znosił spokoju. Życie jest po to, by czerpać z niego garściami, a ci, którzy wybierają bezpieczną drogę, którzy kurczowo trzymają się nudnej bezpiecznej trasy, to mięczaki, tchórze, ofermy.
Może już się urodził z nadmiarem testosteronu, ale bardzo mu to odpowiadało. I jemu, i większości kobiet - tak przynajmniej mówiły te, którymi się interesował.
Czy raczej, pomyślał, lecąc nad oblodzoną, zamarzniętą rzeką przecinającą posiadłość, to one się nim interesowały - nim albo jego portfelem. Już od dawna nazwisko Long kojarzono z kopalniami miedzi, srebra, złota.
Kobiety za nim szalały, bo był przystojny, bo stanowił wyzwanie, bo nie znał uczucia strachu, bo, jak to wreszcie ujęła pewna blondynka o szczególnie obfitym biuście, był „bogatszy od samego Pana Boga". Nie obchodziło go, co je kręci, pod warunkiem że dostawał to, czego chciał.
Tak, niektóre kusił zapach pieniędzy, krążyły jak sępy wokół zdychającego jagnięcia.

A on był jedynym dziedzicem majątku... No, nie do końca. Jest jeszcze Padgett, ale ona nie jest w stanie upomnieć się o swoją część fortuny ojca, fortuny, o której w tej części Montany opowiadano sobie legendy. Ojciec, o czym dobrze wiedział, hojnie rozporządzał swoim nasieniem, zawsze więc może się pojawić jakiś drań i twierdzić, że jest jego przyrodnim bratem. Jeśli jednak do tego dojdzie, Brady i jego prawnicy znajdą sposób, by się go pozbyć: zdemaskują oszusta, wynajdą brudy z jego przeszłości albo doprowadzą do ugody poza sądem. Niewiarogodne, ile może zdziałać kilkaset tysięcy dolarów.
Leciał nisko, podziwiając stodoły, stajnie, stary dom, wszystko spowite śniegiem, położone z dala od rezydencji.
Posadził helikopter na lądowisku, niecałe pięćdziesiąt metrów od głównego budynku. Owszem, mnóstwo śniegu, ale jego maszyna była odpowiednio wyposażona i wylądowała bez problemu.
Idealnie.
Uwielbiał latać.
Powinien był zostać pilotem wojskowym.
Ale wtedy musiałby słuchać rozkazów, a ani posłuszeństwo, ani praca w grupie nie leżały w naturze Brady'ego.
Wyłączył silnik i poczekał, aż śmigło się zatrzyma, zanim chwycił torbę podróżną i teczkę z laptopem i wysiadł.
Opuścił Denver w pośpiechu, nikomu nic nie mówiąc. Nawet Mai. Zwłaszcza Mai. Powoli szedł w stronę budynku. Nie miał ochoty na rozmyślania o narzeczonej, pięknej modelce, która z uporem odmawiała podpisania intercyzy i to niezwykle uczciwej.
Nie żeby szczególnie mu zależało na ślubie, pomyślał, idą ścieżką przez zagajnik w stronę domu.
Brady musiał się uśmiechnąć, kiedy go zobaczył. Najszczęśliwsze chwile jego młodości przeżył właśnie tutaj, w Montanie. Niecałe pięćset metrów stąd dosiadł pierwszego byka, to tutaj uczył się jeździć konno, na długo przed tym, zanim wsławił się na arenach rodeo, to tutaj, w sypialni staruszka, stracił niewinność z młodszą siostrą drugiej macochy.
Tak, z Montana wiązały się piękne wspomnienia i choć zjeździł cały świat, ilekroć musiał coś przemyśleć, wracał tutaj. Tylko jedno miejsce zasługiwało na miano domu - cedrowo-kamienna rezydencja nad potokiem, teraz zamarzniętym, choć nie całkiem, bo między lodem i śniegiem widział także wodę.
Tutaj był wolny, rozmyślał, szukając w kieszeni kombinezonu pęku kluczy. Zbliżał się do garażu, który mógł pomieścić kampera lub łódkę i cztery samochody.
Denver oznaczało stresy. Po pierwsze, Maya i jej nieustające namowy, żeby się pobrali w katedrze i zaprosili setki gości. Chciała iść do ołtarza w białej sukni z długim trenem i mieć tuzin druhen. Nieważne, że on już po raz trzeci będzie ślubował, że nie opuści żony aż do śmierci.
Po drugie, rada nadzorcza firmy, stado starych dupków i durniów - wszyscy razem i każdy z osobna.
No i po trzecie, kochany papa. Uparcie czepiający się życia domu opieki, choć wygląda na to, że lada chwila kopnie w kalendarz. Brady był już znużony odpowiadaniem na ciągle te same pytania o stan zdrowia ojca. Hubert Elmore Long umierał. Koniec, kropka. Cóż jeszcze można dodać? Miał nadzieję, że staruszek umrze wkrótce, choć oczywiście nie mówił tego na głos. Co to za życie, bez przytomności, świadomości, nadziei?
Brady gniewnie otworzył tylne drzwi i wszedł do przedsionka. Zaczął się rozbierać. Wiedział, że zdaniem wielu ludzi czeka na śmierć ojca, żeby oficjalnie przejąć majątek. Ile tego teraz jest? Czterdzieści, czterdzieści pięć milionów? Owszem, miło będzie stanąć na czele Long International, ale, do cholery, nieoficjalnie on już od lat prowadził firmę. Po prostu nie chciał, żeby jego ojciec, który teraz bardziej przypominał warzywo niż człowieka,

tak się męczył, bo wiedział, że nie chciałby tego sam Hubert. Chciał ojca takiego jak dawniej, rubasznego, zdrowego, silnego -który potrafił wyciągnąć rodzące się źrebię. Chciał twardego jak głaz biznesmena, który nie ustępował ani na krok podczas negocjacji z Chińczykami, Arabami i całym światem. Język nie stanowił dla niego żadnej przeszkody, by sprawy szły po jego myśli. Chciał potężnego siłacza, który śmiał się ze sprośnych dowcipów, sącząc piwo w miejscowym barze albo delektował się koniakiem, zaciągając się kubańskim cygarem w drogim nowojorskim hotelu.
Takiego ojca Brady powitałby z otwartymi ramionami.
Ale to już przeszłość.
Więc ten strzęp człowieka, który w ośrodku Regal Oaks z maniackim uporem czepia się życia, mógłby sobie w końcu dać spokój.
Rozsznurował buty, zostawił je w przedsionku pod ławą, nad którą zawiesił kurtkę i spodnie. Ciekawe, czy Clementine jest w domu. Ta myśl sprawiła, że kąciki jego ust się uniosły. Clementine DeGrazio, drobna, ładna, koło czterdziestki, [2] równym zapałem pucowała gzymsy, co pieściła Brady'ego, ilekroć tego zażądał, a robił to zawsze, gdy wracał do domu. Wszędzie widział ślady jej obecności; patery z owocami, gazety na stole, muzyka płynąca z niewidocznych głośników, a gdy zajrzał do lodów" zobaczył półmisek wędlin i serów, przekąski oraz swoją ulubioną salsę. Wiedział, że także w kredensie kryją się smakołyki. Wystarczyło, że zadzwonił niecałe osiem godzin wcześniej.
Clementine chciała tylko jednego - zachować posadę. Dobrze zarabiała i mieszkała w rezydencji z synem, nie płacąc ani grosza. Jednak w miarę upływu lat coraz większe wyrzuty sumienia budziły w nim wspomnienia ich erotycznych spotkań. Była chętna, ale bierna.
Jezu, starzeję się.
Sprawy, którymi dawniej nie zaprzątał sobie głowy, teraz ni dawały mu spokoju. Ojciec, konający w domu opieki, siostra w odległym zakładzie i Clementine o giętkim języku i ciepłych ustach... A niech to. Odgarnął włosy z czoła i zdał sobie sprawę, że ani razu nie pomyślał o Mai i jej żądaniach. Była uparta i wyrachowana, zupełnie jak on.
Idealna partnerka, pomyślał i zapalił światło. Wstał, wyszedł do holu, znalazł termostat koło majestatycznych schodów prowadzących na górę. Obniżył temperaturę o kilka stopni i pomknął wzrokiem nieco dalej, do salonu, w którym sufit wznosił się na imponujące dziesięć merów, a przeszklona ściana sprawiała, że strumień, góry i las zdawały się stanowić część pomieszczenia. Na przeciwległej ścianie królował kamienny kominek, przed którym tłoczyły się skórzane fotele, miękkie kanapy i współczesne rzeźby, wszystko pamiątki po jego byłej żonie.
- Pieprzone akwarium - narzekał ojciec. Zazwyczaj wolał przytulny mały gabinet, gdzie palił cygara w towarzystwie wypchanych głów oraz poroży i skór zwierząt, upolowanych przez mężczyzn z jego rodziny.
Brady podszedł do przeszklonej ściany i wyjrzał. A jakże, na końcu wąskiej dróżki, wśród drzew, widział stary domek, pierwszą budowlę na ranczu, i światło w oknie. A więc Santana gdzieś tu jest, w stajni, oborze albo w domu. Facet ciężko pracuje, trzeba mu to przyznać. Choć ma mnóstwo wad.
Jak to było? Przyjaciół miej zawsze blisko, wrogów jeszcze bliżej?
Brady podpisywał się pod tą maksymą obiema rękami. Ciekawe, czy Santana się domyśla... Ale zaraz odepchnął tę myśl od siebie. Ot, nieważne. Znali się od dziecka i ponieważ obaj lubili rywalizację, nieraz się pobili. Zawsze go intrygowało, co motywuje Santanę do działania. Nigdy mu się nie podlizywał, nigdy mu nie ulegał, ba, zawsze zdawał się patrzeć na niego z góry. Ale był świetnym jeźdźcem i porozumiewał się ze zwierzętami, co Brady'ego zarazem przerażało i fascynowało. I najlepsze, że Santana dla niego pracował i to tutaj, w Montanie, czyli na końcu świata. Tak jak powinno być.

Brady zaniósł laptop do gabinetu ojca i postawił na biurku. Podszedł do barku i nalał sobie drinka. Burbon na trzy palce. Z lodem, oczywiście dzięki Clementine, która zadbała o wszystko. Lodowe kostki grzechotały cicho, gdy wracał do biurka. Pochylił się, nacisnął ukryty przycisk i czekał, aż rozsunie się ściana i odsłoni tajną skrytkę. A tam, w otoczeniu najrozmaitszej broni, był sejf, w nim zaś, jak miał nadzieję, ostatni testament jego staruszka. Oczywiście mógł po prostu zapytać adwokata ojca, Bartona Tinnemana, ale szczerze mówiąc, nie ufał mu ani odrobinę bardziej niż innym starym przyjaciołom ojca, z których większość zresztą już umarła. A ci, co żyli, zasiadali w cholernej radzie nadzorczej.
Sejf był staroświecki, na szyfr, żadna tam nowoczesna elektronika. Brady zapamiętał kombinację, kiedy miał pięć lat i nigdy się nie zdradził, że ją zna. No dobra, znała ją też jego siostra, ale nie na wiele jej się to zda tam, gdzie jest, zamknięta w psychiatryku, niezdolna samodzielnie funkcjonować. Poczuł chwilowe wyrzuty sumienia z jej powodu, ale zaraz je odepchnął. Padgett była w tym stanie przez pół swego życia, od prawie piętnastu lat, a przedtem nieźle dała mu popalić, więc nie zaprzątał sobie głowy rozważaniem nad tym, jak trafiła do zakładu i jaki był w tym jego udział.
To już minęło.
Słuchał cichego chrobotania przekładni, gdy ustawiał kombi nację.
- Przepraszam, tato - powiedział na głos, gdy zamek ustąpił. Brady uśmiechnął się z satysfakcją, odstawił drinka i otworzył drzwiczki.
Testament na pewno tu jest.
Teraz musi go tylko zabrać i poczekać - kilka godzin, może kilka dni, na śmierć starca.

Rozdział 8

Media wróciły.
W pełnym składzie.
Zaatakowały Grizzly Falls z takim zacietrzewieniem, jakby szeryf celowo ich zwiódł, polując na, czego nikt nie chciał przyznać, a co było dla wszystkich oczywiste, papugę.
Prawdziwy morderca nadal grasuje na wolności, tu, w Montanie.
Alvarez wjechała na parking przed posterunkiem i zobaczyła dwa wozy transmisyjne, jeden z Missouli i drugi, którego nie rozpoznała. Jechały ulicą. Świetnie, pomyślała, wyjmując kluczyki ze stacyjki. Zaczyna się kolejna runda medialnego cyrku.
Na szczęście zdołała przemknąć od samochodu do drzwi niezauważona. Zadowolona, zdjęła kurtkę, cisnęła ją na oparcie fotela i poszła dalej, do kuchni. Zagotowała wodę w mikrofalówce i zlokalizowała jedyny rodzaj herbaty - rumiankową. Zero kofeiny. Zero smaku. Zero kopa. Innymi słowy - do niczego.
- Och, przepraszam! - Joelle wbiegła do pomieszczenia z siatką zakupów. W długim czerwonym płaszczu i czarnych kozakach, z białym szalikiem, była kobiecą wersją Świętego Mikołaja. Kręciła się po kuchni w obłoku perfum i zaaferowania. - Pomyślałam, że dokupię co nieco, zanim przyjdzie poranna zmiana. Ale nie zdążyłam. - Patrzyła na Alvarez wzrokiem zarazem matczynym i poirytowanym. Wstawiła do lodówki kartony mleka i śmietanki, upchnęła w szafkach pudełka z filtrami do kawy i słodzikiem i wreszcie wyjęła z siatki pudełko herbaty o różnych smakach.
- Przeziębienie nadal ci dokucza?
Alvarez przecząco pokręciła głową. Nie uległa pokusie, nie pociągnęła nosem. Nie chciała zaczynać. Ostatnie, czego jej trzeba, to opiekuńcza Joelle Fisher.
- Nic mi nie jest.
Sądząc po spojrzeniu Joelle, jej wybiegi nie na wiele się zdały.
- Byłaś u lekarza?

Alvarez nie odpowiedziała, otworzyła pudełko z herbatą i wyjęła torebkę earl greya.
- No właśnie, tak sądziłam... O, proszę... - Joelle po raz ostatni sięgnęła do torby i wyjęła keks. - Kupiłam po drodze. - We fluorescencyjnym świetle zalśnił lukier i suszone owoce. Przełożyła ciasto na półmisek w srebrne dzwonki. Chyba przyniosła go z domu, chcąc i w pracy stworzyć świąteczną atmosferę.
A po okolicy grasuje seryjny morderca. A Regan Pescoli zaginęła.
A stan paraliżują przerwy w dostawie elektryczności. A prasa czatuje na przedstawicieli biura szeryfa i podkręca panikę w mieście.
Alvarez zanurzyła torebkę herbaty w wodzie.
- No proszę, proszę, co my tu mamy? - Watershed zajrzał do kuchni. Jego wzrok spoczął na półmisku z ciastem. Ochoczo wszedł do środka.
- Keks. Ale nie ciesz się za bardzo, ze sklepu. Nie miałam czasu, żeby upiec ciasto według przepisu ciotki Niny, jak w zeszłym roku.
- Moim zdaniem wygląda nieźle... Nie ma kawy? - zapytał, zajrzał do dzbanka, w którym nie została nawet kropla.
- Nie zdążyłam! Dajże mi minutę, mój drogi! Alvarez podeszła do drzwi.
- Słyszałem, że znaleźli wóz Pescoli poniżej przełęczy Horsebrier - zagaił Watershed. - Wysłali tam helikoptery tak?
- Oby pogoda się utrzymała - oparła.
- Co? - Z twarzy Joelle zniknął wieczny uśmieszek. - Przełęcz Horsebrier? O czym wy mówicie? - Dodała jednak dwa dwóch i doszła do oczywistych wniosków Podniosła rękę do ust. - O nie...
- Dlatego przed posterunkiem jest tylu dziennikarzy - wyjaśniła Alvarez.
- Jezu słodki, nie wiedziałam, przysięgam, że nie wiedziała nie słyszałam. Do późna pakowałam prezenty i wypisywałam kartki świąteczne i, no wiecie, szykowałam święta i... - Położyła rękę na piersi. - Myślicie, że to on, bo ta kobieta ze Spokane to nie nasz seryjniak. - Przeżegnała się szybko.
Alvarez ponuro skinęła głową i wyjrzała przez okno. W oddali kłębiły się chmury, ale były wysoko. Widoczność, przynajmniej chwilowo, była dobra na tyle, że helikoptery mogły szukać Pescoli. Za wcześnie, by liczyć, że morderca, o ile to on, już ją przywiązał do jakiegoś drzewa, ale może piloci coś zobaczą. Cokolwiek.
- Będę się za nią modliła, zadzwonię do kościoła, niech zorganizują spotkanie modlitewne - powiedziała roztrzęsiona Joelle.
Alvarez od dawna nie wierzyła w modlitwy. Po latach spędzonych na kolanach pod krzyżem, po wielu kazaniach, po angielsku i hiszpańsku, po latach wiary, że Jezus zbawi jej duszę, przechodziła kryzys.
Teraz uznała, że modlitwa nie zaszkodzi, ale sama nie zwróciła się do Boga. Zbyt wiele razy ignorował jej błagania, więc uznała, że nie warto marnować czasu, ani jego, ani jej.
- No dobrze i jeszcze Ivor Hicks chciał porozmawiać. To znaczy, nie z tobą osobiście, ale szeryfa nie ma w mieście...
Selena zatrzymała się w progu.
- Dlaczego?
- Nie wiem. - Joelle wzruszyła ramionami.
Waterhsed się żachnął.
Kto wie, czego chce ten stary świr? Pewnie znowu do niego dał gadzi generał czy coś w tym stylu. - Zachichotał złośliwie.
- Zadzwonię do niego - mruknęła Alvarez. Co prawda Ivor znalazł Wendy Ito, trzecią ofiarę, zazwyczaj jednak bardziej przeszkadzał, niż pomagał i bardzo często lądował w izbie wytrzeźwień. Odbierał go syn, Billy, który niechętnie, acz posłusznie, brał na siebie odpowiedzialność za staruszka.

Może Watershed nie powinien z niego żartować, ale w tej chwili Alvarez zwyczajnie nie miała siły na bzdury Ivora Hicksa.
Zostawiła Joelle i Watersheda w kuchni i podeszła do swego biurka, ale zanim usiadła, rozdzwoniły się telefony. W pierwszej rozmowie uzyskała potwierdzenie, że na dnie kanionu był wóz Pescoli i że teraz do pracy zabiera się ekipa holownicza. Z drugiej dowiedziała się, że szeryf Grayson wystąpił o nakaz przeszukania domu Regan i uzyskał go.
- Czas do pracy - mruknęła, przełknęła dwa łyki herbaty, zostawiła kubek z resztą stygnącego płynu na biurku i ponownie ruszyła do drzwi.

Dom wydawał się pusty.
Samochodu Regan nie było, ale wóz jej syna stał na podjeździe. Santana nie miał kluczy, zapamiętał jednak, jak Regan mówiła kiedyś córce, gdzie są zapasowe, gdy mała zapomniała swoich.
Wszedł więc do środka. Uważał, żeby niczego nie dotykać. Od razu stało się jasne, że w domu nikogo nie ma. Nawet pies nie szczekał.
Czuł się nieco dziwnie, rozglądając po wnętrzu, które było jej domem. Zatrzymał się w drzwiach jej sypialni i wyobraził ją sobie, jak leży na grubej narzucie z błyskiem w oczach. Uśmiecha się powoli i kiwa na niego palcem. „Skoro już tu jesteś, zrób coś pożytecznego". Albo coś w tym stylu.
Zaklął pod nosem i nagle do niego dotarło, jak bardzo mu jej brakuje.
- Co się stało, do cholery - zapytał na głos. W tej samej chwili poranną ciszę przerwał warkot silnika. Wyszedł na zewnątrz i stanął na ganku, mając nadzieję, że to jej dżip wyłoni się spomiędzy drzew, a drzwi do garażu się otworzą.
I owszem, na podjazd wjechał wóz policyjny, ale to nie była jej rejestracja, a za kierownicą siedziała inna kobieta. Ogarnął go chłód, gdy rozpoznał Selenę Alvarez, a za nią, w kolejnym wozie więcej funkcjonariuszy.
- Stój! - krzyknęła Alvarez. Sięgała po broń, wysiadają z wozu. - Ręce do góry!
Nie sprzeciwiał się.
- Szukam Regan - zaczął. - Nie ma jej tu. Alvarez spojrzała na niego, jakby chciała powiedzieć, że to już wszyscy wiedzą.
- A pan nie wie, gdzie jest?
- Już to mówiłem, wczoraj. Od tego czasu nic się nie zmieniło... - Nieprawda. Widział to w jej oczach, w grymasie ust. - Co pani tu robi? - zapytał. Zbliżało się do nich dwoje funkcjonariuszy z drugiego wozu. Trzeci pojazd, furgonetka techników kryminalistyki, wjeżdżała na podjazd. - Co się dzieje?
- Pan pierwszy. Co pan tu robi? Akurat teraz?
- Nie miałem od niej żadnych wieści, więc pomyślałem, że się rozejrzę.
Policjanci wymienili spojrzenia.
- Co? - Santana poczuł narastający strach. - Wiecie coś? Gdzie ona jest?
Alvarez zmarszczyła brwi. Pokręciła głową.
- Zaleźliśmy jej samochód.
- Gdzie? - Strach się nasilał. Opuścił ręce.
- Na przełęczy Horsebrier. A dokładnie, w wąwozie poniżej.
- Miała wypadek? - Oblał się zimnym potem. - Nic jej nie jest? - zapytał i wtedy zobaczył grymas na posępnej już wcześniej twarzy Alvarez. - O co chodzi?
W pierwszej chwili pomyślał, że Regan nie żyje. Ale w takim razie skąd to zamieszanie przy jej domu? Po co ludzie z kryminalnego, którzy, kuląc się na zimnym wietrze, wnosili sprzęt do środka?
- Proszę się odsunąć - poprosił jeden z nich, wysoki mężczyzna. - Dotykał pan czegoś?
Santana przecząco pokręcił głową.

- Nie, tylko wszędzie łaził - syknęła Alvarez.
- Gdzie Regan? - zapytał.
Milczała, ruchem pistoletu dała znak, że ma zejść z ganku.
- Proszę zejść nam z drogi.
- Co z nią? Jest ranna? Martwa? Co, do cholery? - Spojrzał na dwoje pozostałych funkcjonariuszy. Co tu robi połowa wydziału?
- Nie było jej w wozie - odparła Alvarez. - Samochód nadaje się do kasacji, ale jej w nim nie było. Naszym zdaniem ktoś spowodował wypadek.
- Co to ma znaczyć? - Serce podeszło mu do gardła. - Przełęcz Horsebrier? Jechała do byłego męża, tak? Do dzieci?
- Skąd pan się tu wziął? Ma pan klucz?
- Wiem, gdzie chowa zapasowy.
- Można to uznać za włamanie.
- Muszę ją odnaleźć.
Miała taką minę, jakby chciała mu uwierzyć, ale nie pozwalał jej na to zdrowy rozsądek.
- Pojedziemy na posterunek, złoży pan formalne zeznanie. Dacie sobie radę? - zapytała kolegów.
- Bez problemu. - Policjantka ogradzała dom żółtą taśmą.
Nieprawda. Mają problem, wszyscy. I to duży.

- Teraz twoja kolej, żeby go nakarmić - jęknęła Bianca. Z maniackim uporem usiłowała zapleść włosy we francuski warkocz, jaki wypatrzyła w kolorowym piśmie Michelle. Owszem, to staroświecka fryzura, ale przecież Miley Cyrus była tak uczesana na ostatniej premierze i Bianca czuła, że to idealne, po prostu idealne uczesanie na randkę z Chrisem. Jeśli w ogóle uda im się spotkać. Cisco tańczył u jej stóp, piszcząc i domagając się żarcia. Nie mogła się należycie skupić i warkocz wyglądał fatalnie.**44**
- Jeremy! - wrzasnęła. Pokonała krótki korytarz do pokoje gościnnego, który zajmował jej brat. - Nakarm psa!
Jeremy rozłożył się na kanapie, stanowczo dla niego za krótkiej. Na chwilę oderwał wzrok od ekranu, na którym dostrzegł wojenną grę wideo - mężczyźni w moro z wielkimi karabinami biegli przez jakiś płonący Armagedon.
- Cholera! - Jeremy zerwał słuchawki z uszu, gdy postać na ekranie osunęła się w kałuży krwi. - No i co narobiłaś? Umarłem! A mój oddział trafił do niewoli.
- Przecież to tylko gra - rzuciła z wyższością. Nadal mocowała się z włosami, przekładała długie pasma.
- A co jest ważniejszego?
- Pies. Skrzywił się.
- Jasne.
Cisco wbiegł do pokoju, wskoczył na posłanie.
- Widzisz? Domaga się uwagi - wyjaśniła Bianca.
- Od każdego - prychnął Jeremy, ale i tak poklepał psiaka po głowie.
- Mama się do ciebie odzywała? - Bianca starała się nie okazywać niepokoju.
- Nie, ale jest na mnie zła.
- Co zazwyczaj nie jest przeszkodą, żeby do nas dzwoniła.
- I ochrzaniała.
- No właśnie. - Bianca obejrzała się za siebie i zamknęła drzwi. - Myślisz, że ojciec i Michelle coś wiedzą, ale nam nie mówią?
- Na przykład?
- Na przykład... No, nie wiem, że jest ranna, że ją postrzelono, że miała wypadek czy... Czy coś naprawdę strasznego?

- Musieliby nam powiedzieć. - Zmarszczył brwi.
Bianca na chwilę dała sobie spokój z włosami i kasztanowe loki niesfornie opadły na ramiona.
- Zawsze próbują nas chronić. - Zrobiła znak cudzysłowu w powietrzu. - Ta policjantka, partnerka mamy, nie przyjechałaby tu, gdyby sprawa nie była naprawdę poważna.
- No, może.
Jeremy się skrzywił. W tej chwili sygnał oznajmił, że Bianca dostała SMS. Otworzyła telefon i zobaczyła zdjęcie Chrisa. On i dwóch jego kumpli, w mikołajowych czapkach, z głupimi minami. Uśmiechnęła się i przez chwilę nie martwiła się losem matki.
- Nakarm psa - rzuciła przez ramię i wyszła.
Jeremy odprowadził ją wzrokiem. Nie zamknęła za sobą drzwi, co strasznie go wkurzyło. No ale teraz wszystko i wszyscy go wkurzają. Nawet Heidi Brewster, która zasypuje go SMS-ami i namawia na spotkanie. Chciał tego, naprawdę. Heidi to ostra laska, a jej usta... Jezu, co ona potrafi zrobić tymi ustami! Stwardniał na samą myśl. Ale Heidi to kłopoty, a teraz nie miał do tego głowy. Nie odpowiadał na jej wiadomości i to ją chyba wkurzało. Trudno.
Odkąd ich aresztowano za jazdę pod wpływem alkoholu, był wściekły. Matka dała mu szlaban, ten kretyn, ojciec Heidi, zabronił mu się z nią spotykać, a teraz na dodatek utknął u Lucky'ego i Michelle. I wcale nie jest fajnie.
Ba, miał ich już dosyć. Lucky zachowywał się albo jak kumpel, albo jak przełożony. Jakby naprawdę był jego ojcem. Głupota. A do tego Michelle. Jezu, to też niezła laska. Zawsze na obcasach, w obcisłych bluzeczkach i dżinsach. Raz zobaczył ją nawet, gdy wychodziła spod prysznica, z mokrymi włosami, bez makijażu, dostrzegł duże piersi o różowych sutkach nabrzmiałych z zimna. Zauważył też, że nie jest naturalną blondynką. A co najgorsze - był pewien, że go widziała. Ich oczy spotkały się w lustrze. Od tego czasu ciągle siedział w tym pokoju, przekonany, że ilekroć z nim rozmawia, Michelle myśli o tym samym, co on. Widział ją nagą i coś w jej oczach, coś w sposobie, w jaki wysuwała język spomiędzy rozchylonych ust, sugerowało, że ona o tym wie.
Cały czas dręczyło go pytanie, czy zrobiła to celowo; może miała na niego ochotę? Kretynie, to twoja macocha. Opanuj się!
Wstał z łóżka, chwycił buty. Czas zabrać swój samochód, zadzwonić do przyjaciela i dowiedzieć się, co tak naprawdę stało się z matką. Nie mówił Biance, ale on także się martwił. Coś jest nie tak. Matka w życiu nie odpuściłaby Lucky'emu, nie po informacji, że chce prawa do opieki nad nimi. Walczyłaby o nich jak lwica. Jeremy uznał, że mogłoby się to okazać korzystne dla niego. Byłaby tak przerażona perspektywą utraty Bianki i jego, że zgodziłaby się na wszystko, byle ich uszczęśliwić. Skończyłyby się kłótnie i szlabany. Jeremy mógłby robić to, na co tylko miałby ochotę.
Kogo chcesz nabrać? Nigdy w życiu. Będzie ci to wypominała aż do śmierci.
- Cholera - sapnął. Napisał SMS do kumpla, żeby po niego przyjechał. Musi wrócić do domu, rozejrzeć się, zastanowić, gdzie może być matka, i odebrać swój samochód. Musi mieć własne cztery kółka, musi mieć możliwość wyrwania się z tego kiczowatego domku z różową choinką i gorącą żonką ojczyma.
Włożył swoją za dużą kurtkę moro, naciągnął czapkę na oczy i poszedł do kuchni. Znalazł torbę z psim żarciem. Cisco ze szczęścia kręcił się wokół swojej miski.
- Najwyższy czas - wycedziła Michelle przeciągle. Weszła do kuchni. Miała na sobie dżinsy, obcisły golf i pantofle na wysokich obcasach. Dzisiaj była umalowana. Platynowe włosy okalały twarz.
Cisco pochłaniał swoją porcję. Michelle włączyła radio. Ciszę wypełniły kolędy. Nagle w kuchni zrobiło się ciasno.

- Głodny jesteś? - Czyżby miała chrypę? O Boże. Znowu to spojrzenie, to, które zdaje się mówić: wiem, co widziałeś. Zdjęła fartuch z wieszaka... fartuch pani Mikołajowej. Czerwony, krótki, z futrzaną lamówką. Zawiązała go wokół swojej szczupłej talii, a Jeremy nie mógł się odpędzić od myśli, jak wyglądałaby w nim bez ubrania, tylko w wysokich czarnych kozakach.
- Nie, dzięki - wykrztusił. Pies kończył jeść. Odruchowo wypuścił go na dwór. Do kuchni wtargnęło zimne powietrze.
- Na pewno? Mogę usmażyć naleśniki. - Odwróciła się i patrzyła prosto na niego, ze szpatułką w dłoni, i nagle wyobraził sobie, jak daje mu nią klapsa. Albo on jej. Michelle na jego kolanach, jej zaróżowione pośladki w górze, a ona piszczy z bólu i rozkoszy. Cholera.
- Nie - wychrypiał. - Tyler już po mnie jedzie.
- Wychodzisz? - Naburmuszyła się.
- Mhm. - Musi stąd wyjść i to szybko.
Wrócił Cisco, wpadł do kuchni ze śniegiem na pyszczku. Jeremy zamknął za nim drzwi. Telefon zadzwonił tak głośno, że niemal podskoczył.
Michelle rzuciła się na aparat jak puma na antylopę.
- Halo? - zaczęła. - Tak, tu Michelle Pescoli... Tak, chwileczkę. Już go wołam. - Spoważniała, we wzroku, który przechwycił Jeremy, nie było ani śladu zalotności. Podeszła do drzwi, zakryła słuchawkę dłonią i zawołała: - Luke! Telefon! Policja!
Jeremy czuł, jak serce staje mu w piersi.
- Policja? - powtórzyła Bianca, która stanęła w progu z komórką w dłoni. Miała wielkie, okrągłe oczy. - Czy to mama? Czy to ona dzwoni?
Oczywiście, że nie, kretynko! Gdyby to była mama, Michelle powiedziałaby: to twoja była albo: to znowu Regan, albo: to ta suka, ale nie: policja. Już miał to powiedzieć na głos, ale dostrzegł strach w oczach siostry. Wiedziała. Równie dobrze jak on.
- Jak to, policja? - Lucky zasuwał rozporek i zapinał pasek.
- Z biura szeryfa. - Jeremy nigdy nie widział Michelle tak poważnej. Lucky wziął słuchawkę.
- Halo? Tak, tu Lukę Pescoli... - Zerknął na dzieci. - Są tutaj, ze mną. O co chodzi?
A potem słuchał. Bianca zagryzała usta, zaciskała dłoń na komórce, Michelle stała jak wryta w tym idiotycznym fartuchu, ze szpatułką do naleśników w dłoni, nawet Cisco znieruchomiał. Jeremy wstrzymał oddech.
- Tak... Rozumiem... Ale jej tam nie było? Jeremy nie wytrzymał.
- Kogo? Gdzie? Mamy?
- Zamknij się! - syknęła Bianca, blada jak ściana. Klakson dobiegał jakby z oddali.
- Tak, zostaną tutaj, póki sytuacja się nie wyjaśni - powiedział Luke spokojnie, po czym się rozłączył. Klakson rozbrzmiał ponownie.
- Co? - Bianca miała łzy w oczach. Jeremy'emu dudniło w uszach.
- Znaleźli samochód mamy - usłyszeli. - W wąwozie poniżej przełęczy Horsebrier.
Bianca pisnęła.
- To nie wąwóz, to przepaść - szepnęła Michelle.
- Ale nic jej nie jest? - Bianca się rozpłakała. Lukę westchnął.
- Nie wiem.
Jeremy czuł każde uderzenie serca, waliło mu jak młot.
- Gdzie jest? W szpitalu?
- Nie. - Bianca podbiegła do ojca. Objął ją. - Nie było jej w samochodzie. Jest rozbity, ale jej tam nie było.
- O Boże - sapnęła Michelle. Lukę kręcił głową, dawał jej znaki, by milczała, ale mówiła dalej: - To on! Ten cholerny seryjniak! Na miłość boską...
Bianca szlochała.
- Zamknij się, Michelle, jeszcze tego nie wiemy. Nic nie wiemy! - warknął Luke.

Klakson nie ustawał.
- Kto to? - żachnął się Luke. Jeremy oprzytomniał.
- Kolega, po mnie.
- Mamo! - wyła Bianca.
- Cicho, kochanie, wszystko będzie dobrze - zapewniał Luke bez przekonania. Bez wiary. Jeremy też to wiedział. Nic nie będzie dobrze. Nie, jeśli wszyscy stoją bezczynnie i nikt nic nie robi. On taki nie jest. Wyszedł bez słowa, upewnił się, że ma kluczyki i portfel. Ojczym oprzytomniał, wołał za nim, ale Jeremy już wypadł na zewnątrz, biegł podjazdem, który wczoraj sam odśnieżał do samochodu, w którym czekał na niego Tyler McAllister.

Rozdział 9

No dobra, może Santana nie jest taki zły, jak mi się początkowo wydawało, przyznała Selena. W każdym razie zdaje się naprawdę martwić o Pescoli. Siedział po drugiej stronie biurka, odpowiadał na pytania i łypał gniewnie, zaciskając wąskie usta w nieprzejednaną linię. Nie dowiedziała się od niego niczego nowego na temat porwania czy wypadku Regan, ale wydawał się szczerze przejęty.
- To wszystko? - zapytał. Gdzieś na korytarzu zadzwonił telefon.
- Na razie.
- Proszę mnie informować.
Nie odpowiedziała, nawet się nie uśmiechnęła.
- W takim razie sam będę się dowiadywał.
- Proszę bardzo - mruknęła. Czuła, że migrena wraca. Santana nie był krewnym Pescoli. Ani policjantem. - Przypominam, że trwa dochodzenie nie tylko naszego wydziału, zaangażowane jest także FBI.
- I co w związku z tym?
- To, że czasami osoby postronne związane z ofiarą, potencjalną albo prawdziwą, usiłują pomóc, a tylko komplikują sprawę.
- Chce mnie pani zniechęcić?
- A planuje pan działać na własną rękę? W takim razie, tak. Niech się pan zda na zawodowców.
- Pracuję z końmi. Zmrużyła oczy.
- Ale nie zawsze tak było. - Obserwowała go, ale nawet nie drgnął. - Sprawdziłam. Był pan w wojsku, tak? W jednostkach specjalnych? - Założyła ręce na piersi. - I w wywiadzie wojskowym?
Zero reakcji.
- Mówię poważnie, Santana. Proszę się trzymać od tego z daleka. Utrudnianie śledztwa, kłopoty z prawem... To nie jest tego warte.
Ledwo zauważalnie zmrużył oczy.
- Ale ona jest - wycedził i wstał. Nie uśmiechnął się nawet. Spojrzał na psa. - Idziemy, Nakita. - Zagwizdał i husky dźwignął się spod jego krzesła. Alvarez omiotła go spojrzeniem. Cholernie seksowny, całym sobą zdawał się mówić, że na niczym mu nie zależy. Mnóstwo kobiet na to leciało.
Ale mu zależy.
Na Regan.
- Luby Pescoli?
Odwróciła się i zobaczyła Sage Zoller, drobną policjantkę, młodszą od niej o kilka lat. Stała przy swoim biurku. Malutka, ale twarda; Zoller biegała w maratonach i pracowała społecznie z trudną młodzieżą.

- Luby? - powtórzyła Alvarez.
- Wiem, wiem, to trochę staroświeckie, co? Tak mówią o sobie moi rodzice. - Odprowadzała Santanę wzrokiem. - Nie ma co, szorstki facet z psem ma w sobie coś.
- Litości. - Alvarez nie miała ochoty na żarty.
- No dobra, mamy inne sprawy na głowie. Znaleziono kolejny samochód.
- Jeszcze jeden? Oprócz dżipa Pescoli? - Alvarez skupiła się na słowach Zoller.
- Dzisiaj rano, Van Droz przyjęła zgłoszenie. W Boxer Creek, niedaleko Keegan's Corner... Znanego wśród miejscowych jako Zakręt Śmierci.
- Czerwony saturn, rejestracja z Montany, na tyle widoczna, by ustalić, że właścicielką samochodu jest Elyssa O'Leary.
Żołądek Alvarez fiknął salto. Nazwisko brzmiało bardzo znajomo.
- To jedna z zaginionych kobiet. - Usiadła za biurkiem. Wystarczyło kilka kliknięć i otworzyła folder Elyssy Katherine O'Leary. Ciemne włosy, piwne oczy, piegi. Dwadzieścia sześć lat. Studentka pielęgniarstwa. Jedyna córka Marlenę i Briana O'Leary. Alvarez przełknęła ślinę na myśl, że dziewczyna nawet w tej chwili może stać przy samotnym drzewie gdzieś w montańskiej głuszy. Może wciąga w przemarznięte płuca ostatni haust lodowatego powietrza.
- Musimy ją znaleźć.
- I Pescoli.
- Oczywiście! - żachnęła się. - Zaznaczyłaś to? Na mapie?
- Jeszcze nie.
- Idziemy. - Alvarez ruszyła przodem. Minęły ciąg biurek z przepierzeniami i weszły do pokoju operacyjnego. Na ścianach wisiały zdjęcia z miejsc zbrodni. Na mapie okolicy zaznaczono pinezkami, gdzie znaleziono samochody i zwłoki. - Gdzie dokładnie był wóz O'Leary? - Alvarez obeszła wielki stół, przy którym odbywały się zebrania zespołu dochodzeniowego. Puste krzesła tłoczyły się wepchnięte pod blat przez serwis sprzątający. Na stoliku w rogu stał aparat telefoniczny. Czuwał przy nim funkcjonariusz pochylony nad stosem papierów. Ledwie weszły, podniósł głowę, zaraz jednak ponownie zajął się pracą. Wszystkie informacje na temat zbrodni seryjnego zabójcy trafiały właśnie tutaj; Zoller albo ten, komu akurat wypadał dyżur, odbierał i sprawdzał wiarygodność informacji, koordynował je z FBI i detektywami z wydziału.
Odkąd kilka miesięcy temu znaleziono pierwszą ofiarę, Theresę Charleton, przywiązaną do drzewa, zarejestrowano ponad tysiąc połączeń.
I ani jednej sensownej wskazówki.
- Saturna znaleziono dokładnie... - Zoller zerknęła na notatkę trzymaną w ręce. - Sześć kilometrów od zjazdu na Durango.
Alvarez zaznaczyła to na mapie.
- Jeśli zabójca nie zmienił sposobu działania, znajdziemy ją w promieniu trzech kilometrów od samochodu... - Przesuwała palcem po mapie, po kanionach, lasach, górach. - Niech helikoptery zaczną poszukiwania. I tak już szukają Pescoli, prawda?
- Tak. Na razie nic nie mają.
- Nie znajdą jej - mruknęła Alvarez i z ciężkim sercem wbiła szpilkę w mapę tam, gdzie znaleziono samochód Regan. - Jeszcze nie czas. Sukinsyn czeka. Chce, żeby były zdrowe, gdy...
- Wiem. - Zoller energicznie kiwała głową, aż fluorescencyjne światło z jarzeniówek pod sufitem odbijało się w jej ciemnych, kręconych włosach.
Selena krytycznie przyglądała się mapie, usiłowała coś wymyślić, dostrzec obszar, który uszedł ich uwadze, ustalić miejsce, gdzie prawdopodobnie porzuci następną ofiarę. Zerknęła na powiększone kserokopie listów, które przybijał do drzew nad głowami ofiar. Były do siebie bardzo podobne; rysunek gwiazd i litery. Chce im coś powiedzieć, ale co?

- Czy ktoś zawiadomił rodziców O'Leary? - zwróciła się do Zoller.
- Jeszcze nie.
- Poczekajmy z tym, póki nie obejrzymy samochodu. Zdenerwowana, z poczuciem, że umyka jej coś ważnego,
Alvarez zawróciła do swojego biurka i po raz kolejny przestudiowała zgłoszenie zaginięcia. Ojciec Elyssy, Brian, zaklinał się na wszystkie świętości, że nikt na świecie nie chciałby skrzywdzić jego córeczki, chyba że jej były chłopak, Cesar Pelton, rozwodnik, ojciec dwojga dzieci i „nicpoń, który nie potrafi utrzymać pracy". Pelton, jeśli wierzyć ojcu Elyssy, kilka razy ją pobił, choć nigdy nie zgłosiła tego policji. Jej matka, cicha, skromna kobieta, milczała, ani nie potwierdzając, ani nie zaprzeczając wersji męża.
Jest źle, a będzie gorzej, pomyślała Alvarez, wyjrzała na dwór i zobaczyła pierwsze płatki śniegu.

W ciągu piętnastoletniej kariery psychologa doktor Jalicia Ramsby widziała już wszystko, całą gamę chorób psychicznych: od depresji klinicznej po chorobę dwubiegunową, od schizofrenii poprzez rozdwojenie jaźni do zespołu stresu posttraumatycznego, by wymienić tylko kilka. Pomagała alkoholikom, samobójcom, pacjentom dotkniętym depresją maniakalną lub autyzmem. Pracowała w klinikach, szpitalach, schroniskach, nawet w więzieniu.
Bez trudu potrafiła rozpoznać symulanta.
Tak przynajmniej się jej wydawało.
Jednak pacjentka z pokoju 126 okazała się nie lada zaskoczeniem.
Jalicia siedziała w swoim nowiutkim gabinecie w ośrodku Mountain View, wpatrzona w zapierającą dech w piersiach panoramę gór Olympic na zachód od Seattle i bębniła palcami po stoliku, na którym stała butelka dietetycznej coli, jej poranna dawka kofeiny. Coś jest nie tak, coś, czego nie potrafiła jeszcze uchwycić. Na razie. Spojrzała na schludne biurko. Oprócz napoju, na blacie stała szklanka z kostkami lodu, zdjęcie jej córeczki zrobione podczas szkolnej uroczystości, wazon z białą różą i akta. Piętnaście lat zapisków, badań, diagnoz, obserwacji, wywiadów.
Przejrzała je dwukrotnie, próbując zrozumieć Padgett Renee Long. Na darmo. Z innymi pacjentami nie miała takich problemów. Nie wszyscy dawali się wepchnąć w schludne, małe psychiatryczne szufladki, ale przynajmniej ich choroby nie były nowe, zetknęła się już z podobnymi przypadkami, wiedziała, jak z nimi pracować.
Z Padgett było inaczej.
Odwróciła się z fotelem i obrzuciła wzrokiem biblioteczkę - ścianę książek z najróżniejszych dziedzin. Szukała znajomych tytułów, ale cały czas myślała o milczącej kobiecie z pokoju 126. Piętnaście lat bezgłośnych modlitw i ani jedno słowo.
A jednak w chabrowych oczach Padgett kryła się inteligencja. Jalicia to wyczuwała.
Nie znalazła natchnienia w swoim księgozbiorze. Odwróciła się z powrotem do biurka, otworzyła butelkę, nalała coli do szklanki z lodem i patrzyła, jak piana wznosi się i opada, jak pękają mikroskopijne bąbelki, tworząc delikatną mgiełkę. Podeszła do okna.
Z szarego nieba spływały strugi deszczu. Chmury zasłaniały widok. Tylko rząd lampek na drzewach rosnących po obu stronach podjazdu przypominał, że nadchodzą święta Bożego Narodzenia.
Jalicia sączyła colę i patrzyła, jak na parking dla niepełnosprawnych wjeżdża sedan. Wysiadł z niego mężczyzna w grubym płaszczu i kapeluszu. Otworzył bagażnik, wyjął wózek inwalidzki, a potem pomógł na nim usiąść potężnej kobiecie.
Zadzwonił telefon na biurku. Jalicia odwróciła głowę.
- Ramsby - rzuciła do słuchawki. Zerknęła na akta i na zegarek. Za dziesięć minut ma zebranie męskiej grupy terapeutycznej.

- Pani doktor, chciałam tylko poinformować, że dzwonił do pani niejaki Barton Tinneman. Prawnik Padgett Long.
Jalicia podeszła do biurka, otworzyła akta Padgett na pierwszej stronie. Rzeczywiście, widniało tam nazwisko Tinneman.
- Wzięłaś od niego numer? - zapytała, ponownie patrząc na zegarek.
- Oczywiście.
- Prześlij mi go, a oddzwonię, gdy tylko będę mogła. - Najchętniej zrobiłaby to od razu, ale uznała, że rozmowa o Padgett Long zajmie więcej niż dziesięć minut.
- Oczywiście.
Jalicia rozłączyła się i dopiła colę. Może z rozmowy z prawnikiem dowie się czegoś więcej o tajemniczej Padgett Long.

Wyszedł.
Zza drzwi nie docierał żaden dźwięk, a blask ognia widoczny w szparze pod drzwiami tracił na sile. Jeśli Regan ma stąd uciec, teraz nadeszła odpowiednia chwila.
Tylko że jeśli nie odgryzie sobie ręki, jest w potrzasku. Nie ma siły, żeby ściągnąć kajdanki. Cholera jasna, Pescoli, myśl. Nie poddawaj się. To twoja szansa.
Była obolała, żebra dawały się we znaki, bark dopominał się pomocy lekarskiej, ale zawsze dobrze znosiła ból, dzięki czemu w szkole i na studiach osiągała świetne wyniki w sporcie. Pamiętała, jak kiedyś rozegrała cały mecz koszykówki ze skręconą kostką i zdobyła zwycięskie punkty. Ale ten ból był inny, wszechogarniający i musiała się koncentrować, by się z nim uporać.
Nie ucieknie, jeśli jakimś cudem nie uwolni się od tego cholernego łóżka. Wstała powoli, cały czas skuta, i przyjrzała się kajdankom. Łóżko zrobiono z metalu, było składane, ale noga, do której ją przykuł, nie dawała się unieść. Bez kluczyka do kajdanków albo obcęgów jej sytuacja jest beznadziejna...
„Tam, gdzie jest problem, znajdzie się i rozwiązanie", przemknęły jej przez głowę słowa ojca.
Obmacała nogę łóżka. Porywacz przyspawał ją do kawałka blachy przyśrubowanej do podłogi. Czyli albo zajmie się spawem, albo śrubą. Ponieważ nie ma ani śrubokrętu, ani noża, pozostaje jej spaw. Obejrzała go najdokładniej, jak to było możliwe w mdłym świetle, i nagle poprawił jej się humor. Nie wyglądał zbyt solidnie. Pierwszy słaby punkt.
Może jednak ma szansę.
„Bez ryzyka nie ma zabawy", znowu miała w uszach głos ojca. Usiłowała kopnąć w nogę łóżka, ale skuta, nie miała siły. Może prędzej coś osiągnie, rzucając się na posłanie całym ciężarem, raz za razem - może wtedy osłabi spoinę. Spróbowała. Rzuciła się na łóżko i z całej siły szarpnęła ręką.
Ból przeszył ją od stóp do głów.
Zagryzła usta, żeby nie krzyczeć.
Pięć minut później wyczerpana opadła na posłanie. Nie, tak nie da rady. Musi wymyślić coś innego.
Oczyma wyobraźni widziała Nate'a Santanę, jego szelmowski uśmiech i błyszczące oczy. Leżał w poprzek łóżka.
- Dasz radę, pani detektyw - powiedział. - Jeśli tylko chcesz, zrobisz dosłownie wszystko.
Nagle miała łzy w oczach. Chciałaby tak wierzyć w siebie, jak on w nią wierzył.
Spróbuj jeszcze raz.
Zacisnęła zęby w oczekiwaniu na paraliżujący ból, wstała i rzuciła się na łóżko, szarpiąc ręką.

Ból przeszywał, wibrował w żebrach, był jak nóż przecinający mięśnie. Nie, to zły sposób. Powoli wstała, kopnęła w metalową nogę - bez efektów. Odetchnęła głęboko, postawiła bose stopy na podłodze, zacisnęła zdrową dłoń na kajdankach i z całej siły szarpnęła ciałem w tył. Nic.
O Boże.
Jeszcze raz.
Zacisnęła usta i szarpnęła się do tyłu, wkładając w to całą energię.
Czy to tylko jej wyobraźnia, czy coś drgnęło? Jasne, wszystkie mięśnie i ścięgna w twoim barku.
- Jeszcze raz - wycedziła przez zęby, spocona mimo zimna. Zebrała się w sobie, policzyła do trzech i w kolejny ruch włożyła całą swoją złość. Rzuciła się w tył, szarpiąc za kajdanki.
Tak, naprawdę to poczuła. Złącze słabnie.
Musi walczyć dalej.
Bez względu na to, jak bardzo to bolesne.
Zanim wróci sukinsyn, który ją tu uwięził.

Jęk po drugiej stronie kabla mówił wszystko.
Alvarez pomyślała, że ten dźwięk będzie miała w uszach, choćby żyła sto lat.
- Nieeee! - Marlenę O'Leary zawodziła na całe gardło. Jej mąż, przy drugim aparacie, wydawał się bardziej opanowany.
- Znaleźliście tylko samochód, nie Elyssę - powtarzał, desperacko szukając choćby iskry nadziei.
- To prawda. - Alvarez wyjaśniła sytuację, świadoma, że rujnuje im życie.
- Nieeeee... Nieeeee!
- Cicho, matka! - poprosił Brian O'Leary, ostro, ale i z uczuciem. - Jeszcze nie wiemy, co z Elyssą.
- Ale... Ale... o Boże... Nie! - Chyba brakowało jej powietrza.
- Marlenę, uspokój się. Zaraz do pani oddzwonię, dobrze?
- Moje dziecko, nie, nie, nie. - Szlochała załamana kobieta. Alvarez słyszała, jak O'Leary ją uspokaja. Wyobraziła sobie potężnego, mrukliwego mężczyznę, jak obejmuje drobną żonę, podtrzymuje ją, gdy ich świat wali się w gruzy.
Rozłączył się.
- Przykro mi - powiedziała. Było jej niedobrze. Powinna być twarda i gruboskórna, tylko tak wytrzyma w świecie tragedii i rozpaczy, jakim jest wydział zabójstw. Zazwyczaj sobie radziła, ale rozmowy z najbliższymi ofiar, przekazywanie hiobowych wieści sprawiało, że czasami wątpiła, czy wybrała właściwy zawód.
Odłożyła słuchawkę i usiadła za biurkiem. A Elyssa O'Leary uśmiechała się do niej z fotografii w prawie jazdy.
Może jeszcze żyje.
Ale ekipa poszukiwawcza się nie odezwała, a śnieg padał i padał.

Rozdział 10

Dzień dobry, panie Tinneman, tu doktor Ramsby z ośrodka Mountain View w Seattle. Prosił pan, żebym oddzwoniła. Jestem lekarzem prowadzącym Padgett Long. - Jalicia siedziała w gabinecie. Od pięciu minut czekała, aż sekretarka Tinnemana połączy ją z szefem i teraz, gdy w końcu się odezwał, z trudem kryła irytację.
- Dobrze, bardzo dobrze. Czekałem na pani telefon - zapewnił pospiesznie. - Chciałem tylko poinformować, że zdrowie ojca Padgett ostatnio bardzo się pogorszyło. Od pewnego czasu

przebywał w domu opieki, bardzo dobrym. Regal Oaks to najlepszy tego typu ośrodek w Denver, ale ostatnio było z nim coraz gorzej i kilka tygodni temu podjęto decyzję o umieszczeniu go w hospicjum. Obawiam się, że stan pana Longa będzie się nadal pogarszał. Nie wiadomo, czy dożyje końca miesiąca... A może nawet tygodnia.
- Bardzo mi przykro. Dziękuję za informację. - Jalicia czekała telefonem prawnika kryje się coś więcej, była tego pewna.
- Jeśli chodzi o opiekę nad Padgett, proszę być spokojną. Hubert dopilnował, żeby do końca życia niczego jej nie brakowało. Ustanowił fundusz powierniczy, więc nic się nie zmieni. Proszę nadal wysyłać nam rachunki, a my będziemy je natychmiast regulowali, jednak... Nareszcie przechodzi do sedna, pomyślała Jalicia.
- Widzi pani, Padgett i Hubert byli bardzo zżyci przed jej wypadkiem i... zastanawiałem się, w jaki sposób poinformować ją o jego stanie i czy w ogóle mówić jej cokolwiek na ten temat.
- Panie Tinneman, my nie oszukujemy pacjentów.
- Nie, nie, skądże znowu. Tylko że ja... No cóż, nie widziałem Padgett ostatnio.
Ostatnio? Delikatnie mówiąc. Jalicia sprawdziła bazy danych - nazwiska Tinneman nie było na liście odwiedzających Padgett. W ciągu minionych osiemnastu miesięcy pojawiły się tylko dwie osoby - jej brat, Brady, ponad rok temu, i niejaki Liam Kress, przyjaciel rodziny, który bywał w miarę regularnie. Ale nikogo z firmy Sargent, McGill i Tinneman.
- Co pan sugeruje? - zapytała i zerknęła na zegarek.
- Że informacja o stanie ojca może źle na nią wpłynąć. Że może zapragnąć wziąć udział w pogrzebie, o ile to oczywiście możliwe.
Doktor Ramsby pomyślała pacjentce z pokoju 126. Czy ona się w ogóle zorientuje? Przyjmie do wiadomości, że jej ojciec umiera? Przeglądała akta. Padgett Long zgłosiła się do Mountain View z własnej woli, nie było nakazu sądowego. Jeśli zechce, może w każdej chwili stąd wyjść, choć mało prawdopodobne, by zdawała sobie z tego sprawę.
- Czy przyjedzie po nią brat albo ktoś z rodziny?
- Nie wiem.
- Opiekun?
- Nie ma kogoś takiego, musielibyśmy go zatrudnić.
- Ktoś od was?
- Och, nie, nie sądzę.
- Panie Tinneman, czego pan ode mnie oczekuje?
- Chciałem tylko, by orientowała się pani w sytuacji - odparł zwięźle.
- Dziękuję.
Znaleźli się w martwym punkcie. Tinnemanowi chodziło o coś więcej, ale nie miał odwagi powiedzieć tego wprost. W końcu rzucił nonszalancko:
- A czy pani zna Padgett Long, doktor Ramsby?
Jalicia się najeżyła.
- Jestem jej lekarzem.
Po drugiej stronie słuchawki nastała długa cisza, a potem jej rozmówca odezwał się drewnianym głosem, jakby w jednej chwili stracił cały urok swojskiego chłopaka z Montany:
- Jest pani nowa w Mountain View. Może nie zdążyła pani jej poznać. Ja natomiast pracuję dla rodziny Longów od wielu lat.
- To moja pacjentka. Jeśli chce mi pan coś powiedzieć... -W głosie Jalicii pojawiły się chłodne nuty. Nie lubiła ludzi, którzy nie potrafili nazwać rzeczy po imieniu.
- Ona także ma swoje prawa - mówił, jakby chciał przekonać nie tylko ją, ale i samego siebie.
- Jestem tego świadom. Ona pewnie też. Nie wiem tylko, jak zareaguje na wiadomość o stanie zdrowia ojca albo na informację o jego śmierci. Jak już mówiłem, byli bardzo zżyci. Do widzenia pani.

Jalicia odłożyła słuchawkę i tępo wpatrywała się w telefon. Co to było? I co, do cholery, dzieje się z Padgett Long? Otworzyła grube akta i postanowiła, że zacznie od początku, gdy szesnastoletnia Padgett, niema i przerażona po urazie głowy, do którego doszło podczas wyprawy żaglówką, przybyła do Mountain View. Spędziła pół życia, wszystkie swoje dorosłe lata, tu, w zamkniętym zakładzie psychiatrycznym.
Enigmatyczna rozmowa z Bartonem Tinnemanem tylko spotęgowała przeczucie doktor Ramsby, że coś jest nie tak.

Pescoli otarła sobie prawy nadgarstek, posiniaczyła go kajdankami przymocowanymi do nogi łóżka. Nie pomogła osłona że skrawka koca, który sukinsyn jej zostawił. Co chwila rzucała się całym ciężarem do tyłu, chcąc obluzować zespawane złącze. Druga ręka była na razie w znośnym stanie.
Nie myśl o tym. Próbuj dalej. Masz coraz mniej czasu. Ten bydlak zaraz wróci, wiesz o tym.
Pociła się, słone krople zalewały oczy, spływały po plecach mimo przeraźliwego chłodu w pomieszczeniu.
Czuła, że noga ustępuje. Była pewna, że wyczuwa mniejszy opór i że jeszcze trochę, a się uwolni, prawda?
Ale ile jeszcze?
Czy zdąży?
Czy da radę?
Zacisnęła usta i ponownie zabrała się do pracy. Nie miała lepszego pomysłu, by stąd uciec, więc ta metoda musi zadziałać.
Musi!
Raz po raz wstawała na tyle, na ile pozwalały okowy, lekko zgarbiona, a potem rzucała się w tył, ciągnęła z całych sił, zaciskając zęby, żeby nie krzyczeć.
Nie miała pojęcia, ile czasu już minęło, tylko jaśniejące niebo sugerowało, że zmienia się pora dnia, ale widziała niewiele; a z powodu zachmurzenia trudno było określić godzinę.
Wiedziała tylko, że musi się spieszyć.
Na szczęście narkotyk, którym ją naszprycował, przestał działać i odzyskała jasność myślenia, choć oczywiście po jego powrocie sytuacja może się zmienić. A w takim razie, kiedy wejdzie do pokoju, ona musi udawać, że ciągle jest zamroczona.
O ile nadal tu będzie.
Dobry Boże, oby nie.
Błagała opatrzność, by jak najdłużej nie wracał, albo, jeszcze lepiej, żeby zdołała go pokonać, zdobyć broń, zaskoczyć. Niech dupek sam się przekona, jakie to uczucie, patrzeć w wylot lufy, czuć ostrze noża na gardle.
Problem w tym, że gdyby zdobyła broń, wątpiła, czy zdołałaby się powstrzymać, czy nie zastrzeliłaby go od razu.
Zdawała sobie jednak sprawę z tego, że powinna go aresztować.
Zaprowadzić na posterunek.
Przesłuchać - może są jeszcze inne ofiary?
Dać mu dzień sławy w sądzie.
Niech sprawiedliwości stanie się zadość.
- Bzdura - mruknęła i szarpnęła się w tył. Czuła, jak zimny metal wbija się w ciało.
Wydawało jej się, że ramię zaraz wyskoczy ze stawu. To ma być sprawiedliwość? Czy to, co zrobił jej i pozostałym, było w porządku? Czy można zadośćuczynić takiej krzywdzie?
Zacisnęła powieki, wbiła stopy w podłogę, pewna że, o Boże, błagam, że coś drgnęło.
- Dawaj, dawaj - szeptała przez zaciśnięte zęby. Tak! Poczuła ruch. Minimalny.
O Jezu, oby tak było.
Niemożliwe, by jej wysiłki poszły na marne.

Na chwilę pochyliła się do przodu, zrobiła kilka głębokich wdechów. Mięśnie bolały, żebra utrudniały oddychanie, ale stłumiła pokusę, by zakopać się pod kocem i w ciemności dygotać z zimna. Przygotowała się, upewniła, że kajdanki są na punkcie złączenia i szarpnęła.
Nie pozwoli, by drań wygrał.
Nie podda się bez walki.
Oczami wyobraźni zobaczyła dzieci. Bianca, na progu kobiecości, bystra dziewczyna, która niedawno odkryła istnienie chłopców. Jeremy. O Boże. Wybrał złą drogę. Popala marihuanę, zajmuje się nie wiadomo czym, pije, romansuje z Heidi Brewster.
Co z nimi będzie, gdy jej zabraknie?
Czy Lucky i Michelle zdołają ich wychować?
To byłaby katastrofa.
Boże, daj mi siłę.
Sapała głośno, ciężko, ale cały czas mocowała się z coraz słabszą spoiną. Ma za dużo rzeczy do załatwienia, by skończyć Jako ofiara psychopaty.
Przez chwilę pomyślała o Santanie i jej serce fiknęło koziołka. Nigdy nie uważała, że go kocha, sama się do tego nie przyznawała, ale, o Boże, myliła się i to jak. Jego inteligencja, jego uśmiech. Jego dłonie, to, co z nimi robił...
Przestań!
Musi się skoncentrować.
Ze względu na dzieci.
Ze względu na Nate'a.
Za żadne skarby nie pozwoli świrowi wygrać, o nie!

Tyler McAllister był ujarany. A to jeszcze nawet nie południe.
Nie żeby zazwyczaj miało to jakieś znaczenie, ale dzisiaj, wobec zaginięcia mamy, Jeremy nie miał czasu na idiotyzmy McAllistera. Siedział na fotelu pasażera i nerwowo bębnił palcami o szybę. Tyler tymczasem zapalił papierosa, uruchomił silnik swojego chevroleta blazera i zaraz nacisnął hamulce. Suv wpadł w poślizg, a McAllister roześmiał się, przekonany, że to świetna zabawa.
Jeremy był innego zdania.
- Przestań! - Jego krzyk przedarł się ponad basy jakiejś heavy-metalowej kapeli, której nie znał.
- Co? - MacAllister odzyskał kontrolę nad wozem, włączył wycieraczki. Znowu padał śnieg - nie wielkie, ciężkie płaty, ale drobne lśniące kryształki, znak, że pogoda się pogorszy. Gałęzie świerków były ciężkie od lodu i śniegu. Dobrze, że na drogach był niewielki ruch, bo McAllister wcale nie jest dobrym kierowcą.
Wjechali na wzgórze. Stąd droga prowadzi coraz wyżej i wyżej, aż do przełęczy Horsebrier. Po drugiej stronie wije się jak wąż wzdłuż strumienia, ale tu, wyżej, przecina góry w linii prostej.
- Popatrz tylko! - Tyler z kretyńskim uśmiechem nacisnął pedał gazu i obserwował, jak wóz wpada w poślizg. Okna zaczynały zachodzić mgłą, ale zdawał się tego nie zauważać. - Ha! - Znowu przyspieszył.
Jeremy był wkurzony.
- Weź, daj... - Jeremy wyłączył iPoda. W samochodzie zapanowała nagła cisza.
- Co ty wyprawiasz, do cholery?
- Nie mam czasu na to gówno! Zawieź mnie do domu, do cholery, i przestań błaznować.
- Chyba wstaliśmy dzisiaj lewą nogą - zażartował Tyler piskliwie, jakby przedrzeźniał głos matki.
Co wkurzyło Jeremy'ego jeszcze bardziej.
- Przestań, dobrze? Po prostu... Przestań! Prosiłem, żebyś mnie podrzucił do domu i tyle.

- Co cię ugryzło, do cholery?
- Moja matka zaginęła.
- No to masz szczęście. - Tyler wzruszył ramionami. - Zapłaciłbym, żeby moja zaginęła. To straszna suka.
Jeremy zacisnął pięści i mało brakowało, a uderzyłby Tylera.
- Zamknij się, dobrze?
McAllister skrzywił się, zrobił minę jak małe dziecko. Papieros ciągle zwisał mu z ust. Wyglądał jak idiota... Którym naprawdę był.
Przez ułamek sekundy Jeremy zastanawiał się, czy matka przypadkiem nie ma racji, czy nie powinien poszukać sobie innych przyjaciół, ale ta myśl zniknęła równie szybko, jak się pojawiła.
- Jedź, dobrze?
Tyler wypuścił kłąb dymu z płuc i włączył iPoda na cały regulator, tak że drżenie basów wyczuwało się całym ciałem, a wokalista piszczał nieprzyjemnie. Może właśnie tego mi trzeba, pomyślał Jeremy, zapomnienia. Lekkiego szumu, który zagłuszy niepokój, wyciągnie go z bagna, w które się zapadał.
- Ej... Co jest? - Pół kilometra przed przełęczą Tyler zobaczył znak objazdu. Nie mógł jechać dalej. Drogę blokował wóz policyjny i pachołki drogowe. Wysoka policjantka kierowała ruchem i wskazywała, że mają jechać boczną drogą albo zawrócić. Tyler się żachnął. - I co teraz, do cholery?
Jeremy'emu zrobiło się niedobrze.
- Zatrzymaj wóz.
- Co?
- Zatrzymaj się, teraz.
- Ale to glina! - Tyler powiedział to takim tonem, jakby zdradzał mu wielką tajemnicę.
- Wiem.
- Słuchaj, to kiepski pomysł...
- Moja mama też jest policjantką.
- Mówię ci, jeśli się zatrzymamy, popełnimy błąd.
- Po prostu zrób, o co proszę.
- Cholera! - Ledwie Tyler zahamował, Jeremy wyskoczył na oblodzoną nawierzchnię. Uczepił się drzwiczek, żeby odzyskać równowagę, i, cały czas trzymając się samochodu, obszedł go od tyłu. Otoczyła go chmura spalin, bo gaźnik blazera od dawna domagał się wymiany.
- Ej! - zawołał do policjantki. Obserwowała każdy jego ruch.
- Nie ma przejazdu, droga zamknięta - powiedziała i przecząco pokręciła głową. Zmarszczyła brwi. Była zła. Miała na sobie kapelusz o szerokim rondzie i mundur policji drogowej stanu Montana. Oczy nikły za okularami przeciwsłonecznymi.
- Ale dlaczego?
- Wypadek. - Miała poważną minę. Lustrzane szkła zasłaniały oczy. Padający śnieg osiadał na rondzie jej kapelusza i na ramionach Jeremy'ego. Wiatr przybierał na sile, pogwizdując cicho w kanionie. - No, spadaj stąd.
Spojrzał poza nią, na wzgórze, i zobaczył wóz holowniczy ustawiony na skraju wąwozu.
- Nie mogę - wyszeptał. Głos go zawodził, żołądek się zbuntował. - Obawiam się, że to moja mama miała ten wypadek.
Policjantka zacisnęła usta.
- Nazwisko?
- Jeremy Strand. - Trząsł się cały od środka. - Moja matka to Regan Pescoli, detektyw.
- Z okręgu Pinewood?

- Tak. - Z trudem przełknął ślinę. Dowiedzieć się o wypadku to jedno, a zobaczyć go na własne oczy to co innego. Po raz pierwszy pomyślał, że naprawdę mogła zginąć. Jeśli go okłamano... Zrobiło mu się niedobrze. - Była w samochodzie? - Widząc kamienną twarz policjantki, dodał szybko: - Mówili, że nie. Ktoś dzwonił dzisiaj do ojczyma. Powiedzieli tylko, że znaleźli jej wóz, ale jej samej w nim nie było.
- Wracaj do domu - powiedziała. - Do ojczyma. Zadzwonić po niego?
Ale Jeremy prawie jej nie słyszał; patrzył na wóz holowniczy, który stał na skraju przepaści. Ludzie w specjalnych śnieżnych ochraniaczach stali z boku. Kanion wypełniał monotonny warkot silnika.
Jeremy nie odrywał wzroku od rozpadliny.
Jak przez mgłę słyszał, że Tyler odpala silnik, dając mu do zrozumienia, że czas na nich. Widział dezaprobatę na twarzy policjantki, ale ani drgnął. Patrzył, jak wrak dżipa matki pojawia się nad krawędzią kanionu. Gdy zobaczył poskręcaną karoserię i wybite szyby, ogarnęły go mdłości.
Nikt, nawet jego twarda matka, nie mógł przeżyć takiego wypadku.
Na pewno zginęła.

To będzie łatwe, myślę sobie, gdy parkuję furgonetkę nad strumieniem, powyżej rancza.
Prosta sprawa.
Inna niż poprzednie.
Wyjątkowa.
Na tę okazję czekałem wiele lat.
Będę się nią rozkoszował.
Jak to się mówi? Zemsta najlepiej smakuje na zimno? Coś w tym stylu. No, bardziej zimna być nie może, temperatura ciągle spada, a ja czekałem piętnaście lat.
Teraz nadeszła właściwa chwila.
Sprawdziłem.
Brady Long jest sam.
Wyjmuję strzelbę z wozu i ruszam w stronę głównego budynku.
Na pewno właśnie tam się rozgościł. Książę pan na zamku.
Znowu pada śnieg. Drobne płatki, które tańczą i wirują, zmieniają krajobraz, zniekształcając widok i tłumiąc odgłosy dnia.
Idę ścieżką wzdłuż strumienia, bezbłędnie, na pamięć. Pokonywałem ją w przeszłości setki razy.
Szybko.
Przedzieram się przez sosnowy zagajnik i już widzę dom. Jest jakieś pięćdziesiąt metrów ode mnie, na dachu piętrzy się śnieg, okna straszą ciemnością, tylko na parterze płoną światła, rozświetlają szary poranek, zapraszają do środka.
Z trudem powstrzymuję uśmiech, ale strofuję się, że na świętowanie przyjdzie pora, gdy dopełnię zemsty, gdy Brady Long po raz ostatni nabierze tchu. Dopiero wtedy będę się rozkoszował sukcesem. Dopiero wtedy sprawiedliwości stanie się zadość.
Wędruję wąską ścieżką wydeptaną przez jelenie, widzę helikopter na lądowisku. Łopaty śmigła trwają w bezruchu, na szybach osiada śnieg.
Jestem coraz bliżej domu. Skręcam, biegnę do garażu na końcu zabudowań, z dala od okien w salonie. Mam na sobie biały strój i stapiam się z otoczeniem, ale ostrożności nigdy nie za wiele. Element zaskoczenia jest niezbędny.
Przy drzwiach nasłuchuję.
Oczywiście, z głośników już bucha muzyka. Brady Long to niewolnik nawyków. Co tylko ułatwia moje zadanie.

Tylne drzwi są otwarte, nie muszę zawracać sobie głowy kluczem. Wchodzę bezszelestnie, idę przez kuchnię do holu. Zaglądam do salonu. Pusto.
Serce bije mi coraz szybciej. Pocę się w kombinezonie narciarskim, przesuwam bursztynowe gogle na czubek głowy, bo zachodzą mgłą. Muszę dobrze widzieć. Muszę wycelować.
Idę do gabinetu.
I oczywiście jest tam. Siedzi w wielkim skórzanym fotelu, z nogami na biurku, z cygarem w dłoni, w szklaneczce przed nim bursztynowy płyn z kostkami lodu. Burbon, jak się domyślam. Na kominku płonie ogień, na blacie poniewierają się dokumenty. No jasne. Testament Huberta. Brady jest nieznośnie przewidywalny.
Ma zamknięte oczy i wtóruje muzyce, śpiewa jakiś przebój z lat osiemdziesiątych, krzywi się, jakby był znanym rockmanem.
Kretyn.
Podnoszę broń do policzka. Celuję. Ale chcę, by przeżył chwilę strachu, żeby mnie zobaczył, żeby zrozumiał, że wreszcie sprawiedliwości staje się zadość.
- Long! - wołam. Otwiera oczy.
Rozpoznaje mnie od razu i zapomina o piosence.
- Co do cholery?
Ale wie.
Jego mina mi to mówi.
Chce się ruszyć, zerwać z fotela.
Za późno.
Pociągam za spust.

ROZDZIAŁ 11

Ivor Hicks przekroczył linię graniczną dzielącą tereny rządowe od ziemi Huberta Longa, pieprzonego drania, najgorszego ze wszystkich. Z tego, co słyszał, Hubertowi niewiele już czasu zostało na tej ziemi. I dobrze mu tak.
A jednak, choć nie lubił włóczyć się ani po terenach federalnych, ani po włościach Longa, tego ranka poczuł przymus, by to zrobić. Oczywiście wiedział, kto za tym stoi.
Generał Crytor, pieprzony gadzi przywódca, który w latach siedemdziesiątych uprowadził Ivora na statek kosmiczny, nadal się nim posługiwał. Jak niewolnikiem. Niewidzialny chip, który wszczepili mu kosmici, zmuszał go do posłuszeństwa wobec Crytora. Pewnie dlatego artretyzm tak bardzo daje mu się we znaki. Przez Crytora i tę cholerną pogodę. Mimo grubej kurtki, czapki, butów i rękawic czuł przenikliwy chłód, którego nie zdołał rozpędzić nawet Jim Beam. Pieprzone pomarańczowe dwunożne gady o wężowych oczach i jaszczurczych łbach. Crytor, przywódca, był najgorszy, ale inni - niewiele lepsi. Pochylali nad nim pomarańczowe łby, dźgając go, pobierając próbki i wprowadzając sondy do jego ciała. Cud, że w ogóle przeżył. Stwory z kosmosu przeprowadzały na nim eksperymenty, badały wszystko, od płuc po jądra.
Wątpił, by po porwaniu mógł jeszcze mieć dzieci.
- Gadzie sukinsyny! - sapnął w zimowym powietrzu. Wiatr zdawał się natrząsać z niego i piszczeć z radości, jakby uważał go za wariata. Może to i lepiej. Nie wiedział, w jakim stopniu Crytor ma wgląd w jego myśli, ale na pewno słyszał jego słowa, bo nieraz odczuł gniew dręczyciela - zsyłał mu takie bóle głowy, że dorosły mężczyzna płakał jak dziecko.
Buch!
Huk, jakby wystrzału - czyżby polował tu kłusownik? Albo odgłos rury wydechowej samochodu, który utkwił gdzieś na zaśnieżonej drodze.
Pieprzeni idioci z bronią.

To dopiero czubki.
Szedł dalej. Choć w całym Grizzly Falls nikt nie wierzył w jego opowieść o porwaniu, nawet doktor Norwood, który go leczył, Ivor wiedział swoje. Znaleziono go niemal nagiego, z pustą butelką whisky u boku, i dlatego wszyscy uznali to, co mu się przydarzyło, za pijackie brednie.
- Halucynacje, psiakrew - mruknął i skrzywił się, czując ukłucie bólu w skroniach. Znowu Crytor. Gadzina ma chyba takie same opory, jeśli chodzi o przekleństwa, jak jego żona Lila, świeć Panie nad jej duszą. Przeżegnał się szybko i brnął dalej w śniegu. Nie był katolikiem, nie był nawet pewien, czy Bóg istnieje, ale miał własne zasady i zawsze się żegnał, ilekroć myślał lub mówił o zmarłej żonie. Dzięki temu czuł się lepiej. Czasami nawet katolikom coś się uda.
Śnieg padał ciężkimi płatami, okulary zaszły mgłą. Gdzie tym razem zabiera go cholerny gad? Obawiał się tego, bo podczas ostatniej wędrówki, na którą zabrali go kosmici, znalazł zwłoki dziewczyny, nagiej, przywiązanej do drzewa. Jezu, to było straszne. Niemal równie straszne, jak jego los: obawiał się, że znowu go porwą. Na samą myśl o tym ręce zaczęły mu się trząść. Nie wróci tam, o nie! Tym razem nie przeżyłby tego. Ściągnął zębami rękawicę, sięgnął do kieszeni, odkręcił butelkę. Przed oczami stanęła mu martwa dziewczyna. Azjatka. Za życia pewnie była ładna, ale kiedy ją znalazł, miała fioletowe usta, siną skórę, szkliste oczy i śnieg w ciemnych włosach.
Wendy Ito.
Tak się nazywała.
Policjanci go przesłuchiwali. Później dziennikarze. Oczywiście rozmowa zawsze schodziła na temat porwania, zawsze. W latach siedemdziesiątych sprzedał prawa do swojej relacji pewnej gazecie. Teraz rozważał napisanie książki.
O Jezu, staruszek Crytor wkurzyłby się, że hej. Ivor rozejrzał się dokoła. Wszędzie biało. Padający śnieg tworzył zasłonę tak szczelną, że z trudem widział, co się znajduje trzy metry od niego.
Pociągnął kilka haustów whisky, czuł, jak ciepło spływa w dół gardła. Już miał schować piersiówkę, ale może jeszcze łyczek... Nie zaszkodzi, nie w tym cholernym zaśnieżonym lesie.
Zimowa kraina cudów, mawiała Lila o montańskiej głuszy. Jak w piosence. Ivor nigdy nie dał się na to nabrać i po raz kolejny wściekał się na siebie, że nie wziął tej roboty w Teksasie, którą proponowali mu trzydzieści pięć lat temu. Lila dostała szału. Jak to, ma zostawić chorą matkę? I zabrać syna ze szkoły, gdzie tak dobrze mu idzie? Więc Ivor został w kopalni, w kopalni miedzi Huberta Longa, i siedział tam, póki dał radę. Póki Lila nie zrobiła mu numeru i nie zmarła w 1978 i póki cholerny Crytor nie porwał go rok później. Wtedy przestał być panem swojej woli. Nie wyjebał ani do Teksasu, ani nigdzie indziej.
A teraz skóra mu cierpła na myśl, że jest na terenie Huberta.
Z bliskości Longów nigdy nie wynikło nic dobrego, już on to wiedział. Przed laty oznajmił to Lili, ale go wyśmiała. „Nie wiesz, Co mówisz" - zbeształa go, wsiadając do starego dodge'a. Jechała do pracy - stała za barem w Spot, popularnej knajpie. „Hubert jest w porządku i zawsze daje mi duże napiwki".
Ivora to nie przekonało. Jeszcze jeden łyk whisky. Zakręcił butelkę. Już prawie pusta, do cholery. A pamiętał, że ją napełniał przed wyjściem, zanim wyruszył na wyprawę w nieznane. Trochę kręciło mu się w głowie, szczerze mówiąc.
To sprawka Crytora i jego przeklętego chipa.
Wciągnął rękawicę, przekroczył strumień, zły, że pozwala sobą manipulować. Dlaczego właśnie jego wtedy wybrali?
Nie miał za wiele czasu na rozważania; zobaczył dom. Jezu, w tym olbrzymie zmieściłoby się sześć, siedem, a może nawet osiem jego chałupek. Spadziste dachy, trzy piętra,

wykuszowe okna. A to tylko myśliwski domek Huberta, jedna z jego wielu posiadłości porozrzucanych na terenie całego kraju.
Niektórym powodzi się aż za dobrze.
Zatrzymał się i uświadomił sobie, że stoi w korycie strumienia. Mało brakowało, a straciłby równowagę.
W niektórych oknach palą się światła, zauważył, choć okulary zaszły mu mgłą. Pewnie gosposia, Clementine, i jej dziwaczny synalek, Ross... Nie, nie tak. Ross, o właśnie, ma na imię Ross. Dwudziestoletni byczek, a nadal mieszka z matką. Gdzieś tu, na terenie posiadłości Huberta Longa.
Ale w sumie co w tym dziwnego?
Ivor wspinał się na stromą skarpę. Laska nie na wiele się tu zdała. Złapał się korzenia i podciągnął, żeby znaleźć się bliżej domu, choć sam nie wiedział, po co tu przyszedł. Może Clementine zrobi mu kanapkę albo zaproponuje coś do picia - jak dawniej, kiedy wykonywał drobne prace w domu. Reperował szuflady, wymieniał cieknące krany, ot, drobiazgi...
Zatrzymał się, żeby złapać oddech. Zdjął zaparowane okulary. Bez nich nie widział dalej niż na półtora metra, wszystko przez kataraktę.
Majstrował przy nich, mało brakowało, a wycisnąłby szkło, a w końcu wypadły mu z ręki. Pochylił się i zaczął obmacywać śnieg, ale nagle przerwał.
Zobaczył coś?
Ruch po lewej?
Przeszył go dreszcz. Zmrużył oczy, szukając po omacku cholernych okularów.
Nic.
To tylko wyobraźnia.
Pochylił się ponownie i wtedy znowu zobaczył ruch. Drżenie w śnieżnej kurtynie... Jakby duch przemieszczał się wśród pokrytych szadzią sosen.
Znieruchomiał.
Wstrzymał oddech.
I znowu to zobaczył.
O cholera, to nie duch! Do diabła! Potężny biały stwór biegł niezdarnie przez podwórko. Yeti! Tak jest! Pieprzony człowiek śniegu gna w stronę lasu z maczugą w łapie. Boże, Boże drogi. Najpierw kosmici, a teraz to? Czy to z powodu yeti Crytor kazał mu tu dzisiaj przyjść? Pod dom Huberta Longa? Chce mu coś udowodnić? Dodać sobie wiarygodności?
Z bijącym sercem obserwował, jak bestia się rozpędza, mija lądowisko, na którym przycupnął pod śnieżną pierzynką helikopter, mknie między drzewami i nagle odwraca wielki łeb, kierując spojrzenie okrutnych, bursztynowych ślepi prosto na niego.
Ivor wydał zduszony okrzyk. Mało brakowało, a stanęłaby mu pikawa. To już koniec. Bestia go zatłucze, ma przecież wielką ciemną maczugę... A może to strzelba? Czyżby yeti osiągnęły poziom ewolucji, który pozwala im posługiwać się bronią palną? Cofał się, zsunął z brzegu i modlił jak nigdy, nagle żarliwy chrześcijanin.
A Bóg chyba przemówił do potwora, bo ten się odwrócił i pomknął przez śnieg, aż migały czarne łapska.
- Boże, dopomóż - szeptał Ivor. Trzymał się za serce, nasłuchiwał jego bicia, czuł płatki śniegu na twarzy zwróconej ku niebu. Ocalono go. Kto? Bóg? Crytor? Czy zwyczajny łut szczęścia?
A może yeti cierpią na krótkowzroczność?
Nieważne. Był uratowany.

Jezu Chryste, czy nic nie może pójść gładko?
Co, do cholery, stary grzyb robił na ziemi Longa?

Tyle lat czekania, tyle planów, tyle starań, by w pobliżu nikogo nie było, a stary pryk zjawia się nagle, bo wybrał się na zimowy spacerek po ziemi Brady'ego Longa.
Uspokój się.
Nie panikuj, nie teraz.
Niemożliwe, żeby cię rozpoznał.
Ale zawsze istnieje ryzyko.
Wracam do furgonetki, zdejmuję rękawice i biały kombinezon narciarski. Wszystko, strzelba także, spoczywa bezpieczne w skrytce pod podłogą. A ja mam na sobie to co zwykle, dżinsy, flanelową koszulę, puchową kamizelkę i kurtkę. Nikt nie widział, jak się przebieram, nikt niczego nie podejrzewa.
A jednak stary tam był!
Powinienem był strzelić, kiedy miałem go na muszce.
Oszczędziłbym sobie nie lada kłopotu.
Ale nie... Lepiej trzymać się planu. Stary jest na wpół ślepy, a poza tym pewnie był pijany w sztok.
Nic ci nie grozi, wszystko jest w porządku. Jedź do miasta, zamów śniadanie, jak zwykle... Zadbaj, żeby cię widziano.
Mknę szosą łączącą Grizzly Falls z posiadłością Longa. Jestem coraz dalej. Powoli ogarnia mnie spokój, który zjawia się zawsze, gdy mijają emocje związane z zabójstwem. Tym razem jest inaczej, zupełnie inaczej, ale nadal przepełnia mnie poczucie dobrze wykonanej roboty.
- Misja wypełniona - mruczę pod nosem, zerkam w lusterko i skręcam w boczną drogę.
Uśmiecham się na myśl, ile zamieszania wywołałem jednym zabójstwem.
O ile staruszek wszystkiego nie popsuje.
Cały czas słyszę ten wkurzający głos. Zarzuca mi, że nie dopilnowałem wszystkiego, że to nie było działanie perfekcjonisty. Towarzyszy mi nawet w miasteczku, gdy parkuję w swoim ulubionym miejscu. Nie marnuję czasu, wysiadam i ruszam w stron? głównej ulicy, która w tej części miasta biegnie wzdłuż rzeki. Mijam budynek sądu i gigantyczną choinkę przed nim. Na chodniku przemarznięty do kości wolontariusz z dzwonkiem w ręku zbiera pieniądze dla biednych.
- Wesołych świąt - mówi. Kiwam głową, jakby nadchodziły najwspanialsze, najbardziej radosne dni w całym roku. Ba, wyjmuję nawet banknot dolarowy z kieszeni dżinsów i wrzucam do puszki.
- Niech pana Bóg błogosławi - słyszę.
- Dzięki. - Patrzę mu prosto w oczy. Gdybyś tylko wiedział. Z dłońmi w kieszeniach idę wąskimi uliczkami. Zmierzam
do Dzikiego Willa, restauracji, w której przez cały dzień podają zestawy śniadaniowe i gdzie spotykają się tubylcy. Przekraczam próg, mijam wypchanego grizzly przystrojonego świątecznymi dekoracjami. Grizz, stojący na tylnych łapach, to lokalna atrakcja; ozdoby na nim zmieniają się wraz z porami roku. Żałosne.
Dzisiaj nad jego głową widnieje lekko przekrzywiona sztuczna aureola, równie sztuczne anielskie skrzydła wyrastają mu z pleców, a szyję otacza sznur lampek. Szczerzy kły w gniewnym grymasie, szklane ślepia łypią groźnie, ale w łapie trzyma śpiewnik z kolędami. Jasne, kudłaty misio nakręca się, śpiewając Cichą noc.
Niektórym to się wydaje zabawne. Dla mnie jest ordynarne.
Bez słowa biorę darmową gazetę i idę za Sandi, właścicielką, do stolika. Sandi, jak zwykle, ma zbyt ostry makijaż. Nalewa mi kawy i puszcza oko, gdy zamawiam śniadanie farmerskie - jaja na bekonie i ziemniaki zasmażane z cebulą. Sandi mnie lubi.
- Mamy też świeżego pstrąga... Może wolisz go zamiast bekonu? - Pokazuje w uśmiechu zbyt duże zęby.

- Poproszę jedno i drugie. - Jestem głodny, a poza tym chcę, żeby mnie zauważyła, zapamiętała, że tu byłem.
- Już się robi! - Jest zadowolona, nie zawraca sobie głowy spisywaniem zamówienia. - Co się stało? - pyta nagle. Patrzy na policzek, na zadrapania, dzieło tej cholernej Pescoli, których nie zakrywają baki.
Uśmiecham się.
- Wypadek przy pracy.
- Ryś? - pyta.
- Gorzej. - Udaję, że się peszę. Nalewa mi kawy. - Bawiłem się z psem znajomego, za bardzo się nachyliłem i oberwałem łapą. - Podnoszę pełny kubek, kręcę głową.
- Spory ten pies.
- Owszem. - Spoglądam na kartę dań, żeby zmienić temat.- Jaki dzisiaj macie placek?
Uśmiecha się i zerka na ladę.
- Z dynią, cytrynowy, jabłecznik i agrestowy.
- Poproszę agrestowy.
- Z bitą śmietaną czy lodami?
- Z lodami. - Posyłam jej takie spojrzenie, jakbym chciał powiedzieć: nie sądzisz chyba, że można jeść go inaczej? Śniadanie i placek to nietypowe zamówienie, ale tym bardziej mnie zapamięta.
- Ej, Sandi, poproszę dolewkę! - dobiega męski głos od stolika przy oknie.
- Już idę, Manny - rzuca przez ramię. Czuję, jak serce staje mi w piersi. Manny Douglas to podły szczur, lokalny dziennikarz z „Mountain Reporter", miejscowego szmatławca. To Manny pierwszy użył określenia „morderca z Bitterroot".
Pochylam się nad kawą i rozkładam darmową gazetę, ten sam szmatławiec, dla którego pracuje Manny. Nie zwracam na niego uwagi. Rozmawia teraz z Sandi. Boże, oddałbym wiele, żeby poczuł, kim naprawdę jest morderca z Bitterroot. Manny postawił sobie za punkt honoru zdemaskować mnie. Oczywiście to mu się nie uda. Ale i tak mnie wkurza.
Żałosny typ, myślę, gdy przeglądam gazetę. Jego metaliczny głos dochodzi spod okna:
- Nie, jeszcze nie - mówi jak to on, z zadęciem i dumą. - Ale mam pewne podejrzenia. Od początku wiedziałem, że ta kobieta ze Spokane to niepotrzebna strata czasu. Morderca to miejscowy, zna te okolice jak własną kieszeń. Nie przybywa z daleka.
I tu masz rację, gnojku, myślę sobie, ale obojętnie piję kawę i udaję, że interesują mnie wiadomości sportowe. Najchętniej zamknąłbym mu gębę na wieki, ale nie ma tego w scenariuszu. A zatem nic mu nie grozi. Gdyby wiedział, jak długo pracowałem, jak planowałem, jak wybierałem właściwe kobiety...
- ...Sądzę, że jestem na tropie. Zaintrygowało mnie to. Przekładam stronę.
- Naprawdę? - Sandi udaje, że ją interesuje, co ma do powiedzenia i dolewa kawy Manny'emu oraz kobiecie, której ten chce zaimponować. Nie znam jej.
Upijam kolejny łyk, zerkam ukradkiem w ich stronę i napotykam jego spojrzenie. Czyżby wiedział? Domyślił się? Wytrącił mnie z równowagi, ale to ukrywam i kiwam mu głową, przyjacielsko, a on krzywi się pogardliwie i ponownie koncentruje na jedzeniu i nieznajomej brunetce.
Czuję, jak na twarz wypełza mi rumieniec. Zgasił mnie. Z trudem panuję nad sobą, udając, że nic mnie to nie obchodzi.
Sandi podaje mi półmisek. Już odzyskałem kontrolę.
- Proszę bardzo. - Uśmiecha się od ucha do ucha. - Kiedy skończysz, podam placek.
- Dzięki.
- Pstrąg jest pyszny, mówię ci - oznajmia głośno, jakby chciała go zareklamować pozostałym gościom.

Odchodzi. Zaczynam jeść, ale nie czuję smaku potraw. Jestem zbyt spięty. Na nic próby wyciszenia: spotkanie ze starym na terenie Longa, uwaga Sandi o policzku i zachowanie dziennikarza oznaczają, że muszę być ostrożny. Teraz bardziej niż kiedykolwiek.
To prawda, Brady Long właśnie wykrwawia się na śmierć, a Regan Pescoli jest moim więźniem, ale przede mną jeszcze dużo Pracy. Za wcześnie, by spocząć na laurach.
Już czas, postanawiam, gdy Sandi, jak zawsze czujna, dolewa mi kawy. Niech gryzipiórek ma o czym pisać.
Gwiazdy nie są jeszcze w odpowiednich pozycjach, ale nie mogę dłużej czekać.
Muszę przekazać wiadomość policji.
Już wkrótce.
Sandi stawia przede mną talerz ciasta z gałką lodów. - No to do dzieła - mówi i odchodzi do innego stolika, żeby i tam dolać kawy.
Tak, myślę sobie i sięgam po widelec. Wkrótce.

Rozdział 12

Coś jest nie tak.
Coś nie gra.
Mijając rezydencję w drodze do swojego domku, Santana zauważył, że w gabinecie palą się światła, a tylne drzwi, prowadzące z parkingu do domu, są otwarte na oścież. Czerwonego volkswagena Clementine nie było tam, gdzie zwykle, natomiast samochód Rossa z napędem na cztery koła zajmował swoje stałe miejsce, niewidoczny pod kilkunastocentymetrową warstwą śniegu.
Co samo w sobie wcale nie było dziwne.
Może wcześnie wyszła, skorzystała z chwilowej poprawy pogody, która znowu się chyba zmieniała.
Czy dzisiaj rano widział jej samochód?
Tak mu się zdawało.
A więc to nic takiego...
Ale drzwi... I zapalone światła. I jeszcze dym z komina. Hm,
Zaparkował obok garażu i ruszył w stronę otwartych drzwi. Ekran z siatki kołysał się na wietrze.
Dziwne.
Dostrzegł dwa pasma śladów zmierzające w kierunku domu od strony parkingu i jedno pozostawione przez kogoś, kto stąd wyszedł. Śnieg już je zasypywał. Wytężył wzrok i zobaczył helikopter na lądowisku. Na łopatach śmigła i ogonie gromadziły się kryształki lodu.
A więc Brady Long wrócił.
Syn marnotrawny Huberta.
Dobrze. Musi z nim pogadać i wyjaśnić, że potrzebuje kilka dni wolnego. Mimo ostrzeżeń Alvarez, Santana nie miał zamiaru siedzieć z założonymi rękami, gdy Regan zaginęła. O nie. Oszalałby. Zresztą wbrew temu, co twierdziła Alvarez, mógł się przydać. Zanim poszedł do wojska, polował i tropił. I miał intuicję, która mu mówiła, gdy coś było nie tak. Jak na przykład teraz.
Fakt, że Long wrócił, nie tłumaczył otwartych drzwi ani podwójnej linii tropów. Ross, syn Clementine, to kawał chłopa, ale ślady się nie zgadzały. Chyba że ktoś przyleciał z Bradym helikopterem, a potem wyszedł.
Wyobraźnia płata ci figle, skarcił się.

Jednak zawsze polegał na swoim przeczuciu i wiedział, że musi to sprawdzić. Upewnić się, że wszystko jest w porządku.
Zacznie od domu, a potem, jeśli poniesie go wyobraźnia, podąży za tropem, zanim śnieg zasypie go całkowicie.
Już przy drzwiach usłyszał muzykę. Głośną. Guns N'Roses. Axl Rose przekrzykujący gitarowe riffy Slasha.
Zapach cygarowego dymu wypełniał długi hol.
Tak, Brady Long wrócił.
Zobaczył gazety na stole i przekąski czekające na szefa. Dzieło Clementine. Panicznie bała się utraty pracy i robiła, co w jej mocy, byle zadowolić jedynego syna Huberta.
A zatem wiedziała, że się zjawi, ale nie powiedziała o tym Santanie.
Jasne, tylko kiedy ostatnio ją widziałeś?
Idąc za zapachem kubańskiego cygara, podszedł do podwojach drzwi gabinetu. Od razu zobaczył Brady'ego Longa w fotelu Za biurkiem, z plamą krwi na koszuli. Jego usta się poruszały, ale chyba nieświadomie.
- Jezu! - Santana błyskawicznie znalazł się w środku. - Brady, do cholery! - Dobiegł do fotela. - Brady, hej! Brady! Co się stało? - Serce waliło mu jak oszalałe, gdy starał się przekrzyczeć głośną muzykę. - Clementine! Ross! - Ale oczywiście nikt mu nie odpowiedział. - Cholera! - Usiłował dłonią zatamować krew, drugą ręką podniósł słuchawkę telefonu na biurku i wybrał numer pogotowia. Dyspozytorka zgłosiła się od razu.
- Słucham, w czym...
- Mężczyzna z raną w piersi, ledwo żyje, wygląda na postrzał, potrzebna karetka, natychmiast. Ranczo Huberta Longa. - Przerażony czuł pod dłonią coraz słabsze bicie serca Brady'ego. Jednocześnie przeczesywał wzrokiem pomieszczenie; szukał śladów napastnika albo broni na podłodze, która sugerowałaby, że Brady chciał popełnić samobójstwo. Ale dostrzegł jedynie cygaro żarzące się na dywanie, Brady zapewne upuścił je, gdy go zaatakowano, i szklaneczkę bursztynowego płynu na biurku. Kostki lodu rozpuszczały się powoli. - Karetkę! Natychmiast!
- Jak się pan nazywa?
Boże, jak ona może być tak spokojna?
- Nate Santana, pracuję u Brady'ego Longa, wszedłem do domu i znalazłem go w gabinecie. Wykrwawi się na śmierć, jeśli ktoś tu zaraz nie przyjedzie! - Rozejrzał się w poszukiwaniu czegoś, co pomogłoby mu zatamować krwawienie. Za długo to wszystko trwa. - Mam go zawieźć do szpitala?
- Nie, proszę nie ruszać rannego! Połączę pana z sanitariuszem, już wysłałam karetkę. Proszę się nie rozłączać.
- Ale mamy tu helikopter i...
- Proszę nie ruszać rannego, rozumie pan? Pomoc już jedzie.
- Cholera jasna. - Przełączył telefon na interkom i zajął się szefem, ale wiedział, że jest już za późno. Long patrzył tępo przed siebie, blady, z krwawą pianą na ustach, które poruszały się nieskładnie. - Trzymaj się, Brady, na miłość boską! - Santana czuł, jak ciepła krew przepływa mu przez palce. - Trzymaj się!
Co tu się działo? Czyżby ktoś wszedł i zastrzelił Longa za biurkiem?
Dyspozytorka coś mówiła; musiał podnieść słuchawkę, bo przez głośną muzykę nie słyszał jej słów.
- Panie Santana? Jest pan tam?
- Tak! - Czasu było coraz mniej. A pierwsza pomoc, której uczył się przed laty, niewiele tu pomoże.
- Łączę pana z karetką. Już do pana jadą. Long zaczerpnął tchu, głośno charcząc.

- Do diabła, niech się pospieszą! - Skupił się na Bradym. Tyle krwi, strasznie dużo krwi. Oczy rannego zasnuły się mgłą. - Brady! - krzyczał, próbując przywrócić mężczyznę do przytomności. - Brady, zostań ze mną!
Ale już wiedział, że jest za późno.
Skończyła się piosenka Sweet *Child O'Mine*, a wraz z nią życie Brady'ego Longa.

- Co to, kurwa, jest? - sapnął Tyler.
- Nie wiem, ale wcale mi się nie podoba. - Jeremy wpatrywał się przez zaparowaną szybę wozu McAllistera. Przejeżdżali przez mały mostek nad potokiem, zbliżając się do polany, na której stał dom Jeremy'ego.
Przed pokrytą śniegiem chatą parkował policyjny radiowóz, tuż za pikapem Jeremy'ego.
- Spadamy stąd.
- Nie!
- Człowieku, mam towar! - Tyler wpadł w panikę. Obawiał się, że go przyłapią z marihuaną i kilkoma tabletkami leków na receptę, które podwędził wujowi. - Ja tu nie zostaję. Nie ma mowy. To gliny, do cholery.
- Świetnie. Spadaj. - Jeremy wysiadł i trzasnął drzwiczkami. McAllister zawrócił tak szybko, że samochodem aż zarzuciło, i zniknął za mostkiem.
Jeremy ruszył w stronę domku ścieżką wydeptaną przez wiele osób, które się tu kręciły. Potężny ciemnoskóry facet stał w drzwiach. Był to koleś o dziwnym imieniu, który pracował w biurze szeryfa.
- Jeremy Strand. - Mężczyzna na jego widok zszedł z ganku. Kiedy mówił, z jego ust wydobywały się obłoczki pary. - Jestem z policji, nazywam się Rule.
Teraz sobie przypomniał. Kayan Rule. Mama zawsze ciepło się o nim wyrażała. Że to porządny gliniarz.
- Gdzie moja mama?
- Nie wiem, chłopcze.
- Wszyscy to mówią, ale widziałem jej samochód. W fatalnym stanie. Wrak. Wyciągali go z kanionu.
- Nie było jej tam, jeśli o to ci chodzi. - Policjant szedł w jego stronę. Zmarszczył brwi.
- A gdzie jest?
- Nie wiemy. Dlatego tu jesteśmy.
- Tutaj jej nie ma.
- Masz rację.
- Była w swoim dżipie. Jechała do ojczyma. I wtedy to się stało.
- Na to wygląda.
- I co? Zginęła? - zapytał. Strach pulsował w skroniach, sprawiał, że zbierało mu się na wymioty. Jego ojciec nie żył; Jeremy wiedział aż za dobrze, co to znaczy stracić kogoś najbliższego. Zrobiło mu się słabo.
- Jak powiedziałem, nie wiemy tego.
- Ale ona nikomu nie pozwalała usiąść za kierownicą służbowego wozu, nawet mnie! - Mimo zimna pocił się ze zdenerwowania. Na pewno nic jej się nie stało. Na pewno. - No dobra, jechała tym samochodem, ale skoro jej nie znaleźliście we wraku, może jest w szpitalu ranna albo, o Boże... martwa, albo... - Upiorna myśl, która cały czas czaiła się na progu świadomości, podniosła swój paskudny łeb. Poczuł, że zaraz zwymiotuje, ślina napływała mu do ust. - Nie powie pan chyba, że... że ten cholerny zabójca... Przecież złapali tę kobietę w Spokane... - Nie, to nie tak. Słyszał w telewizji, że osoba aresztowana w Spokane prawdopodobnie nie ma nic wspólnego z serią zabójstw. - O nie. - Przecząco kręcił głową, łypiąc gniewnie na policjanta, do którego o wiele bardziej pasowałby strój koszykarza NBA niż policyjny mundur.

- Jeremy, mówiłem ci już, że na razie nic nie wiemy. Co ty tu robisz? Szukasz mamy?
- Owszem. I chciałem zabrać swój wóz.
Rule zerknął na drogę, na której zniknął suv McAllistera.
- Dobra, niech będzie.
- Pewnie, że dobra. To mój samochód.
Choć nie powiedział tego głośno, na tyle uważnie słuchał matki, że wiedział, co policjantowi chodzi teraz po głowie: dom, podjazd to potencjalne miejsca zbrodni.
Strach, raz obudzony, nie dawał za wygraną, ogarniał go mroczną chmurą, ściskał serce.
- Ja... Chciałbym też wejść do środka. Rule zawahał się i przecząco pokręcił głową.
- Poczekaj na razie.
- Muszę?
- Robimy, co w naszej mocy, żeby znaleźć twoją mamę, a ty nawet niechcący mógłbyś zatrzeć jakieś ważne ślady. Wsiadaj do samochodu i jedź do kolegi albo do ojczyma. Masz młodszą siostrę, prawda?
Jeremy milczał.
- Zaopiekuj się nią.
Jeremy nie chciał okazać, jak bardzo się denerwuje.
- Dobrze - odparł, choć zamierzał wrócić, gdy tylko policja odjedzie. Jego żołądek znowu fikał salta, więc splunął na śnieg i podszedł do swego pikapa. Usiadł za kierownicą, przekręcił kluczyk w stacyjce i słuchał, jak silnik krztusi się i kaszle, zanim w końcu zaskoczył. Odczekał chwilę, włączył ogrzewanie, a potem wysiadł, żeby zeskrobać szron, który oblepiał szyby.
Rozdzwoniła się jego komórka. Spojrzał na wyświetlacz.
SMS od Heidi.
„Gdzie jesteś? Uziemiony? Wpadnij do mnie".
O tak, żeby jej ojciec, szef mamy, zamordował go gołymi rękami. Nie, dziękuję. Nie dzisiaj. Nie teraz, gdy mama zaginęła.
Heidi jest fajna. Droczy się z nim, ale wiedział, że niedługo się zgodzi na wszystko, a on był wiecznie napalony. O Jezu, oddałby wiele, żeby sobie ulżyć.
Ale nie teraz.
Nie dzisiaj.
Nie odpisał, skoncentrował się na zeskrobywaniu szronu z szyb.
I nagle myśl o seksie z Heidi Brewster nie była już tak kusząca.

Santana słyszał w oddali wycie syren. Kawaleria podąża z odsieczą, ale nie na wiele się to zda. W każdym razie Brady'emu już nie pomogą. Jego dusza właśnie puka do piekielnych bram. I nie wróci na ziemię.
Santana wyłączył muzykę i podniósł cygaro, które wysunęło się z palców Brady'ego. Odłożył je do popielniczki, gdzie nadal się żarzyło, i od razu wiedział, że będą na niego wściekli za dotykanie przedmiotów na miejscu zbrodni. No cóż, nie zdołał uratować Brady'emu życia, ale przynajmniej nie dopuści do spalenia domu.
Matko święta, co tu się działo?
Santana usiadł na obitej skórą kanapie naprzeciwko biurka, spojrzał na swoje zakrwawione ręce i ubranie i pomyślał smętnie, że nigdy nie przebywał z Bradym Longiem tak długo w tym samym pomieszczeniu bez kłótni. Udało im się dopiero po śmierci jednego z nich. Aż dziw, że tyle czasu u niego pracował.
Rozejrzał się po pokoju. Nie ma śladów walki. A jednak ktoś go zabił.
Kto wiedział, że wraca dzisiaj?
Oczywiście Clementine.
Zapewne także jej syn, Ross.

Żadne z nich nie było zdolne do zabójstwa. Clementine była tak uległa, że Santanie robiło się niedobrze na samą myśl o tym, a Ross to tylko duży dzieciak, który pomaga na ranczu. Często pracował w stajni, karmił bydło...
Owszem, poluje.
Owszem, ma strzelbę z celownikiem.
Ale morderstwo?
A jeśli Ross wszedł do gabinetu i zastał Brady'ego i Clementine w niedwuznacznej sytuacji? Jak zareagowałby, widząc, że jego matka jest kochanką szefa?
Nie, to bez sensu.
Morderstwo było zbyt eleganckie.
Jak robota zawodowca.
Nie do końca. Kula trafiła go w klatkę piersiową, nie w głowę. Zawodowiec najpierw strzela w głowę.
Santana rekonstruował przebieg wydarzeń. Wszystko wskazywało na to, że Long siedział za biurkiem, słuchał Guns N'Roses, rozkoszował się cygarem i drinkiem, i wtedy ktoś go załatwił.
Kto?
I dlaczego?
Mnóstwo ludzi, mnóstwo motywów. Brady Long narobił sobie w życiu wielu wrogów. Ale żeby morderstwo?
- Kogo aż tak wkurzyłeś? - zapytał trupa. Syreny wyły coraz głośniej. Nakita szczekał w samochodzie.
Whisky Longa ciągle stała na biurku, kostki lodu roztopiły się niemal zupełnie. A nieboszczyk siedział w fotelu i wpatrywał się w dal pustym wzrokiem.
Santana usłyszał coś jeszcze.
Kroki?
Ciche stuknięcie i znowu kroki, charakterystyczny odgłos skórzanej podeszwy.
Włosy na karku stanęły mu dęba.
Czyżby morderca nadal był w domu? Czyżby wracał, żeby się Przekonać, czy Brady nie żyje? Może Santana mu przeszkodził swoim nagłym wtargnięciem na scenę zbrodni.
Nie wyciągaj pochopnych wniosków. Może to Clementine. Może jest w domu, a jej samochodem pojechał syn. A może to Ross, zostawiła go na ranczu, a sama wybrała się do miasta.
Co oczywiście nie zmieniało faktu, że ktoś zamordował Brady'go Longa.
Santana wstał, przemknął pod ścianę bezszelestnie jak kot i ukrył się za drzwiami tak, że wchodzący nie mógł go zobaczyć.
Miał przy sobie tylko nóż, którym rozcinał bele siana. Nie na wiele się zda, jeśli napastnik ma broń palną.
Czekał.
Stuk.
Krok.
Otworzył nóż. Wsłuchany w bicie własnego serca, czekał, gotów do skoku, wpatrzony w otwarte drzwi.
Syreny wyły coraz bliżej i nagle okno zalały kolorowe światła kogutów, a ambulans zahamował z takim impetem, że śnieg prysnął na szyby.
- Co do... - zapytał męski głos tuż za drzwiami. Santana zacisnął dłoń na rękojeści.
- Brady? Matko przenajświętsza! - Drżący głos uniósł się gwałtownie. - Yeti ci to zrobił?
Yeti?
Po chwili do gabinetu wkroczył Ivor Hicks, opierając się na lasce.

Rozdział 13

Nie obchodzi mnie twoje zdanie. Nie zrobię z siebie pośmiewiska i nie będę prowadził śledztwa, korzystając z pomocy psycholi, jasnowidzów i świrów! - Szeryf Dan Grayson był w fatalnym humorze. Szedł do gabinetu. Sytuacji nie poprawiał fakt, że jedna z jego najlepszych policjantek sugerowała rozwiązania paranormalne.
- Grace Perchant coś wie. - Alvarez nie dawała za wygraną.
- Grace Perchant nie wie niczego. - Był w Spokane, gdzie niemal przez całą noc analizował zeznania naśladowczyni i prawie nie zmrużył oka. Wrócił wczesnym rankiem i dowiedział się że znaleziono wrak wozu Pescoli, a jakby tego było mało, trafiono na kolejny samochód, co może sugerować następne przestępstwo. Czerwony saturn zarejestrowany na jedną z zaginionych kobiet. A Alvarez, zazwyczaj taka rozsądna i twardo stąpająca po ziemi, proponuje, żeby porozmawiał z cholerną Grace Perchant, która ma kontakty z duchami! Co za bałagan.
- Grace dzwoniła. Śniło się jej...
- Na miłość boską, i o to chodzi? Śniło się jej? Słuchaj, mam w nosie, czy śniło jej się, że śpi jak pieprzony nietoperz, głową w dół! To wariatka. Wszyscy o tym wiedzą. Wiesz co? Pogadaj z tymi z FBI, niech przesłuchają miejscowych świrów, może mają jakiś wydział paranormalny jak w tym serialu, ale ja się na to nie zgadzam. Nie narażę się na kpiny!
- Mało poprawne politycznie - zauważyła Alvarez.
- Gwiżdżę na poprawność polityczną. - Żachnął się, zirytowany. - Usiłuję złapać seryjniaka, który upodobał sobie mój okręg i traktuje go jak własny plac zabaw.
- I dlatego nie wolno nam niczego zaniedbać.
Czy ona naprawdę sugeruje, by przesłuchać Grace Perchant? Samozwańczą zaklinaczkę duchów? Zdaniem Graysona Grace była po prostu dziwaczką i tyle. Nieszkodliwą, co prawda, ale dziwaczką, koniec, kropka.
- Lada chwila będziesz chciała przesłuchać Ivora Hicksa i Henry'ego Johansena.
- Jeśli to ma pomóc w śledztwie. - Ogień w ciemnych oczach. - Przed chwilą dzwonił do mnie funkcjonariusz obecny przy wyciąganiu samochodu Pescoli z wąwozu. Wygląda na to, że jedna z opon jest przestrzelona.
Urzeczywistniły się najgorsze obawy Graysona.
- Sukinsyn.
- No właśnie. - Selena była wściekła, jej policzki płonęły. - I dlatego uważam, że nie możemy niczego ignorować. Chciałabym po prostu sprawdzić, co wie Grace.
- Już była przesłuchiwana.
- Przed zaginięciem Pescoli.
Stali pod drzwiami jego gabinetu. Kwasy żołądkowe wypaliły mu dziurę w brzuchu. Cały czas był myślami z Pescoli, z kobietą, z którą przepracował wiele lat. Jakim prawem mówi Alvarez, jednej ze zdolniejszych policjantek, jakie znał, co ma robić, skoro sam nie ma lepszego pomysłu.
- Rób, co uważasz za stosowne. - Zbył ją machnięciem ręki. Wiedział, że zachowuje się jak dupek, ale było mu wszystko jedno.
Rozdzwoniła się jej komórka. Alvarez odebrała, odwróciła się i podeszła do swojego biurka. Szeryf ma dość na głowie, niepotrzebne mu awantury.
Grayson wszedł do gabinetu, zdjął kapelusz i kurtkę, wyjrzał przez okno na panoramę miasteczka i rzekę skutą lodem, a potem opadł na fotel i ze zmarszczonymi brwiami spojrzał na stos papierów na biurku. Czy mu się to podoba, czy nie, wszystko wskazuje na to, że Pescoli i Elyssa O'Leary to kolejne ofiary seryjnego mordercy.

Musi być jakiś sposób, by go złapać, dumał. Strzelił kłykciami. Tylko jak? Musi działać szybko. Oczami wyobraźni widział Pescoli, wysoką, silną kobietę obdarzoną złośliwym poczuciem humoru. Była twarda. Sama wychowywała dwoje dzieci i wykonywała kawał dobrej roboty tu, na posterunku. Działała niekonwencjonalnie i, jak na jego gust, zdecydowanie za często naginała zasady, ale zawsze wywiązywała się ze swoich obowiązków. A teraz ma stać się ofiarą? Zazgrzytał zębami na wspomnienie innych kobiet, które morderca pozostawił w lesie na pewną śmierć.
Odepchnął od siebie ponure myśli, włączył komputer i sprawdził pocztę elektroniczną. Wysłał zawiadomienie do wszystkich pracujących nad sprawą seryjniaka, zarządzając na szesnastą zebranie zespołu w sali operacyjnej. Może do tego czasu Chandler i Halden, agenci FBI, skończą w Spokane i wrócą do Grizzly Falls. A jeśli nie, poradzi sobie bez nich.
Nie mógł czekać.
Pogoda jak zwykle stanowi problem, pomyślał, patrząc w okno zasypane do połowy śniegiem. Z okapu zwisały lodowe sople. Ciężka zima, jedna z najmroźniejszych, jakie odnotowano. I jeszcze daleko do końca.
Przetarł oczy, wsłuchany w znajome odgłosy wydziału za drzwiami; dzwoniące telefony, ściszone głosy, szum faksu, miarowe buczenie ogrzewania, pospieszne kroki w holu.
Boże, ależ jest zmęczony. Praca, która kiedyś wydawała się tak fascynująca, w którą rzucił się po odejściu żony, zaczynała dawać mu się we znaki.
Nie pozwól na to. To twoja pasja i twój obowiązek. Po prostu musisz trochę odpocząć.
Odchylił się do tyłu, położył nogi na niewielkiej szafce i walczył z nadciągającą migreną. Zaczęło się od bólu w skroniach, ledwo wylądował helikopter, który przetransportował go tu ze Spokane, tuż przed kolejną burzą śnieżną. Jego stanu nie poprawiała świadomość, że w okolicy nadal grasuje seryjny morderca. Rodziny ofiar domagały się sprawiedliwości, mieszkańcy umierali ze strachu, a media żądały więcej informacji - nadawały w kółko te same rewelacje i walczyły o wywiady z mężami, matkami, ojcami i rodzeństwem zamordowanych kobiet.
A do tego wszystkiego Boże Narodzenie tuż-tuż.
Jakby tego było mało, wszystko wskazuje na to, że Pescoli będzie kolejną ofiarą.
Nic dziwnego, że pęka mu głowa.
Ale i tak nie powinien warczeć na Alvarez. To dobra policjantka. Odwala kawał świetnej roboty. I wiedział przecież, że nie przedłoży opowieści lokalnych dziwaków nad konkretne dowody i fachowe ekspertyzy. Chce jeszcze raz porozmawiać z Grace Perchant? Proszę bardzo, może sobie nawet przesłuchać Eleanor Mackey, która nie tylko strzyże i czesze, ale też czyta przyszłość z dłoni i wywołuje duchy.
Wyjął z szuflady fiolkę aspiryny, otworzył, zażył kilka tabletek i połknął bez popijania.
Nie jadł nic od wczorajszego wieczoru - w Spokane wyszli do baru koło posterunku na hamburgera z frytkami i piwo - ale nie był głodny.
Zadzwonił telefon na jego biurku. Spojrzał na kontrolkę - Joelle.
- Co jest?
- Mam złe wieści - zaczęła uroczyście.
A bywają inne? W pierwszej chwili pomyślał o Pescoli i serce stanęło mu w piersi. Jeśli znaleźli jej zamarznięte ciało, przywiązane do drzewa...
- Tak?
- Dzwoniła dyspozytorka.
Grayson przygotował się na najgorsze. Zacisnął usta.
- Zamordowano Brady'ego Longa. Myślał, że się przesłyszał.
- Co?
- Zabójstwo.
- Brady'ego Longa? - powtórzył zaskoczony. - Gdzie? Kiedy?

- Dzwoniła przed chwilą. Wiadomość przekazał Nate Santana z rancza Longa.
- Santana? Przecież dopiero co tu był. - Grayson dałby sobie rękę uciąć, że widział go na parkingu; Nate wyjeżdżał, gdy on szedł do pracy.
- Mniej więcej godzinę temu. Funkcjonariusze już tam są, Watershed i Connors. I karetka.
- To dobrze.
- I Ivor Hicks.
Grayson zamknął oczy i westchnął głośno. Może być jeszcze gorzej? Opuścił nogi na ziemię.
- Wiadomo, co tam robili? Santana? Hicks?
- O ile wiem, Santana pracował u Longa.
- A Ivor?
- Nie mam pojęcia.
Zły dzień stawał się gorszy z każdą chwilą.
- Już tam jadę. - Rozłączył się, założył kaburę, sprawdził, czy ma w niej broń, wsunął ręce w rękawy kurtki. Wrócił niecałe dwie; godziny temu, nie zdążył nawet wyprowadzić psa, a już rozpętało się piekło. Znowu.
Czasami zastawiał się, czemu nie rezygnuje.
Bo kochasz tę robotę, Grayson. Kogo chcesz oszukać? Mamrocząc coś pod nosem, zdjął kapelusz z wieszaka i podszedł do biurka Alvarez.
- Słyszałaś?
Ślęczała nad kopiami listów, które znajdywano wraz z zamarzniętymi ofiarami. Na ekranie komputera widniały anagramy, bawiła się inicjałami kobiet, usiłowała odczytać wiadomość od mordercy. Zauważył, że dodała inicjały Elyssy O'Leary i Regan Pescoli.
- O Longu? - Skinęła głową.
Nawet jeśli nadal była na niego wściekła po niedawnej rozmowie, nie dawała tego po sobie poznać.
- Jadę tam.
- Mam jechać z tobą?
- Nie, to ja pojadę z tobą.
Łypnęła na niego spod oka, wsuwając pistolet do kabury.
- Nawet jeśli mam zamiar wrócić okrężną drogą, zahaczając o dom Grace Perchant?
O dziwo, czuł, że kąciki jego ust unoszą się w uśmiechu.
- Nie przeciągaj struny, Alvarez.
Nie uśmiechnęła się, ale w ciemnych oczach nie było już tyle wrogości.
- Zawsze możesz wrócić na piechotę. Idziemy.

Była wyczerpana, bolał ją nadgarstek, nie miała siły. Regan opadła na posłanie. Czy w ogóle uda jej się uwolnić? Miała wrażenie, że mocowała się z kajdankami i spojeniem od wielu godzin. I cały czas bała się, że usłyszy jego kroki za drzwiami.
Nie poddawaj się, powtarzała sobie. Dygotała z zimna. Była mokra, a pot jeszcze pogłębiał uczucie chłodu. Tylko kilka minut odpoczynku, tylko chwila.
Powoli wypuściła powietrze z płuc i zebrała resztki sił.
A jeśli metal nie ustąpi?
Jeśli jest mocniejszy, niż się wydaje?
- Ustąpi - przekonywała się. Nie pozwoli, by ogarnęły ją wątpliwości. Tu, w zamknięciu, zimnie i samotności, łatwo skapitulować. Łatwo zdać się na łaskę świra.
Nie pozwoli, żeby ją złamał.
Wypuściła powietrze z płuc, wsłuchana w ciszę. Wiatr walił
O szybę, ale to wszystko. Nie słyszała trzasku gałęzi, ściany nie drżały pod naporem wiatru.
Dlaczego?
Małe okienko było całkowicie zasypane śniegiem, nic przez nie nie widziała.

Rozglądała się po mrocznym pomieszczeniu, starając się odgadnąć, gdzie jest i po raz pierwszy wydało jej się, że wie. Okienko jest tak wysoko, bo to pomieszczenie pod ziemią. Stąd wilgoć, która przyprawia ją o dreszcze, stąd brak odgłosów z zewnątrz.
Myślała, że to jej wyobraźnia, ale nie... To tłumaczy, przynajmniej częściowo, dlaczego policji nigdy nie udało się znaleźć kryjówki psychopaty.
Nie miała pojęcia, gdzie się znajduje. Jak przez mgłę przypominała sobie jazdę w bagażniku pikapa, białego pikapa z przyczepą, tak jej się przynajmniej zdawało. Pojazd był duży, krajowej produkcji. Ford? Chevrolet? Widziała go kątem oka, zanim porywacz zawiązał jej oczy, i cholerny świat, dostrzegła tylko dwie cyfry na tablicy rejestracyjnej: siódemkę i trójkę... a może to była ósemka, tylko śnieg ją częściowo zasłonił?
Trudno powiedzieć. Była nieprzytomna, bo wstrzyknął jej narkotyk, nie mogła walczyć, bo skrępował ją kaftanem bezpieczeństwa i zakneblował szmatą, która śmierdziała wymiocinami i wybielaczem, jakby daremnie usiłował ją doczyścić. Zrobiło jej się niedobrze, ale opanowała żołądek, wiedząc, że jeśli tego nie zrobi, grozi jej zadławienie się własnymi wymiocinami.
Czy obecna sytuacja była lepsza?
Oczywiście!
Nie może pozwolić, by jej umysł wędrował w tamte rejony nie może myśleć, że śmierć jest lepsza niż to. Ucieczka w niebyt to tchórzostwo.
Nie idź tam.
W chwili porwania była oszołomiona, ale zarejestrowała jeszcze, że przywiązał ją do noszy - a może kanu - i ciągnął po śniegu. Leżała sztywno, nieruchoma, niezdolna odgarniać płatków śniegu z twarzy, i wpatrywała się w gałęzie drzew, zamarznięte, białe. Doholował ją do polany i tam zobaczyła samochód. Od razu zdał sobie sprawę z pomyłki, zasłonił jej oczy, zawiązał szalikiem, ciągnąc przy tym boleśnie za włosy, ale wcale się tym nie przejmował. Nie odzywał się, tylko metodycznie ją krępował, a potem wrzucił do samochodu. Działał sprawnie jak myśliwy przyzwyczajony do oprawiania zwierzyny
Śmierdział potem, ale wyczuła też zapach wody kolońskiej, kiedy wrzucał do środka coś jeszcze - nosze? Czyżby były składane?
Zanim zdążyła zidentyfikować leżący obok przedmiot, zamknął drzwiczki, wsiadł do szoferki i odpalił silnik, który zaskoczył od razu.
Samochód ruszył. Pod jego kołami zatrzeszczał lód i śnieg -oddalali się od kanionu poniżej przełęczy Horsebrier. Usiłowała się skoncentrować, nasłuchiwała odgłosów z zewnątrz, liczyła, ile sekund upłynie, zanim zmieni się podłoże. Miała nadzieję, że opony zarezonują na jakimś moście albo zaskrzypią na żwirze, albo że poczuje gładkość asfaltu, ale była oszołomiona i straciła rachubę. Zresztą cały czas jechali po śniegu.
Po pewnym czasie zorientowała się, że świeży śnieg ustąpił bardziej ubitej nawierzchni, jakby dostali się na bardziej uczęszczany szlak, ale nawet to było tylko błyskiem myśli w otumanionej głowie.
Nie wiedziała, jaki dystans pokonali i jak długo trwała ta podróż. Dwadzieścia minut? Pół godziny? Dłużej? Nie miała pojęcia.
Samochód wielokrotnie zwalniał na zakrętach, ale nigdy się nie zatrzymał.
dopiero u celu.
Była przerażona, gdy ją wyciągał. Liczyła, że go kopnie, ale ta nadzieja prysła, gdy ból w rannych żebrach i barku eksplodował z taką siłą, że omal nie zemdlała.
Była u kresu sił, gdy przerzucił ją sobie przez ramię i wniósł do środka... Teraz, gdy usiłowała sobie to wszystko przypomnieć, dałaby głowę, że były stopnie, że jego kroki niosły się echem na betonowych schodach. I tak - prowadziły w dół.

Gdzie jestem, do cholery, zastanawiała się, rozglądając dokoła. Czyżby porywacz, albo ktoś jeszcze przed nim, zbudował podziemną kryjówkę? W jaskini? W starej piwnicy? Czy nad nią jest dom?
Wbiła wzrok w sufit. Ani razu nie słyszała nad głową kroków, ale okienko jest nad ziemią, tak? Spojrzała na mleczną szybę, a potem na rurę, która prowadziła od piecyka na drewno koło drzwi. Nieco dalej leżał stos szczap i pogrzebacz - ileż by dała, by go dorwać! Były tam także stary fartuch i skórzane rękawice, a nawet podpałka do grilla. Zapewne z kompletem odcisków palców.
Spojrzała na palenisko. Nawet z daleka widziała, że to zabytek. Na czymś takim pewnie gotowała jej prababka ponad sto lat temu. Rura nie wchodziła w sufit - skręcała i pod kątem prostym przenikała do sąsiedniego pomieszczenia. Do jego pokoju.
Przesunęła wzrok na drzwi. Solidne, ale odrobinę za krótkie, tak że dołem przenikała smuga światła, gdy tu był i palił w kominku albo włączał lampkę. Widziała jego cień, wiedziała, kiedy podchodził do drzwi, nasłuchując i prawdopodobnie podglądając ją przez judasza w masywnych deskach.
Zbok.
Wzdrygnęła się z obrzydzenia. Nie może tak bezczynnie leżeć i czekać, do cholery. Oprawca może wrócić w każdej chwili. Zrobiło jej się zimno na tę myśl.
Zamknęła oczy, szukając w sobie siły, i znowu pomyślała o Santanie. O jego muskularnym ciele, o łobuzerskim uśmiechu. Potrafił ją rozbawić w niemal każdej sytuacji, a jeśli to mu się nie udało, wystarczyło, żeby dotknął jej karku, pocałował w ramię…
Coś dławiło ją w gardle.
Na miłość boską, przestań. Mażesz się! Jak szlochająca idiotka, a nienawidzisz takich kobiet! Weź się w garść, do cholery!
Działaj!
Zacisnęła zęby i już miała zsunąć się z posłania, gdy to usłyszała.
Nowy dźwięk.
Cichy, żałosny.
Pescoli znieruchomiała.
Czy ma omamy słuchowe?
I wtedy usłyszała to ponownie. Jęk. I coś więcej: żałosne, rozpaczliwe kobiece łkanie.
Ale to nie ona płakała.

Rozdział 14

Za życia nazwisko Brady'ego Longa często pojawiało się w wiadomościach.
Po śmierci będzie o nim jeszcze głośniej, pomyślała Alvarez. Minęła otwartą bramę prowadzącą na ranczo. Przy ogrodzeniu stał już wóz transmisyjny KBTR. Kamerzysta w ocieplanych spodniach i puchowej kurtce rozstawiał sprzęt, a dziennikarka stała obok i przytupywała na zimnie. Z drugiej strony nadjeżdżał kolejny wóz, wzniecając tumany śniegu.
- Skąd wiedzieli? Przed nami? - Grayson dziwił się na głos. Connors, który pilnował, by dalej wjeżdżali tylko policjanci, skinął im ręką.
- Szósty zmysł - odparła Alvarez. Wycieraczki uparcie walczyły z coraz gęstszym śniegiem. Minęli zagajnik sosen i modrzewi. Samochód kołysał się w głębokich koleinach zostawionych Przez pojazdy, które jechały tędy wcześniej. Pomiędzy drzewami migotały czerwono-niebieskie światła policyjnych kogutów. Odbijały się w śniegu i wielkich oknach rezydencji Longów.
Na parkingu koło garażu stał ambulans, a obok niego - dwa wozy policyjne, jeden strażacki i wiekowy pikap z psem w środku.

- Złe wieści szybko się rozchodzą - zauważył Grayson. Zwłaszcza jeśli jest się tak znanym jak Brady Long. Alvarez wyłączyła silnik, otworzyła drzwiczki i wysiadła - prosto w głęboki śnieg. Dreptała za Graysonem do otwartych drzwi prowadzących do domu, podpisała się na liście i weszła do środka - technicy pstrykali zdjęcia i dokonywali pomiarów. Ivor Hicks siedział za stołem kuchennym. Kiedy weszli, podniósł wzrok i chyba odetchnął z ulgą na widok szeryfa.
- Szeryf! Dzięki Bogu, że pan tu jest.
- Ivor twierdzi, że widział yeti - poinformował Watershed.
- Yeti? Wielką Stopę? - Grayson słuchał go jednym uchem.
- No, chyba że sukinsyn jest albinosem. Wszyscy wiedzą, że Wielka Stopa jest czarny albo brązowy. Albo szary. Ja widziałem yeti. Cholernego człowieka śniegu. - Ivor wydawał się zniesmaczony ignorancją szeryfa. - Yeti, rozumie pan? Był tutaj, mówię wam. Potężny, wielki, miał ze dwa i pół metra. Biały, włochaty, z oczami jak lasery!
Watershed spojrzał na Graysona.
- Odmawia badania alkomatem.
- Mówiłem już, wypiłem kilka głębszych. I co z tego? Dzięki temu nie zmarzłem. Ale wiem, co widziałem!
- Co pan tu robił? Na terenie Huberta Longa?
Ivor już otwierał usta, ale zaraz je zamknął.
Watershed uniósł sceptycznie brew i odpowiedział za niego.
- To znowu kosmici. Kazali mu tu przyjść.
- Przecież pomogłem wam z tą Ito, może nie? - Ivor się zaperzył. Łypnął na Watersheda, jakby ten był diabłem wcielonym.
- Zaraz o tym porozmawiamy. - Szeryf spojrzał na podwładnego. - Zadzwoń po jego syna, Billa. Niech się zgłosi po staruszka na posterunek.
- Nie mieszajcie w to mojego chłopaka!
- Albo to, albo izba wytrzeźwień. - Grayson westchnął. - Do wyboru. - Razem z Alvarez minęli przestronną jadalnię: wysoki sufit, owalny stół na dwanaście osób, podwójny żyrandol z poroży jeleni i zapierający dech w piersiach widok za oknem. Dwoje techników badało laptop i komórkę Longa i sporządzało notatki. Na podłodze poniewierał się sprzęt.
- Nikt tu nie mieszka na stałe? - zapytała Alvarez.
- Może gosposia? - podsunął Grayson.
Uważając, żeby nie przeszkodzić w pracy technikom, minęli hol i weszli do obszernego salonu, gdzie czekał Nate Santana. Nie usiadł w skórzanym fotelu ani na kanapie - stał przy wielkim oknie wychodzącym na podwórko przed domem. Biały śnieg i leśna głusza ustąpiły pola konwojowi wozów policyjnych.
Santana wsunął zakrwawione dłonie w tylne kieszenie dżinsów. Zaciskał usta w gniewną kreskę. Towarzyszyła mu funkcjonariuszka Jan Spitzer. Oddzieliła go od Ivora, żeby policjanci mogli przesłuchać ich osobno i przekonać się, czy ich wersje się pokrywają. Gdy weszli, obejrzał się przez ramię i od razu było widać, że jest zdenerwowany, spięty.
- Zaraz do pana wrócimy - rzuciła Alvarez i w ślad za Graysonem przeszła szerokim korytarzem do gabinetu znajdującego się niedaleko imponujących schodów.
Podwójne drzwi prowadziły do przestronnego pomieszczenia, które przesycał aromat tytoniu i metaliczny zapach krwi. W gabinecie uwijali się oficerowie z laboratorium kryminalistycznego, dokonywali pomiarów i zdejmowali odciski palców oraz stóp.
- Oto nasza ofiara. - Virginia Johnson, technik kryminalistyki, zabezpieczała materiał dowodowy. Podniosła wzrok, gdy Grayson wszedł do gabinetu i wskazała zwłoki mężczyzny, bardzo przystojnego i bardzo martwego. Jego twarz była szara, a na koszuli czerwieniła się krew. - Brady Long.

- Poznaliśmy się już. Za jego życia. - Szeryf podszedł bliżej i przyjrzał się ranie, widocznej pod koszulą. - Najwyraźniej zalazł komuś za skórę. - Podniósł wzrok, rozejrzał się dokoła. - Napad rabunkowy?
Johnson pokręciła głową.
- Nie sądzę. Nie ma śladów włamania. Ani walki. Ale coś mamy. Proszę spojrzeć. - Nacisnęła ukryty przycisk i ściana przy kominku z wiszącą na niej spłowiała skórą zebry odsunęła się, odsłaniając arsenał godny oddziału terrorystycznego. I sejf.
- Znamy szyfr? - zainteresował się Grayson. Wzruszyła ramionami.
- Na razie szukamy. Chłopcy sprawdzają jego laptop. Był tu, w pokrowcu.
- Nawet go nie odpalił?
- Chyba niedługo tu był. W przedsionku są jego ciuchy, jeszcze mokre i ociekające błotem. Nie ma śladów jego bytności na piętrze. Lodówka jest zapełniona przekąskami, a chyba niczego nie zjadł. Nalał sobie drinka i od razu przyszedł tutaj. Sprawdzamy jego komórkę, wszystkie połączenia i SMS-y, a także pocztę elektroniczną.
Grayson zmarszczył brwi.
- To na początek. Dalej musimy ustalić nazwisko jego prawnika, obejrzeć testament, sprawdzić, kto po nim dziedziczy i porozmawiać z jego bliskimi, przekonać się, co wiedzą. I jeszcze gosposia. Wygląda na to, że się go spodziewała, sprawdźmy więc, co ma nam do powiedzenia. Skąd wiedziała, że wraca i czy ktoś jeszcze mógł o tym słyszeć. Współpracownicy? Obsługa lotniska, na którym trzyma swój helikopter? Bo tu przyleciał, tak?
Johnson przytaknęła.
- A drzwi? Były otwarte, kiedy przyjechaliście?
- Tylne, od parkingu.
- Co pan sobie myśli? - Z holu dobiegł krzyk Jan Spitzer, a zaraz po nim odgłos kroków na kamiennej posadzce. Alvarez i Grayson odwrócili się jednocześnie, gdy Nate Santana wkroczył do gabinetu.
- Long nigdy ich nie zamykał, gdy był w domu - wyjaśnił. Najwyraźniej słyszał końcówkę rozmowy. Zatrzymał się w progu. Spitzer z ogniem w oczach przybiegła za nim.
Alvarez podniosła rękę, nie chciała dopuścić do konfrontacji.
- Chce pan coś dodać?
- Jakie jest prawdopodobieństwo, że złodziej zjawił się tu, gdy tylko Brady wylądował? Nawet ja nie wiedziałem, że się wybiera do Grizzly Falls, a u niego pracuję.
- Myśli pan, że ktoś się zaczaił? - domyśliła się Alvarez.
- Albo to, albo morderca miał cholerne szczęście. O ile oczywiście wierzy się w zbiegi okoliczności.
- Mało prawdopodobne. - Na czole szeryfa pojawił się mars. Spitzer, która stała tuż za Santana, wyglądała, jakby zaraz
miała dostać apopleksji. Poczerwieniała, a jej wargi wykrzywił grymas złości.
- Przepraszam, szeryfie. - Sądząc po jej minie, czuła jednak coś zupełnie innego. Przeniosła wzrok na Santanę. - Wracamy do salonu.
- Chwileczkę. - Alvarez była ciekawa, co Santana ma im do powiedzenia. - Uważa pan, że to zabójstwo z premedytacją? Że ktoś to zaplanował?
- Moim zdaniem tak. Myślę, że ktoś od dawna życzył Longowi śmierci i teraz zrealizował swój plan. Zabójca wiedział, że Long będzie sam.
- Skąd?
- Nie mam pojęcia. - Santana wzruszył ramionami i spojrzał na nieboszczyka, a potem odwrócił wzrok. - Na ranczu zazwyczaj ktoś jest, ktoś mógłby coś usłyszeć, coś zobaczyć.
- Gosposia - mruknął szeryf. Santana skinął głową.
- Clementine. Jeśli w ogóle wychodzi, to rano. A i to nie zawsze.

Alvarez zapisywała wszystko w pamięci.
- A jej syn?
- Ma dziewiętnaście lat. Pojawia się i znika. Pracuje tu, mieszka na poddaszu, z matką. Uczy się w miejscowym college'u i często spotyka z kumplami, więc nie zawsze jest na terenie rancza.
- Teraz chyba są ferie - zauważyła.
Santana spojrzał na nią.
- Jego wóz stoi niedaleko garażu. Albo pojechał z matką, albo ktoś po niego przyjechał.
- Z napędem na cztery koła - domyślił się szeryf. Santana potwierdził kiwnięciem głowy.
- Musimy porozmawiać i z Clementine, i z chłopakiem - stwierdziła Alvarez.
- Ma na imię Ross - mruknął Santana.
- A jego ojciec? - zainteresował się Grayson.
- Nie mam pojęcia. - Santana znowu wzruszył ramionami.
- Ale kiedy pan przyszedł, nie było tu nikogo - uściśliła Alvarez.
Santana przecząco pokręcił głową i opowiedział, jak zauważył, że coś jest nie tak, podjechał do głównego budynku, zobaczył otwarte drzwi i dziwne ślady, a w końcu wszedł do środka.
- Znalazłem Longa, tu, w tym fotelu - zakończył, wskazując nieboszczyka. - Wtedy jeszcze żył, ale się wykrwawiał. Wezwałem pogotowie i usiłowałem go ratować. Wtedy coś usłyszałem. Myślałem, że to morderca, a to był tylko Ivor.
- Hicks był w budynku? - Brwi Graysona zbiegły się w jedną kreskę.
- Wszedł po mnie, tak myślę. Tą samą drogą. Grayson się zamyślił. Spojrzał na Johnson.
- Ktoś zabezpiecza te ślady? Skinęła głową.
- Slatkin już się tym zajął. - Michaił Slatkin był jednym z techników kryminalistyki.
Spitzer ciągle była zła na Santanę. Zmrużyła oczy.
- Za chwilę będą tu psy. Nie dadzą panu spokoju - rzuciła w jego kierunku.
Uśmiechnął się pod nosem, ale nic nie powiedział. Alvarez doznała nagłego olśnienia. Przyjrzała mu się uważniej.
- No tak. To pan jest zaklinaczem zwierząt, prawda?
- Owszem, pracuję z psami. Mój czeka w samochodzie. Może coś wytropi. Zaczniecie od razu.
- Nasze psy będą tu za pięć minut. - Spitzer nie miała zamiaru ustąpić ani na krok.
Alvarez ponownie zwróciła uwagę na krew na jego rękach.
- Ktoś pobrał próbki?
- Jasne - mruknęła Johnson.
- To krew Longa - dodał Santana.
- Którego chciał pan ocalić - sprecyzowała Alvarez. W jego oczach pojawił się błysk.
- Właśnie tak, pani detektyw.
Laborant na wszelki wypadek ponownie pobrał próbki krwi, a Santana ze szczegółami opowiadał, co robił przez ostatnie półtorej godziny: najpierw był na posterunku, a potem przyjechał tutaj i zobaczył umierającego Brady'ego Longa. A potem pojawił się Ivor Hicks.
- To się pokrywa z zeznaniami Hicksa - mruknęła Spitzer, ciągle zła, że Santana nie wykonał jej polecenia.
- Tylko że ja nie widziałem ani yeti, ani gadziego generała, ani w ogóle nic podejrzanego. Tylko ślady i otwarte drzwi - zauważył Nate spokojnie.
W tym momencie zjawiła się Bellasario, zastępca koronera. Była wysoka, miała prawie metr osiemdziesiąt, ciemne włosy zebrała w krótki kucyk. Rzuciła na ziemię worek na zwłoki i pochyliła się, by dokonać wstępnych oględzin ciała. Zmarszczyła brwi.
- Zabójca nie dał mu szans.
- Więc dlaczego nie strzelał w głowę? - zdziwił się Grayson. - Albo dwa razy?
- Bo chciał, żeby cierpiał - podsunął Santana. Było to raczej stwierdzenie niż pytanie.

Grayson przyglądał mu się uważnie.
- Jacyś krewni? Brady chyba nie był żonaty? Miał dzieci?
- Nic mi o tym nie wiadomo. Żonaty był kilka razy, ale z tego Co wiem, ostatnio rozwiedziony. Zaręczył się z jakąś modelką, nie wiem, czy w końcu się pobrali. Z drugiej strony - dorzucił z krzywym uśmiechem - nie byliśmy z Longiem w najlepszej komitywie.
Szeryf podrapał się w kark.
- No dobra, więc nie ma dzieci ani żony. Ale ojciec... Hubert, żyje?
- Ledwo. W każdym razie nie słyszałem, żeby umarł. Brady umieścił go w domu opieki, chyba w Denver. Nie jestem pewien.
- A rodzeństwo? - Grayson nie ustawał.
- Ma siostrę, Padgett. - Santana spojrzał w okno, ale Alvarez domyślała się, że nie interesują go policyjne wozy i padający śnieg. Zdawał się patrzeć w głąb siebie. - Znałem Padgett, gdy byliśmy dziećmi, jest trochę młodsza od Brady'ego, o rok, może dwa, nie pamiętam. Od wypadku jest w zakładzie psychiatrycznym.
- Jakiego wypadku? - zainteresowała się Alvarez. - Kiedy?
- Na łodzi. Jakieś piętnaście lat temu. - Santana zmarszczył brwi. - Clementine będzie wiedziała.
- Co się stało? - dopytywała się Alvarez. Odpowiedział jej Grayson.
- Grupa dzieciaków wypłynęła na jezioro. Uderzyli o skałę i wypadli z łódki. Padgett była pod wodą przez dłuższy czas.
- Na łodzi były tylko dwie osoby - poprawił Santana. - Padgett i Brady. On wyszedł z tego niemal bez szwanku, trochę podrapany i poobijany, ale nie udało mu się wyciągnąć siostry spod wody. - Jego oczy nagle pociemniały. - Tak przynajmniej twierdził. A Padgett, z tego, co mi wiadomo, nigdy więcej się nie odezwała. Zapytajcie Clementine, pracowała już wtedy u Huberta. Chyba akurat zaczynała.
- A gdzie jest ten zakład Padgett? - zapytała Selena. Santana pokręcił głową.
- Nie mam pojęcia. Longowie rzadko o niej mówili. Uznałem, że tak chcieli. Co z oczu, to z serca.
Zastępczyni koronera wyprostowała się.
- Dobra, mam wszystko, co mi potrzebne, możecie zabrać ciało - powiedziała do szeryfa. - Kiedy skończycie, możecie go wynieść. - Bellasario rozsunęła worek na zwłoki. Jej asystent wtoczył składany wózek.
Gdy ciało zdjęto z fotela, Johnson zabrała się do pracy. Krew poplamiła oparcie i siedzisko fotela, w skórze widniała mała dziurka - ślad po kuli.
- No proszę. Chciałam zobaczyć, czy... chyba ją mam! - Dłubała w otworze. - Kula przeszła na wylot, rana wlotowa w klatce piersiowej denata, wylotowa nieco niżej, koło kręgosłupa. Wygląda na to, że sprawca stał nad nim. - Za pomocą noża próbowała wyłuskać kulę z obicia, - No chodź, skarbie - mruczała, szukając jej palcami w gumowych rękawiczkach. - Proszę bardzo. - Uniosła nabój. - Gdyby nie metalowe wzmocnienia w oparciu, kula zapewne także przebiłaby go na wylot. - Przyglądała się jej uważnie, ściągając brwi w wąską kreskę nad oczami. - Coś takiego. Stary znajomy. Pocisk kaliber 30.
Serce Alvarez przestało bić.
- Strzał z trzydziestki z bliskiej odległości. - Szeryf patrzył na kulę. Johnson umieściła ją w plastikowej torebce. - Potężna broń jak na strzał z bliska.
- Ten sam kaliber, z którego strzelano w opony ofiar seryjniaka. - Słowa Alvarez zawisły w powietrzu, puste, zimne. Sama nie chciała w to uwierzyć. Tak śmiałe zabójstwo jednego z najpotężniejszych ludzi w kraju nie może przecież mieć nic wspólnego z pozostałymi morderstwami. A jednak... Ogarnął ją strach i niezrozumienie.
- Nasz zabójca? - Santana zacisnął usta.
- Zabierzcie go stąd. - Grayson ocknął się z zadumy.

- Tak jest. - Spitzer podniosła głowę. Santana nic sobie z tego nie robił.
- Ten sam sukinsyn, który porwał Regan? Szeryf posłał mu wrogie spojrzenie.
- Nie wiemy, co się dzieje z detektyw Pescoli.
- Niech mi pan nie wciska kitu, Grayson. - Santana się zdenerwował. Na karku nabrzmiały mu żyły, zaciskał usta, jakby za Wszelką cenę starał się zachować panowanie nad sobą. - Wszyscy w tym pokoju, ba, wszyscy w całym domu wiedzą, że strzelano jej w opony, że miała wypadek i zaginęła. A teraz chcecie mi powiedzieć, że ten sam świr, który ją porwał i robi z nią Bóg wie co, zabił Brady'ego Longa?
Grayson z najwyższym trudem trzymał nerwy na wodzy.
- Ten sam kaliber wcale nie oznacza, że... Santana się żachnął.
- Jasne.
- Idziemy! - Spitzer usiłowała złapać go za ramię i wyprowadzić, ale wyrwał się z jej uścisku.
- Znajdźcie ją. - Wycelował zakrwawiony palec w Graysona. - Znajdźcie ją, do cholery.
- Znajdziemy. - Głos szeryfa był chłodny jak stal.
- I to zanim będzie za późno i kolejny świr pokroju Ivora odkryje w lesie jej martwe ciało przywiązane do jakiegoś cholernego drzewa! - Odepchnął Spitzer, która usiłowała go wyprowadzić, odwrócił się i sam wyszedł, wyprostowany, z błyskiem w oczach i zdecydowanym krokiem, który niósł się echem po posadzce.
Alvarez odprowadzała go wzrokiem. Nie ma mowy, żeby odpuścił i czekał z założonymi rękami na wyniki działań policji. Już postanowił, że sam się tym zajmie. Wyczytała to z jego oczu, rysów twarzy, determinacji widocznej w grymasie zaciśniętych ust.
Samotnik sam poszuka sprawiedliwości.
- Jest niebezpieczny - powiedziała. W tej chwili odezwała się komórka Graysona. Skinął głową i podniósł do ucha telefon. Podeszła do okna i patrzyła, jak Santana wsiada do furgonetki, w której czekał pies. Jeśli Longa rzeczywiście zastrzelono z tej samej broni, z której strzelano w opony ofiar, Santana siedzi w tej sprawie po uszy. Jego szef. Jego dziewczyna...
Ale widziałaś, jak bardzo martwi się o Pescoli. Nie jest zabójcą.
- Co? Kto? Tak, chwileczkę. Wyślę Alvarez, ona ich przyprowadzi... Co? Tak, wiem. Powiedz, że wygłoszę dzisiaj oświadczenie dla prasy, tak, na posterunku... Nie, do cholery, nie teraz. O czwartej mam spotkanie zespołu śledczego. Później, raczej koło szóstej albo jeszcze później, kiedy skończę. - Rozłączył się zanim rozmówca zadał mu kolejne pytania i spojrzał Alvarez w oczy. - Connors czeka przy bramie. Ma Clementine i dzieciaka. Za wszelką cenę chcą tu wejść. Media szaleją. Sprowadź ich.
- Już idę.

- Jest siostra pewna, że nie rozumie, o czym rozmawiamy? - Ciemnoskóra psycholog zwróciła się do Marthy, potężnej siostry oddziałowej, która pracowała w zakładzie Mountain View, odkąd Padgett sięgała pamięcią.
- To prawie warzywo - odparła Martha. Nigdy nie była zbyt spostrzegawcza, przychodziła, robiła swoje i znikała, zawsze odrobinę za wcześnie.
Jalicia Ramsby zmarszczyła brwi, słysząc te słowa. A gdzie się podziała poprawność polityczna? Jakim cudem tłusta, niechlujna pielęgniarka może coś o mnie wiedzieć, dumała Padgett, siedząc na krześle, które wybrała sobie przed laty. Kołysała się lekko. Pozornie wpatrywała się pustym wzrokiem w szare popołudnie za oknem, a jej myśli były równie monotonne, jak krajobraz. W rzeczywistości jednak widziała kobiety za swoimi plecami. Wydawały się nierzeczywiste, rozmazane, jakby unosiły się nad niewyraźnym pejzażem za oknem, wśród trawników, żywopłotów i bezlistnych drzew otaczających ośrodek Mountain View.

Padgett machinalnie przesuwała w palcach paciorki różańca, jakby się modliła, i powtarzała sobie, że musi uważać na nową lekarkę. Doktor Ramsby była szczupła, bezpośrednia i inteligentna, miała krótko ostrzyżone włosy, skórę koloru kawy i wielkie oczy, przed którymi chyba niewiele się ukryje.
Z twarzą zwróconą w stronę okna poruszała ustami jak w modlitwie, patrząc przed siebie pustym wzrokiem. Była pewna, że Ramsby ją obserwuje, widzi jej odbicie w szybie, podobnie jak ona dostrzegała ją.
Cudowna gra, nieprawdaż, pani doktor? - pomyślała, ale jej Wargi cały czas powtarzały: *Ojcze nasz, któryś jest w niebie*... Jednak żadne słowo nie zostało wypowiedziane na głos.
Patrzyła jak doktor Ramsby ściąga brwi, zagryza czerwone usta w zadumie.
Dlaczego? Dlaczego kwestionuje diagnozę, która towarze szyła Padgett od pierwszego dnia w tym wiekowym, szacownym ośrodku?
Badali ją najlepsi psychologowie i psychiatrzy. Choć ostatnim, który okazał jakieś większe zainteresowanie, był doktor Maxwell, a i on zapomniał o niej już wiele lat temu.
Więc czemu ta nowa?
Dlaczego akurat teraz, kiedy jest szczególnie ważne, by była mdła i nudna jak placek, który kucharka serwowała co środę?
Nie zmieniaj niczego. Bądź taka jak zawsze. Nikt się nigdy nie dowie.
- Padgett? - Ponownie usłyszała swoje imię, teraz trochę głośniej, jakby nowa psycholog chciała zwrócić jej uwagę.
Padgett uparcie przesuwała paciorki i poruszała ustami w bezgłośnej modlitwie: *Zdrowaś Mario, łaskiś pełna*...

Rozdział 15

Nate Santana nigdy nie próżnował, więc gdy policjanci zajęli się rezydencją, postanowił wytropić drania, który zastrzelił Brady'ego Longa. Zanim cholerna burza zasypie ślady.
Z tą myślą zajrzał do koni i osiodłał Scouta, silnego, płowego wałacha o bladoniebieskich oczach i plamie na zadzie, która kształtem przypominała stan Alaska. Przymocował do siodła koc i juki, wziął winchestera i wyprowadził konia. Nie ma sensu zabierać psa, choć husky żegnał go żałosnym wyciem. Śnieg jednak był głęboki i sypki i póki nie będzie potrzebował niezawodnego psiego węchu, zostawi Nakitę w domu.
Ruszył przez tylną część posesji ścieżką, która powinna przeciąć dziwne ślady. Jeśli zabójcą jest yeti, którego widział Ivor, trop powinien prowadzić na zachód, w stronę wzgórz i starej leśnej drogi oddzielającej ziemie Longów od terenów federalnych.
Koń brnął przez śnieżne zaspy, a Santana wytężał wzrok, wpatrzony w zimowy krajobraz, szukał czegoś nietypowego.
Dlaczego zabito Brady'ego Longa? Nie żeby nie miał żadnych wrogów, ale dlaczego akurat teraz? Kto wiedział, że przyjeżdża? Jego dziewczyna, ta modelka, Maya jakaś tam? Ktoś ze współpracowników? Znajomi, których zaprosił? A może tylko Clementine?
I kolejne pytanie, ważniejsze, bardziej palące. Czy zabójstwo Longa wiąże się ze zniknięciem Regan Pescoli i innymi morderstwami, które popełnił seryjniak?
Zbieg okoliczności?
Czy brutalna rzeczywistość?
W tej okolicy nie było zabójstwa, od czasu gdy żona Calvina O'Della zastrzeliła go z jego strzelby, bo przyłapała go w łóżku ze swoją dorosłą córką. Było to jakieś pięć, sześć lat temu; Santana nie mieszkał jeszcze wtedy w Grizzly Falls. I od tego czasu żadnych zbrodni, żadnych porachunków gangów, wojen narkotykowych czy wypadków na polowaniu - nic, w całym okręgu Pinewood. A teraz nie dość, że działał tu seryjny morderca, to jeszcze doczekał

się naśladowcy. I jeśli Longa wykończył ktoś inny, oznaczałoby to, że po okolicy grasuje trzech zabójców.
Mało prawdopodobne, ale kto wie?
Śmierć Brady'ego może być zabójstwem na zlecenie.
Bardzo chciał w to wierzyć. Facet miał mnóstwo wrogów, to pewne, jednak myśli Santany obsesyjnie wracały do faktu, że seryjniak strzelał w opony samochodów z broni tego samego kalibru, jak ta, od której zginął Brady Long.
Tylko że seryjniak nie strzela do ofiar. Zostawia je na mrozie. Działa inaczej.
Lekko ściągnął wodze i zmusił Scouta do przejścia przez upstrzony głazami potok. Pod końskimi kopytami pękał lód, spod którego wypływały smużki wody.
Znajdował się na północ od głównego budynku, z dala od lądowiska helikoptera. Śnieg ciągle padał, a lodowaty wiatr nie dawał zapomnieć, że zima zagościła tu na dobre. Wbił wzrok w ziemię, szukając śladów jakiegokolwiek zagłębienia w białej pierzynie.
- Dokąd poszedłeś, sukinsynu? - zapytał głośno. Z jego ust wydobył się mglisty obłok.
A jeśli ma Regan?
Zesztywniał na samą myśl o tym, zmrużył oczy, rozejrzał się. Zabiję go, pomyślał, zabiję sukinsyna i nawet się nie zawaham.
Miał wrażenie, że jego klatkę piersiową otaczają stalowe obręcze i zaciskają się z każdym oddechem, ilekroć pomyślał, że kobieta, którą kocha, jest w łapach psychopaty. Kobieta, którą kochasz, pomyśl tylko, Santana. Spory krok, skoro niedawno był to tylko ostry seks, dobra zabawa i zero zobowiązań.
Poznali się w barze Spot.
Nie wiedział wtedy, że to policjantka.
Podrywał ją.
A ona z uśmiechem sączyła whisky. Uniosła ciemnorudą brew
- Chcesz mi postawić drinka? - zapytała. Pokręciła głową, aż rozsypały się rdzawe loki.
- Może - odparł i skinął na barmankę. Postawiła przed Regan kolejną szklaneczkę jacka danielsa.
- Łatwo poszło - mruknęła Nadine zza baru.
- Bo ja jestem łatwa.
- Wątpię. - Uśmiechnął się. Odpowiedziała tym samym. - Jaki jest twój znak?
- Zlituj się. - Rozczarowała go.
- Znak, który nosisz, choć go nie widzisz. Jazda po pijanemu? Naruszenie mienia? Niedotrzymanie warunków zwolnienia? Ja widzę takie rzeczy.
- Co?
Przyglądała mu się badawczo, mierzyła go wzrokiem od stóp do głów i z powrotem w dół. Widziała ubłocone kowbojki, sprane dżinsy, czystą, ale znoszoną koszulę i trzydniowy zarost.
- Odrobina whisky nie wystarczy, żebym wycofała oskarżenie. - Dopiła drinka, odstawiła szklankę, spojrzała na drugą. I uśmiechnęła się tak seksownie, że zaparło mu dech w piersiach.
- Ale żeby wszystko było jasne: mnie nie można przekupić. Nie wymkniesz się sędziemu.
- Nie mam pojęcia, o czym mówisz.
- Akurat.
- Chyba nie myślisz, że usiłuję cię przekupić? - zapytał. Dopiero teraz przyszło mu do głowy, że jest policjantką. A on za wszelką cenę powinien unikać mundurowych. - Jesteś z policji?
Uśmiechnęła się szerzej. Zerknęła na barmankę.
- Nadine, mamy tu małego geniusza. Daj mu drinka. Ja stawiam.
Brzoskwiniowe usta Nadine na próżno powstrzymywały uśmiech. Nalała mu whisky, postawiła na kontuarze. Podniósł szklaneczkę, przechylił w żartobliwym toaście.

- Nate Santana.
Zmarszczyła czoło, jakby to nazwisko obiło jej się o uszy.
- Regan Pescoli. Detektyw Regan Pescoli.
I tak się zaczęło. Po drinkach były rzutki. Cały czas napominał się, że powinien dać sobie z nią spokój. Niepotrzebne mu komplikacje, jakie łączą się ze związkiem z policjantką i to nie byle jaką - z panią detektyw z dwójką dorastających dzieci i dwoma małżeństwami w dorobku.
Od takich kobiet zawsze trzymał się z daleka.
Ale było w niej coś takiego, od samego początku, że połknął haczyk i teraz wiedział, że będzie jej szukał. I znajdzie. Na pewno.

Oszalała? Czy naprawdę słyszała kobiecy płacz? Pescoli od wielu godzin na przemian starała się uwolnić, korzystając z nieobecności świra, i nasłuchiwała, leżąc na posłaniu, usiłując rozstrzygnąć, czy jest tu sama, czy też nie.
To nawet logiczne, doszła do wniosku.
Przecież morderca przez jakiś czas więzi ofiary. Leczy je, a dopiero potem wyprowadza do lasu i przywiązuje do drzew. Zabiera je po wypadku i przetrzymuje w kryjówce, w oddzielnych Pomieszczeniach, a później wypędza na mróz.
Robiło jej się słabo na myśl, że może ich być więcej. Bóg jeden wie, ile. Przypomniała sobie, jak siedziała za biurkiem Alvarez i przeglądała zgłoszenia o kobietach zaginionych w promieniu pięciu stanów. Wybierały te, które mogły tędy przejeżdżać - samotne kobiety, wszelkich ras i wyznań. Były ich dziesiątki... Spojrzała na drzwi oddzielające jej pokój od reszty domu, od części, gdzie, jak wyczuwała, mieszkał.
A może tylko wyobraziła sobie ten dźwięk?
Może wycie wiatru przypominało kobiecy szloch?
Musi się dowiedzieć.
- Halo! - zawołała, nie po raz pierwszy. - Jest tam kto?
Jej głos niósł się echem, szydził z niej, sprawiał, że czuła się jeszcze bardziej samotna.
- Halo! - Głośniej. - Jest tam kto?
Cisza.
Tracisz rozum. Jesteś tu sama, Pescoli.
Jeszcze raz.
- Halo!
Czekała.
Słychać było jedynie szum wiatru za oknem i bicie jej serca. A jednak była pewna, że wcześniej coś słyszała. Musi się dowiedzieć, co to było. Za wszelką cenę.
Jeśli świr więzi tu kogoś jeszcze, Pescoli musi uwolnić także tę osobę.
Cały czas myślała o dochodzeniu, analizowała wypadki, które doprowadziły ją tutaj. Początkowo sądzili, że polował na ofiary, przetrzymywał je i zabijał, gdy nadchodził nowy znak zodiaku, jednak ten wzorzec ulegał zmianie - widocznie morderstwa sprawiały mu zbyt wielką przyjemność, by chciało mu się czekać tak długo.
Teraz już nie było ciszy przed burzą, nie było czterech tygodni spokoju przed śmiercią kolejnej kobiety.
Nasłuchiwała.
Nic.
Może to naprawdę nadpobudliwa wyobraźnia. Znużona, zamknęła oczy. Walka ze spawem nie przyniosła rezultatów. Regan była wyczerpana. Chciała odpocząć. Wyzdrowieć.
Odetchnęła głęboko i zdawało jej się, że słyszy, jak Nate Santana mówi do niej:
- Poddajesz się? Ty? Pani detektyw? - Pogardliwie prychnięcie. - No wiesz, nie sądziłem, że taki z ciebie mięczak.

- Drań - szepnęła, jakby mógł ją usłyszeć. Oczywiście nie było go tutaj. Ani jego, ani nikogo. Coś ścisnęło ją za gardło na samą myśl o nim.
Zamrugała, chcąc rozpędzić głupie łzy, opanowała się i powiedziała sobie, że nie będzie teraz myślała o kowboju, skupi się na ważniejszych sprawach. Musi pokonać ból i uwolnić się w końcu.
Pieprzony morderca wróci i to niedługo.
Kto wie, kiedy i czy w ogóle będzie miała drugą taką okazję, by uratować siebie i tę kobietę, która znalazła się tu w pułapce razem z nią.
Zacisnęła zęby, nabrała tchu i zaczęła szarpać kajdankami. Poczuła kolejną falę bólu, koszmarnego, ogłupiającego bólu. Bolały otarte nadgarstki, żebra płonęły żywym ogniem. Rzuciła się na zimną posadzkę i kopała przyspawaną nogę.
Nie podda się.
Ani teraz. Ani nigdy.

Gdzie jest Liam?
Elyssa starała się uciszyć niepokój. Dygotała na wąskim posłaniu w pokoiku, który Liam wielkodusznie jej odstąpił. Ale wyszedł, i to na dłużej niż zwykle, a ona poczuła, że wątpliwości i strach znowu się nasilają.
Nie wygłupiaj się. Jest dla ciebie dobry. Wróci. Wiesz o tym.
A jeśli miał wypadek...
Mówił, że spróbuje uruchomić furgonetkę, a gdyby się nie udało, pójdzie do miasta po żywność na rakietach śnieżnych. Nie może mu towarzyszyć, odniosła zbyt poważne obrażenia, ale obiecał, że postara się sprowadzić pomoc.
- Nie martw się - szepnął. Gładził ją po włosach wielkimi tońmi. - Zabiorę cię stąd, bez względu na wszystko. - Spojrzała mu w oczy. Wierzyła mu, oczywiście, że mu wierzyła! Dotknęła jego policzka tam, gdzie widniały zadrapania. - Oto skutki pomagania innym - wyjaśnił. - Zobaczyłem niedźwiadka na drzewie i chciałem mu pomóc. Moje szczęście, że nie pokazała się samica, bo wtedy nie skończyłoby się na kilku zadrapaniach.
- Myślałam, że niedźwiedzie zapadają w sen zimowy - powiedziała wtedy, a on zachichotał.
- Ależ z ciebie mieszczuch. Nie wierz we wszystko, co piszą w książkach. Dzikie zwierzęta robią, co i kiedy chcą. Co im każe instynkt. Są jak ludzie. Nie dają się zaszufladkować.
Czy to prawda? Zdawało jej się, że niedźwiedzie łączą się w pary w lecie, a na zimę zapadają w sen zimowy. A może budzą się czasami, żeby coś zjeść? Chociaż nie to zapamiętała z biologii. Zanim wybrała pielęgniarstwo, zrobiła licencjat z nauk ścisłych i przez trzy semestry chodziła na zajęcia z biologii, ale to było już dość dawno temu, zresztą nie myślała teraz zbyt logicznie. Poza tym to i tak nieważne. Teraz chciała tylko cała i zdrowa wrócić do domu.
- Najpierw szpital - poprawił Liam, kiedy powiedziała, że święta chciałaby spędzić z rodziną.
- Znam się na pierwszej pomocy, muszę, skoro tu mieszkam. Tak, miałem kilka tabletek, dzięki którym nie czujesz bólu, ale musimy zabrać cię do lekarza, zanim wrócisz do Missouli. - Uśmiechnął się ciepło, a jej nagle zrobiło się głupio, że już ma chłopaka, który, jak liczyła, na Gwiazdkę ofiaruje jej pierścionek zaręczynowy. Ojciec oczywiście nie będzie zachwycony.
Tata po prostu nie rozumie Cesara. Owszem, ukochany jest trochę szorstki w obejściu, ale potrzebna mu dobra kobieta, by go wesprzeć w walce o dzieci z tą suką, jego eks.
Tylko że tutaj, z Liamem, jej uczucie do Cesara jakby osłabło. No i Cesar bywał podły i złośliwy, a Liam jest miły. Dobry. Uratował ją, zobaczył wrak jej samochodu na dnie kanionu. Miała wypadek, pękła opona i straciła panowanie nad wozem.
Gdy odzyskała przytomność, Liam pomagał jej wydostać się z wraku. Wędrował na rakietach śnieżnych i znalazł ją przypadkiem.

Początkowo się go bała, ale gdy opatrzył jej obrażenia - skręcony nadgarstek, zwichnięte kolano i mnóstwo zadrapań - niewykluczone też, że miała złamane żebra - zaczęła mu ufać. Był delikatny i troskliwy, starał się jej pomóc, robił wszystko jak należy. Studiowała przecież pielęgniarstwo, więc wiedziała. I usiłował zawiadomić policję, ale jego komórka nie miała zasięgu, a jej telefon został we wraku samochodu... Tym sposobem znalazła się w ciasnym pokoiku, pod opieką mężczyzny, który w jej oczach był nowym ucieleśnieniem dobrego samarytanina. Pożyczył jej kulę, za wysoką, ale dzięki niej mogła się poruszać po trzypokojowej chatce. Był tu salonik i zarazem kuchnia - z piecem na drewno - jego sypialnia i mała łazienka. Były jeszcze jedne drzwi, zamknięte od wewnątrz. Tłumaczył, że za nimi są schody do jego warsztatu. Zajmował się geologią, która, podobnie jak astronomia, była także jego pasją, choć, jak opowiadał, utrzymuje się z pracy przewodnika, zabiera turystów na wyprawy wędkarskie i łowieckie, od wiosny do jesieni. Zimą zamykał się w małym domku.
- Jestem samotnikiem - przyznał. W pierwszej chwili się przestraszyła. Zdaje się, że słyszała coś o seryjnym zabójcy w tej części kraju. Nie zwracała uwagi na te doniesienia prasowe, zapamiętała tylko nagłówki z gazet. Koleżanki rozmawiały o tym, ale jej to nie interesowało, nie oglądała też wiadomości. Zbyt Przygnębiające.
Więc to nie tak, że o tym nie pomyślała.
Ale Liam jest dla niej taki dobry.
Wydawało jej się, że coś do niej czuje.
Oczywiście niczego nie próbował. Nawet jej nie pocałował, tylko dotykał delikatnie, kiedy zmieniał opatrunki. W każdym razie ostatnio coraz rzadziej myślała o Cesarze, za to coraz częściej Ustanawiała się, jakie to uczucie, pocałować Liama, dotknąć dłońmi jego umięśnionych pleców, poczuć pod palcami jego silne pośladki.
- Na miłość boską! - To szaleństwo. Ledwie go zna. A jednak miała wrażenie, że i on rozbiera ją oczami. Chemia między nimi była wręcz namacalna, a kiedy widziała, jak na nią patrzy, coś ściskało ją za gardło. Zawsze uciekała wzrokiem, przerażona, że mógłby się domyślić, co jej chodzi po głowie.
Przestań!
Nie wolno o tym myśleć.
Jest zmęczona i zestresowana.
Zbyt długo przebywa w zamkniętym pomieszczeniu.
A od kilku tygodni widuje tylko jego.
Opiekował się nią troskliwie, jego palce muskały jej skórę dotykiem lekkim jak piórko. Nic dziwnego, że o nim marzy.
Zagryzła dolną wargę.
Weź się w garść. Na pewno wróci.
Tak, wyszedł, ale z jej powodu, chce sprowadzić pomoc, zawiadomić rodziców, dać im znać, że wszystko w porządku.
Od tak dawna go nie ma.
A ona się boi.
Nie zdołała opanować łez.
Modliła się o jego bezpieczeństwo.
Niech wraca.
I to szybko.

Rozdział 16

Tuż za leśną przecinką Santana ściągnął wodze. Na razie zobaczył jedynie królika, który wyjrzał z zarośli, a zrobił już trzy kilometry.

Rozglądał się w poszukiwaniu śladów, ale biała połać była nietknięta, a śnieg padał coraz obficiej, lodowate kryształki kąsały twarz.
Liczył, że znajdzie miejsce, w którym morderca zostawił wóz, zapewne na dojazdowej drodze, niedaleko ogrodzenia. To byłby najrozsądniejszy wybór.
Santana znał te okolice jak własną kieszeń; gdyby chciał zakraść się potajemnie na ranczo, wybrałby właśnie ten punkt.
Ze wzrokiem wbitym w ziemię jechał powoli naprzód i w myślach szukał związku między zbrodniami seryjniaka a zabójstwem Brady'ego Longa.
To ktoś zaznajomiony z okolicą.
Ktoś, kogo znasz.
Samotnik, dla którego góry Bitterroot zdają się nie mieć tajemnic.
Świetny strzelec, sprawny i silny, do tego stopnia, że jest w stanie przejść kilka kilometrów niosąc nieprzytomną kobietę, twardziel, który ma tu kryjówkę i wie, jak się ukryć przed oczyma policji.
Może to jeden z nich. Dzięki temu zawsze wie, co w trawie piszczy. Kieruje śledztwo w złą stronę.
Pomyślał o policjantach, których znał, ale za mało o nich wiedział, by kogoś podejrzewać.
Zresztą to już chyba przesada. Niby dlaczego jakiś gliniarz miałby oszaleć i porywać, a potem mordować kobiety?
Wzdrygnął się.
Zbliżył się do ogrodzenia i jechał teraz wzdłuż płotu z drutu kolczastego, szukając śladów na przecince, ale śnieg był nienaruszony: żadnych tropów, żadnych śladów opon.
- Cholera - zaklął pod nosem.
Coś mu umyka?
Co?
Pomyślał o Regan. Czy jeszcze żyje?
Cholera!
Zrobiło mu się słabo na tę myśl. Jakby dostał pięścią między oczy. Zacisnął dłonie w rękawiczkach, walczył z rozpaczą. Jest w niej za dużo energii, za dużo woli życia. Po pierwszym spotkaniu łaził za nią, ale go spławiała. Dokładnie tak to ujęła:
- Bez urazy, kowboju, ale spadaj.
Co wcale go nie zniechęciło. Im bardziej Regan się opierała, tym bardziej go intrygowała, choć nawet wtedy wydawało mu się to idiotyczne, ale cóż. Tłumaczyła mu, że nie interesuje jej żaden związek, jasno dawała do zrozumienia, dlaczego nie chce się z nim spotykać: sama wychowuje dwójkę dzieci, a praca pochłania ją bez reszty. W jej życiu nie ma miejsca dla mężczyzny.
- Zresztą jeśli chodzi o facetów, mam kiepski gust - wyznała kiedyś u Dzikiego Willa. - Lepiej się ze mną nie zadawaj.
Nie uważał tak i z czasem osłabił jej upór. Spotkali się wtedy na drinka w odrestaurowanym stuletnim hotelu z widokiem na 1 wodospady. Szklaneczce whisky towarzyszyła rozmowa, więc zamówili kolejną i kolejną... I w końcu wyzwała go na pojedynek - powiedziała, że pokona go w zapasach, więc wynajął pokój, a tam Regan błyskawicznie powaliła go na ziemię. Przytłoczyła go całym swoim ciężarem. Dyszała ciężko. Czuł pod plecami gładkie deski wiekowej podłogi.
- Poddajesz się? - zapytała. Jej oddech pachniał whisky.
- Chyba nie.
- Przecież cię pokonałam.
- Czyżby?
- No tak, kowboju. Jakbyś jeszcze nie zauważył, rozłożyłam cię na łopatki i jestem górą.
- Może dlatego, że tak lubię. Może ci na to pozwoliłem.

- Jasne. - Roześmiała się, przerzuciła rude loki przez ramię, w stłumionym świetle widział kropelki potu na jej twarzy. - Pozwoliłeś mi...
W jednej sekundzie odepchnął się od podłogi, rzucił ją na ziemię i nagle, zaskoczona, znalazła się pod nim. Uwięził jej dłonie nad głową, zamknął jej przeguby w uścisku i pocałował z całą pasją i energią, która nagromadziła się w nim przez pół roku. Ku jego zaskoczeniu nie oponowała, zamknęła oczy i westchnęła długo, zmysłowo.
- Jesteś... uparty - szepnęła.
- Tak.
Roześmiała się wtedy, nisko, gardłowo, a Nate poszukał skraju jej swetra. Ledwie puścił jej ręce, zrobiła to samo.
Miała mocne szczupłe ciało. Pełne piersi o ciemnych sutkach, silne nogi, zwieńczone pasmem loków, które dowodziły, że naprawdę jest ruda.
Rozkoszował się jej dotykiem, jej smakiem, przeciągał każdą chwilę, każdą sekundę, napawał się tym doświadczeniem, ale od tak dawna jej pragnął, tak bardzo tego chciał, że zachowywał się jak szaleniec, całując ją, dotykając i pieszcząc. Usta na ciele, zapach perfum i potu, splątane ręce, kolano między jej udami. Uległa. Kochali się wściekle, zdyszani, spragnieni więcej.
I było więcej.
Przez całą noc.
Więc teraz na samą myśl, że ona... że mogłaby... Nie, to niemożliwe. Spojrzał przed siebie i jakieś sto metrów dalej zobaczył to. Ślady opon tuż obok ogrodzenia, powoli wypełniające się śniegiem, ale wyraźne, a po stronie Longów - trop prowadzący w stronę domu i drugi, powrotny. Śnieg przykrywał je szybko, ale jest nadzieja, że policjanci coś znajdą.
Już miał zadzwonić do Alvarez, gdy dobiegło go szczekanie. Wytężył wzrok i zobaczył dwa psy gończe mknące wzdłuż szlaku.
- Halo! - usłyszał. - Kto do... O Boże, Santana. Mogłam się tego spodziewać.
Rozpoznał głos, zanim jeszcze postać się przybliżyła. Jordan Eagle, miejscowa lekarka weterynarii, a przy okazji właścicielka psów tropiących. A za nią ponura jak zwykle policjantka nazwiskiem Spitzer.
- Wydawało mi się, że miał się pan trzymać z dala od dochodzenia! - krzyknęła. Okulary jej zaparowały pod grubą czapką, dyszała ciężko, starając się dotrzymać kroku psom.
Santana pokręcił głową.
- Chyba nie dosłyszałem.
- No to teraz pan słyszy: proszę trzymać się z daleka od dogodzenia.
- Musicie ściągnąć techników na przecinkę. - Wskazał ślady opon, ciągle widoczne pod śniegiem. - Wygląda na to, że przyjechał tu samochodem, dalej poszedł pieszo, zabił Longa, wrócił i odjechał.
- Głuchy pan czy co? Proszę się nie wtrącać! - warknęła, ale posłusznie sięgnęła po telefon.
Psy wierciły się przy ogrodzeniu.
- Jak zwykle pakujesz się w kłopoty - skomentowała Jordan. Była drobną kobietą o miedzianej skórze świadczącej o domieszce indiańskiej krwi, prostym nosie i niemal czarnych oczach, które zdradzały jej uczucia. Była jedną z nielicznych osób w miasteczku, które Santana darzył zaufaniem.
- Jakoś nie mogę zerwać z nałogiem.
Patrzyła na ślady. Spitzer rozmawiała przez telefon, wyjaśniając sytuację.
- Co o tym sądzisz? - zapytała.
- Nic dobrego.
- Myślisz, że to robota seryjniaka?
- Nie wiem. - Spitzer łypnęła na niego groźnie i rozmawiała dalej. - Jestem tylko durnym parobkiem, który znalazł umierającego szefa.

- Coś takiego. - Jordan parsknęła śmiechem. - O nie, Santana, nie ze mną te numery.
Spitzer się rozłączyła.
- Technicy już tu jadą - mruknęła. Spojrzała na Santanę. -Może mi pan w końcu powie, czemu wsadza pan nos w nie swoje sprawy?
- Brady Long to także moja sprawa - odparł, ale nie wspomniał o Regan. Jak dotąd nie stwierdzono związku między tymi sprawami. Były tylko podejrzenia.
Na razie.
- I tu się pan myli - sapnęła Spitzer.
- Zobaczymy - Zamiast wdawać się z nią w dalszą dyskusję, Nate zawrócił konia i odjechał.

Policja to idioci!
Kretyni!
Nie mieści mi się w głowie, że dali się nabrać marnej naśladowczym, a teraz kręcą się w kółko w sprawie Brady'ego Longa.
Powinno mi to sprawiać satysfakcję, a tymczasem jestem sfrustrowany i wściekły Wracam do chaty, silnik z wyciem pokonuje ostatni zakręt, wjeżdżam pod okap, pod którym stoi także skuter śnieżny Jest tu akurat dość miejsca na te dwa pojazdy. Niecały kilometr dzieli ten zakątek od miejsca, w którym je ukryłem - dwie kolejne kobiety, które padną ofiarą mrozu. Kiedy policjanci znajdą ich ciała, zrozumieją, jak bardzo są nieudolni.
Zdesperowani ludzie szeryfa słuchają nawet bzdur starego, jego bełkotu o yeti, którego widział na posesji Brady'ego Longa.
Ha!
Co on tam robił, do cholery?
Mógł wszystko popsuć.
Znowu przychodzi mi na myśl, że może powinienem był go zabić.
W pewnym sensie byłoby to dla niego błogosławieństwem. Uwolniłbym go od cierpień, uciszył na wieki, oszczędzając upokorzenia, jakim jest rola lokalnego czubka.
Wyłączam silnik, słucham, jak milknie i szybko stygnie.
Policja, oczywiście, próbuje zamknąć mu usta, a on, jak zwykle, znajduje sposób, by trafić do dziennikarzy i reporterów, którzy tłumnie przybyli do miasta. Widziałem najświeższe wiadomości, gdy wpadłem do baru na drinka i chwilę rozmowy z Nadine. I proszę bardzo, Ivor Hicks w pełnej chwale zapewnia, że Longa zabił yeti z wielką maczugą.
„Bałem się, że i mnie dopadnie. Myślałem, że może ma rentgena w oczach czy co. Patrzył na mnie złotymi ślepiami, które świeciły jak lasery".
Policjanci nie zdołali zamknąć mu ust, a Taili Donahue, blondynka z KBTR, zawsze była gotowa go wysłuchać. Zachowywała się jakby z niego kpiła, jakby chciała puścić oko do widzów, ilekroć się odzywał. Dopadła go w miasteczku, gdy zmierzał akurat do Spot, ulubionej knajpy, do której, jak wiem, często zagląda.
Dziennikarka!
Same bzdury i tyle.
Są równie beznadziejni, jak policja. Nie mogę się doczekać, kiedy zrealizuję następny punkt planu. Wysiadam z samochodu, okrywam go grubą plandeką. Nie mogę ryzykować, że silnik mi zamarznie i w najważniejszej chwili nie odpali. Przypinam rakiety śnieżne i ruszam z powrotem do chaty. Mam dla Elyssy złe wieści: nie udało mi się dotrzeć do miasteczka i czeka ją jeszcze kilka dni w leśnej głuszy.
Ale śnieżyca słabnie i wkrótce ją stąd zabiorę.
I zrobię to, myślę, rozkoszując się planem.
Elyssa jest gotowa. Ja także.
Czas, by zmierzyła się ze swoim strachem.

Gdzieś w głębi serca obawia się, że to ja jestem seryjnym mordercą. Widziałem to w jej oczach, gdy po raz pierwszy odzyskała przytomność w chacie. Była wtedy na środkach przeciwbólowych, półprzytomna, więc ją uspokoiłem, wzbudziłem zaufanie, ale jakaś jej cząstka, instynkt, każe zachować czujność.
Mijam niewielkie wzgórze, zagłębiam się w las obok starej drogi do nieczynnej od lat kopalni. Po co niepotrzebnie wzbudzać podejrzenia, a policja na pewno tu zajrzy, gdy pogoda pozwoli im ponownie użyć helikopterów. Z powietrza droga to tylko wąska nitka, ale nie zaryzykuję, nie zostawię na niej śladów opon. Trop rakiet jest niewidoczny z powietrza, zwłaszcza że śnieg ciągle pada.
Elyssa przekroczyła niewidzialną linię.
Owszem, martwi się, że mogę nie być tym, za kogo się podaję, ale jednocześnie jest ode mnie do tego stopnia zależna, że zaczynam się jej podobać.
Zawsze tak jest.
To przychodzi z czasem.
Czuję na sobie jej wzrok, gdy szykuję jedzenie, pomagam się umyć czy nawet wchodzę do pokoju. Odprowadza mnie spojrzeniem i wiem, że zaczyna snuć o mnie fantazje.
Ilekroć jestem blisko, pochylam głowę w jej stronę i czuję na ustach jej wzrok. Zastanawia się, jak to jest, całować się ze mną. Wyobraża sobie, że błądzi językiem po mojej skórze, a nawet że pieści mnie ustami.
Na samą myśl o tym twardnieję. Okrążam ostatnie skupisko głazów i oto widzę mój mały domek. To był dobry dzień. W końcu zabiłem tego drania Brady'ego Longa i fajnie byłoby to uczcić, pieprząc Elyssę do utraty tchu.
Ale to oznaczałoby złamanie zasad.
Te kobiety są nietykalne. Jeśli chcę seksu, Nadine z tatuażem na pośladkach chętnie się nadstawi, od tyłu, jak lubię, bo nie chcę widzieć twarzy dziwki. Jest gorąca i mokra, ale to suka i nic do niej nie czuję.
Kobiety, którym poświęciłem tyle czasu, znajdując je, wybierając, och, one są godne, ale jeśli ulegnę i będę się z nimi kochał, moc odejdzie. Nie, nie mogę.
Ale mój głupi penis nie słucha. Nabrzmiały, twardy, spowalnia mnie. Zatrzymuję się więc, nabieram śniegu, rozpinam ocieplane spodnie i wbijam śnieżną kulę w rozporek.
Chce mi się krzyczeć, ale chwilę później po erekcji nie ma śladu. Odzyskuję jasność myślenia. Penis nie będzie mną rządził.
Już prawie jestem na miejscu. Chata wygląda, jakby miała się zaraz rozpaść; poszarzałe drewniane ściany przetrwały prawie sto montańskich zim, gonty na dachu łuszczą się i pękają. Przez pomalowane na czarno okiennice niewiele widać, bo szyby skuł lód. Otwieram drzwi, wchodzę do środka, zdejmuję ubranie ochronne, choć i tu jest zimno. Nie jest jednak tak źle, jak by się mogło wydawać, bo ociepliłem ściany papą i panelami z włókna szklanego. Podchodzę do tylnych drzwiczek zamkniętych na kłódkę. Zawiasy skrzypią, gdy je otwieram, zapalam lampę, zanim zanurzę się pod ziemię, w gąszcz tuneli, które są pozostałością po kopalni srebra.
Całymi latami remontowałem te tunele i pomieszczenia, odnawiałem i szykowałem, wiedząc, że kiedyś mi się bardzo przydadzą. Na długo przed tym, zanim sprowadziłem tu pierwszą z wybranych kobiet. Od głównego korytarza odchodzą odgałęzienia, krótkie i długie, ale we wszystkich wcześniej czy później brakuje powietrza. Niektóre prowadzą na zewnątrz, inne kończą się ślepymi zaułkami. Zbadałem prawie wszystkie, trzymam w nich zapasy. Dzisiaj jednak o nich nie myślę, wędruję trasą, którą znam na pamięć, świecąc sobie małą latarką. Prowadzi mnie do domu, do ziemianki, ale na tyle blisko powierzchni, że dało się w niej zamontować piec, dzięki czemu w pomieszczeniu jest ciepło. Niepokoi mnie jednak, że z komina unosi się dym, bo jeśli zobaczą go policjanci, przegrałem.

Nad moim królestwem jest niewielka chatka, kamienna forteca, w której także przetrzymuję moje panie. Funkcjonariusze uznaliby, że dym pochodzi właśnie z tego budynku, i dobrze, bo nie mogą mnie znaleźć.
Póki nie skończę.
Jestem zaniepokojony i postanawiam nieco przyspieszyć. Początkowo miałem plan, żeby wykorzystać zodiak, ale to zbyt skomplikowane, zbyt długo trzeba czekać. Teraz muszę się pospieszyć. Ale może to zadziała na moją korzyść i zbije gliny z pantałyku. Dla mnie to nie problem, bo mam kilka do wyboru... No właśnie, kilka... Może Graysonowi i jego zespołowi nieudaczników przydałby się kubeł zimnej wody. Może dam im więcej niż jedną. Może podbijemy stawkę?
Uśmiecham się pod nosem, dumny z planów, które snuję tu, w starej kopalni.
- Mądry chłopiec - szepczę i nagle znowu wyobrażam sobie, pod jak wielkim wrażeniem byłaby matka. I w jak wielkim szoku. Jest tu tyle odgałęzień, tyle zakamarków, tyle miejsc, by kogoś uwięzić. Łatwo można się zgubić. Dzięki Bogu, że to wszystko przemyślałem. Że działam z rozmysłem. Że wybieram te, które są tego godne. Że zawsze pilnuję, by mieć zapas... towaru. I znowu się uśmiecham. Naprawdę jestem mądrzejszy, niż ktokolwiek mógłby przypuszczać. Zwłaszcza matka.
Szkoda, że mnie teraz nie widzi. I tych kobiet, które mi ufają. Które mnie kochają.
Pod drzwiami zdejmuję kombinezon, wieszam na haczyku, żeby obciekł. Wsuwam klucz do zamka.
Skarbie, wróciłem, myślę i śmieję się z własnego dowcipu, idąc do drzwi, za którymi czeka pani detektyw. Zaglądam przez judasza.

Gdzieś w oddali skrzypnęły drzwi.
Cholera!
Regan położyła się na posłaniu, zamknęła oczy, jakby spała. Dreszcz przeszedł jej po plecach, gdy usłyszała kroki. Jego kroki. Miała posiniaczony, obolały nadgarstek. Jej poświęcenie przynosiło efekty, spojenie zaczynało pękać, ale jeszcze się nie uwolniła. Potrzebuje jeszcze trochę czasu, trochę siły.
Nie poddawaj się. Załatwisz go. Naprawdę.
Kiedy jednak poczuła na sobie jego spojrzenie, wzdrygnęła się i miała wrażenie, że do ciasnego pomieszczenia wtargnęło zło w czystej postaci. Nie obchodziło jej, czy jest zdrowy psychicznie, czy też nie. Zbrodnia rodzi zbrodnię. Trzeba go powstrzymać.
To twoje zadanie.
Jeśli go załatwisz, ocalisz nie tylko siebie, ale i wszystkie inne, którym szykuje podobny los.
Jej serce zatrzymało się, gdy usłyszała zgrzyt zamka i drzwi stanęły otworem. Żółć podeszła jej do gardła na myśl, że na nią patrzy. Choć na zwłokach ofiar nie było śladów molestowania, świr na pewno się nad nimi znęcał.
- Wiem, że nie śpisz - powiedział tym oleiście przymilnym głosem. Głosem, który brzmiał znajomo. - Nie musisz udawać.
Powoli uniosła powieki. Stał nad nią, potężny, zamaskowany. Miał gogle na oczach i sztuczną brodę, ale i tak widziała na jego Policzku ślady swoich paznokci. Punkt dla niej.
- Dzień dobry, pani detektyw - zaczął miękko. - Ranek już dawno minął...
- A kogo to obchodzi, do cholery?
- Hm. Czyli udawała pani Śpiącą Królewnę. I to nie najlepiej. - Postawił na stoliku koło łóżka litrową butelkę wody i kilka batonów energetyzujących. - Chciałem pani tylko oznajmić, że od dzisiaj na świecie jest o jednego drania mniej.
Co on pieprzy?
- Znasz Brady'ego Longa?

No pewnie. A kto go nie zna? Brady Long to jedyny syn miedzianego barona Huberta E. Longa, który należał do najbogatszych ludzi w okręgu. Nie, zaraz... coś nie tak. Było jeszcze jedno dziecko? Dziewczyna? Umarła? Regan nie pamiętała.
- Widzę, że tak. No cóż, szeryf ma jednego obywatela mniej pod opieką. - Odwrócił się, dłonią w rękawicy brał porąbane drwa z kąta i wrzucał do paleniska, gdzie został już tylko żar.
- Co się stało z Bradym? - zapytała Regan. Ciekawość zwyciężyła.
- Spotkał go marny koniec, że się tak wyrażę.
- Zabiłeś go?
Zamknął drzwiczki paleniska, odwrócił się do niej. Błysnął zębami w uśmiechu.
- Mówią, że załatwił go yeti.
Wpatrywała się w niego. Jezu, naprawdę oszalał. Zupełnie mu odwaliło.
- Tak mówią dziennikarze.
- Czyżby? - Nie wciągaj go w rozmowę. To go kręci.
- Ciekawa?
- Nie bardzo.
Mlasnął językiem, widząc jej naiwne próby, kpił z niej.
- A najciekawsze, że ten yeti zabija strzelbą... Kaliber 30, dokładnie mówiąc.
- Skąd wiesz? Rozpromienił się.
- Bo tam byłem, rudzielcu. Wszystko widziałem.
- To ty go zabiłeś, sukinsynu.
- Oddałem światu przysługę, ale zawsze tak jest z dobrymi uczynkami. Nikt nie rozumie intencji. - Spoważniał i w pomarańczowym świetle ognia jego twarz, ukryta pod czarną brodą, przecięta śladami po paznokciach, wydawała się maską zła. - Ale to się zmieni... i to wkrótce.
Spojrzał na nią znacząco i Pescoli miała wrażenie, że lodowaty wąż pełznie jej po plecach. Wiedziała oczywiście, że chciał ją zabić, ale teraz zrozumiała, że nastąpi to niebawem.

Rozdział 17

Dom Grace Perchant wyglądał jak z bajki. Malutka chatka w lesie, jakby wyśniona przez braci Grimm, przycupnęła w zacisznym zakątku surowego krajobrazu, który, pozornie malowniczy i zachwycający, krył mroczne tajemnice.
- Chyba nałykałam się za dużo prochów - mruknęła Alvarez. Zaparkowała w alejce pokryto koleinami i ruszyła wydeptaną w śniegu ścieżką. To tylko dom. Staroświecki, owszem, ale tylko dom w lesie. Odkąd zaczęła pracę w Grizzly Falls, odwiedziła już niejeden leśny domek. Grace Perchant nie jest jedyną, która mieszka w głuszy.
Zostawiła Graysona na ranczu Longa, postanowił, że wróci na posterunek ze swoim zastępcą. Brewster zjawił się na miejscu zbrodni mniej więcej wtedy, gdy Alvarez zbierała się do wyjścia. Zgromadziła już mnóstwo informacji i czekała tylko na przesłuchanie Clementine DeGrazio i jej syna, Rossa. Gosposia zeznała, że Brady Long dzwonił do niej dzień wcześniej, powiedział, że wybiera się na kilka dni do Montany, jeśli pogoda się ustabilizuje. Clementine zadbała, żeby w domu były jego ulubione smakołyki i alkohol, a dzisiaj Pojechała z synem do siostry - zaplanowały spotkanie świąteczne, bo później jej siostra wyjeżdża i wróci dopiero po Nowym Roku. Ross, milczący, naburmuszony nastolatek w okularach przeciwsłonecznych i zimowej czapce, przytakiwał słowom matki. Jedna rozmowa z siostrą Clementine wystarczyła, by potwierdzić ich wersję.
Śmierć Longa nie zrobiła na Rossie, przynajmniej pozornie, żadnego wrażenia, natomiast Clementine była załamana: szło? chała, załamywała ręce, pociągała nosem. Opłakiwała

człowieka który, jeśli wierzyć informatorom - Santanie i Graysonowi - miał więcej wrogów niż przyjaciół.
A Clemetine rozpaczała jak pogrążona w żałobie matka.
Albo żona.
Alvarez przyszło na myśl, że może Clementine DeGrazio była kimś więcej niż tylko gosposią. Trzeba to sprawdzić.
Teraz jednak musi się zająć Grace Perchant.
Weszła na mikroskopijną werandę, zapukała i usłyszała gardłowy pomruk zza drzwi. No tak. Grace hoduje wilki czy mieszańce wilków. Oby umiała nad nimi zapanować.
- Cicho, Sheena - rozkazał kobiecy głos i pomruki umilkły. Po chwili Grace we własnej osobie stanęła w progu. - Pani detektyw. - Uśmiechnęła się lekko. Miała na sobie ocieplane spodnie i czarny golf, na który narzuciła dodatkowo rozpinany sweter. - Liczyłam, że pani zadzwoni albo wpadnie. - Odsunęła się od drzwi i skinęła głową, aż z siwego koka wymknął się niesforny kosmyk. - Proszę bardzo.
Suka, Sheena, leżała na posłaniu koło wiekowego tapczanu. Na palenisku buzował ogień. Wszędzie, na wszystkich parapetach i gzymsach, stały doniczki z kwiatami i zapalone świeczki ociekające woskiem. Mały domek aż się prosił o pożar.
- Przyszła pani w sprawie partnerki. Proszę usiąść. - Grace wskazała jej fotel. Pies, choć obserwował ją czujnie, nawet nie drgnął.
- Kilka dni temu, w knajpie, ostrzegła ją pani, że zostanie porwana. O ile pamiętam, powiedziała pani: „To myśliwy". Miała pani na myśli mordercę, prawda? Powiedziała pani, że słyszała głos, który powiedział: Regan Elizabeth Pescoli. Dotknęła jej pani i ostrzegła, że grozi jej niebezpieczeństwo. Tak było?
- Ma pani dobrą pamięć, właśnie tak. I nie myliłam się - podkreśliła. Usiadła w fotelu koło kominka, niedaleko psiego posłania. Sheena zwinęła się w kłębek i zamknęła złote oczy.
- Skąd pani wiedziała?
- Jak zwykle. Widziałam to. Jakby we śnie.
- Słyszałam, że rozmawia pani ze zmarłymi. - Alvarez ostrożnie dobierała słowa. - Ma pani też prorocze sny?
Grace wbiła wzrok w okno. Płomienie ze świec odbijały się w szybie, barwiły lód na zewnątrz.
- Nie, zazwyczaj nie, ale zmarli... kiedy się ze mną komunikują, pokazują mi obrazy... - Uśmiechnęła się smutno, jakby zdawała sobie sprawę, jak to brzmi. - Kilka dni temu usłyszałam głos. Martwej kobiety. Tej, którą znaleźliście w kanionie Wildfire. Tej fryzjerki.
Dreszczyk niedowierzania sprawił, że włosy na karku Alvarez stanęły dęba.
- Wendy Ito? Przemówiła do pani?
- Tak.
- Kiedy?
- Kilka dni temu.
- Jak?
Grace odwróciła głowę w jej stronę. Jej spojrzenie zdawało się przenikać Alvarez na wskroś.
- Słyszałam ją.
- Skąd pani wie, że to ona?
- Zobaczyłam jej twarz, siną, zamarzniętą. Mówiła do mnie, ale jej oczy i usta były nieruchome. Ostrzegała mnie, podała nazwisko pani partnerki. Zapytałam, skąd wie. Odparła, że widziała papiery, dokumenty i nazwiska innych kobiet. Ale podała mi tylko jedno: Regan Elizabeth Pescoli.
Alvarez podniosła rękę.
- Chwileczkę...

- Tyle mi powiedziała, ale kiedy wymieniła pani partnerkę, miałam sen, obrazy były bardzo ostre, wyraźne, ale nie składały się w sensowną całość. Myślę jednak, że dotyczyły Regan Pescoli.
- Sen?
- Tak... Ale ocknęłam się na zewnątrz. Z psem.
- Czy zdarzało się to już wcześniej?
Grace pokręciła głową.
- Nigdy, aż do tych zabójstw Teraz jest inaczej. Wydaje mi się, że martwi żądają sprawiedliwości. Kontaktują się ze mną intensywniej niż dotychczas - mówiła z przekonaniem, które budziło niepokój Alvarez. Ta kobieta naprawdę wierzy, że zmarli się z nią komunikują.
Suka przeciągnęła się, ziewnęła, błysnęła wielkimi kłami i ponownie zmrużyła złote ślepia. Posapywała cicho.
- Czy we śnie widziała pani mordercę? Czy Wendy wspomniała, jak się nazywa? A może go opisała? Mówiła pani „on" i rzeczywiście zakładamy, że to mężczyzna, ale może jest coś jeszcze, co pani widziała, a co nam pomoże ustalić jego tożsamość? - Słysząc własne słowa, skrzywiła się w duszy. I kto to mówi; ona, wyznawczyni nauki i namacalnych dowodów. Nie wierzyła w objawienia, duchy, sny, w nic, czego nie można zbadać i zmierzyć. A tu proszę, liczy, że pomocy udzieli jej kobieta, którą większość miasteczka uważa za wariatkę.
- Mam tylko odczucia. Mężczyzna w bieli. Chyba włożył strój maskujący, by stopić się z tłem, tak mi się wydaje, ze śniegiem.
- Ale Wendy go widziała. - Podobnie jak pozostałe ofiary. Alvarez była pewna, że te kobiety ufały mu, choć nie miała na to żadnego dowodu. To tylko jej teoria.
- Widziała go, ale nie pokazała mi go ani nie opisała. Przykro mi. - Wydawało się, że naprawdę tego żałuje. Kuliła się w fotelu, splotła dłonie, a jej jasne oczy zwilgotniały.
Alvarez zadała jeszcze parę pytań. Grace odpowiadała szybko, chyba szczerze, ale kto to wie? Może jest tak szurnięta, jak o niej mówią. Alvarez jednak chciała, żeby opowiedziała jej wszystko, co pamięta.
- Niektórych rzeczy dowiedziałam się... - Grace schyliła głowę, aż światło kominka odbijało się w siwych włosach.
- Od Wendy Ito?
- Tak.
- Czego na przykład?
Grace zapatrzyła się w płomienie, jakby zapadała w trans i nagle zaczęła mówić: o igle do zastrzyków podskórnych, kaftanie bezpieczeństwa, o jakiegoś rodzaju noszach. Alvarez naciskała, kiedy starszej pani urywał się wątek, ale Grace nie podawała szczegółów: nie padło żadne nazwisko, żaden adres.
Nic, co pozwoliłoby połączyć z przestępstwami konkretną osobę.
Grace powoli wracała do siebie.
- Musi jej pani pomóc.
Te słowa wstrząsnęły Alvarez do głębi.
- Postaram się - obiecała i wyszła. Wsiadła do dżipa i już wyciągała rękę z kluczykiem do stacyjki, gdy zadzwoniła jej komórka. Odebrała w drodze. Wycieraczki na darmo walczyły z cholernym śniegiem, który nie miał najmniejszego zamiaru przestać padać.
- Tu Joelle. Kiedy wrócisz?
- Waśnie jadę.
- Bardzo dobrze.
Alvarez miała złe przeczucie. Przecież Joelle nie zadzwoniła z prośbą, żeby upiekła ciasteczka na świąteczne przyjęcie.
- O co chodzi?

- O syna Regan.
- Jeremy'ego? - Zrobiło jej się ciemno przed oczami. Dzieciak przeżywa ciężkie chwile; co jeszcze? - Co z nim?
- Przyszedł na posterunek, chce wiedzieć, co się dzieje z jego matką. Usiłowałam go uspokoić, prosiłam, żeby wracał do domu, dałam mu nawet ciasteczka i placek.
Bingo.
- Ale upiera się, żeby z kimś porozmawiać o Pescoli, a biorąc pod uwagę jego napięte relacje z Brewsterem, pomyślałam, że może ty...
- Już jadę - powtórzyła Alvarez i się rozłączyła. Nie miała pojęcia, co mu powie. Nie umiała rozmawiać z nastolatkami, ale zrobi, co w jej mocy.

- Przecież to nic takiego - jęczała Bianca, wściekła, że Michelle w ogóle stawia opór. Bianca chciała wyjść. Niepokój o matkę nie dawał jej spokoju; nerwowo skakała po kanałach na gigantycznym telewizorze ojca, ale reality show, które zazwyczaj tak lubiła, teraz w ogóle jej nie interesowały. Choć odbiornik satelitarny oferował mnóstwo kanałów, żaden nie przykuł jej uwagi. Napisała SMS do chłopaka i umówiła się z nim.
A Michelle, zazwyczaj fajna i równa, nagle zaczyna bawić się w macochę. Jeszcze czego!
- Wybieramy się tylko na koncert obok gmachu sądu - tłumaczyła Bianca. Odwróciła głowę w stronę jadalni, gdzie Michelle wieszała na żyrandolu pasma anielskich włosów.
- Czyżby? - Najwyraźniej nie przekonało jej to kiepskie tłumaczenie. - A dlaczego?
- Ha! Bo są święta Bożego Narodzenia.
- Moim zdaniem powinnaś zostać w domu. Czy mama pozwala ci chodzić na randki? Czy Chris w ogóle ma prawo jazdy?
- Michelle ściągnęła starannie wydepilowane brwi w wąską kreskę, usiłując przeciągnąć ozdobę przez uchwyt z kutego żelaza.
- Jego brat nas zawiezie, on ma.
- O której jest ten koncert?
Michelle nie była tak łatwą przeszkodą, jak Bianca sądziła. W każdym razie zmieniła się, odkąd straciła pracę kasjerki w banku, który zamknął lokalną filię. Teraz chyba za bardzo wczuła się w rolę macochy.
- Koło siódmej? Ale nie jestem pewna. Chcemy najpierw coś zjeść, a potem iść na koncert.
- W taką pogodę? - Michelle wyjrzała przez okno na padający śnieg. - O nie, skarbie.
- Ale...
- Posłuchaj… - Michelle uniosła dłoń zakończoną czerwonymi paznokciami. Na każdym widniał miniaturowy płatek śniegu.
- Twój ojciec ma teraz mnóstwo zmartwień. Burza zablokowała autostradę międzystanową i nie może pracować - zaczęła. Tusię nie myliła. Lucky był kierowcą ciężarówki i każdy dzień nieprzejezdnych dróg oznaczał dla niego straty finansowe. Chciał sobie zrobić wolne dopiero na święta, zresztą po raz pierwszy, odkąd Bianca sięgała pamięcią, ale pogoda pokrzyżowała mu plany i uziemiła wcześniej. - A spójrzmy prawdzie w oczy - ciągnęła Michelle - martwi się o mamę. Może tak, może nie.
- Nie patrz tak na mnie. Oczywiście, że się o nią martwi. Do tego jeszcze Jeremy... Wyszedł i nie wiemy, gdzie jest. Nie odbiera komórki. A ma przecież szlaban.
- Ale ja nie - zauważyła Bianca. Przypomniała Michelle, kto z dwójki rodzeństwa jest tym dobrym.
- Posłuchaj mnie. - Biance nie podobał się ton Michelle; były w nim nuty, których wcześniej nie słyszała.
- Nie jesteś moją mamą! - Przy tych słowach Bianca się rozpłakała. Gorącymi, rzewnymi łzami. Nie chciała myśleć, co w tej chwili dzieje się z mamą i od kilku godzin korespondowała z Chrisem. Nie może tu zostać, nie może.

Tylne drzwi trzasnęły głośno. Podniosła wzrok i zobaczyła ojca. Towarzyszył mu zapach tytoniu. Powiesił kurtkę na wieszaku. Michelle rzuciła mu gniewne spojrzenie.
- Co jest?
Michelle już miała na końcu języka ostrą ripostę, ale się zreflektowała.
- To twoja córka. Ty się nią zajmij - powiedziała tylko i uciekła do swojego królestwa, do kuchni, wybijając wściekłe staccato Pantoflami na wysokich obcasach.
Bianca odprowadzała ją niechętnym spojrzeniem. Mama mówiła, że to idiotka, ale Bianca nie była wcale taka pewna.
- No dobra, co się dzieje? - zapytał ojciec.
- Chciałabym pójść dzisiaj na koncert świąteczny - jęknęła. Nadąsała się, krzyżując ręce na piersi.
- O nie.
- Dlaczego nie?
Ojciec popatrzył na nią, jakby postradała rozum, po czym zaczął wyliczać te same nudne argumenty, które już padły z ust Michelle. Pogoda fatalna. Jest za młoda. Jeremy zniknął, a przecież ma poważne kłopoty... ple, ple, ple. Tak to jest, młodsze rodzeństwo zawsze ma gorzej, bo starsze wszystko psuje.
- Jeśli Chris chce do nas wpaść... żebyście mogli razem posiedzieć, bo ja wiem, pograć w coś... Nie ma sprawy.
- Pograć w coś? - Przewróciła oczami. Ile ona ma lat jego zdaniem? Siedem?
- No dobra, to pooglądać telewizję czy... - Zerknął w stronę kuchni, jakby liczył, że Michelle stanie w progu i podsunie mu naprawdę fajny pomysł na wykaraskanie się z tej sytuacji i nagle do Bianki dotarło, że ojciec w ogóle jej nie rozumie. - Proszę, myszko. Zadzwoń do Chrisa i zapytaj, czyby do nas nie wpadł, Powinienem go poznać. Zrobimy pizzę albo ugotujemy spaghetti, albo...
- Pizza, będzie pizza. - Michelle zajrzała do pokoju. - Mamy ciasto w zamrażarce, a w spiżarni są pepperoni i oliwki.
- Super. - Bianca narysowała palcem kółko na czole. Naburmuszona Michelle wycofała się do kuchni. Ojciec był zły.
- Zostajesz w domu i koniec. Tak samo jak Jeremy, kiedy go w końcu dorwę. Póki się nie dowiem, co dzieje się z mamą, macie siedzieć w domu, jasne?
Nagle zachciało jej się płakać. Idiotyczne.
- Jasne, myszko?
- Jasne! - Oby tylko nie przyszło mu do głowy używać tego idiotycznego zdrobnienia w obecności Chrisa! Durne i brzydkie. Poszła do swojej sypialni, zamknęła drzwi, rzuciła się na łóżko i pociągając nosem, sięgnęła po komórkę. Zadzwoniła do brata. Może on ją stąd wyciągnie.
Próbowała go złapać przez cały dzień, ale nie odbierał, więc wysłała mu wiadomość: „Gdzie jesteś? Zabierz mnie stąd i to już".
Zastanawiała się, czy dodać coś jeszcze, ale w końcu wysłała krótką wiadomość. Oby odebrał i wrócił. Jeremy strasznie działał jej na nerwy. Najczęściej był nie do wytrzymania, ale to w końcu jej brat i wie, jaki nieznośny bywa ojciec.
Zawsze uważała, że Michelle jest w porządku, ale teraz zaczynała zmieniać zdanie. Co ona sobie myśli, ustalając zasady? Że jest mamą? Bzdura. Mama czasami załazi za skórę, ale to mama. A Michelle strojąca się w cudze piórka - bez sensu.
Bianca przewróciła się na plecy i wbiła wzrok w sufit. Pomyślała o matce i zrobiło jej się słabo na myśl, że mama ma prawdziwe kłopoty.
Spróbowała zadzwonić do Chrisa.
Może rzeczywiście go zaprosi... Ten pomysł z pizzą jest beznadziejny, ale potrzebuje się z nim zobaczyć.

Naprawdę.

W szpitalu Mountain View doktor Jalicia Ramsby masowała zdrętwiały kark. Szła korytarzem do swojego gabinetu. Miała za sobą ranek pełny spotkań; najpierw terapia grupowa - pięć kobiet, które miały za sobą toksyczne związki. Potem była na spotkaniu zarządu i dowiedziała się, że musi ograniczyć wydatki na oddziale, co oznaczało zwolnienie co najmniej jednej osoby.
- Nastały ciężkie czasy - oznajmił Hedgewick, dyrektor administracyjny ośrodka. - Kryzys daje się nam we znaki.
- Ale pacjenci od tego nie wyzdrowieją. Ciągle trzeba ich leczyć - zaprotestowała Ramsby. Kilku kolegów zawtórowało jej niewyraźnie.
Hedgewick wydawał się naprawdę przejęty, wydął usta, zmrużył oczy za okularami, a dłoń uderzyła w papiery, które leżały na stole.
- I to jest wyzwanie, przed którym stoimy - powiedział, chciał ją ułagodzić. - Musimy oferować usługi najwyższej jakości przy jednoczesnym ograniczeniu wydatków.
Pomyślała o jego mercedesie, ale ugryzła się w język. Podobno bogato się ożenił, zresztą to nieistotne. Hedgewick zawsze skupiał się na zyskach.
Była już przy drzwiach gabinetu. Spojrzała przed siebie i zobaczyła ciemnowłosą kobietę, która błyskawicznie zniknęła za rogiem. Przez ułamek sekundy doktor Ramsby myślała, że to Padgett Long.
Co oczywiście było niemożliwe. Padgett spacerowała powoli i znajdowała się na oddziale zamkniętym. Może to ktoś do niej podobny?
Ramsby szła tak szybko, że poły jej fartucha rozchylały się, ukazując granatowy sweterek i klasyczne spodnie. Na pewno się myli. Z tego, co jej wiadomo, Padgett nigdy nie opuściła swojego skrzydła i otaczającego je małego podwórka.
Smutne, ale prawdziwe.
Dlaczego więc...
W ciągu kilku sekund doszła od rogu do schodów, którymi, gotowa była przysiąc, uciekła ciemnowłosa kobieta.
Na korytarzu nie było nikogo, ściany okien ciągnęły się w nieskończoność, po niebie przemykały ciemne chmury, szyby zalewał deszcz. Po prawej stronie były windy, po lewej łazienki. Ramsby sprawdziła: obie windy jechały w dół, jedna na drugie piętro, druga na parter.
Czy kobieta wsiadła do którejś z nich?
Czy była to Padgett?
Jalicia nigdy nie lekceważyła przeczuć i podpowiedzi instynktu i już nieraz wydawało jej się, że w Mountain View coś jest nie tak. Zaintrygowana, weszła do toalety dla pań. Pusto. Toaleta męska była zamknięta.
Hm.
Powtarzała sobie, że daje się ponieść wyobraźni i czekała koło wind, wpatrzona w drzwi do łazienki. Bardzo chciała zapalić, głód nikotyny płonął żywym ogniem, choć rzuciła osiem miesięcy temu. Może czas na cholerne plasterki.
Dzyń! Niemal podskoczyła, gdy usłyszała dzwonek własnej komórki. Zerknęła na wyświetlacz - Annette, jej wiecznie zniecierpliwiona sekretarka.
- Tak?
- Usiłuję się do ciebie dodzwonić - zaczęła Annette, zdenerwowana. Znowu. Ramsby obawiała się, że wkrótce będą musiały sobie o tym porozmawiać.
- Byłam na spotkaniu.
- No tak, ale ten prawnik, Barton Tinneman, dzwonił dzisiaj już trzy razy i pomyślałam, że chciałabyś o tym wiedzieć.

Adwokat Huberta Longa, ojca Padgett. Annette się nie myliła. Ramsby chciała z nim porozmawiać.
- Wracam do biura - odparła. - Zaraz będę.
Zamknęła telefon i wtedy usłyszała szczęk drzwi. W progu męskiej toalety stał doktor Langley, chudy, stary psycholog o przerzedzonej siwej bródce i wiecznym marsie na czole. Dopinał spodnie. Podniósł wzrok i napotkał jej spojrzenie.
- Jest tam ktoś jeszcze? - zapytała. Zajrzała do niewielkiej kabiny i zobaczyła swoje odbicie w lustrze nad umywalką, zanim drzwi się zamknęły.
- Słucham? - Scott Langley się zarumienił, odchrząknął, poprawił na sobie tweedową marynarkę.
- Wydawało mi się, że jedna z moich pacjentek zawędrowała... Nieważne. - Nagle zrobiło jej się głupio. - Pomyliłam się.
- Doktor Ramsby, nikogo tam ze mną nie było, jeśli o to pani pyta. - Langley uniósł lekko siwe brwi.
- O nic nie pytam - odparła, odwróciła się na pięcie i skierowała do swojego gabinetu. Po raz kolejny miała wrażenie, że w Mountain View coś jest nie tak. I to bardzo nie tak.

Rozdział 18

Świetnie.
Teraz jeszcze partnerka mamy będzie mu udzielała rad.
Jeremy widział to w jej zaciśniętych ustach i zdecydowanym kroku, gdy weszła do małego pomieszczenia ze ścianą z luster, w którym kazali mu czekać. Pokój przesłuchań, jak się domyślał. Śmierdziało tu potem i środkiem do dezynfekcji. Jeremy czuł się nieswojo, jak zawsze na posterunku. Matka twierdziła, że pracę w policji powinien mieć we krwi, bo i ona, i jego ojciec byli funkcjonariuszami, ale o nie, za żadne skarby świata nie chciał mieć nic wspólnego ze stróżami prawa. Nie ufał im. Czasami nawet własnej matce.
- Cześć - zaczęła Alvarez. Bardzo przyjacielsko. Ale się nie uśmiechała. Mama mówiła, że jest dobra.
Jeremy nie uznawał czczej paplaniny. Miał to w nosie, podobnie jak ciasteczka od kobiety o sztucznym uśmiechu, noszącej dziwaczne ciuchy.
- Znaleźliście mamę?
- Jeszcze nie.
Wydawało mu się, że jest przygotowany na złe wieści, ale nagle nie mógł złapać tchu, jakby coś przygniatało mu klatkę piersiową.
- Widziałem jej samochód - powiedział. - To wrak. Na przełęczy Horsebrier. Ja... Widziałem, jak go wyciągano z kanionu. - Zrobiło mu się niedobrze na wspomnienie wraku. - Czy ona żyje? - Starał się panować nad szalejącymi uczuciami.
- Tak, myślę, że tak.
Boże. Dziwne. Jeremy czuł, jak mu drży noga. Miał ochotę wrzeszczeć. Mama nie zginęła, nie zginęła. Nie tak, jak ojciec... o Boże, błagam nie... nie zginęła.
- Ale nie wiecie tego na pewno.
- Nie. Jednak twoja obecność tutaj niewiele pomoże. Najlepsze, co możesz robić, to wrócić do domu, do ojca i siostry...
- On nie jest moim ojcem, a do domu nie wrócę. Są tam gliny-
- Miałam na myśli dom ojczyma. Przecież właśnie tam jest teraz Bianca, u Luke'a i jego żony.
Wzruszył ramionami. Nikt nie mówi na Lucky'ego Luke. ko Michelle, jeśli się na niego wkurzy.

- Nie obchodzi mnie, co robi moja siostra.
- A może powinno. Przynajmniej dopóki mama nie wróci.
- A jeśli nie wróci? - W końcu wyrzucił to z siebie. Zwerbalizował najgorsze obawy i nagle cała jego brawura zniknęła bez śladu. Strach ściskał go za gardło, pod powiekami paliły łzy. O cholera, nie, nie będzie płakał. Co to, to nie. Ale się bał. Bardzo. - Co wtedy? - zapytał. Głos mu się łamał. Do cholery, będzie musiał mieszkać z Luckym i Michelle? Czy mogłoby go spotkać coś gorszego? A co z mamą? Gdzie ona jest, do diabła?
Alvarez patrzyła na niego, jakby się urwał z choinki, i nagle zdał sobie sprawę, że obgryza paznokcie i wypluwa je na podłogę, matka wiecznie mu o to suszyła głowę. Sądząc po zabójczych spojrzeniach jej partnerki, też nie była tym zachwycona.
- Ja.. Ja martwię się o nią. - Zmusił się, by położyć ręce na kolanach, ale noga nadal mu drgała.
- To zrozumiałe - odparła cieplejszym tonem. - Ale nie pomożesz jej, szwendając się po mieście. Zaufaj mi.
Wzdrygnął się. Ilekroć dorośli mówią, że masz im zaufać, chcą cię zmusić do czegoś, co według ciebie jest złe.
- Robimy, co w naszej mocy, żeby ją znaleźć.
- To za mało - powiedział spokojnie i dopiero teraz zobaczył kamerę pod sufitem. Jezu, filmują go?
Rozległy się kroki. Za plecami Alvarez Jeremy zobaczył w holu wysokiego mężczyznę o włosach przyprószonych siwizną. Szedł w ich stronę.
Zastępca szeryfa Brewster!
Ojciec Heidi.
Cholera.
- A co on tu robi? - ryknął bufon. Minął Alvarez i pochylił się nad Jeremym, który kulił się na niewygodnym krześle. Chłopak zerwał się błyskawicznie. Był niemal tego samego wzrostu co potężny policjant.
- Martwi się o matkę.
Brewster przyglądał mu się podejrzliwie.
- Za to, co zrobiłeś, powinieneś siedzieć, gnojku.
- Niczego nie zrobiłem.
- Upiłeś mi córkę. Bóg jeden wie, do czego jeszcze by doszło, gdyby was nie zatrzymali. - Znowu był wściekły, wargi mu zbielały, a policzki oblały się purpurą.
- Wyluzuj - mruknęła Alvarez. Brewster wskazywał Jeremy'ego palcem.
- Tego gnojka interesuje jedynie, jak by tu się naćpać i dostać do majtek mojej córki. - Posłał mu nienawistne spojrzenie. - Trzymaj swojej brudne łapy z dala od mojej Heidi, słyszysz, gnojku? Jeszcze raz do niej zadzwonisz, a cię aresztuję.
- Za co?
- Za wszystko.
- Przestańcie! - Alvarez straciła panowanie nad sobą. Stanęła między Jeremym a Brewsterem. Była od nich niższa, ale trwała przy swoim, choć ojciec Heidi był zarazem jej przełożonym. - Ja się tym zajmę. Sir... - dodała, chcąc rozładować sytuację, ale panowie zaszli już za daleko.
Jeremy poczuł, że zanosi się na walkę, jeszcze zanim padł pierwszy cios. Rozum go ostrzegał: nie daj się sprowokować staremu durniowi. Nie walcz. Czuł jednak płomień we krwi, a pięści same się zaciskały. Boże, oddałby wiele, żeby zetrzeć świętoszkowatemu Brewsterowi głupkowaty uśmiech z twarzy.
Stary także to poczuł.
- No dalej, gnojku. Uderz mnie. Obaj wiemy, że tego chcesz.
- Brewster! - Alvarez ciągle stała między nimi. - Spokój! Obaj!

- Temu gnojkowi się wydaje, że sobie ze mną poradzi. Cholerny zboczeniec. Chce pieprzyć moją córkę i wytrząść ze mnie gówno. Dobrze mówię, Strand? Jesteś do niczego i dobrze o tym wiesz. Pieprzony zaćpany, zapity szczeniak. Heidi jest dla ciebie za dobra. Trzymaj się od niej z daleka.
Jeremy zaciskał pięści tak mocno, aż bolały. Tylko jeden cios, więcej nie potrzebował. Żeby mu pokazać, jaki z niego dupek.
- No dalej, maminsynku.
O Boże.
Sygnał komórki. Znowu dostał SMS.
- Co to było?
- Mamy ważniejsze sprawy na głowie - zauważyła chłodno Alvarez.
Brewster rzucił się na Jeremy'ego; w ułamku sekundy pchnął go na ścianę, boleśnie wykręcił rękę, docisnął twarz do zimnego muru z pustaków.
- Dosyć! - krzyknęła Alvarez.
Ale Brewster tylko wzmocnił uścisk i obmacywał mu kieszenie. Jeremy się poruszył. Nie może dopuścić, żeby ojciec Heidi zobaczył zdjęcia, które mu wysyłała. Zabiłby ich oboje.
- Puszczaj!
- Jestem przekonany, że masz przy sobie narkotyki!
- Nie mam!
- Dosyć tego, Brewster - powtórzyła Alvarez.
- Co to jest... - O, proszę... - Sięgnął do kieszeni Jeremy'ego i wyjął jego portfel i komórkę.
- Oddawaj! - Jeremy wpadł w panikę. Boże, ten dupek przejrzy jego telefon. - To moje!
- Co tam masz takiego? Numer telefonu do dilera?
- Nie, panie Brewster, proszę... - Zmiana tonu była błędem, zorientował się, widząc błysk zainteresowania w oczach zastępcy szeryfa.
- A zatem masz coś do ukrycia.
- Czy to nie jest naruszenie prawa do prywatności, czy... - Jeremy umilkł, gdy Brewster otworzył jego telefon i poczerwieniał gwałtownie. Oczy wyszły mu z orbit i aż trząsł się ze złości.
- Co to jest?! - syknął. - Coś ty zrobił mojej córce?
- Nic.
- Chcesz powiedzieć, że Heidi wysyła ci te zdjęcia z własnej Woli? - Znowu się zbliżał. Alvarez twardo stała między nimi.
- Spokojnie, sir! Bo będę zmuszona pana aresztować! - poinformowała oficjalnie. Jeremy pomyślał, że zaraz wyjmie broń.
- Mnie? Oszalałaś, Alvarez? - warknął Brewster.
- Chyba nie chce pan, żeby wniesiono oskarżenie o napaść na terenie wydziału, sir. - W jej głosie pojawiła się twardość stali.
Brewster nie dawał za wygraną.
- Nie pozwolę, żeby ten gnojek chował się za plecami sprawiedliwości.
- No to proszę! - Jeremy odwrócił się i wymierzył Brewsterowi cios w szczękę. Głowa starszego mężczyzny odskoczyła w bok, zatoczył się, upuścił komórkę, która z metalicznym brzękiem upadła na podłogę. Jeremy spojrzał na wyświetlacz i zobaczył Heidi w czapce Świętego Mikołaja, w czerwonych majteczkach, bez stanika, tak że jej cudowne piersi o ciemnych sutkach były doskonale widoczne. Trzymała w ustach lizaka i puszczała oko.
O Jezu.
- Ty zboczeńcu! - Cort Brewster rozcierał policzek. W jego oczach pojawił się błysk satysfakcji. - Aresztuję cię. - Spojrzał na Alvarez. - Przedstaw mu jego prawa i dopilnuj, by zrozumiał, że jest zdany na moją łaskę i niełaskę.
- Sir, jego matka...

- To bez znaczenia. - Brewster pogroził Jeremy'emu palcem.
- Ten dzieciak to chodzące kłopoty. Balansuje na krawędzi. Zaatakował mnie, więc go zamknij. Moim zdaniem wyświadczamy jego matce przysługę. - Przez moment miał taką minę, jakby chciał zabić Jeremy'ego. Odwrócił się jednak na pięcie i wyszedł.
- To było bardzo głupie - syknęła Alvarez, gdy zostali sami.
- Idiotyczne.
- To dupek.
- I zastępca szeryfa.
- Chciał się ze mną bić.
- Ty pierwszy uderzyłeś, więc trafisz do celi. - Pochyliła się, podniosła aparat i zobaczyła zdjęcie Heidi. Skrzywiła się, pokręciła głową. - I naucz dziewczynę, żeby się nie rozbierała przed kamerą. - Schowała telefon do kieszeni i wyprowadziła go z pokoju przesłuchań.
- Nie aresztuje mnie pani chyba?
- Nie mam wyboru - odparta ze znużeniem. Nie zawracała sobie głowy kajdankami, ale przeczytała mu jego prawa, zanim doszli do celi. - Postaram się załatwić to z Brewsterem, jeśli będzie trzeba pogadam z szeryfem Graysonem. Całe zajście zostało nagrane, więc chyba się uda. Mamy ważniejsze sprawy na głowie niż Heidi jako modelka „Playboya", ale jej ojciec musi najpierw trochę ochłonąć, a to może potrwać.
- Jak długo? - zapytał. Przerażała go myśl, że znowu trafi za kratki. Dlaczego dał się sprowokować temu dziadowi?
- Nie wiem.
Ponieważ nie zareagował, szturchnęła go.
- Zrozumiałeś?
Owszem, ale wcale mu się to nie podobało.
- Tak - mruknął.
- Dobrze. Trzymaj się. - Po chwili wahania dodała: - Idę po kanapkę. Chcesz?
- Nie, dzięki.
- Na pewno? Miałeś ciężki dzień.
Przecząco pokręcił głową. Cos mu mówiło, że ten ciężki dzień jeszcze się nie skończył.

Spotkali się w pokoju konferencyjnym. Stephanie Chandler i Craig Halden z FBI wrócili ze Spokane i omawiali rozwój wydarzeń z Graysonem, Brewsterem, Alvarez, Zoller i kilkoma innymi.
Alvarez rzadko się odzywała, sączyła herbatę i miała nadzieję, że pół porcji sałatki z kurczaka, które pochłonęła przed zebraniem, uciszy jej żołądek. Zażyła też kilka tabletek na przeziębienie, by jakoś przetrwać dzień. Jak na razie jest nie najgorzej. Musi jeszcze załatwić sprawę syna Regan, ale da radę. Jest jej to winna. A Brewsterowi nie można puścić płazem takiego zachowania, nieważne, czy jest policjantem, czy nie. Gliniarz, który nad sobą nie panuje, to złe połączenie.
Zerknęła na niego, ale uparcie unikał jej wzroku. Trochę ochłonął i chyba w końcu do niego dotarło, że zachował się jak dupek, którym w rzeczy samej był.
I dobrze.
Na razie danych Jeremy'ego nie wprowadzono do rejestru przestępstw. I oby tak zostało.
Dyskusja toczyła się wokół naśladowczyni, potem wrócili do seryjniaka, a na koniec zahaczyli o Brady'ego Longa. Nie mieli jeszcze oficjalnych wyników z laboratorium, ale kula z rancza była identyczna jak kule we wrakach samochodów, którymi jechały ofiary seryjnego mordercy. Wszyscy byli zdenerwowani; czyżby zmienił sposób działania?
- Ale dlaczego? - zapytała Chandler. Wysoka i szczupła, upięła jasne włosy w ciasny kok. Rysy twarzy sugerowały nordyckie dziedzictwo. Alvarez jeszcze nigdy nie widziała jej bez okularów przeciwsłonecznych na czubku głowy. - Jak to wytłumaczyć. Zadaje sobie tyle

trudu, podrzuca liściki, posługuje się inicjałami ofiar, zostawia je nagie na mrozie, a teraz, ni stąd, ni zowąd, wchodzi do domu Longa, strzela do niego i idzie sobie w cholerę? A organizacja? Planowanie? Dbałość o szczegóły, którą prezentował do tej pory? No i motyw?
- Musiał to zaplanować i poczekać na jego powrót - zauważył Grayson.
- Ale to zupełnie inna zbrodnia - sprzeciwiła się. Odginała palce, w miarę jak wyliczała różnice między morderstwami. - Pozostałe ofiary to kobiety, tu jest mężczyzna. Nie podróżował samochodem, nie został ranny, nie porzucono go na śmierć w środku lasu... Mogłabym tak ciągnąć w nieskończoność.
Halden pojednawczo podniósł dłoń.
- Musimy być ostrożni - powiedział. - Już raz ktoś nas nabrał. Trop może być fałszywy, jak w przypadku tej naśladowczyni.
- Czy ustalono już, skąd tyle wiedziała o naszym seryjniaku?
- Miała wszystkie wycinki z gazet na temat morderstw, nagrywała też konferencje prasowe i relacje reporterskie z telewizji.
Poskładała to wszystko do kupy, choć nie wykluczamy, że miała źródło informacji.
- Ktoś donosił? Stąd? - Grayson zerwał się na równe nogi, zatoczył ręką łuk, zamykając w nim cały posterunek.
- Niekoniecznie. To mógł być ktoś z policji w ogóle, nie z waszego biura.
Grayson mruknął coś pod nosem. Na jego twarzy widać było zmęczenie, zmarszczki dokoła oczu wydawały się głębsze niż zazwyczaj, a po leniwym uśmiechu nie został nawet ślad. Zdenerwowany, usiadł koło Alvarez, naprzeciwko federalnych.
- No dobra, dowiedzcie się, skąd miała te informacje - zwrócił się do Haldena. - A na razie, skupmy się na naszym zabójcy. Ciągle jest na wolności, ciągle poluje w moim okręgu, ciągle przetrzymuje jedną z moich funkcjonariuszek i przynajmniej jeszcze jedną kobietę, i coraz bardziej mnie wkurza. Za... - Zerknął na zegarek. - Za niecałą godzinę mam konferencję prasową, więc bierzmy się do roboty. Ustalmy jeszcze raz, co wiemy.
- Wiemy, że Ross DeGrazio, syn gosposi Longa, ma strzelbę tego samego kalibru i świetne oko - zaczął Brewster. - Widziałem go podczas zawodów, w których sam startowałem. Mało brakowało, a pokonałby mnie. Był drugi.
- Ten dzieciak? - Grayson skrzywił się sceptycznie, ale po chwili pojednawczo podniósł rękę. Nie wolno mu wydawać pochopnych opinii. W tej sprawie nic nie jest takie, jak się wydaje.
- Sprawdzimy jego broń i alibi - zapewnił Halden.
Selena zapamiętała, żeby osobiście sprawdzić syna Clementine. Ale czy to możliwe?
- Inni podejrzani? - zapytał szeryf.
- Chłopak Elyssy O'Leary. - Chandler zajrzała do notatek. - Cesar Pelton. Były marinę, zwolniony karnie. Pracował jako ochroniarz, była żona oskarżyła go o przemoc. - Nagle wszyscy słuchali jej uważnie. - Ale nie ma związku z pozostałymi ofiarami - A alibi? Jeszcze nawet nie wiemy, że Elyssa wpadła w ręce Mordercy. Pelton mieszka w Missouli, a więc blisko, nie mamy jednak żadnych dowodów poza tym, że ucieka się do przemocy.
- Więc nie jest podejrzany? - zapytała Selena.
- To mało prawdopodobne. Była żona została już nieraz przyłapana na kłamstwie, a Pelton przez cały czas kręci się po Missouli. Owszem, szybko staje do bójki, ale czy jest wystarczająco zorganizowany? Ciągle traci pracę, ma debet w banku, jest na bakier z prawem. Za głupi jak na naszego seryjniaka. - Agentka wydawała się zmęczona i sfrustrowana. Alvarez już przyjrzała się Peltonowi i także go odrzuciła. - Mimo to mamy go cały czas na oku - zakończyła Chandler lekko znudzona.
- Ja tam stawiam na DeGrazio - oświadczył Brewster. - Albo kogoś, kto mieszka bliżej Grizzly Falls.
Grayson zerknął na zegarek.
- Coś jeszcze?

Dyskusja toczyła się dalej, pojawiały się nowe teorie, analizowano wszelkie informacje uzyskane od mieszkańców, listy pozostawione przez mordercę i przestudiowano mapę, na której zaznaczono miejsca, gdzie znajdowano ciała i samochody.
Zebranie dobiegało końca, gdy do pokoju zajrzała Joelle.
- Przepraszam bardzo - zaczęła i Alvarez już myślała, że wparuje do pokoju z tacą pierniczków, ciasteczek i babek, ona jednak powiedziała: - Wiem, że miałam wam nie przeszkadzać, ale dzwoni Slatkin i mówi, że ma ważne informacje.
Zapadła cisza.
- Daj go na pierwszą linię. - Grayson spojrzał na Zoller, która siedziała najbliżej biurka. - Włącz na głośnomówiący. - Wykonała jego polecenie. - Mówi Grayson. Co masz, Michaił?
- Po pierwsze, potwierdzenie. Kula z fotela Longa została wystrzelona z tej samej broni, co kule w oponach.
Alvarez zrobiło się słabo. Seryjniak zmienił sposób działania.
- Co jeszcze?
- Mamy badania krwi Wendy Ito. Znaleźliśmy śladowe ilości rohypnolu.
- Sukinsyn daje im pigułkę gwałtu - syknęła Chandler. Alvarez ściągnęła brwi.
- Ale ich nie gwałci. Żadnej.
- Tak jest, nie ma śladów współżycia - potwierdził Slatkin przez telefon. - Sprawdzamy też pozostałe, ale rohypnol szybko znika z organizmu.
- Róbcie, co w waszej mocy - odparł szeryf. - Dzięki. Zoller rozłączyła rozmowę. Dan Grayson toczył wzrokiem po zebranych.
- Wygląda na to, że śledztwo zmienia bieg. - Potarł sobie kark. - Ustalcie, kto skorzysta na śmierci Brady'ego Longa. Znajdźcie jego testament. Wyszukajcie, co się da o jego byłych żonach, o wszystkich, których wyrolował. Z kim sypiał, kogo rzucił, kogo oszukał, każdego, kto mógł mieć do niego żal. - Zabębnił palcami w stół. - To może być długa lista. Sprawdźcie, czy jego ojciec jeszcze żyje.
- Ledwo. Poinformowano hospicjum. Hubert jest twardy; może pożyje jeszcze dwa miesiące, a może dwie godziny - sapnął Brewster. - Dzwoniłem dzisiaj do tego ośrodka i nie chcieli mi powiedzieć nic więcej, ale zostało mu już mało czasu na ziemi.
Grayson zmrużył oczy.
- A ta siostra Brady'ego? Paige?
- Padgett - poprawiła Alvarez.
- No właśnie, Padgett. Zdaje się, że będzie wkrótce bardzo bogata.
Stephanie Chandler zabrała głos:
- Świetnie, że szukamy zabójcy Longa, ale nie zapominajmy o pięciu martwych kobietach i kilku zaginionych, w tym jednej z was.
Pod okiem Graysona zadrgał mięsień, widać było, że za wszelką cenę usiłuje opanować gniew.
- Agentko Chandler, niech pani nie myśli, że coś się zmieniło, Jeśli chodzi o poszukiwanie zabójcy. Nie odpuszczamy. Zrobimy, Co w naszej mocy, by dorwać sukinsyna, ale śledztwo nieoczekiwanie zmieniło kierunek, doszedł nowy aspekt. Nie tylko szukamy mordercy, który porzuca kobiety na śmierć na mrozie, teraz widzimy, że ma jeszcze ukryte motywy. Może to sprawa osobista. Może zemsta. Moim zdaniem profil psychologiczny seryjniaka zmienia się, więc musimy się przystosować. - Wstał i oparł ręce o stolik. - Ale mam zamiar, więcej, uważam za moją misję, dopaść sukinsyna, zanim zamorduje kolejną osobę. - Rozejrzał się. - A teraz do roboty!
Wstawali, ciszę wypełnił zgrzyt krzeseł na posadzce, zabierali pliki papierów i puste kubki po kawie. Alvarez zerknęła w okno na zacinający śnieg.
Burza nie odpuszcza.
Morderca także.

Nie skończył jeszcze. Dawał im to do zrozumienia w listach, które zostawiał przy ofiarach. Przy ciele Longa nie było jednak żadnej wiadomości.
Pod tym względem Grayson ma rację, dumała, idąc do biurka. Long to odstępstwo od reguły. Może zabił go wspólnik seryjniaka? A może coś wiedział? Musi być jakiś związek, choć na razie go nie dostrzegają.
Kolejny naśladowca? Nie, to mało prawdopodobne.
Więc co?
Sięgnęła po akta zaginionych, kobiet, które przepadły bez wieści w ciągu ostatnich sześciu tygodni. Przeglądała je kartka po kartce, czytała nazwiska, a gdy patrzyła na zdjęcia zrobione do dyplomów i praw jazdy albo na domowe fotografie, z których uśmiechały się do najbliższych, serce jej krwawiło.
Patricia Sorenson.
Alma Rae Dodge.
Holly Benjamin.
Tawilda Conrad.
To tylko kilka z nich, a każda mogła paść ofiarą mordercy. Alvarez poskładała zdjęcia i podeszła do biurka Pescoli. Bałagan, nieład, na tablicy korkowej zdjęcia dzieci, karteczki z telefonami, kalendarz.
Oby jeszcze żyła.
- Trzymaj się - szepnęła i włączyła jej komputer. Zoller i informatyk wszystko już przejrzeli, ale Alvarez wolała się upewnić.
- Gdzie ty teraz jesteś? - zapytała na głos. Migrena wracała z nową siłą, gdy przeglądała ulubione strony internetowe partnerki, sprawdzała historię, nie znajdując nic, co mogłoby pomóc.
Westchnęła, pomyślała o Jeremym w mrocznej celi. Czy to wszystko w ogóle się kiedyś ułoży? Nie miała jeszcze okazji, by pogadać z Graysonem o dzieciaku, Brewster nadal był wściekły, więc na razie Jeremy siedzi. Chyba że Lucky Pescoli wkroczy do akcji.
Mało prawdopodobne.
A Jeremy'emu nie zaszkodzi, jeśli trochę pomyśli, zanim zaatakuje, choć tym razem Brewster rzeczywiście go sprowokował. Świetnie, Cort, tak się buduje autorytet, zarówno dobrego policjanta, jak i chrześcijanina.
Zamknęła oczy i pomasowała bolące skronie. Oddałaby wiele za przełom. W tej sprawie. W pogodzie. W czymkolwiek. Niczego się nie dowiedziała, wróciła więc do swojego biurka i mało brakowało, a wpadłaby na sekretarkę.
- Zaczyna się konferencja prasowa! - zawołała Joelle i narzuciła czerwoną pelerynę ozdobioną mikołajami, zdaniem Alvarez raczej groźnymi niż milutkimi. - Nie staniesz u boku szeryfa? -Włożyła czarne rękawiczki i podeszła do drzwi.
No pewnie, pomyślała Alvarez i sięgnęła po kurtkę.
- Ja nie mogę - wyjaśniła Joelle. - Obiecałam siostrzenicy, że zabiorę ją na spotkanie z Mikołajem. Przybędzie dzisiaj do gmachu sądu, po koncercie w parku.
- Dzisiaj? - Alvarez spojrzała w ciemne okno.
- Mikołaj nie boi się złej pogody - oznajmiła Joelle. - W końcu mieszka na biegunie północnym.
- Czyżby?
- Oczywiście. - Błysnęła zębami w uśmiechu, naciągnęła kaptur, do którego przyczepiony był biały pompon, zapewne kolejny element świąteczny. - Wiesz, Seleno, odrobina wiary nie zaszkodzi. Wiem, że jest ciężko, ale to nie znaczy, że nie działa na nas czar Bożego Narodzenia.
- Doprawdy?
- Owszem.

Alvarez zapięła kurtkę i podeszła do bocznych drzwi, z dala od werandy i konferencji prasowej. Weźmie sobie do serca rady Joelle. Jeśli chodzi o Graysona, zawsze będzie trwała u jego boku. To dobry człowiek i mądry, oddany służbie policjant. Mówił głośno, z przekonaniem, za jego słowami zawsze szły czyny, a w pracę angażował się duszą i ciałem. Ale dzisiaj sam się oszukuje, dumała, wsłuchana w świst wiatru. Ona także miała nadzieję, że powstrzymają mordercę, zanim znowu zabije. Bardzo chciała wierzyć, że nie znajdą nowych zwłok.
Ale jest realistką.
Święty Mikołaj nie istnieje.
A seryjniak znowu zaatakuje.

Rozdział 19

Już wkrótce, myślę. Siedzę za stołem, na którym rozłożyłem rysunki, notatki, zdjęcia, dowody tożsamości i inne drobiazgi. Ogień syczy cicho jak wąż, przypomina mi, że mam zadanie do wykonania.
O tak, czas Elyssy nadejdzie już wkrótce. Śnieżyca ma się uspokoić, dzięki czemu warunki będą idealne na lekcję przetrwania... Taką jak moja. Ile razy matka zabierała mnie w ośnieżone góry i kazała sobie radzić? Ile razy powtarzała, że tylko w ten sposób stanę się prawdziwym mężczyzną? Jasne, ta dziwka miała rację, ale zawsze uważałem, że ojciec powinien był ją powstrzymać, kiedy porzucała mnie samego w lesie w środku zimy i kazała szukać drogi do domu. Uczyła mnie, że muszę być przygotowany na wszystko i dlatego zacząłem wcześnie polować. Rzadko mnie chwaliła, ale wtedy - tak. I nagle odkryłem, że władza nad życie-innych stworzeń sprawia mi ogromną przyjemność. Czy ten królik będzie żył, czy nie? Czy uda mi się odstrzelić wiewiórkę z odległości trzydziestu metrów? Czy zdołam leżeć nieruchomo tak długo, aż uspokojona łania odejdzie od jelonka?
O tak, matka wiele mnie nauczyła.
A ojciec... Zostawił - na pastwę losu, na pastwę matki.
Wielkie dzięki, tatusiu.
Nalewam sobie drinka i odpycham ponure wspomnienia młodości. Jestem zbyt zmęczony, by wyprowadzić Elyssę dzisiaj, zresztą chcę się jeszcze rozkoszować wspomnieniem ostatnich sekund życia Brady'ego Longa. Popijam zimny napój, czuję, jak spływa w dół gardła, jak rozgrzewa mi krew. Tylko jedna szklaneczka, nie więcej. Przede mną dużo pracy.
Elyssa, ta idiotka, może już chodzić. Jest tu tak długo, że nabrała do mnie zaufania, a jednocześnie chce wracać do cywilizacji. Jutro Wigilia. Dobry moment, by się nią zająć. A do tego czasu muszę być szczególnie troskliwy, tak na wszelki wypadek. Uspokoję jej obawy i sprawdzę, do czego się posunie, żeby mnie złamać.
Jest ładniutka.
Ale nudna.
W przeciwieństwie do Regan Pescoli.
Zerkam na drzwi do jej pokoju, myślę o niej leżącej na posłaniu. Zabiłaby mnie, gdyby mogła, i to właśnie jest fascynujące. Wyzwanie. Krew żywiej krąży mi w żyłach. Nie mogę się doczekać, aż przyjdzie jej kolej.
Ale jeszcze nie teraz. Masz plan, nie zapominaj o tym. Plan, którego musisz się trzymać.
Zerkam na schludny stosik listów, w które włożyłem tyle pracy. Zaczęło się od pierwszej, Theresy Charleton, i jej inicjałów:

T C

Och, Theresa była wspaniała! Rozkładam kopię notatki -0ryginał zostawiłem przy Theresie, dla policji - analizuję pozycję gwiazdy nad literami. Czy zorientowali się, jak precyzyjnie ją wyznaczyłem? Czy zauważyli, że zmienia się stopniowo?
Druga była Nina Salvadore, programistka komputerowa i matka, a potem przyszedł czas Wendy Ito. Azjatki, która mylnie sądziła, że znajomość sztuk walki ją uratuje. A tu taka niespodzianka, dziwko. Nic ci nie pomogło!
Czwarta była Rona Anders, pospolita i zwyczajna, która w kółko płakała za narzeczonym, a piąta Hannah Estes - suka, którą znaleźli jeszcze żywą, zabrali do szpitala i mało brakowało, a przeżyłaby. Wtedy naprawdę się zdenerwowałem... Było źle, mogłaby mnie przecież rozpoznać podczas konfrontacji, ale bez niej wiadomość nie byłaby pełna.
Patrzę na kopie listów. Idealne. Każda gwiazda w odrobinę innym miejscu na nieboskłonie. Czy się zorientowali? Czy wiedzą, co chcę im powiedzieć?
Do tej pory dostali pięć liścików. Już niedługo zobaczą dalsze litery i będą próbować, ale pewnie i tak nie rozwiążą tej zagadki; Będą wstawiać inicjały dwóch ciał, które wkrótce znajdą, zmartwieni, że w leśnej głuszy czekają jeszcze inne zamarznięte zwłoki.
Uśmiecham się i sączę alkohol, pozwalając kostce lodu rozpływać się powoli w moich ustach.

WAR THE SC I N

Czy są dość bystrzy, by odgadnąć, w które miejsce wstawić nowe litery? Czy FBI przyda się na coś? Wątpię. Przecież dochodzenie prowadzi ten nieudolny partacz, szeryf Dan Grayson. Prycham pogardliwie na samą myśl o nim. Co za żałosna postać! Pewnie gryzie teraz palce z bezsilności. I dobrze, i bardzo mi się podoba, że to akurat on, niby taki mądry i inteligentny, a kręci się w kółko.
Może mógłbym mu trochę pomóc, jemu i jego bandzie kretynów. .. a nawet dać przedsmak tego, co nadchodzi. Dobrze byłoby trochę nimi potrząsnąć po ostatniej gafie, jaką był pościg za naśladowczynią... i do tego jeszcze kobietą.
Są zdesperowani, ot co.
Oglądam listy, które wykorzystam w przyszłości. Doskonałe. Czekają, aż je przypnę nad głowami odpowiednich kobiet. Hm.
Planowałem to od lat, bo wszystko ma swoją porę. Musiałem poczekać, aż kobiety o odpowiednich inicjałach będą jechały przez góry Bitterroot. Oczywiście mam także plan B - listę kobiet o tych samych inicjałach, na wszelki wypadek, bo wiadomość musi być kompletna. Choć może się zmienić. Mam kilka wersji, które przekazują to samo ostrzeżenie. Jestem przygotowany na każdą ewentualność.
Akta kobiet, potencjalnych kandydatek, przechowuję posortowane w dziesiątkach pudełek. Ułożyłem je alfabetycznie, dołączyłem zdjęcia wykonane moją komórką - czasem z ukrycia, a czasem za zgodą fotografowanej. Spisałem wszystko: gdzie pracują, skąd pochodzą, czym się interesują i, najważniejsze, ich ulubione trasy.
Wiele, setki kandydatek musiałem odrzucić. Inicjały nie pasowały albo nie planowały podróży przez tę część okręgu Pinewood. To zazwyczaj kobiety, które poznałem przed laty, kiedy dopiero obmyślałem swoje przedsięwzięcie.
Rozkoszuję się swoim drinkiem. Ogień bucha na kominku, a Pescoli za drzwiami planuje ucieczkę. Nie mam pojęcia, jak chce to zrobić, ale jestem pewien, że o tym myśli. Teraz żałuję, że nie ukryłem w jej pokoju małej kamery i zapamiętuję sobie, żeby to zrobić w przyszłości.
To jedyny szczegół, o którym nie pomyślałem, dopracowując plan. Odkładam pudła, wsuwam je do przegródek w szafie, którą zrobiłem przed laty. O tak, ten plan długo dojrzewał.

Matka byłaby ze mnie dumna, myślę sobie.
Z mojej dbałości o szczegóły.
W duchu udzielam sobie pochwały za cierpliwość. Bardzo mi się przydała przez te wszystkie lata - kiedy czekałem na okazję do idealnego strzału, kiedy czekałem, aż kobieta o właściwych inicjałach będzie przejeżdżała przez nasz zakątek gór, kiedy rozważałem, w którym memencie najlepiej zabić Brady'ego Longa.
I warto było czekać.
Upominam się, że wobec pani detektyw też muszę się wykapać cierpliwością i opanowaniem. Działa mi na nerwy, sprawia, że staję się niespokojny, niepewny siebie, zły.
A to nie pomaga.
Jeszcze nie teraz.
Zerkam na drzwi jej pokoju.
Czuję gniew, ale panuję nad nim.
Na razie.
A potem?
Rozgryzam kostkę lodu.
A potem uważaj.

Annette zadzwoniła, gdy Jalicia już zbierała się do domu.
- Pan Tinneman na pierwszej linii.
- Znowu? - żachnęła się.
- Łączyć czy nie?
- Dawaj. - Lekarka wzięła się w garść. Do tej pory o Padgett było cicho, a teraz adwokat jej ojca dzwoni po dwa razy dziennie.
- Pani doktor. - Prawnik wydawał się czymś poruszony. - Cieszę się, że jeszcze panią zastałem.
- Co mogę dla pana zrobić? - Zerknęła na zegarek. Jest późno i z każdą chwilą robi się coraz później. Marzyła o jednym: wrócić do domu i zjeść własnoręcznie przygotowaną kolację.
- Po rozmowie z panią byłem u Huberta Longa, ojca Padgett.
- Jak się czuje? - zapytała grzecznie. Chwila wahania, ledwie wyczuwalna.
- Źle. Nie naruszam tu tajemnicy mojego klienta, bo to fakt powszechnie znany. Pracownicy ośrodka Regal Oaks nie podają żadnych dat, ale nie sądzę, żeby dożył do końca tygodnia.
- Przykro mi.
- Pojawiła się jednak niespodziewana komplikacja. Tragedia. I prawdziwy powód, dla którego do pani dzwonię. Brady, jedyny syn Huberta, brat Padgett, nie żyje.
- Nie żyje. - Jalicia odruchowo, obronnym gestem, położyła sobie rękę na sercu. - Wypadek?
- Niestety nie. Zamordowany. Policja z Grizzly Falls nie chce ujawnić szczegółów, ale wiem na pewno, że Brady Long nie żyje.
Jalicia mrugała szybko, starając się przetrawić informacje.
- Zamordowany?
- Na to wygląda. W Montanie to dzisiaj informacja dnia.
- Jak? Co...? Przykro mi - ciągle to powtarza i to mając na myśli ludzi, których nie zna. Ale to rodzina Padgett. Jej jedyni krewni? W ciągu tygodnia straci obu.
Jalicia była myślami już w przyszłości. Odwróciła fotel w kierunku szafki z dokumentami i znalazła akta Padgett - trzy grube segregatory.
- Ta tragedia bardzo nas wszystkich... zaskoczyła.
- Tak.
- Sprawa jest wyjątkowo delikatna, bo pan Long jeszcze żyje. Musimy jednak przygotować się na nieuniknione, bo w pewnym stopniu wpłynie to na sytuację Padgett.
- Rozumiem.

- Hubert został poinformowany o śmierci Brady'ego i ma jedno życzenie.
- Związane z Padgett?
- Tak.
Jalicia przeniosła trzy segregatory na biurko i otworzyła najnowszy. Włączyła komputer i weszła do bazy danych zawierającej informacje o pacjentach.
- Padgett Long będzie jedyną dziedziczką fortuny Huberta. A więc nie ma innych krewnych i Tinneman nie wie, jak rozegrać nieoczekiwany obrót wydarzeń.
- Oczywiście, istnieje specjalny fundusz powierniczy dla Padgett - mówił. - A ponieważ jest... chora... zarząd majątku zadba, by nigdy niczego jej nie brakowało. Jest jednak jeden problem, którym musimy się zająć...
- Jaki? - zapytała, gdy pauza przeciągnęła się w niezręczne milczenie.
- Proszę zajrzeć do jej akt, tych najstarszych, a przekona się pani, że Padgett trafiła do Mountain View z innego ośrodka, w którym spędziła, o ile dobrze pamiętam, mniej więcej cztery miesiące.
- Dobrze. - Posłusznie odsunęła dwa nowsze segregatory i spojrzała na akta sprzed piętnastu lat. Niektóre kartki pożółkły, bił od nich zapach stęchlizny. Przytrzymywała słuchawkę barkiem i ostrożnie przekładała karty. - Mam przed sobą jej akta.
- Świetnie. Interesuje nas ośrodek Cahill House w San Francisco.
- Szukam, panie Tinneman, ale tu nic nie ma.
- Na pewno jest.
- Tu jest mnóstwo dokumentów, potrzebuję czasu, żeby się ze wszystkim zapoznać. Ale moment... - Przesuwała palcem po spłowiałej stronie. Jest: Cahill House. Arkusik schowany był między stronami formularza przyjęcia Padgett do ośrodka. Jalicia zajrzała do komputera. Zmarszczyła czoło. Tej informacji nie było w bazie danych. - Mam. Cahill House w San Francisco? - Adres był niemal nieczytelny. - Czy to prywatny szpital? Nie słyszałam o nim.
- Nie, pani doktor, to nie szpital, nie do końca. - Prawnik był spięty, jakby nagle poczuł, że ciśnie go kołnierzyk koszuli. - To ośrodek ufundowany przez rodzinę Cahillów, istnieje od wielu lat. To miejsce, do którego trafiają dziewczyny w... trudnej sytuacji.
Jalicia się skrzywiła.
- To znaczy w ciąży? - Najpierw w jego głosie było napięcie spowodowane śmiercią Brady'ego, teraz starannie dobierał słowa. Czy myśl o niechcianej ciąży budziła jego zażenowanie? Czy Hubert Long myślał podobnie?
- Tak, była w ciąży
- Donosiła? - ponagliła, gdy Tinneman znowu umilkł.
- Urodziła dziecko... Chłopca... I oddała do adopcji. Jalicia odchyliła się z krzesłem, pogrążona w myślach. Pomknęła wzrokiem do okna, za którym blade zimowe słońce nikło za horyzontem, i pomyślała o kobiecie z pokoju 126. Wyczuwała, że za błękitnymi oczami kryje się inteligencja.
- Z własnej woli? - zapytała.
- Oczywiście.
- Kobieta, która od przybycia do Mountain View nie odezwała się ani słowem, dobrowolnie zrzekła się dziecka?
- Co pani sugeruje, doktor Ramsby? - Napięcie w głosie prawnika było wyraźnie wyczuwalne.
- Nie mam przesłanek, by sądzić, że Padgett Long była w stanie samodzielnie podjąć taką decyzję.
- Padgett podpisała papiery adopcyjne, co uprawomocniło procedurę - oświadczył stanowczo. Czy Padgett naprawdę była w stanie zadecydować, że nie chce dziecka? Z drugiej strony, co ona by z nim zrobiła?

- Wyjaśnijmy coś sobie, Tinneman. Czy obawia się pan, że dziecko Padgett dowie się, że urodziło się w rodzinie bogaczy i zechce przejąć część majątku?
- Chodzi o coś więcej. - W jego głosie nadal wyczuwała napięcie.
- Jak to?
- Życzeniem pana Longa jest zobaczyć wnuka przed śmiercią. Ma obsesję na punkcie chłopca, zwłaszcza teraz, gdy Brady nie żyje.
- Ale ten chłopiec, jego wnuk, spędził całe życie w innej rodzinie.
- Zdaję sobie sprawę, że będzie to dla niego pewnym zaskoczeniem, ale nie sądzę, żeby przybrani rodzice protestowali w zaistniałych okolicznościach.
Doktor Ramsby nie spodobał się podtekst: bo Longowie to milionerzy.
- Czego pan ode mnie oczekuje?
- Chciałbym, żeby pomogła mi go pani znaleźć. Pan Long zaperza hojnie wesprzeć chłopca i jego dotychczasową rodzinę.
Jalicia sądziła, że zrozumiała.
- Chcecie zaproponować mu pieniądze, żeby później nie upominał się o ewentualny udział w spadku?
- Doktor Ramsby, zanim wyciągnie pani pochopne wnioski, Proszę wziąć pod uwagę fakt, iż koszty utrzymania i wykształcenia dziecka są bardzo wysokie, a czasami przekraczają możliwości finansowe rodziców. Owszem, chodzi o pieniądze. Tak, pan Long chce wspomóc tę rodzinę znaczną sumą. Bardzo znaczną. - Jego nadęty ton przyprawiał Jalicię o dreszcz. - Proszę także wziąć pod uwagę, że chłopiec dowie się wreszcie, kim była jego biologiczna matka, pozna jej historię, także medyczną. Będzie wiedział, kim jest.
- A ojciec?
- Jaki ojciec?
- Ojciec dziecka Padgett.
- Nie ma znaczenia. - Stwierdził prawnik lekceważącym tonem.
- Wiedział w ogóle, że będzie ojcem?
- Nie mam pojęcia.
- Ale brał pan udział w zorganizowaniu adopcji, pan albo pana kancelaria. - Przeglądała dokumenty i zobaczyła nagłówek „Sargent, McGill i Tinneman". - Prawo broni także interesów ojca, panie Tinneman.
- Znam prawo.
- Kim on jest?
- Padgett nigdy tego nie powiedziała - odparł niechętnie. Ona jedna to wie.
- I milczy jak zaklęta. - Dosłownie. Jalicia spojrzała na zdjęcie córki, która uśmiechała się do obiektywu. Clarice ma czternaście lat, mniej więcej tyle samo, co oddany do adopcji syn Padgett.
- Nie wspominała o tym podczas waszych sesji? - W jego głosie pojawiła się nuta nadziei.
- Teraz mówimy o tajemnicy lekarskiej.
- Pani doktor, pomogłaby nam pani, znajdując chłopca. Hubert Long byłby bardzo zobowiązany pani i Mountain View. Może zapyta pani Padgett o niego.
- Myślę, że powinien się pan zwrócić z tym do kogoś w... Zerknęła do akt. - W Cahill House. Muszą mieć dokumenty.
- Już to zrobiłem - odparł szybko. - Takich informacji udzielą wyłącznie Padgett.
A zatem śliski prawnik usiłował wcisnąć się tylnymi drzwiami.
- Doktor Rambsy...
- Nie mogę dłużej o tym rozmawiać. Jeśli pan albo ktoś z pańskiej firmy zechce tu przyjechać i porozmawiać z Padgett, bardzo proszę. Ja jednak panu nie pomogę. Dziękuję, że poinformował mnie pan o śmierci brata mojej pacjentki. Dopilnuję, żeby się dowiedziała. - Ramsby się rozłączyła. Pokręciła głową. Rodzina... wieczny kłopot. A Tinneman... wiedział

przecież, że nie może naciskać, by udzielała mu poufnych informacji. Nie poznała go osobiście, ale już nie lubiła. Farbowany lis.
Ale co to wszystko oznacza dla Padgett Long?

Rozdział 20

Wrócił.
Sukinsyn był w pokoju obok, nucił sobie pod nosem, palił w piecu, gotował albo... Nieważne, coś robił. Regan obserwowała cień przesuwający się nad progiem. Nie wiedziała, co jest za drzwiami, udało jej się jedynie rzucić okiem, gdy przynosił jej wodę, jedzenie albo wynosił cholerne wiadro, do którego się załatwiała. Albo dorzucał drewnianych szczap do ognia. Dostrzegła wtedy długi stół, potężną szafę i biblioteczkę, tylko tyle znalazło się w polu jej widzenia. Intrygowało ją, czym się zajmuje zawodowo, o ile oczywiście coś robi. Walcząc w ciemności z ogarniającym ją chłodem, ciągle się zastanawiała, kim jest.
Skąd wrażenie, że go zna?
Podciągnęła szorstki koc pod samą szyję, bo ogień powoli dogasał, a powietrze przesycał zapach drzewnego dymu. Przypominała sobie wszystkich kryminalistów, których aresztowała w ciągu minionych lat.
Żaden nie pasował.
Zatrzymywała wielu przestępców, którzy grozili jej i jej najbliższym, ale zawsze były to tylko czcze pogróżki, wyraz gniewu i urażonej dumy, oznaka rozpaczy kryminalisty, który miał przed sobą lata w więzieniu. W tym czasie z pewnością podsycali w sobie nienawiść do policji, wymiaru sprawiedliwości i jej, detektyw Pescoli. Ale ilekroć wychodzili na wolność, wszyscy, co do jednego, unikali jej jak ognia.
Ten był inny.
Płonący w nim gniew był głębszy, bardziej mroczny.
A jego obiektem była nie tylko ona, lecz także inne kobiety. I przedstawiciele władzy.
Wyczuwała jego wrogość, jakby była trzecim towarzyszem w ciasnym pokoiku, wyczuwała, że gardzi nią, choć czasami jego głos był spokojny, łagodny, jakby mu na niej zależało.
Nie wierzyła mu ani przez moment.
A teraz wrócił i musi zaprzestać swoich żałosnych prób uwolnienia się i ucieczki. Ale może go zdemaskować. I co ważniejsze, powstrzymać.
Zanim ją zabije.
Trudne zadanie.
Którego nie wykona z kajdankami na rękach.
Dostrzegła cień poruszający się pod drzwiami i wiedziała, że podszedł do nich, ale klamka się nie poruszyła.
Pewnie ją podgląda. Co za zbok! Z trudem opanowała drżenie, zacisnęła usta i gniewnie wpatrywała się w małego judasza w drzwiach. Bez słów rzucała mu wyzwanie: wejdź tu, ty gnoju!
Może jeśli będzie z nim rozmawiała, odkryje, kim jest i gdzie właściwie są. O ile oczywiście nie straci panowania nad sobą i umiejętnie pociągnie go za język.
Zdawał się czytać w jej myślach. Drzwi się otworzyły i wszedł do środka. Snop światła rozjaśnił mrok i zobaczyła swoje ubranie przy piecu. Czy broń także tam jest? A telefon?
Dostrzegła jedynie dżinsy, sweter, kurtkę i buty.
- No co? - rzucił drwiąco.
Przyglądała mu się, usiłując odczytać uczucia z jego twarzy, przykryła się starannie kocem. Ogień niemal zgasł, temperatura w pomieszczeniu wynosiła zapewne kilka stopni powyżej

zera, a światła było bardzo mało. Widziała niewiele, tylko te idiotyczne gogle i paskudną brodę.
Kopnięciem zamknął drzwi. Zatrzasnęły się głucho i ten dźwięk sprawił, że Pescoli zadrżała. Nie daj się, to tylko gra. Masz być opanowana. Ale trzask drzwi był jak wyrok śmierci, przypominał, że stąd nie ma ucieczki, że jest tu więziona, zdana na pastwę jego chorych fantazji.
- A zatem, pani detektyw... - Jego szorstki szept przyprawiał ją o dreszcz. - Ucieczka się nie udaje, co?
Serce zabiło jej szybciej. Wie? Podglądał ją? Ma tu kamerę? Śmieje się z jej nieudolnych wysiłków?
- Daj sobie spokój. Nieważne, co wymyślisz, i tak się nie uda. - Podszedł bliżej, wysoki, onieśmielał ją, bo mogła tylko leżeć albo siedzieć i to naga.
Spod narciarskiej czapki wymykały się blond kosmyki, ale podejrzewała, że to peruka. Zadawał sobie wiele trudu, by pozostać anonimowym.
- Głodna? - spytał.
Jakby go to w ogóle obchodziło. A Pescoli była tak przerażona, że nie przełknęłaby ani kęsa.
- Nie?
Nie odpowiedziała. Przechylił głowę, przyglądał jej się jak Ptak, który ciekawie obserwuje owada pełzającego po ziemi.
- Wiesz, Ruda, spodziewałem się czegoś więcej. - Drwiące rozczarowanie w ochrypłym głosie. - Więcej ognia. Ten numer z osobowością aktywno-pasywną nie działa.
- Nie udaję.
- Ooo, umiemy mówić. W końcu. - Wydawał się zadowolony, Pescoli była na siebie wściekła, że się odezwała. Ale musisz go Wciągnąć w rozmowę, sprowokować, sprawić, żeby w jakiś sposób się zdradził, żebyś wiedziała, co zamierza. Czy jest tu zasięg? Droga dojazdowa? Czy widać to miejsce z powietrza? Jak daleko stąd do miasta?
- Nie znasz mnie - powiedziała spokojnie.
- Nie?
Był taki pewny siebie, że ogarnęły ją wątpliwości. A może to ktoś jej bliski? Ale kto?
- To dlaczego się maskujesz?
- Bo wtedy nie byłoby tak zabawnie.
- Zabawnie? - powtórzyła.
- No pewnie. - Jezu, jego to bawi.
- Jasne, świetna zabawa - prychnęła i usiadła, cała otulona kocem. Prawa ręka zwisała wzdłuż nogi łóżka. Lewa, skuta z prawą, spoczywała obok.
- Jaka skromnisia - rzucił. Najwyraźniej setnie się bawił. -Zaskoczyłaś mnie. Nie sądziłem, że taka jesteś.
Nic o mnie nie wiesz, gnoju.
Podrapał się w kark, może drażniły go sztuczne włosy. Gdyby zdołała ściągnąć mu czapkę, perukę i gogle, gdyby mogła mu się porządnie przyjrzeć... była pewna, że rozpoznałaby go. Ale co z tego, jeśli nie możesz stąd uciec?
Pescoli miała ochotę podciąć drania, powalić go na ziemię i zedrzeć z niego przebranie.
- Jak powiedziałam, wcale mnie nie znasz.
- Czyżby? - Dotknął palcem podbródka jak kiepski aktor pokazujący, że się zamyślił. - Wiem, że miałaś dwóch mężów, dwóch nieudaczników Obaj cię zdradzali, prawda? Zemściłaś się na Joem, twojej szkolnej miłości, idąc do łóżka z kimś innym.
Choć była na granicy wybuchu, ugryzła się w język. Niech gada. Może powie coś, co jemu wyda się nieistotne, a jej pozwoli dowiedzieć się czegoś, co zdradzi jego tożsamość.
- No właśnie... byliście wtedy w separacji, więc pewnie uznałaś, że w tej sytuacji możesz zachowywać się jak dziwka, którą naprawdę jesteś.

Rozkoszował się jej upokorzeniem. Przechadzał się po ciasnym pomieszczeniu, mijał ją - za każdym razem bliżej.
- Co, Ruda, nie masz nic na swoją obronę? - Wydawał się poirytowany. Dobrze. Niech mu puszczą nerwy, może wtedy coś mu się wymsknie.
Nie odpowiedziała. Zauważyła, że gniewnie zacisnął szczęki. Dostrzegła to mimo braku światła i sztucznej brody.
- A teraz sypiasz z kolejnym draniem.
Poczuła, jak napinają się jej mięśnie. Santanę mógłby sobie darować. Z trudem panowała nad sobą. Spokój. Nie teraz.
- A niby taka jesteś mądra, Ruda. Inteligentna. Zdolna. Pani detektyw. - Cmoknął pogardliwie i zachichotał, jakby bawiła go jej nieporadność. - W rzeczywistości jesteś do niczego. Twoje życie to jeden wielki bałagan. Spójrz na siebie: więzień, nie strażnik. Oto kwiat policji okręgu Pinewood. Skuta własnymi kajdankami. Ironia losu, nie sądzisz?
Wkurzał ją - i dobrze, czuła przypływ adrenaliny.
- No cóż, tu w górach Bitterroot wszyscy jesteśmy mało rozgarnięci, co? - syknęła.
Zatrzymał się gwałtownie, zacisnął pięści. Przez chwilę wydawał się doprowadzony do ostateczności. Przygotowała się na najgorsze, opanował się jednak i spacerował dalej.
- Cud, że w ogóle przyjęli cię do pracy - warknął. - Jesteś żałosna, i jako kobieta, i jako policjantka.
Obserwowała, jak krąży po ciasnym pokoiku, i miała wrażenie, że już go widziała... szedł korytarzem na posterunku... Nie mogła wydobyć z pamięci całego obrazu, ale była pewna, że widziała go w pracy. Do tego pogardliwie uwagi o policjantach. Skąd tyle jadu wobec szeryfa i jego ludzi? Wyczuwała, że to sprawa osobista, że ma żal do władz okręgu Pinewood.
Ale dlaczego?
Może mu nie pomogli, gdy tego potrzebował. Może błąd policji spowodował śmierć bliskiej mu osoby. A może on sam ucierpiał wskutek działań stróżów prawa i zabolało go to tak bardzo, że teraz postanowił się zemścić na policji, a konkretnie - na funkcjonariuszach z okręgu Pinewood? A może po prostu jest kryminalistą, który nienawidzi wszystkich mundurowych.
Jedno jest pewne, łatwo go zdenerwować.
Uważnie obserwowała jego kroki, był coraz bliżej, prowokował ją, drażnił, świadom, że jest unieruchomiona. Odzyskał pewność siebie, widziała to, podchodził coraz bliżej. Jeszcze trochę, a... Jeśli będzie dość blisko... uda jej się go zaatakować? Musiałby znaleźć się naprawdę blisko, bo łańcuch jest krótki. Nie łudziła się, wiedziała, że ją zabije.
- Ale nie przejmuj się, nie ty jedna jesteś do niczego - powiedział. - Wiesz, że twoi szanowni koledzy i nawet... tak, nawet FBI dali się nabrać naśladowczyni? - Pogardliwie pokręcił głową, jakby zdumiony ich nieudolnością.
- Naśladowczyni?
- Chandler i Halden polecieli z Graysonem do Spokane. To kłamstwo.
- Myśleli, że rozwiążą sprawę, że dokonają spektakularnego aresztowania. - Żachnął się. - A co dostali? - Zatrzymał się i patrzył na nią zza bursztynowych gogli. - Nic! Zero! - Prychnął.
- Zwinęli kobietę, która mnie naśladowała! - Regan zastanawiała się nad jego słowami. - Och, nie wiedziałaś o tym? No tak. Kiedy przestrzeliłem ci oponę, Grayson i agenci gnali do Spokane.
Więc był naśladowca? Tak dobry, że szeryf i FBI dali się nabrać? Brzmiało niewiarogodnie, ale porywacz mówił ze śmiertelną powagą...
- Pomyślałem, że chciałabyś wiedzieć, co porabiają twoi koledzy. - Był coraz bliżej. Sprężyła się. Jeszcze krok, dwa. - Drepczą w miejscu, tacy z nich idioci.
Koc zsunął się odrobinę, widziała, że to przykuło jego uwagę-Zatrzymał się tuż przy niej. Wystarczająco blisko!

Poruszyła się, wyprostowała nogi i podcięła go. Z bólu gwiazdy stanęły jej przed oczami. Morderca się zachwiał. Koc oplatał mu stopy. Upadł.
- Au! - Walnął brodą w kamienną posadzkę. - Cholera!
Błyskawicznie była na nim. Ze względu na łańcuch musiała trzymać się łóżka.
Nie zdążył wstać, szarpnęła go za włosy, odsłoniła szyję i zarzuciła skute ręce na gardło.
- Ej!
Ciągnęła z całej siły. Metal wbijał się w miękką skórę.
Wydał zduszony okrzyk, usiłował zrzucić ją z siebie. Naga, siedziała na jego plecach i ciągnęła z całej siły, chcąc odciąć dopływ powietrza do jego płuc.
Walczył, miotał się. Zaskoczenie przerodziło się we wściekłość.
- Suka! - wybełkotał. Próbował się podnieść, mało brakowało, a wyrwałby jej ręce ze stawów.
Krzyknęła z bólu.
I dusiła dalej.
Chciał wstać, ale wcisnęła kolano między jego pośladki, starając się przyszpilić jego jądra. Udało się.
Jego wycie niosło się echem po pomieszczeniu, huczało jej w uszach.
- Suka! Pieprzona... - Nie dokończył, dyszał ciężko, świszcząc.
Zdychaj, sukinsynu! Zdychaj!
Histerycznie wbijał palce w łańcuch na szyi.
Pescoli miała wrażenie, że jej ramiona wyskakują z barków.
Wiercił się, rzucał, rozdzierał sobie skórę paznokciami, usiłując oddzielić palcami swoją tchawicę od ostrych, drobnych ogniw ze stali.
Pescoli zacisnęła zęby i ciągnęła coraz mocniej. Może uda jej się zgasić jego oddech na wieki. Bark płonął żywym ogniem. Z trudem to znosiła. Nie puszczaj, jeśli to zrobisz, już po tobie, zżymaj! Mocniej, na miłość boską!
Znowu usiłował się podnieść, dźwignąć na kolana, zrzucić ją z siebie.
Wbiła się w niego z całej siły.
Miotał się.
Zobaczyła jego kark.
Bez namysłu pochyliła się i wbiła w niego zęby, w odsłonięte miejsce, gdzie szyja łączy się z ramieniem. Poczuła słony zapach potu.
Wrzasnął z bólu.
Zacisnęła szczękę.
Jeśli przegryzie mu żyłę albo tętnicę, wykrwawi się. Szarpnęła.
Wierzgnął.
Mało brakowało, a spadłaby. Coś strzeliło w ramieniu, zapewne ścięgno.
Krew, metaliczny smak, jego krew w jej ustach.
Dalej! Nie puszczaj!
Charczał, wijąc się i wierzgając, za wszelką cenę chciał ją z siebie zrzucić. Przewrócił się na plecy, tak że znalazła się pod nim.
Bum.
Uderzyła głową o posadzkę. Miała wrażenie, że straciła prawy nadgarstek.
W jej czaszce eksplodował ból.
Rozluźniła uścisk zębów. Wyrwał się jej.
Nie zważała na ból, z całych sił ciągnęła łańcuch, chcąc go udusić.
Przygniatał ją sobą. Czuła pod plecami zimną podłogę. Boże, jaki on ciężki. I silny. Nie mogła oddychać, obolałe żebra dawały się we znaki, a ręka... Pomocy, przebiegło jej przez głowę. Z trudem łapała oddech.
Nie, nie, nie. Nie poddawaj się. Nie możesz.

Ponownie go ugryzła. Znowu poczuła smak krwi.
Miała wrażenie, że tonie, płuca jej płonęły, krew zalewała usta, wydawał się coraz cięższy. Nie poddawała się, walczyła dalej, ale chcąc zaczerpnąć tchu, otworzyła usta.
Krztusił się, cały czas usiłując zerwać łańcuch z szyi. Nagle zmienił taktykę. Z całej siły walnął ją łokciem w żebra.
Zawyła z bólu. Chyba znowu je pogruchotał, choć wydawały się już niemal wyleczone. Poczuła koszmarny ucisk w klatce piersiowej. Mało brakowało, a straciłaby przytomność.
Odrzucił głowę do tyłu. Trzask. Zdruzgotał jej nos. Więcej bólu. Rozdzierającego. Nie do wytrzymania. Kolejna fala krwi.
Zrobiła krótki wdech, zakrztusiła się, splunęła, ale nie puszczała. Tylko że traciła siły; wreszcie złapał łańcuch, oderwał od swojej szyi, jego płuca chciwie łapały powietrze.
Nie! Nie pozwoli mu na to!
Na miłość boską...
Walczyła, ale było już za późno. Mięśnie odmówiły posłuszeństwa. Desperacko usiłowała zacisnąć mu łańcuch na szyi, ale poruszył się i szarpnął ją za ramię, aż krzyknęła.
Nie poddawaj się, Regan, nie poddawaj się. Boże, pomocy, błagam... Ból był jak błyskawica, przeszywał bark i ramię.
Poczuła, że role się odwracają.
Nie miała siły. I nie mogła walczyć, gdy ją sobą przygniatał i walił głową w jej twarz.
Daj spokój, Regan, zostaw. Nie dasz rady...
Słyszała w swojej głowie rozpacz i rezygnację, jeszcze zanim poddały się mięśnie. Rozluźniła uchwyt.
Z wysiłkiem wyzwolił się z jej objęć i odsunął na bok. Sztuczna broda się odkleiła. W półmroku dostrzegła jego twarz, ale była półprzytomna, dławiła się, chciwie łapiąc powietrze. Leżała na zimnej posadzce, skąpana we krwi, jego i własnej, nie była w stanie się poruszyć, nie mogła nawet unieść głowy.
Nie tyle widziała, co wyczuła, że wstaje.
- Zapłacisz za to, ty szmato - syknął. Splunął na podłogę. -I to już za chwilę.
Świetnie, pomyślała. Skończ to. Jestem gotowa. Dyszała ciężko, czuła jego smak w ustach i zbierało jej się na mdłości. Nienawidziła go. Pokryta jego krwią, odwróciła głowę, by na niego spojrzeć.
- Właśnie przypieczętowałaś jej los.
Co on gada? Jej los? Nie, na pewno się przesłyszała. Była zbyt zmęczona i obolała, by analizować jego gierki. Podjęła próbę ucieczki i poniosła klęskę. Teraz czeka ją kara.
Czy zabierze ją do lasu, przywiąże do drzewa i zostawi na pewną śmierć? Świetnie. Znajdzie sposób, by się uwolnić. Musi tylko odzyskać siły i żeby choć przez chwilę tak bardzo nie bolało...
- Nie rozumiesz, co? - Stał już w progu.
Nic jej to nie obchodziło. Nie odpowiadała.
Odchrząknął, znowu splunął i zaklął pod nosem. Nie widziała wyraźnie, ale chyba trzymał się za kark. Mało brakowało, a przegryzłaby mu mięśnie...
Gdyby była trochę silniejsza.
- Myślisz, że jesteś jedyna? Że ujdzie ci to płazem? Nie miała pojęcia, o co mu chodzi.
I miała to w nosie.
Zwijała się z bólu. A on wygrał.
Tę rundę.
- Do tej pory miała szanse, ale teraz już po niej.
- Po niej? - Czy to jej głos? A może jej się zdawało?
Gada bzdury, chce ją zdenerwować, ale nic to nie da. Nie sprawi mu tej satysfakcji. Daj mi spokój, myślała, zostaw mnie. Nie miała nawet siły, by starać się go rozpoznać.

- Jesteś za głupia, by to zrozumieć, co, pani detektyw? Zbyt wielka z ciebie egoistka, by pomyśleć, że twoje działania mogą się odbić na innych.
Ciągle miała kłopoty z oddychaniem i dygotała z zimna.
- Ale wytłumaczę to wszystko Elyssie. Zrozumie. Kim jest Elyssa? - odpływała w mrok.
- Nie interesuje cię to? - zapytał drwiąco. - Nie chcesz wiedzieć, na kogo wydałaś wyrok śmierci?
To tylko słowa, marna sztuczka, nie daj się nabrać. Z wysiłkiem spojrzała w jego stronę. Chciała mu powiedzie że kłamie, że blefuje, ale coś w jego postawie kazało jej milczeć.
- Elyssa O'Leary... Na pewno widziałaś zgłoszenie jej zaginięcia.
Nie, Boże, nie. Rzeczywiście, nazwisko brzmiało znajomo. Nawet w ciemności zdawało jej się, że widzi jego lodowaty uśmiech.
- O tak, widzę, że wiesz, o kim mówię.
Teraz wszystkie kawałki układanki trafiały na miejsce, układały się w koszmarny obraz. Przypomniała sobie, jak jej się zdawało, że słyszała kobiecy płacz. Wmawiała sobie, że to tylko jej wybujała wyobraźnia.
A tymczasem...
Zastygła w bezruchu.
Ogarnęło ją lodowate przerażenie.
Elyssa O'Leary. Zaginęła kilka tygodni temu... Jedynaczka... Studentka...
- Nie byłem pewien, czy nadszedł już jej czas. Myślałem, czy nie dać jej jeszcze tygodnia czy dwóch, niechby przeżyła święta... Ale przekonałaś, mnie, Ruda. Jest gotowa.
To nie żart, nie mógł przecież znać nazwiska, jeśli... Pescoli nerwowo oblizała wargi, znowu poczuła obrzydliwy smak jego krwi i potu. Nie, to nie tak.
- Kłamiesz - szepnęła.
- Czasami tak, jeśli muszę, ale z pewnością nie w tej sprawie. Miała koszmarne wrażenie, że mówi prawdę. Sukinsyn postanowił być z nią szczery.
- Umrze jutro, kiedy śnieżyca ucichnie. W Wigilię. Nie, nie może do tego dopuścić.
- Weź mnie - wychrypiała.
- A więc mi wierzysz. Zamknęła oczy.
- Weź mnie - powtórzyła ochryple. Póki jest życie, jest i nadzieja. Jeśli wytarguje dla dziewczyny kilka dni, Alvarez i pozowali znajdą w końcu jego kryjówkę.
- Musisz ponieść karę za to, co zrobiłaś. Przemyśl to. Są jeszcze inne kobiety...
Inne? W liczbie mnogiej? Boże, planuje porwać inne, a mnie trzymać przy życiu i dręczyć ich losem! Będzie o nich opowiadał, o wszystkich tych niewinnych kobietach, których nie potrafię uratować. To może się ciągnąć tygodniami... miesiącami... latami.
Kto wie, ile jeszcze chce zabić?
- Ukarz mnie. Proszę. - Była na siebie wściekła, że go błaga, że wdaje się w tę jego chorą grę, ale nie może mieć na sumieniu śmierci niewinnej dziewczyny.
- Och, zrobię to, zapewniam cię - odparł gładko. - To jest twoja kara. Na wieki. Śmierć Elyssy O'Leary to twoja wina, Pescoli. Śmierć jej i pozostałych. Wszystko twoja wina. Pomyśl o tym. Wydałaś na nie wyrok śmierci i do końca życia będziesz żyła z tą świadomością.
Czuła się, jakby zmaltretował nie tylko jej ciało, ale i duszę. Ile jeszcze planuje zabić? Śmierć ilu obciąży jej sumienie?
- Nie możesz tego zrobić - szepnęła.
- Kto mnie powstrzyma? Ty?
- Policja...
- Grayson? Ten nadęty bufon? Twoja przemądrzała partnerka? - rzucił pogardliwie. - A może Nate Santana?
- Módl się, żeby cię nie znalazł.
- Och, już się boję. Trzęsę się ze strachu.

- Powinieneś. - W jej głosie pojawił się chłód stali i morderca na chwilę spoważniał. - Jeśli Santana cię dorwie, pożałujesz, że się w ogóle urodziłeś.
- Akurat.
- Nie możesz tego zrobić - powtórzyła i bezradnie obserwowała, jak jego usta wyginają się w okrutnym uśmiechu.
- Ależ owszem.
Zniknął, drzwi zamknęły się głucho.
- Nie, błagam nie... - szepnęła. Naga, przemarznięta, wpatrywała się w ciemność. Miała przerażającą świadomość, że przed chwilą posłała na śmierć niewinną kobietę.
Równie dobrze mogłaby własnoręcznie wbić Elyssie O'Leary nóż w serce.

Rozdział 21

Pieprzyć zasady!
Santana wstał zza biurka i podszedł do okna. Przed rezydencją Longów nadal stał wóz policyjny, ale właśnie teraz odjeżdżał, podobnie jak wszystkie inne pojazdy ratownicze. Znikały na długim podjeździe, migocząc światłami, które barwiły śnieg na czerwono.
Przez chwilę zastanawiał się, czy postanowili go obserwować, ale, prawdę powiedziawszy, miał to w nosie. Regan zaginęła, po okolicy grasuje morderca, a śmierć Brady'ego Longa może mieć z tym wszystkim coś wspólnego.
Gdy rozstał się z Jordan i policjantką przy ogrodzeniu, wrócił do domu. Nakita drzemał w ulubionym fotelu przy kominku, ale Nate nie mógł się odprężyć. Oporządził konie, a potem postanowił obejrzeć mapy okolicy, w tym mapkę wydaną przez nadleśnictwo. Poszukał też w Internecie najnowszych zdjęć satelitarnych okręgu Pinewood.
- Gdzie jesteś, sukinsynu? - zapytał. Zaznaczał miejsca, gdzie znaleziono zwłoki i samochody. Pewnie druga taka mapa wisi w gabinecie szeryfa. - Kim jesteś?
Znałeś Longa.
Mieszkasz w pobliżu.
Kręci cię igranie z policją.
Choć policja nie ujawniła treści listów znajdowanych przy zwłokach, ich istnienie było tajemnicą poliszynela.
Gdzie tu sens?
Dorzucił kilka klocków drewna do ognia, a potem poprawił ułożenie pogrzebaczem. Wpatrzony w płomienie, myślał o Regan. Czy żyje? Czy jest ranna, czy... czy może już za późno? Zasnął palce na gładkim metalu. Mięśnie w karku się napięły.
W głowie miał pustkę - zrodzoną z niepewności i najmroczniejszych obaw.
Jeszcze nigdy nie czuł się równie bezradny.
- Cholera jasna - wycedził przez zęby. Nie ulegnie rozpaczy. Znajdzie ją, tak czy inaczej. Poderwał się, chwycił kurtkę i rękawice i wyszedł w noc rozjaśnioną gwiazdami na aksamitnie czarnym niebie. Pierwsza bezchmurna noc od... Nawet nie pamiętał, od kiedy.
Śmierć Brady'ego Longa wiąże się z zabójstwami kobiet. Gdyby wiedział, w jaki sposób, znalazłby się bliżej rozwiązania zagadki mordercy. Odnalezienia Regan.
Dlaczego akurat Brady? Pracował u niego od dawna, znał od lat. Brady był rozpuszczonym, egoistycznym dupkiem, który wykorzystywał wszystkich dokoła. Na przykład Clementine, choć nigdy na niego nie narzekała.
Wrogów miał bez liku: dwie byłe żony, porzucone kochanki, rzeszę wykiwanych wspólników. Wszyscy zapewne życzyli mu śmierci. I cieszyli się, gdy zginął. Ale czy to ktoś z nich pociągną! za cyngiel? Strzelił mu prosto w zepsute, złe serce?
Do tego trzeba wielkiej nienawiści.

Nate poszedł do stodoły, zapalił światło. Konie prychały, wierciły się w boksach. Zajrzał do Lucyfera. Ogier ostrzegawczo błysnął białkami, ale uspokoił go, szepcząc nonsensowne słowa. Koń się zbliżył, ba, nawet szturchnął go w ramię. Nate pogłaskał go po łbie. Zaklinacz koni? Może. Teraz był jedynie przerażoną i zagubioną istotą ludzką.
- Brady miał dwie byłe żony - oznajmił na głos. Lucyfer parsknął pogardliwie.
- Jedna to stara szkolna miłość. Porządna kobieta. Pewnie popełnił błąd, pozwalając jej odejść. Druga polowała na jego majątek i wcale tego nie ukrywała. Bardziej niż na Bradym zależało jej na jego kasie. Dostała kupę pieniędzy, kiedy się rozwodzili i wszyscy byli szczęśliwi.
Lucyfer poruszył wargami, jakby chciał coś powiedzieć. Nate czuł, że emocje go obezwładniają. Z trudem przełknął ślinę. Jeśli chce pomóc Regan, musi być twardy.
- Miał też mnóstwo kochanek. I narzeczoną, która nie mogła się doczekać ciągle odkładanego ślubu. Wolałaby, żeby dożył dnia, w którym mogłaby wystąpić w białej sukni z welonem. - A wspólnicy... - Nate westchnął. Tu nie miał listy. - Ktoś pragnął jego śmierci. I chciał, żeby cierpiał. Jeśli to seryjniak, jak do tego mają się kobiety? Zostawiał swoje ofiary na mrozie. Co łączyło je z Bradym?
Słowa niosły się echem po stajni. Lucyfer prychnął i odszedł, jakby uznał ostatnie pytanie za żenujące. Nate niechętnie zgasił światło i wyszedł w zimną noc.
Byłe żony i kochanki Brady'ego są nieważne. Te kobiety zabił mężczyzna. Porzucał je na śmierć, a przedtem leczył, ratował - to nie dzieło kobiety.
Porywacz Regan to mężczyzna, czuł to.
I świetny strzelec, co teoretycznie mocno zawęża krąg podejrzanych, ale w tym zakątku Montany świetni strzelcy to chleb powszedni.
Wrócił do domu, czuł, jak ucieka czas. Czas, którego Regan nie ma. Zdjął kurtkę i rękawiczki, podszedł do kominka. Nakita uniósł powieki.
- William Aldridge - powiedział do psa. Liczył, że coś mu się przypomni, rzuci w oczy. - Były mąż Sandi. Własnoręcznie zastrzelił większość zwierzaków, które wiszą w Dzikim Willu.
Ale Aldridge jako seryjniak?
Nakita oparł łeb na łapach i czujnie obserwował Nate'a. San-tana zatrzymał się, zagłębił w myślach. Bob Simms mieszka niedaleko kanionu, w którym znaleźli samochód jednej ofiar, tej Azjatki, Wendy coś tam. A Simms jest nieźle rąbnięty. Jego poglądy na rząd i prawo - zlikwidować jedno i drugie - mówią same za siebie. Polował na zwierzęta dla mięsa, skór i futra - chrzanić zakazy i sezony. W kółko był na bakier z prawem, a Nate podejrzewał, że jego dom to mała forteca. Gdyby doszło do walki, nie wiadomo, czy zwyciężyłaby policja... Czy to mógł być Simms? Był raz żonaty, ale żona umarła przy Porodzie ich szóstego syna. Ci chłopcy to banda małych terrorystów, co do jednego. Nawet najtwardszy facet dostałby przy nich szału, a Simms nie był okazem zdrowia psychicznego. Kiedyś było z nim lepiej, nie wściekał się tak łatwo, nie snuł teorii spiskowych. Nate przypomniał sobie, że dawno, dawno temu Simms znał Padgett Long, może nawet się w niej kochał, ale ona, oczywiście, nie zwracała na niego uwagi. Przed wypadkiem miała status lokalnej gwiazdy, a Bob Simms nie był nawet punkcikiem na jej radarze. Od tego czasu staczał się po równi pochyłej.
Kto jeszcze? Zastanawiał się i do głowy przyszło mu kolejne nazwisko: Gordon Dobbs, także świetny strzelec, choć większość czasu poświęcał na abstrakcyjne rzeźby z odpadów, które sprzedawały się zadziwiająco dobrze. Zdaje się, że niedawno zostawiła go żona, słyszał takie plotki, choć zazwyczaj nie zwracał uwagi na ludzkie gadanie. Teraz tego żałował. Czy Gordon był zdolny do zabójstwa? Do takiego planowania? Nie, niemożliwe.
Więc może ktoś z policji? Pete Watershed był kiedyś snajperem w armii. Santana czytał w lokalnej gazecie, że w zeszłym roku jednym strzałem uśpił niedźwiedzia, który zabłąkał się do miasta. A Cort Brewster? Wiecznie startuje w zawodach strzeleckich i chwali się trofeami.

Trudno się od niego uwolnić, gdy już zacznie opowiadać o swoich wyczynach. Między innymi dlatego Santana trzymał się z dala od miasta.
Teraz jednak musi się zaangażować, musi się znaleźć w centrum dochodzenia. Ze względu na Regan.
Z nowym entuzjazmem zadzwonił na posterunek, przedstawił się i poprosił o połączenie z detektyw Alvarez. Późno już, ale liczył, że jeszcze tam będzie. Regan to jej partnerka i choć słabo znał Selenę Alvarez, wyczuwał, że nadal jest w pracy.
Nie mylił się. Po chwili usłyszał jej głos.
- Alvarez. Czym mogę służyć, panie Santana?
- Brady'ego Longa zamordował seryjniak. To ta sama osoba. Nie wiem, czy już do tego doszliście, ale to prawda, wy to wiecie i ja też. Bierzecie to pod uwagę?
- Interesują mnie fakty. A to nie jest fakt.
- Ale będzie. Zdaję się na instynkt, pani detektyw, i dopadnę sukinsyna.
- Nie bierze pan udziału w dochodzeniu - oznajmiła surowo.
- Mógłbym wam pomóc.
- Przeszkadzałby pan.
- Myli się pani - powiedział z napięciem w głosie.
- Proszę się nie wtrącać do naszej pracy.
Widział fragmenty konferencji prasowej, słyszał, jak Grayson uchylał się od odpowiedzi, częstował dziennikarzy banałami. Zrozumiał wtedy, że drepczą w miejscu.
- No dobrze. Pani robi swoje, a ja swoje.
- Co to ma znaczyć? - zapytała ostro.
Ale Santana już się rozłączył. Tylko zmarnował czas, dzwoniąc do niej. Zastanawiał się przez chwilę, a potem podszedł do biurka. Nie był pedantem, ale dokumenty trzymał w teczkach. Przejrzał je pospiesznie, znalazł małą karteczkę i ponownie podniósł słuchawkę telefonu. Sam nie da rady, musi mieć wsparcie.

Chris to drań Bianca leżała na łóżku i niemal błagała go, żeby przyjechał. Owszem, pomysł ojca, żeby się spotkali w domu, jest beznadziejny, ale lepsze to niż nic. Nawet ten cholerny Jeremy się nie odzywa.
Ale się stąd wyrwał, co? Udało mu się.
Wszyscy w domu wariowali ze zdenerwowania i napięcie było równie widoczne, jak makijaż Michelle. Bianca starała się o tym nie myśleć, gdy stukała kolejny SMS i czekała na odpowiedź Chrisa.
Drażnił ją.
Nie rozumie, że go teraz potrzebuje?
Niby czym będzie chciał ją spławić tym razem? Że gra na komputerze z Zackiem i Kevinem? To może robić zawsze.
Westchnęła, skubiąc różową nitkę z narzuty. Za oknem było ciemno, śnieg przestał padać, księżyc spowijał drzewa srebrnym światłem.
- Czeka nas białe Boże Narodzenie - cieszyła się Michelle tydzień temu.
Też mi nowiny. Tu, w Montanie, białe Boże Narodzenie to norma i Bianca miała ich powyżej uszu.
Wstała, wyjrzała na zewnątrz, rozważając, czy nie udałoby się wymknąć, ale wiedziała, że nic z tego. Poza tym nie miała środka transportu.
Widziała swoje odbicie w szybie. Pomyślała o mamie. Gdzie ona jest?
Zagryzła usta i drgnęła, gdy nagle zadzwonił telefon. Może Chris próbuje się z nią skontaktować na stacjonarny?
Nie, nigdy tego nie robi, nie, gdy jest u ojca.
Michelle odebrała po drugim dzwonku. Bianca słyszała, jak mówi:

- Halo? Tak, jest... chwileczkę... -I głośniej: - Luke! Do ciebie.
Bianca już wracała do swojego pokoju, ale zatrzymała się w pół kroku, gdy usłyszała szept Michelle:
- Policja. Mama.
Serce stanęło jej w piersi.
Ojciec z jękiem wstał z kanapy, wyobraziła sobie, jak przewraca oczami. Oglądał wiadomości, choć, sądząc po późnej porze, i tak pewnie miał je nagrane.
- Chodzi o Regan? - zapytał ponuro. Bianca instynktownie wyczuła, że więcej się dowie, zostając w cieniu, niż gdy wejdzie do salonu.
- Nie wiem, ale dzwoni jej partnerka - odparła Michelle. -Chce rozmawiać z tobą.
- Jezu - mruknął, ale nie był zły, raczej równie przejęty, jak Bianca. A zatem jest tak, jak podejrzewała, ojcu nadal zależy na mamie, nawet jeśli tylko odrobinę.
- Zawsze coś! - syknęła Michelle. W lustrze wiszącym na ścianie obok łazienki Bianca widziała odbicie saloniku. Ojciec, rozczochrany, w dresie i skarpetach, zasłaniał jej telewizor. Michelle, w obcisłych dżinsach, czerwonym sweterku z białą lamówką i butach na obcasach stała twarzą do niego. Zaplotła ręce, przez co jej biust był widoczny jeszcze bardziej niż zwykle.
- Tak, Luke Pescoli. Tak... Co? Jeremy? Co takiego? - Ojciec westchnął gniewnie. Pokręcił głową. - No, bomba. - Widziała jego napięcie. - Tak, dobrze... Nie możecie mu odpuścić? Jego matka... A propos, czy wiadomo coś o Regan?
Bianca nasłuchiwała. Więc nie chodzi o mamę. Jeremy znowu wpakował się w kłopoty. Nic nowego. Ma siano zamiast mózgu! Cisco jest od niego o wiele mądrzejszy.
- Ach, tak. Dobrze, dziękuję. Ojciec się rozłączył.
- Regan? - zapytała Michelle.
- Nic nowego - burknął.
Bianca zacisnęła dłoń na klamce do swojego pokoju i powoli osunęła się na podłogę. Mamo, gdzie jesteś? Miała łzy w oczach, ale cały czas wpatrywała się w odbicie w lustrze. Na ślicznej twarzy Michelle pojawił się grymas.
- A co takiego zrobił Jeremy? - zapytała.
- Wdał się w bójkę z Cortem Brewsterem i trafił do celi.
- Boże. - Zirytowała się. - Pewnie poszło o córkę Brewstera? Chyba po niego nie pojedziesz?
Ojciec rozglądał się, chyba za kurtką.
- Mam go tam zostawić?
- Tak! Niech ma nauczkę.
- Noc w celi? Teraz, gdy jego matka zaginęła?
- Mógł pomyśleć, zanim wdał się w bójkę.
- Mógł, ale tego nie zrobił. - Ojciec też się zirytował. Michelle natychmiast zmieniła taktykę, podeszła do niego,
Pogładziła po piersi.
- Niech sobie to wszystko przemyśli, tylko o to mi chodzi. Nie chcę dzisiaj awantury, poczekajmy z tym do jutra, co? I udawajmy, że dzieci tu nie ma, tak jak miało być.
Bianca otrząsnęła się z rozpaczy i spojrzała na macochę. Ojciec także.
- Co chcesz przez to powiedzieć? - zapytał.
- Nic - zapewniła szybko. - Ja tylko... Chciałabym mieć cię tylko dla siebie i już. Nie chcę, żebyś dzisiaj jechał po Jeremy'ego.
Ojciec westchnął. Bianca nagle zapragnęła z całego serca, żeby po niego pojechał, sprowadził do domu, ale Michelle wygrała.
- Nic mu nie będzie, jak przekima się w areszcie - przyznał.

Michelle objęła go i pocałowała tak, że Biance zebrało się na mdłości. Odsunęła się od drzwi. Była zła i urażona. Michelle wcale ich tu nie chciała, ani jej, ani Jeremy'ego. Udawała tylko. Od początku, uświadomiła sobie.
Boże, mamo, wracaj, błagała bezgłośnie. Szybko. Przepraszam. Nie chcę z nimi mieszkać. Wracaj do domu!
Do pokoju wbiegł Cisco. Zdawał się wyczuwać jej emocje, podbiegł, przywarł do jej nóg, spojrzał czujnie. Wzięła go na ręce, a psiak polizał ją po twarzy. Niedawno uznałaby, że to obrzydliwe, teraz była mu wdzięczna.
- Och, piesku - jęknęła z twarzą wtuloną w jego sierść.
Mamo, wracaj. Wracaj szybko.

- Coś nowego o Pescoli? - Brewster zajrzał do Alvarez.
- Nie - odparła krótko.
Zastępca szeryfa skinął głową z posępną miną. Ochłonął już po bójce z Jeremym. Selena dzwoniła do Lucky'ego i powiedziała, co się stało, ale dzieciak dalej tkwił w celi z Ivorem. Nie wiadomo, jak rozwinie się sytuacja, choć dała jasno do zrozumienia, że jej zdaniem chłopca należy zwolnić. Wytłumaczyła to także jego ojcu, ale Lukę nie zadeklarował się, że po niego przyjedzie. I dobrze, bo Brewster pewnie starałby się go powstrzymać.
- Idź do domu - powiedział Brewster.
- Wyjdę razem z szeryfem. - Była wściekła, że po tym, jak się zachował, ma czelność mówić jej, co ma robić.
- Grayson ciągle tu jest?
Jak my wszyscy, miała na końcu języka. Nikt nie chciał zostawić Regan na pastwę mordercy. Grayson chyba usłyszał swoje nazwisko, bo zjawił się w holu. Podszedł do Brewstera.
- Czy ojciec Jeremy'ego przyjedzie po chłopaka? - zapytał Alvarez.
- Dzieciak stąd dzisiaj nie wyjdzie - włączył się jego zastępca. Może i ochłonął, ale się nie poddawał.
Grayson posłał mu przeciągłe spojrzenie.
- Jego matka zaginęła.
- Uderzył mnie - warknął Brewster.
- Widziałem nagranie - zaznaczył Grayson.
Brewster łypnął groźnie na Selenę - wiedział, że to ona pokazała szefowi taśmę. Odpowiedziała chłodnym wzrokiem. Proszę, niech zwali winę na nią. Nagranie pokazywało, jak było naprawdę.
- Zwalniamy go - powiedział szeryf. - Alvarez...
- Już idę! - Wstała zza biurka.
- Ten cholerny gnojek mnie uderzył! - powtórzył Brewster.
- Zwalniamy go, a ty nie wniesiesz oskarżenia. - Grayson był niewzruszony.
- Ależ owszem, wniosę! Mam w nosie, czyj to dzieciak! Nie podoba mi się, co robi z moją córką. Chcę, żeby to zrozumiał.
- Sam postaraj się co nieco zrozumieć - syknął Grayson. Brewster ugryzł się w język, nie odpowiedział. Alvarez czuła,
że powinna rozładować sytuację.
- Dzwonił Nate Santana - oznajmiła. - Chciał brać udział w dochodzeniu, ale wyjaśniłam, że to nasza działka. Chyba go nie przekonałam.
- Co za dupek - warknął Brewster. Alvarez nie wiedziała, kogo miał na myśli, Jeremy'ego czy Santanę.
W drodze do drzwi mijała Brewstera. Musiała go nieco odepchnąć, bo blokował przejście.
- Hicksa też wypuść! - zawołał za nią Grayson. - Ściągnijcie jego syna.

- Już mu się nagrałem - odparł Brewster. - Ale staruszek pewnie wytrzeźwiał i da sobie radę sam.
Grayson się żachnął.
- Wypuszczamy obu. Zajmiemy się ważniejszymi sprawami: tożsamością mordercy i tym, gdzie trzyma Pescoli.
- Zostajemy na noc? - zapytał Brewster.
- Możesz iść, jeśli chcesz - oparł szeryf.
- Nie, pomyślałem tylko, że to marnowanie pieniędzy na nadgodziny - rzucił głupio Brewster.
Alvarez skręciła w stronę korytarza. Nie wybierała się do domu. Opuści posterunek, gdy poczuje, że nic więcej nie może zrobić, by uratować Pescoli.

Regan leżała na posłaniu, pokonana, obolała na całym ciele, choć wiedziała, że mogło być gorzej. Zresztą nic nie wiadomo. Może umiera. Może podczas walki coś jej uszkodził i teraz życie z niej ucieka.
Nie, to nie tak. Ma zadanie do wykonania.
Ocalić je.
Otworzyła oczy w niemal nieprzeniknionej ciemności. Z ognia zostały tylko czerwone żarzące się węgle. Zacisnęła dłonie na kocu. Ból powrócił.
Musi uratować pozostałe kobiety. Musi.
Nie pozwoli sukinsynowi zwyciężyć.
Powoli uniosła prawą rękę. Kosztowało ją to mnóstwo wysiłku. Była podrapana, obolała, zakrwawiona.
Ale nie podda się, mimo bólu i obrażeń.
Zacisnęła zęby, zsunęła się na brzeg posłania, spojrzała na miejsce spojenia. Walka z porywaczem okazała się przydatna, dodatkowy bonus. Spojenie znacznie osłabło. Czy da radę?
Serce biło jej boleśnie. Jeśli zbierze resztki sił, może zdoła się uwolnić. Ale czy zdąży uratować Elyssę i pozostałe?
Zamknęła oczy, przygryzła wargi i szarpnęła nadgarstkiem.

Rozdział 22

Jeremy rozejrzał się dookoła, wstrzymując oddech. Boże Narodzenie za dwa dni, a on siedzi tutaj, w celi, mając za towarzysz starego dziada, który cuchnął jak gorzelnia i wyglądał na kompletnego świra. Przeszywał go dreszcz, ilekroć staruszek, jeśli akurat nie spał, patrzył na niego oczami powiększonymi przez szkła okularów.
Sama cela była po prostu ohydna. Cementowa posadzka, ściany pomalowane na obrzydliwy odcień szarości, ostre światło i metalowe ławki przymocowane na stałe. Żadnych okien, tylko drzwi - grube, masywne pręty ze stali.
- To wszystko przez Crytora - mruknął stary. - Gdyby ten sukinsyn mnie nie zabrał na swój statek, gdyby nie przeprowadzali na mnie eksperymentów, nic z tego wszystkiego by się teraz nie działo.
Niby czego? - Jeremy miał to pytanie na końcu języka, ale go nie zadał. Okazywanie staremu zainteresowania to pomyłka, którą już raz popełnił. I przez czterdzieści minut wysłuchiwał skondensowanej wersji biografii Ivora Hicksa. Na miłość boską, ten facet jeszcze się nie uporał ze śmiercią żony, jak jej było... Lily, Linda... nie, Lila, właśnie tak. Jedna z dziewcząt Kressów, które za młodu były bardzo piękne. Lila od dawna już nie żyje, a Ivor ciągle o niej mówił, jakby widzieli się w zeszłym tygodniu.

To dziwak i tyle. Lepiej go unikać. Tylko że w ciasnej celi nie ma gdzie się ukryć, a ponieważ oprócz nich nikogo więcej tu nie było, musiał słuchać opowieści Ivora.
Nie byłoby tak źle, gdyby miał przy sobie komórkę albo iPoda, ale zastępca szeryfa zabrał jedno i drugie. Bóg jeden wie, co zrobi Heidi, gdy wróci do domu.
Co za syf.
- Widziałem dzisiaj yeti - oznajmił Ivor. Zamyślił się. - Chyba dzisiaj. Myślałem, że to duch, ale to był yeti. Zabił Brady'ego Longa.
- No proszę. - Jeremy miał nadzieję, że stary w końcu się zamknie.
- Był biały, bialuteńki. I miał wielką maczugę.
- Wydawało mi się, że yeti jest brązowy i włochaty.
- Tak wygląda Wielka Stopa, nie yeti! - Ivor łypnął na niego §groźnie, a Jeremy po raz kolejny napomniał się w myślach, by nie wdawać się w dyskusje ze starym świrem. Ivor mruczał coś pod nosem, ale Jeremy się wyłączył.
Usiłował zasnąć, co nie bardzo mu wychodziło, więc spacerował po ciasnej celi, nasłuchiwał głosów policjantów, ilekroć otwierały się drzwi do aresztu i wpatrywał się w dziurę pośrodku spadzistej podłogi. Wolał nie myśleć, co czasami spływa po brudnej posadzce do obrzydliwego odpływu.
- Na pewno dzwonili po mojego syna - powiedział nagle Ivor i po raz pierwszy wydawał się przytomny. Jeremy zmrużył oczy. Może staruszek po prostu musi wytrzeźwieć. - Zawsze po niego dzwonią. Nikt mi nie wierzy i zawsze dzwonią.
- Może po pana przyjedzie - zauważył Jeremy z nadzieją. A on? Czy ktoś zadzwonił do ojczyma? Czy też zastępca szeryfa stanął okoniem?
- Nie chcę być ciężarem. - Ivor opuścił głowę, westchnął ciężko. - To nie moja wina, tylko Crytora, ale nikt mi nie wierzy.
I staruszek zasnął, a chrapał tak, że można było ogłuchnąć. Ciężar. No cóż, to kompletny świr. Trudno, żeby nie był ciężarem.
Myśli o matce nie dawały mu spokoju, choć usiłował je kontrolować. Nie chciał o niej myśleć. Zastanawiać się, co się z nią dzieje, czy jeszcze żyje.
Nikt nie powiedział na głos, że mama wpadła w łapy tego psychopatycznego mordercy. Nie musieli, bo i tak zdawał sobie sprawę, że to właśnie podejrzewają. Boże, oby się mylili. Ale gdzie ona jest? Gdzie?
Dopadły go wyrzuty sumienia, gdy analizował swoje postępowanie: w ciągu tygodnia dwukrotnie trafił do aresztu. I ostatnio zachowywał się okropnie, wobec wszystkich, wobec matki też. Dlaczego nie można cofnąć czasu? Teraz postąpiłby inaczej. Naprawdę.
Musi dostać jeszcze jedną szansę. Jeremy zerknął na chrapiącego staruszka, podszedł do drzwi, zacisnął dłonie na prętach. Chciało mu się płakać. Czuł pieczenie i wilgoć pod powiekami zatkał mu się nos.
Mamo...
Przełknął ślinę, wziął się w garść. Czy jeśli krzyknie, ktoś po
niego przyjdzie? Musi się stąd wydostać. Musi pomóc mamie.
Już miał zaryzykować, gdy na końcu korytarza otworzyły się drzwi i weszła partnerka mamy. Wydawała się skupiona i zdecydowana.
- Po mnie? - zapytał.
- Wypuszczam cię, tak.
- Do ojczyma?
- Do samochodu.
Jeremy nie do końca ją zrozumiał.
- A moja mama?
- Ciągle jej szukamy. Szeryf zażądał, żeby Brewster wycofał zarzuty.

Jeremy odetchnął z ulgą, jednak poważniejsze zmartwienia nie dawały mu spokoju. Spojrzał na chrapiącego Ivora.
- Cieszę się, że nie muszę dłużej słuchać opowieści, jak to porwali go kosmici albo jak piękna była jego nieżyjąca żona, jedna z sióstr Kress. Nie wspomnę nawet o yeti, który zabił pana Longa.
Wydawało mu się, że na jej ustach pojawił się cień uśmiechu, ale to chyba tylko złudzenie.
- Ivor to ciekawa postać.
- Czyli to jednak nie yeti?
- O ile nam wiadomo, raczej nie.
Otworzyła drzwi. Wyszedł. Miał ochotę jeszcze raz zapytać o mamę, ale wyczuwał, że nie powie mu niczego więcej.
- No to spadam.
- Na twoim miejscu wracałabym do domu, do ojczyma i siostry - powiedziała.
- Mhm. - Ale Jeremy miał już inne plany. Może wpadnie do Tylera.
- Wracaj do bliskich. Znajdziemy ją - zapewniła. Wyprzedziła go, żeby otworzyć drzwi na końcu korytarza.
Skinął głową i pobiegł schodami na górę, odebrać komórkę i kluczyki.

Tydeus Melville Chilcoate nie ufał nikomu.
A szczególnie nieznajomym, którzy pukają do jego odludnej chatki w środku najgorszej od lat śnieżycy. A jednak facet stojący na progu nie zraził się chłodnym powitaniem. Chilcoate nie zdjął łańcucha, choć wiedział, że to marna obrona przed zdesperowanym intruzem. Z drugiej strony, jeśli wspomoże się dubeltówką, którą trzyma za plecami, może się uda.
- Chilcoate? - zapytał wysoki mężczyzna. Spod ronda kowbojskiego kapelusza, na którym gromadził się śnieg, patrzyły ciemne oczy. - Nate Santana. - Pracuję... To znaczy, pracowałem u Brady'ego Longa.
Chilcoate zacisnął dłoń na dubeltówce, ale odpowiedział spokojnie:
- Słyszałem, co się stało. Przykro mi.
- Taak. - Facet chyba nie do końca mu uwierzył. - Przysyła mnie Zane MacGregor - oznajmił Santana. - Powiedział, że mi pomożesz.
Co za drań! MacGregor miał nikomu nie zdradzać jego istnienia, tak się umawiali.
- Kiedy z nim rozmawiałeś?
- Przed chwilą.
- A niech to. - Chilcoate niechętnie uchylił drzwi i Santana wszedł do środka. - Poczekaj tu - rzucił szorstko. Przybysz znieruchomiał. - Czego chcesz?
- Muszę się dowiedzieć, kto zabił Longa - oznajmił Santana. Wręczył Chilcoate'owi zwiniętą mapę, listę nazwisk i pospiesznie spisaną biografię Longa. - Tyle udało mi się wymyślić. Nazwiska dobrych strzelców. Mapy okolicy. Wszystko, co wiedziałem o Bradym.
- Przyjaźniliście się?
- Znaliśmy się długo.
- A teraz chcesz znaleźć jego zabójcę - domyślił się Chilcoate.
- Szukam związku między śmiercią Longa a cholernym seryjniakiem. Moim zdaniem to ten sam sprawca. - Oczy mężczyzn pociemniały, zaciśnięte szczęki były jak wyrzeźbione w granicie.
- Chwileczkę. - Chilcoate wskazał Santanie sfatygowany fotel, w którym ten usiadł niechętnie. Jego wygląd mówił, że aż się rwie do bójki.
Chilcoate przeszedł do jednej z sypialń, w której urządził sobie gabinet. Zamknął za sobą drzwi i zostawił za plecami salonik ze sfatygowanymi meblami, podrapanym kredensem i wielkim telewizorem. Nie podobało mu się, że został tam także Santana, ale jak się ma takich przyjaciół jak MacGregor...

W gabinecie był komputer, kilka linii telefonicznych, sprzęt radiowy. To tylko fasada, podstawowe wyposażenie, w rzeczywistości Chilcoate potrzebował o wiele więcej. Jego królestwo kryło się w piwnicy. Tam był jego punkt dowodzenia, ale piwnicy nikomu nie pokaże, a już zwłaszcza obcemu, który w środku nocy zastukał do jego drzwi. Pieprzony MacGregor! Akurat on powinien wiedzieć najlepiej, że Chilcoate ceni sobie prywatność. Zdobywał informacje, dlatego tak ważne jest, by jego istnienie umknęło opinii publicznej. Mrucząc coś gniewnie pod nosem, wybrał numer MacGregora. Liczył sygnały ze wzrokiem wbitym w drzwi i czekał, aż odbierze. W końcu odezwał się zdyszany, roztargniony, co wkurzyło Chilcoate'a jeszcze bardziej, choć domyślał się, jakie są tego powody.
- Słuchaj. - Chilcoate od razu przeszedł do rzeczy. - Przysłałeś do mnie tego Santanę? Co ci strzeliło do głowy?
Zane MacGregor to stary przyjaciel z dzieciństwa, jedyny przyjaciel, prawdę powiedziawszy. Niedawno Chilcoate pomógł niu odnaleźć psychopatkę, naśladowczynię, która polowała na jego dziewczynę. Wszyscy myśleli, że to seryjniak.
- Santana szuka prawdziwego mordercy - wyjaśnił MacGregor. - Chociaż okazało się, że Jillian nie była jego celem, jednak nadal uśmierca inne kobiety. I to w twojej okolicy. Pomyślałem, że zechcesz połączyć siły z Santana i go załatwić.
- Nikt o mnie nie wie - przypomniał Chilcoate. - Tak się nawialiśmy. Wiesz przecież.
- Odbija ci. Musisz pomoc Santanie złapać mordercę.
- Policja się tym zajmuje. MacGregor się roześmiał.
- Oczywiście, już widzę, jak mnie zapewniasz, że organy rządowe są sprawne i czyste! Jasne, niech policja się tym zajmie.
Chilcoate zacisnął zęby. MacGregor ma rację. Chilcoate miał za sobą służbę w armii. Właśnie w wojsku nauczył się technik inwigilacji elektronicznej i hakowania. Jedni widzieli w nim geniusza, inni poważne zagrożenie. Jego rozczarowanie rządową machiną było produktem ubocznym jego paranoi i dystansu do świata. Co nie znaczy, że rząd miał rację!
- Mam się tym zająć?
- Tak - powtórzył MacGregor.
- Wystawiasz naszą przyjaźń na ciężką próbę. Sam byłeś u mnie niecały tydzień temu - burknął.
- Chcesz, żeby ten drań nadal mordował kobiety?
- No, nie. Ale nie jestem jednoosobową armią.
- Ty nie. Santana tak.
Chilcoate zerknął na zamknięte drzwi i pomyślał o facecie po drugiej stronie.
- Dobrze go znasz?
- Wystarczająco. Pewnie już sobie wyrobiłeś zdanie na jego temat. I co?
- Nie chciałbym, żeby mnie ścigał. MacGregor przyznał mu rację.
- Więc mu pomóż. Tak jak mnie.
- No dobra. - Chilcoate zgodził się niechętnie i zakończył rozmowę. Sięgnął do kieszeni po papierosa, zapalił, na moment pogrążył się w zadumie. W końcu otworzył drzwi, pozwalając, by Santana zobaczył wyposażenie gabinetu. Ważne, żeby nie wiedział, co jest w piwnicy. - W porządku - rzucił. - Zajmę się tym. Odezwę się, kiedy będę coś miał.
Santana skinął głową.
- Wiadomo mniej więcej, ile to potrwa?
- Wracaj do domu, prześpij się. Jutro też jest dzień.
Wysoki mężczyzna uśmiechnął się lekko, ale w grymasie wąskich ust nie było rozbawienia.
- Postaraj się. Proszę - dodał po chwili.
Chilcoate odprowadził go do drzwi. Ledwie zamknęły się za Santana, zasunął wszystkie zasuwy, zgasił papierosa i czekał, licząc do dziesięciu. Wreszcie usłyszał warkot silnika i skrzypienie śniegu pod kołami. Santana odjechał.

Odczekał jeszcze pięć minut i zszedł do piwnicy wąskimi schodami. Minął kamery, które sam umieścił pod sufitem, wśród pajęczyn. Z tyłu znajdowało się wgłębienie na drwa do kominka i tam też był tajemny przycisk. Po jego naciśnięciu ściana rozsuwała się, odsłaniając jego centrum operacyjne, pełne najwyższej klasy komputerów, kamer, sprzętu radiowego. Zatarł dłonie i opadł na fotel, który zajęczał pod jego ciężarem. Santana poszedł, jemu nic nie grozi... Zaczynał mu się podobać nowy projekt. Czas włamać się do rządowych komputerów i zobaczyć, co mają na temat seryjniaka i morderstwa Brady'ego Longa. I jak policja radzi sobie ze śledztwem.

Nie mieści mi się w głowie, że tak mnie załatwiła! Mało brakowało, a pieprzona pani detektyw wszystko by zepsuła!
Ale najgorszy jest głos w mojej głowie: „Widzisz? Niepotrzebnie się z niej nabijałeś! Byłeś za bardzo pewny siebie!" Mówi mi, że nic ze mnie nie będzie, że skończę jak ojciec.
O nie, mamo!
A jednak okazało się, że nie zdawałem sobie sprawy z tego, jak pomysłowa jest pani detektyw, jaka odważna.
To nie wystarczy...
Muszę odzyskać panowanie nad sytuacją.
Zerkam na drzwi do jej pokoju, ale teraz leży spokojnie. Może Powinienem częściej podawać jej pigułkę gwałtu, żeby była nieprzytomna, ale kończą mi się zapasy tego środka, zresztą chciałem walki. Choć nie takiej!

Podchodzę do lustra i krytycznie oglądam swoją twarz, oczywiście bez charakteryzacji. Mam opuchnięty nos, bo uderzyła mnie, machając rękami. Najgorsze są jednak ślady na szyi, wyraźne odciski kajdanków. Na szczęście przy takiej pogodzie wszyscy noszą golfy, więc nikt tego nie zauważy. Problem w tym, że nie powinno w ogóle dojść do takiej sytuacji. O nie!
Drugi raz nie popełnię tego błędu.
Do tego ślady ugryzień na karku, głębokie, bolesne. Odwracam się i stwierdzam z zadowoleniem, że golf ukrywa także i to. W lustrze widzę jednak, że skóra jest naruszona, a ślady zębów wyraźne. Rany jeszcze lekko krwawią, nie na tyle jednak, by budzić niepokój. Dzisiaj w niczym mi nie przeszkodzą, a do jutra pokryją je strupy Suka! Gdyby mieli mnie aresztować, nawet kretyni z okręgu Pinewood dopasowaliby je do zgryzu Pescoli.
Jestem wściekły. Mam ochotę ją zabić. Ale później. Po innych. Zapłaci wysoką cenę za każdą ranę, każde zadrapanie.
Ale cię pokonałem, dziwko. Cisza. Boli jak cholera, prawda? Masz szczęście, że jeszcze żyjesz.
Z wysiłkiem odrywam od niej myśli i zerkam na dokument, który Brady Long był uprzejmy wyjąć dla mnie z sejfu. Testament. Są na nim krople krwi, krwi Brady'ego. Przez chwilę rozkoszuję się wspomnieniem zabójstwa: zaskoczenie na jego twarzy, szok.
Testament trzeba będzie zniszczyć, ale później. Najpierw odwiedzę innego gościa w moim królestwie, Elyssę. Jest gotowa, dojrzała. Jutro opuści bezpieczne schronienie, którego jej udzieliłem, i zacznie swoją ostatnią ziemską wędrówkę.
Dzisiaj zatem odegram rolę zakochanego zbawcy.
Przed Elyssą nie muszę się maskować. Jedynym elementem przebrania jest golf, który ukrywa ślady po nieudolnym ataku Regan Pescoli.
Ugotowałem kartoflankę. Nalewam nieco na talerz, ustawiani na tacy, obok kładę chleb, ser, jabłko, dodaję serwetkę i łyżkę i wędruję tunelami, które wiją się wśród naszych wzgórz, aż dochodzę do schodów wyżej, do kamiennej chatki, w której czeka Elyssa. Domek jest niemal

dokładnie nad więzieniem Pescoli, ale droga z jednego do drugiego jest długa i kręta. I dobrze, moje panie nie wiedzą o sobie nawzajem, choć są tak blisko siebie.
Otwieram drzwi domku. Elyssa podskakuje. O tak, jest gotowa, jej rany właściwie już się wygoiły, po obrażeniach nie ma śladu.
- Liam! - krzyczy. - Gdzie byłeś tak długo? Obawiałam się, że nie wrócisz!
- Usiłowałem przedrzeć się do drogi, udrożnić przejście. Burza ucichła, udało mi się usunąć pnie. Jest ślisko, ale jutro zabiorę cię stąd i będziesz bezpieczna.
Uśmiecham się ciepło, stawiam tacę na stoliku koło łóżka. Ma łzy w oczach. Jest wzruszona.
- Dziękuję - szepcze. - Bardzo dziękuję.
-- Nadal nie udało mi się złapać zasięgu, ale myślę, że w drodze będzie to możliwe. Zadbam, żeby obejrzał cię lekarz.
- Och, Liam...
Lekko przechyla głowę, patrzy na mnie zza zasłony rzęs jak każda kobieta, która jest zainteresowana. Widziałem to już tysiące razy Mogę ją wziąć bez wysiłku, kochać się z nią, pieprzyć do utraty tchu, ale nie. Przede mną jeszcze dużo pracy.
- Nie przejmuj się, wszystko będzie dobrze - pocieszam ją. Zerka na jedzenie.
- Chyba przyniosłeś tu porcję dla dwojga...
- O, nie - mówię z żalem. - Mam jeszcze sporo do zrobienia. Chcę, żebyśmy wyruszyli stąd jak najwcześniej.
- No dobrze. - Jest zawiedziona. Patrzy mi prosto w oczy. -Jutro - mówi znacząco.
Kiwam głową, zamykam za sobą drzwi, upewniam się, że przekręciłem klucz w zamku. Myśli, że to dla jej bezpieczeństwa. Lubi, gdy drzwi są zamknięte, jak one wszystkie, głupie idiotki. Suki. Jakby zamek miał je uratować.
Wracam do siebie. Uśmiecham się. Owszem, mam jeszcze sporo do zrobienia, ale dam radę. Co więcej, mam też niespodziankę dla tych kretynów z policji. Coś, co postawi ich na nogi! Mały prezencik.
Już nie mogę się doczekać!

ROZDZIAŁ 23

Gdzie jest punkt wspólny?
Selena leżała wpatrzona w sufit. Wyrwała się w końcu do domu, co nie znaczy, że przestała zajmować się dochodzeniem. Wierciła się niespokojnie przez niemal całą noc, a jeśli udawało jej się zasnąć, widziała Brady'go Longa z kulą w piersi, zamarznięte ciała kobiet i Regan Pescoli uwięzioną gdzieś i świadomą tego, co ją czeka, a może już przywiązaną do drzewa w lodowatym lesie.
Musi być jakiś związek między tymi zbrodniami. Coś więcej niż kula wydobyta z fotela Longa i opon ofiar. Santana uważa, że stoi za nimi ta sama osoba.
A jeśli się nie myli, morderca znał wszystkie kobiety i Longa.
Żadna z ofiar nie była przypadkowa.
A to oznacza, że morderca był z Longiem na tyle blisko, że wiedział o jego planach powrotu do Montany i czekał na niego. Już to wystarczy, by wielu podejrzanych oczyścić z zarzutów. O ile Alvarez wiedziała, żadna z ofiar nie znała nikogo z Longów.
Zacznij od zabójstwa Brady'ego. Jego śmierć to odstępstwo od reguły. Ale także tę zbrodnię zaplanowano w najmniejszych szczegółach.
Odrzuciła kołdrę i w bluzie od piżamy i bieliźnie podeszła do okna. Wyjrzała na zewnątrz. Było jeszcze ciemno, nieliczne gwiazdy wydawały się blade, bo parking oświetlały lampy uliczne. Na asfalcie lśniła warstewka lodu.

Ból głowy zniknął gdzieś w nocy, przeziębienie ustępowało, ale wiedziała, że już nie zaśnie. Zerknęła na zegarek - dopiero czwarta. Poszła do kuchni, nastawiła wodę na herbatę, złożyła tapczan. Zdążyła się wykąpać i umyć włosy, nim rozległ się gwizd czajnika.
Nalała wody do kubka, zanurzyła torebkę herbaty i podeszła do biurka, na którym piętrzyły się stosy dokumentów Usiadła, otworzyła notes; wypisała nazwiska wszystkich ofiar i zaznaczyła liniami wszelkie związki między nimi, a obok umieściła podejrzanych - obecnych lub dawnych i dorzuciła nazwiska osób, które znalazły ciała i samochody. Wspólne elementy? Nate Santana - znalazł Longa, pracował u niego i zarazem romansował z Pescoli. lvor Hicks - znalazł wóz Wendy Ito i zjawił się w domu Longa dziesięć minut po Santanie. Zmarszczyła brwi w zadumie. Machinalnie bawiła się ołówkiem.
Z rozpędu dopisała, że syn Clementine, Ross, studiował na tej samej uczelni, co Elyssa O'Leary i mieli jednego wspólnego wykładowcę, choć nie uczestniczyli w tych samych zajęciach.
Żadna z ofiar nie mieszkała w Grizzly Falls. Nie licząc Longa, który w dzieciństwie spędzał tu dużo czasu. Razem z siostrą przyjeżdżali na ranczo na wakacje. Padgett cudem uniknęła śmierci w poważnym wypadku. Brady miał szczęście, właściwie nic mu się wtedy nie stało.
A zatem w jaki sposób morderca znajduje ofiary? „On nie spocznie. To myśliwy", powiedziała Grace Perchant do Pescoli u Dzikiego Willa. Właśnie tam, w otoczeniu martwych zwierzęcych łbów, powiedziała, że morderca to myśliwy. A Orion to myśliwy z mitologii i astronomii. Craig Halden, chłopak z Georgii, a dzisiaj agent FBI i myśliwy, uważał, że gwiazdy na listach przedstawiają konstelację Oriona.
Problem w tym, że w tej części Montany niemal każdy mężczyzna powyżej dziesiątego roku życia uważa się za myśliwego. To sposób na życie.
Alvarez przeglądała stare raporty policyjne, do których od dawna chciała się zabrać, ale nie miała czasu. Nie znalazła w nich nic ciekawego, póki nie doszła do sprawozdania z wypadku Longów. Przeczytała je uważnie. Brady zgłosił zdarzenie. Na miejscu pojawili się policjanci, strażacy i ratownicy. Padgett zabrano karetką do szpitala. Ojciec, Hubert, przebywał wtedy służbowo w Missouli, a matka, Cherilyn, w tym czasie już rozwiedziona z Longiem, mieszkała w San Francisco.
Clementine DeGrazio i jej czteroletni synek Ross przeby**ci** na terenie posiadłości, było tu także kilkunastu parobków.
Niektóre nazwiska rozpoznawała. Henry Johansen, dzisiaj koło sześćdziesiątki. Alvarez słyszała, że jakieś piętnaście lat temu spadł z traktora i nigdy nie był taki jak dawniej. Co pewien czas zaglądał na posterunek i oferował pomoc w rozwiązywaniu spraw, choć najczęściej nie do końca wiedział, jak się nazywa. Dalej, Gordon Dobbs, facet, który dzisiaj robi sztukę ze śmieci i upija się w lokalnych barach.
Żaden nie nadawał się na seryjniaka. Już miała odłożyć akta, gdy w oczy rzuciło jej się nazwisko oficera przyjmującego zgłoszenie.
Cort Brewster.
Przeszył ją dreszcz.
Brewster to wytrawny strzelec.
Mieszka tu od dziecka; jego rodzice do dzisiaj uprawiają ziemię należącą do starej farmy.
Jest myśliwym. I uprawia narciarstwo biegowe.
Ma dostęp do wszystkich danych.
Jest zastępcą szeryfa.
Jej przełożonym.
Głęboko zaczerpnęła tchu. Nie, to bez sensu. Owszem, Brewster nie zawsze jest w pracy w określonych godzinach, ale może sobie na to pozwolić, tego wymaga jego stanowisko. Ma rodzinę. Jest podporą Kościoła.
Jest też świetnie zorganizowany.

Zna się na pierwszej pomocy i wie, jak przeżyć w leśnej głuszy.
Jest wybuchowy.
Nietolerancyjny.
Poluje.
Serce biło jej coraz szybciej. Powtarzała sobie, że nie powinna się zapuszczać te rejony, nie może o tym myśleć. Ale nazwisko Brewstera, wówczas zwykłego funkcjonariusza, zapadło jej w pamięć.
Nie wiadomo dokładnie, kiedy morderca strzelał ofiarom w opony. Nie wiadomo także, ile czasu przetrzymywał kobiety w swojej kryjówce, zanim wyprowadził do lasu.
- Niemożliwe - powiedziała na głos. Herbata stygła. W głowie szumiało jej od możliwości. Morderca jest silny, czego dowodził odcisk buta. Cort Brewster ma prawie dwa metry wzrostu, to kawał chłopa. Nie jest gruby - ćwiczy w tej samej siłowni co Selena. Ale jest potężny, to pewne.
Zaschło jej w ustach.
Cort Brewster, zastępca szeryfa i jego następca, gdyby Graysonowi coś się stało.
Koszmarna myśl.
Niewiarygodna.
Szła do łazienki i toczyła wewnętrzną dysputę. Brewster to gliniarz. I to dobry gliniarz, nieważne, co o nim sądzisz.
Choć w jego włosach pojawiły się nitki siwizny, nie miał jeszcze nawet czterdziestu lat. Mimo to wydał jej się za stary na seryjnego mordercę.
Zapamiętała sobie, żeby sprawdzić, czy w ogóle istnieje jakiś związek między Bradym, wypadkiem, po którym Padgett trafiła do szpitala psychiatrycznego, i Cortem Brewsterem.
- Idziesz złym tropem - powiedziała sobie, ale usiadła za biurkiem, włączyła komputer, weszła do Internetu i przez kolejne dwie godziny szukała informacji na temat przełożonego. Zły trop czy nie, na razie ma tylko to.

Trzask!
Spoiwo pękło z metalicznym brzękiem.
Regan była w siódmym niebie. Zagryzła usta, by nie krzyczeć z radości.
W więzieniu było cicho.
Zimno.
Przez okienko pod sufitem nie docierały promienie dziennego światła, a ogień ledwie zipał: żarzył się, pozwalając dostrzec jedynie zarysy przedmiotów.
Bolały ją wszystkie mięśnie, całe ciało; każdy ruch był niewyrażalnym cierpieniem, ale była przekonana, że nie licząc pękniętego żebra czy dwóch, nie ma złamań. Jej ramię było częściowo niesprawne, a w głowie huczało, ale nie miała zamiaru się poddać.
Cały czas się zastanawiała, gdzie się podział ten sukinsyn. Nie było go od wielu godzin. Pewnie wrócił do domu, do prawdziwego domu. Ciekawe, czy ma żonę. Może też dzieci? Na samą tę myśl zrobiło jej się niedobrze, ale jego nieobecności, zarówno za dnia, jak i w nocy, sugerowały, że ma stałą pracę i dom albo mieszkanie. Ten loch to jego kryjówka, miejsce, gdzie ujawnia swoje prawdziwe oblicze.
Wstała z posłania, oparła się o materac i przesunęła kajdanki pod nogą łóżka.
Boże, daj mi siłę i cierpliwość, modliła się, gdy ogniwa łańcucha szurały po metalowym podłożu.
W końcu się udało. Była wolna.
No popatrz, sukinsynu, pomyślała, chociaż jej ręce nadal były skute z przodu. Znalazła pogrzebacz, jedyną prowizoryczną broń w pokoiku, i swoje ubranie. Nie zważając na ból, włożyła dżinsy, skarpety i buty, ale nie zawracała sobie głowy swetrem, stanikiem czy kurtką. Musi mieć swobodę ruchów.

Z bijącym sercem podeszła do drzwi. Wydawało jej się, że jest tu sama, słyszała, jak wychodził, zresztą spod drzwi nie sączyło się światło.
Ale może śpi.
Nie wiesz, co jest za tymi drzwiami.
Oddałaby wszystko, żeby mieć teraz nie pogrzebacz, ale przydziałową broń. Wstrzymała oddech i nacisnęła klamkę.
Otwarte.
Sukinsyn naprawdę uznał, że jest niegroźna. Zresztą nic dziwnego. Pewnie po walce z nim wyglądała jak nieżywa. I tak się czuła.
Drzwi uchyliły się z cichym skrzypnięciem. Przygotowała się jakaś jej cząstka obawiała się, że prześladowca zaraz się na nią rzuci.
Lecz w pomieszczeniu za drzwiami było ciemno, ogień w piecu wygasł niemal zupełnie. Pokój był większy niż jej więzienie, palenisko także. Zobaczyła okna, wysoko pod sufitem, i przekonanie, że siedziba mordercy znajduje się pod ziemią, powróciło. W ścianach dostrzegła drzwi. Na kamiennej posadzce stała wielka szafa. Dopiero teraz zauważyła ślady elektryczności - kontakty i gniazda w ścianach.
Co to jest? Pokój, w którym ją więził - a przed nią przetrzymywał zapewne także inne kobiety - był bardziej prymitywny, jakby dawniej służył za spiżarnię, a piec dobudowano później.
Nie żeby teraz miała czas na takie rozważania. Rozejrzała się szybko, szukając broni albo kluczyków do kajdanek, choćby szpilki, którą mogłaby otworzyć zamek. Na stole nie było niczego.
Ale w szafie...
Bez wahania otworzyła podwójne drzwiczki. Papiery. Książki o astronomii i astrologii, starannie opisane pudła i rysunki... Za ciemno, żeby widziała dokładnie, ale...
Strach ścisnął jej żołądek, kiedy je rozpoznała. Listy, które przyczepiał do drzew nad głowami ofiar. O Boże, ile tego.
Powtarzała sobie, że nie ma czasu. Dygocząc z zimna, otwierała kolejne szuflady i szukała. Kluczyki, błagam, kluczyki...
I wtedy ją zobaczyła. Szufladę z kluczami. Do drzwi, do samochodu... Do kajdanek. Ręce jej drżały, gdy wsuwała kluczyk do zamka. Podświadomie oczekiwała, że lada moment otworzą się drzwi. Zacisnęła zęby i przekręciła kluczyk.
Trzask.
Metalowa obręcz na przegubie się otworzyła.
Nie marnowała ani chwili, rozkuła drugą rękę. Powinna sobie zabandażować nadgarstek, ale nie ma na to czasu. Wepchnęła kajdanki z kluczykami do kieszeni. Oddałaby wiele, żeby role się odwróciły, żeby mogła skuć sukinsyna i zaprowadzić go na posterunek. Może nawet dałaby mu odczuć, co to znaczy brutalność Policji. Rozejrzała się w poszukiwaniu broni lub telefonu, komputera, czegokolwiek, co pomogłoby jej się bronić albo skontaktować ze światem, ale nic z tego.
Cholera.
Znalazła natomiast latarkę i kiedy w jej świetle po raz ostatni zajrzała do szafy, serce stanęło jej w gardle. Obok starannie ułożonych listów z tajemniczą wiadomością były zdjęcia. Porwanych kobiet. Nagich, przywiązanych do drzewa, ale jeszcze żywych. Z przerażeniem w oczach.
Pescoli zrobiło się niedobrze.
Nie ma wyboru, musi zostawić materiał dowodowy na miejscu, musi uciekać ze względu na siebie i na Elyssę. Ze względu na inne, o których mówił.
Gdzie one są? Gdzie jest Elyssa?
Gdzieś tutaj?

A może już je zabrał, wygnał na mróz, przywiązał do drzew w środku lasu, skazał na powolną śmierć w samotności?
Ogarnął ją gniew. Wróciła do swojej celi, by włożyć na siebie resztę ciuchów, zła, że marnuje tyle czasu, ale obrażenia utrudniały ubieranie się. Zaraz znajdzie pozostałe kobiety i zabije sukinsyna, który je więzi.
Z pogrzebaczem w jednej ręce i latarką w drugiej, ciągle obolała, wstrzymała oddech i otworzyła drzwi do wolności.

- Nie rozumiem - szepcze Elyssa. Jej oczy są okrągłe ze strachu.
Ale oczywiście, rozumie. Wszystkie jej obawy i lęki, dotychczas spychane do podświadomości, dochodzą teraz do głosu, sprawiając, że serce bije jej coraz szybciej, a nadzieja ulatuje.
Widzę to. Byłem tego świadkiem już nieraz, w tym właśnie pokoiku, z łóżkiem, na którym króluje patchworkowa kołdra uszyta przez mamę ponad pół wieku temu. W jakiś sposób sprawia mi to dodatkową przyjemność. Dobrze, że część z moich gości spała pod kołdrą uszytą jej rękami. Theresa skomentowała, że jest piękna. Zachwycała się skomplikowanym wzorem. Gdyby tylko wiedziała, że te same ręce, które tak fachowo pocięły i zeszyły kawałki materiałów, równie fachowo wymierzały ciosy i przypalały papierosem.
Ten pokoik, który Elyssa przywykła traktować jako swój, należał do mnie, ale te czasy już minęły. Dzisiejszy dzień zaczął się pracowicie, a słońce jeszcze nawet nie wstało. Jedna połowa niespodzianki dla policji już czeka, teraz przyszedłem po Elyssę. Ledwie stanąłem w drzwiach, zrobiła się zalotna, jak się tego spodziewałem. Szepnęła, że już jest jutro.
W odpowiedzi kazałem jej się rozebrać.
Och, to rozkoszne oczekiwanie, nadzieja na seks; widzę to w jej oczach i widzę, jak gaśnie, gdy wyjmuję myśliwski nóż z pochwy.
I jednocześnie zmienia się wyraz mojej twarzy. Zdaję sobie sprawę, że w moich oczach nie ma już czułości ani zainteresowania.
- Rozbieraj się - powtarzam. Nóż w mojej dłoni, mój ulubiony, o długim ostrzu, które tak łatwo patroszy i obdziera ze skóry jelenia, zmusza ją do uległości.
W wielkich oczach lśnią łzy.
- Jeśli to żart, wcale nie jest śmieszny. - Jej głos drży. Już wie.
Widzę, jak po raz pierwszy rozgląda się ukradkiem po pokoju, jakby szukała drogi ucieczki.
- To nie żart.
- Ale...
- Rozbieraj się!
- Proszę cię... Nie wiem, dlaczego to robisz. Wiesz przecież, że mi się podobasz. - Błaga, rozkłada ręce, ofiarowuje mi się jak rytualna dziwka, którą zawsze była, co wiedziałem od początku. - Mogłabym... Moglibyśmy... - Z trudem przełyka ślinę i wskazuje wąskie łóżko przykryte spłowiała narzutą. Desperacka próba uwiedzenia.
Zazwyczaj igram z nimi przez chwilę, ale dzisiaj jej żałosne wysiłki tylko mnie irytują. Nie mam czasu. Ze względu na tę sukę Pescoli podbiłem stawkę, wprawiłem machinę w ruch. Muszę coś udowodnić, przyciągnąć uwagę tych kretynów z policji.
- Rozbieraj się, Elysso. - Kiwam nożem. Głośno oddycha, unosi ręce do gardła.
- Nie zmuszaj mnie, żebym go użył - mówię. Stanowczo. Ostrze lśni w blasku lampy stojącej na małym stoliku przy łóżku.
Wcale nie kłamię. Nie mam ochoty jej pociąć, ale zrobię to, jeśli będę musiał.
Z przerażeniem w oczach zaczyna się rozbierać. Usiłuje robić to zmysłowo, choć nie bardzo jej to wychodzi. Ciągle łudzi się, że może to jakaś seksualna fantazja, którą nagle zapragnąłem zrealizować.
Zdejmuje sweter, odrzuca włosy, patrzy na mnie.

Jest żałosna.
Wskazuję nożem jej stanik.
- Dalej.
Powoli, nerwowo, sięga za plecy, rozpina go i skrawek czerwonej koronki spada na podłogę. Przechyla głowę i patrzy na mnie głupio, wydyma usta, gdy spoglądam na jej piersi. Zachowuje się, jakby sądziła, że właśnie o to mi chodzi.
Oczywiście już widziałem jej piersi. Są wspaniałe. Pełne, jędrne, o ciemnych sutkach, ciemniejszych niż zazwyczaj.
Prawie ulegam pokusie.
Prawie.
- Podobają ci się? - szepcze ochryple. Jest z nich dumna. Niezdarnie muska palcem nabrzmiałą brodawkę, a potem przesuwa dłoń wyżej - po szyi, do ust. Palec niknie między jej wargami.
Ssie go.
Takie tandetne, takie przewidywalne. Patrzy na moje krocze, spodziewając się, że zobaczy, jak nabrzmiewam.
Nic z tego.
- Dalej - mówię.
- Ale, Liam... - Głos jej się łamie.
- Nie mam czasu. Dalej!
- Boże. - Opuszcza ręce i posłusznie rozpina narciarskie spodnie. Zostaje w stringach. Czerwono-zielonych. Świątecznych. Jakie to urocze.
Po chwili jest całkiem naga. Patrzy na mnie.
- Co teraz? - szepcze.
- Chyba już wiesz.
Sięgam do kieszeni, wyjmuję kajdanki, macham nimi, ale nie opuszczam noża. W pierwszej chwili jest zdezorientowana, ciągle liczy, że to jakaś seksualna gra.
- Wyciągnij ręce przed siebie. - Nie muszę się obawiać, że ucieknie, nie muszę skuwać jej na plecach.
Niespokojnie wykonuje polecenie. Zatrzaskuję kajdanki wokół jej przegubów.
- O co chodzi? - pyta.
- Zobaczysz. - Knebluję ją, ale nie zasłaniam oczu. Będzie szła samodzielnie, więc musi widzieć. Ta część kompleksu, jak nazywam moje królestwo, znajduje się trzysta metrów od mojego warsztatu i celi Regan Pescoli. - Idziemy. - Dźgam ją lekko nożem i wyprowadzam z pokoju, korytarzem do drzwi wejściowych. Waha się, ale ostrze zmusza ją, by szła, więc drepcze boso po śniegu. Ścieżka, którą sam wydeptałem, prowadzi do samochodu wzdłuż linii drzew. To na wszelki wypadek, żeby nikt z góry, z helikoptera, jej nie zobaczył. Dość, że ciągle niepokoi mnie dym z komina.
Elyssa wydaje jęk sprzeciwu, ale rusza wydeptaną dróżką. Niebo jest ciemne, nawet wschodnich wzgórz nie rozjaśnił jeszcze świt. Wysoko nad nami błyszczą gwiazdy, księżyc oświetla wszystko srebrzystą poświatą.
Już dygocze z zimna, ma gęsią skórkę. Idzie przodem, nie widzę jej piersi, ale domyślam się, że sutki stwardniały od chłodu. Szczęka zębami.
To dopiero początek, myślę, gdy dochodzimy do samochodu. Jest gotowy. Patrzę na skuter śnieżny. Jest szybszy i poręczniejszy, ale też bardziej zwraca uwagę, oczywiście z powietrza, no i musiałbym zabrać nosze.
A one nie wystarczą.
Nie dzisiaj.
Podekscytowany, unoszę plandekę i otwieram klapę. Szturcham Elyssę, wskazuję latarką wnętrze pojazdu. W promieniu światła lśnią ciemne oczy. Elyssa jęczy nerwowo.

- Wsiadaj - mówię. Dociskam nóż do jej pleców.
Podskakuje.
Druga kobieta, która już leży w samochodzie, jest również naga i skrępowana. Wierci się i rzuca, jakby liczyła, że zdoła uciec, miota przekleństwa zza knebla. No, ale zawsze była gadatliwa, przeciwieństwo spokojnej Elyssy.
Elyssa się waha.
Kaleczę ją.
Leciutko.
Wystarczy.
Wskakuje na pakę. Zamykam klapę i opuszczam plandekę.
- Dwie w cenie jednej - mówię, bardzo z siebie zadowolony, choć czeka mnie jeszcze mnóstwo pracy. Wsiadam do furgonetki i odpalam silnik, wyjeżdżam powoli, testując przyczepność kół, a potem zawracam i mknę w dół górską drogą.
Szeryf Grayson jeszcze o tym nie wie, ale dzisiaj jest jego szczęśliwy dzień.

ROZDZIAŁ 24

Biegnij! Dalej, dalej!
Głos, który słyszała w swojej głowie, poganiał ją, dodawał sił, zmuszał do wysiłku, od którego brakowało jej tchu.
I przerażał.
Płuca paliły żywym ogniem. Umierała ze strachu.
Nie, tylko nie to. Nie panikuj!
Boże, oddałaby wszystko za broń.
Jasne. Tutaj? W tych cholernych tunelach?
Zmusiła się, by zdławić panikę, która oznaczała utratę rozsądku, szła dalej, oświetlając promieniem latarki wąskie korytarze. Drzwi do wolności zaprowadziły ją tutaj, do podziemnego labiryntu. Musiała jednak szukać dalej, uwolnić inne kobiety, znaleźć wyjście.
Wszędzie widziała kurz i pajęczyny, i szczurze odchody.
Czuła kłucie w żebrach. Każdy oddech sprawiał ból. Uginały się pod nią kolana, nadgarstek spuchł, a serce waliło jak oszalałe, gdy nasłuchiwała i wytężała wzrok, obawiając się, że w którymś z mrocznych korytarzy wpadnie na wracającego mordercę.
Gdy znalazła się za drzwiami swojego więzienia, zorientowała się, że jest w podziemnym labiryncie. Od głównego pomieszczenia, w którym świr gromadził dowody zbrodni, odchodziły korytarze ciągnące się na wszystkie strony.
Stara kopalnia złota lub srebra.
Czy kiedykolwiek znajdzie pozostałe kobiety? Czy je uratuje?
Na tym terenie jest mnóstwo starych kopalń, choć zapewne w niewielu sieć tuneli jest tak rozległa jak tutaj.
Musi być stąd jakieś wyjście.
Cierpliwości.
Myśl logicznie.
Ale umysł kazał biec.
W ustach zaschło jej ze strachu na myśl, że już za późno, by uratować Elyssę O'Leary i inne.
Cholerny zboczeniec, myślała, zaciskając dłoń na pogrzebaczu, choć obolałe mięśnie protestowały.
Uspokój się, oddychaj głęboko.
Weź się w garść, do cholery!

Co na jej miejscu zrobiłby Santana? Santana żołnierz albo Santana górski przewodnik? On, który radził sobie w najbardziej nawet ekstremalnych warunkach?
Spokojnie.
Myśl.
Zapamiętaj, gdzie już byłaś.
Słyszała go, oczyma wyobraźni także widziała: ciemne oczy, głęboko osadzone, wystające kości policzkowe, które świadczyły o domieszce indiańskiej krwi, i usta, wąskie, surowe, ale skore do uśmiechu.
Zabolało ją serce. Czy jeszcze kiedyś go zobaczy? Czy go dotknie?
No i dzieci.
Boże, musi wytrzymać ze względu na dzieci.
Światło latarki coraz słabiej odbijało się od ściany tunelu. Ktoś, zapewne świr we własnej osobie, zainwestował mnóstwo czasu i pieniędzy w odremontowanie tych korytarzy i pomieszczeń.
Widać, że planował to wszystko od dawna. Świadczyły o tym archiwum zgromadzone w szafie i ten labirynt.
Z głównego pomieszczenia zabrała jeszcze nóż, niosła go razem z latarką i pogrzebaczem. Nie miała pojęcia, od jak dawna błądzi pod ziemią, ale z każdym krokiem narastało w niej koszmarne przekonanie, że lada chwila wpadnie prosto na niego, że on już jej szuka.
Idź dalej, powtarzała sobie. Była wyczerpana, tylko strach i adrenalina dodawały jej sił. Myślała o kobietach, które więził tu przed nią, o całej piątce. Nie miały żadnych szans, od początku skazane na śmierć podczas najmroźniejszej zimy, jaką pamiętała.
Czy podąża ich śladem?
Czy one także wędrowały ciemnymi korytarzami, w których brakuje powietrza? I jeszcze Elyssa... Boże, spraw, żeby przeżyła. Ona i inne, jeśli tu je trzyma... błagam...
Czuła w płucach podziemny kurz. Omiotła światłem latarki sufit i ściany. Kilka razy musiała zawrócić, bo korytarz kończył się przegrodą z desek. Sądząc po ilości kurzu, nie tędy przebiegała trasa jego wędrówki - jej upragniona droga do wyjścia.
Musi działać powoli, żeby się nie zgubić. Zaznaczyła to miejsce, znalezionym kamieniem wydrapała strzałkę, która miała jej przypomnieć, że była już tutaj, gdyby ponownie trafiła do tego korytarza. I cały czas miała świadomość, że czas jest jej wrogiem, bo potwór może wrócić w każdej chwili.

- *And so this is Christmas...* - Głos Johna Lennona wypełniał wnętrze samochodu.
Alvarez wyłączyła radio.
- Święte słowa, John - mruknęła bez entuzjazmu. Światła na krzyżowaniu migotały zielenią i czerwienią, stara część miasteczka, zwana Old Grizz, ustroiła się w świąteczne ozdoby. Obok gmachu sądu wyrosła ogromna, wysoka na sześć metrów choinka, a na wzgórzu Boxer Bluff, przed kościołem baptystów stała szopka - przysypana śniegiem, oświetlona reflektorami. Drewniane figurki Świętej Rodziny w otoczeniu owieczek. I jeszcze Trzej Królowie.
Powróciły obrazy z przeszłości. Szopka naturalnej wielkości, którą jej ojciec i bracia posłusznie montowali przed każdymi świętami przed niewielkim domkiem w Woodburn, małym miasteczku w Oregonie, gdzie dorastała. Było ich w sumie ośmioro, w rodzinie, jak to teraz oceniała, gdzie było za dużo religii, a za mało pieniędzy. Co roku rodzice zabierali ich na pasterkę do katedry na Mount Angel, a rano szli na mszę we własnej parafii. Jej brat Pablo, wieczny żartowniś, zawsze pakował się w kłopoty.
Jakaś jej cząstka tęskniła za tamtymi czasami, za bliskością rodziny, za domem wypełnionym głosami krzyczącymi po angielsku i hiszpańsku, za muzyką, która stanowiła nieodłączną część ich życia, za zapachem domowego jedzenia.
Ale to wszystko było dawno temu.

Przed „incydentem", który sprawił, że dorosła i straciła dziecięcą niewinność.
Teraz jest inna. Zupełnie inna.
Skręciła w stronę posterunku. Na parkingu stało tylko kilka samochodów. Wozu Corta Brewstera nie było wśród nich.
Co samo w sobie wcale nie jest dziwne.
Na posterunku nadal siedzieli koledzy z nocnej zmiany - zostaną tu jeszcze kilka godzin. Alvarez postanowiła, że wykorzysta wolny czas, by sprawdzić Brewstera, a potem pojedzie na ranczo Longa i jeszcze raz porozmawia z Clementine DeGrazio i jej synem, superstrzelcem. Niewiele wiedzieli o Rossie; miał kilka Mandatów za szybką jazdę i nadopiekuńcza matkę.
Zaparkowała tam gdzie zwykle, zamknęła samochód i weszła do środka. O tej porze panował tu spokój. Lubiła te chwile, choć wiedziała, że zaraz pojawią się koledzy i zacznie poranny harmider: rozdzwonią się telefony, policjanci będą przesłuchiwać świadków i podejrzanych albo gawędzić, popijając kawę. Zanim ich okręg zaatakował seryjny morderca, mieli dużo pracy, ale nikt nie padał z wyczerpania. Odkąd znaleźli ciało Theresy Charleton, nie wiedzieli, w co włożyć ręce.
Selena weszła do kuchni, spojrzała na szlam w dzbanku do kawy. Wypłukała szklane naczynie, włożyła nowy filtr i nasypała świeżej kawy. Na stole stał talerz z resztkami ciasta Joelle, po drugim smakołyku zostały już tylko okruszki.
Włączyła ekspres i podeszła do swojego biurka. Sprawdziła pocztę elektroniczną, przejrzała raporty, zerknęła na informacje przesłane przez funkcjonariusza obsługującego gorącą linię. Nic nowego. Dyskretnie buszowała w historii zatrudnienia zastępcy szeryfa, sprawdzała, ile razy zwyciężał w konkursach strzeleckich, ile razy nominowano go do nagród za wzorową służbę, szukała informacji o nim w Internecie. Nadal oficjalnie jeszcze nie pracowała, więc w wolnym czasie może robić, co chce, prawda?
Zastępca szeryfa. Dlaczego nie wyżej?
Nie zaczynaj, upomniała się, i w tej chwili rozległy się głośne kroki. Podniosła głowę. Grayson minął ją, wściekły jak osa. Pies dreptał za nim do gabinetu.
Czyżby kolejne złe wieści?
Poczekała, aż na ekranie pojawi się wygaszacz, wstała, poszła do kuchni, nalała kawy do dwóch kubków i zawróciła do gabinetu szeryfa. Grayson rozmawiał przez telefon. Miał ponurą minę. Spojrzał na nią i skinął głową, widząc kawę.
- Tak, wiem, ale najpierw ustalcie fakty. Nie chcemy wywoływać paniki... Co? Nie, nie wiem, kiedy będzie następna konferencja prasowa. Kiedy tylko będę miał wam coś do przekazania. -Rzucił słuchawką. - Widziałaś, co napisali? - zapytał.
Pokręciła głową i podała mu kubek. Wskazał gazetę ciśniętą na biurko.
- No to proszę.
Usiadła na krześle obok psiego posłania, w którym mościł się czarny labrador, i zaczęła czytać. Nagłówek na pierwszej stronie informował: *Policja bezradna - funkcjonariuszka ofiarą seryjniaka*.
- O nie. - Po raz setny tego ranka pomyślała o partnerce. Miała coraz gorsze przeczucia.
- Będzie jeszcze lepiej, czytaj. - Grayson zacisnął usta.
W następnej linijce, nieco mniejszą czcionką, gazeta obwieszczała: *Aresztowano naśladowczynię*.
Przeczytała artykuł do końca. Manny Douglas informował opinię publiczną, że: „Zarówno FBI, jak i szeryf okręgu Pinewood dali się nabrać i uwierzyli, że kobieta w Spokane to seryjny morderca". Dalej Manny niezbyt dyskretnie dawał do zrozumienia, że śledztwo jest prowadzone nieudolnie, a lokalne władze są zagubione i bezsilne.
- Równie dobrze mógł zażądać, żebym zrezygnował ze stanowiska - sapnął Grayson. Był zmęczony, bruzdy na policzkach były wyraźniejsze niż zwykle, miał cienie pod oczami. -

Świetna dziennikarska robota - mruknął. Przeczesał włosy palcami. - Nie wiem, co to da, ale złożyłem w redakcji oficjalny protest.
- W żadnym wypadku nie rezygnuj. - Alvarez cisnęła gazetę do kosza na śmieci. - Nie wiesz, że prasie się nie wierzy, nieważne, czy chwali, czy gani?
- O chwaleniu nie ma mowy. Nie mogła temu zaprzeczyć. Uniósł kubek.
- Dzięki za kawę. Skinęła głową.
- Wesołych świąt.
- Dzięki.
- Tylko się nie przyzwyczajaj. Odkurzam fartuszek zaradnej pani domu tylko na święta.
Mało brakowało, a uśmiechnąłby się.
- Coś jeszcze?
Nie mogła wspomnieć o Brewsterze, nie zrobi tego, póki nie będzie miała czegoś konkretnego, dowodów łączących go ze zbrodniami. Szczerze mówiąc, wcale nie była pewna, czy to on.
- Chcę jeszcze raz przesłuchać Clementine i Rossa. Jako jedna z nielicznych wiedziała, że Long się tu wybiera.
- A narzeczona? Współpracownicy?
- Zoller się tym zajęła, a Halden mówił mi, że poprosił o pomoc FBI w Denver. Nie wiem, co ustalili.
- A jak tam Grace Perchant? - zapytał i w kącikach jego oczu pojawił się uśmiech. - Nie mówiłaś, jak było.
- Ciekawie.
- Hm. Gadała z duchami?
- Z wieloma, z tego co słyszałam. Wendy Ito przekazała jej informacje o Pescoli.
- Jasne. - Łypnął na nią spod oka.
Alvarez nie miała siły na kłótnie, zresztą i tak nie dysponowała przecież faktami na poparcie swoich argumentów Już zbierała się do wyjścia, gdy do gabinetu zajrzała Joelle Fisher w świątecznej pelerynie, obładowana plastikowymi pojemnikami z jedzeniem.
- Coś nowego o Pescoli? - zapytała z nadzieją. We włosy wpięła sobie plastikowego aniołka.
Grayson spochmurniał jeszcze bardziej, o ile to w ogóle było możliwe.
- Och, no tak... No cóż... przyniosłam trochę... smakołyków... Ciasteczka i julekake, świąteczne ciasto z Norwegii, moja teściowa stamtąd pochodzi, więc... - urwała. - No dobra, przepraszam, ale mamy święta, a kiedy się denerwuję, to piekę. Mam nawet psie ciastka dla Sturgisa...
Słysząc swoje imię, labrador zamachał ogonem i podniósł łeb.
- Tak jest, przyjacielu. - Joelle spojrzała na niego. - Wesołych świąt, Sturgis. - Stała w progu, zza jej pleców dobiegał narastający gwar: kroki kolegów w holu, dzwoniące telefony, stukanie w klawiaturę, szmer rozmów.
Joelle postawiła na biurku szeryfa małą paczuszkę z czerwoną kokardką i karteczką z napisem: „Sturgis". Grayson obserwował ją w milczeniu.
- No to pójdę do pokoju rekreacyjnego i wyłożę te smakołyki. - Odwróciła się na złotych obcasach.
- Joelle. - Głos szeryfa kazał jej się zatrzymać. - Przyślij do mnie Brewstera, kiedy tylko przyjdzie.
Alvarez zesztywniała, zerknęła na przełożonego. Czyżby on także snuł jakieś podejrzenia?
- Chcę się upewnić, że nie wniesie oskarżenia przeciwko synowi Regan - ciągnął Grayson. - Dzieciak i bez tego ma dość na głowie, matka zaginęła, a jeszcze ten dzisiejszy artykuł...
Joelle się nadąsała.
- Mówił mi wczoraj, że ma spotkanie w terenie i że będzie po dziewiątej, ale mogę do niego zadzwonić.

- Dobrze.
Grayson wydawał się zaskoczony, że zastępca nie poinformował go o swoich planach. Joelle wyszła.
To prawda, że zastępca szeryfa spędza mnóstwo czasu w terenie, a co za tym idzie, ma ruchome godziny pracy, jednak odkąd w okolicy pojawił się seryjny morderca, Brewster i inni przychodzili rano na posterunek i omawiali postępy w śledztwie.
Ale nie dziś.
Alvarez wróciła do biurka i uznała, że jeszcze nie skończyła z zastępcą szeryfa.
Z pewnością jest dobrym policjantem.
Nie ma wątpliwości, że bardzo kocha swoją rodzinę.
Jest też filarem swego Kościoła.
Człowiekiem podziwianym i szanowanym.
Przystojnym, prostolinijnym mężczyzną.
Wydaje się w porządku, ale niewykluczone, że Cort Brewster Prowadzi podwójne życie.

Elyssa nigdy dotąd tak bardzo się nie bała. Teraz już wiedziała, że Liam, mężczyzna, którego obdarzyła zaufaniem, to bezlitosny Morderca, ten, o którym co nieco słyszała na uczelni. Coś jej się obiło o uszy, że w tym zakątku gór Bitterroot grasuje psychopata, który porzuca kobiety na śmierć w środku lasu. Nie słuchała, za bardzo ją absorbowały myśli o świętach w domu i nadzieja, że Cesar w końcu się jej oświadczy.
To wszystko wydawało się teraz takie odległe.
Jak w innym życiu.
Leżała na zimnej pace samochodu i płakała. Spod plandeki docierały do środka promyki światła. Nagle samochód się zatrzymał. Kiedy Liam opuścił klapę, ze strachu nie mogła oddychać. Dłońmi w rękawiczkach brutalnie wyciągnął drugą dziewczynę. Poranne słońce odbijało się od śniegu, oślepiało, ale Elyssa zorientowała się, że są w lesie - białym i cichym - gdzieś na odludziu.
Druga dziewczyna, ofiara tak jak ona, krzyczała, gdy ją ściągał na ziemię. Elyssa dostrzegła jego nóż z kroplą krwi na czubku. Jej krwi, gdy poganiał ją, by wsiadła do furgonetki.
Pomyślała, że mogłaby się sturlać z paki, ogłuszyć go, spróbować uciec. Nie zajdzie daleko, ale może choć jedna z nich, ona albo ta druga, się uratuje.
Zawiadomi policję.
Sprowadzi pomoc.
Liam jednak zdawał się czytać w jej myślach. Podniósł klapę i opuścił plandekę.
Trzask.
Był to cichy dźwięk, jednak niósł się echem po jej głowie, przypominał, że jest więźniem.
I zaraz umrze.
Cały czas miała przed oczami tę drugą. Była wysoka, szczupła, miała małe piersi, brązowe włosy, a oczy szeroko otwarte i wystraszone. Kiedy wyciągał ją z samochodu, krzyczała mimo knebla. Słyszała jej przerażony głos, ale Liam, o ile naprawdę tak się nazywał, nie zwracał na to uwagi.
A teraz nie było już nic, żadnych dźwięków poza rozpaczliwym biciem jej serca.
Cisza była porażająca.
Ogłuszająca.
Drżąc na całym ciele, zaczęła się modlić. Panie Boże, proszę, pomóż mi. Pomóż jej... nam... Uratuj nas!
Łzy napłynęły jej do oczu, gdy pomyślała o rodzicach. Matka pewnie wiesza skarpety na kominku, ojciec siedzi w ulubionym fotelu, czyta gazetę i zerka na wiadomości sportowe w telewizji. A Cesar... Tęskni za nią? A jego dzieci?
O Boże, jak bardzo jej ich brakowało.

Jak bardzo chciała im powiedzieć, że ich kocha.
Jak bardzo...
Kroki na śniegu.
Przez ułamek sekundy liczyła, że ktoś po nią przyszedł. W jej sercu zrodził się promyk nadziei.
A potem dobiegł do niej odgłos otwieranych drzwi.
Poczuła, jak samochód się przechyla, gdy wsiadał.
Usłyszała, jak silnik krztusi się i kaszle, a potem ożywa. Ruszyli.
Elyssa O'Leary zamknęła oczy i zaczęła się modlić.
Były to, jak wiedziała, ostatnie chwile jej życia.

ROZDZIAŁ 25

Coś zawisło w powietrzu. Coś nieuchwytnego, mrocznego i złego.
Nate miał za sobą ciężką noc, cały czas czekał, aż Chilcoate zadzwoni, choć wiedział, że na to za wcześnie. Próbował odkryć związek między porwaniem Regan a zabójstwem Longa, ale umysł zamiast naprowadzić go na właściwy tor, podsuwał tylko ślepe uliczki. Nie mógł uwolnić się od tych myśli, nawet gdy odpłynął w sen. Dręczyły go koszmary. W jednej chwili kochał się z Regan, spocony, zgrzany, spowity jej zapachem, z dłonią na jej nodze, słyszał jej głos: „tak, kowboju, o tak", a po chwili była daleko, z twarzą wykrzywioną strachem, a on stał na skraju ciemnego kanionu wśród padającego śniegu.
Obudził się z jej imieniem na ustach i uznał, że nie ma sensu spać dalej. Przez kilka kolejnych godzin pił kawę, studiował mapy i próbował poskładać wszystko do kupy. Co łączy Brady'ego Longa z morderstwami kobiet? Z zabójcą?
I skąd, do cholery, wziął się tam Ivor Hicks?
I w chwili, kiedy Long był jeszcze ciepły, a jego dusza nie zdążyła nawet zapukać do bram piekła?
Ivor przewędrował pieszo ponad pięć kilometrów od swojego domu, małej chatki u podnóży góry Mesa Rock.
To bez sensu, myślał, daremnie namawiając Lucyfera, by wziął wędzidło w pysk.
- No dalej, chłopcze - namawiał. Usiłował skupić się na zwierzęciu. Lucyfer dał się pogłaskać i nie protestował, gdy nakładał mu lejce. Zachowywał się równie grzecznie, jak wczoraj.
Jednak wędzidło go drażniło, a Santana nie miał siły na walkę z ogierem. Wycofał się. Szczerze mówiąc, nie był w nastroju do pracy.
Lucyfer to oczywiście wykorzystał.
Santana dał sobie z nim spokój, zajął się innymi obowiązkami. Cały czas myślał o Regan, głowił się, gdzie jest, drżał na myśl, że już nie żyje, że umiera przywiązana do drzewa gdzieś w środku lasu. Wczoraj, u Chilcoate'a, panował nad sobą, ale po ciężkiej nocy paraliżujący strach zwyciężał.
Zacisnął zęby, zepchnął jej wizję na dno świadomości i pod-sypał koniom owsa. Kiedy tu skończy, zadzwoni do Chilcoate'a.
Czy szeryfowi to odpowiada, czy nie, Santana przeprowadzi własne śledztwo.
Bo zniknięcie Regan Pescoli to sprawa osobista.

Jestem podminowany.
Jak zawsze po tym, gdy wykonam misję. Ale teraz jest jeszcze za wcześnie, jeszcze nie skończyłem, myślę i jadę dalej. Zaczyna się kolejna śnieżyca. Na razie to tylko kilka płatków, ale jeśli wierzyć niebu i prognozie pogody, nadciąga kolejna burza.

Słyszę, jak płacze.
Denerwujące jęki dobiegają z tyłu samochodu. Słyszę ją mimo knebla i jazgotu silnika.
Jestem spięty, puszczają mi nerwy.
Do tej pory ani razu nie wykończyłem dwóch jednego dnia.
- Dwie w cenie jednej, dwie w cenie jednej. - To moja mantra, powtarzam ją na głos, zgodnie z rytmem wycieraczek, ale i tak ją słyszę. Jęki Elyssy jakimś cudem przedostają się przez inne dźwięki i ryją w moim mózgu.
Krzyczę na nią, ale w odpowiedzi wyje jeszcze głośniej.
Nagle na nowo czuję ugryzienia na karku. Czerwone, płonące jak gniew, który mnie ogarnia.
- Muzyka! - mówię i włączam radio.
Ale jestem daleko od nadajników, głęboko w górach i jedyne, co udaje mi się złapać, to Burl Ives rozwodzący się nad urokami wesołego Bożego Narodzenia.
Raczej nie w tym roku, myślę i wyłączam radio. Muszę się skoncentrować na czekającym mnie zadaniu.
Wybrałem już teren z dala od poprzedniego.
Ale będą zdziwieni, Grayson i jego ludzie!
- Wesołych świąt!
Zwalniam, skręcam i wjeżdżam pod górę. Napęd na cztery koła umożliwia taką podróż mimo gęstego śniegu.
Tej nie zostawię w dolinie. Wybrałem to miejsce szczególnie starannie. Jest idealne.
Znowu krzyczy.
Co za beksa!
Zasłużyła na śmierć.
I do tego dziwka, jak szybko przeniosła uczucia ze swojego nieudacznika na mnie.
Wycieraczki zmagają się z coraz gęstszym śniegiem, silnik rzęzi, koła się ślizgają.
Powinienem był wyruszyć wcześniej, wiedziałem przecież, że nadciąga śnieżyca. Mam mało czasu.
No dalej, dalej, zaklinam go w myślach, gdy stary samochód nięczy się coraz bardziej. W końcu pokonuję ostatni zakręt na tej zapomnianej drodze. Po drugiej stronie przełęczy jest polana. Od razu zawracam wóz, żeby w razie czego szybko usiąść za kierownicą i uciekać.
Nie mogę sobie pozwolić na błąd, nie mogę utknąć w śniegu przez zbytnią pewność siebie.
Choć mało prawdopodobne, żeby ci idioci z posterunku kiedykolwiek mnie namierzyli.
Do tej pory nie znaleźli jeszcze jednego samochodu, białego garbusa. Spoczywa na dnie kanionu Stone Ridge. Idioci, pewnie odkryją go dopiero po wiosennych roztopach.
Gdy pikap jest już odpowiednio ustawiony, zaciągam hamulec ręczny i wysiadam.
Nadszedł czas.
Dygocze, protestuje, gdy opuszczam klapę i wyciągam ją. Ma dreszcze, a jednocześnie się poci.
- Nie - usiłuje powiedzieć przez knebel. Słyszę to, wychwytuję w zniekształconym, stłumionym głosie.
- Idziemy.
Płacze, udaje, że nie ma siły, że nogi się pod nią uginają. Niektóre tak właśnie robią. Inne starają się uciec. Jedna próbowała walczyć. Koniec jest zawsze taki sam - kiedy unoszę nóż, rozumieją.
Obwiązuję jej nadgarstki sznurem; nie mam czasu na gonitwy po lesie. Zakładam plecak i daję znać, że ma iść.
Nie chce.
Chociaż ma ptasi móżdżek, rozumie, że to koniec. Że stąd nie ma ucieczki.
Drży, potyka się, ale brnie w głębokim śniegu, wydeptując swoją ostatnią drogę.
Poganiam ją.

Coraz mniej czasu.
Muszę być w pewnych miejscach.
- Ruszaj się - mówię. Widzę, że zimno przenika ją na wskroś. Mijamy oszronione sosny, skręcamy na jeleni szlak, który znam od dziecka.
Trzęsie się ze strachu albo z zimna, a może i z jednego, i z drugiego. Zresztą to bez znaczenia. Przechodzimy po zwalonym pniu przysypanym śniegiem. Niebo zasnuwają chmury, wiatr się wzmaga.
Wyczuwam, że rozważa ucieczkę, ale to potulna krowa, od dziecka spełnia zachcianki mężczyzn, z tego, co mówiła. Najpierw dominujący ojciec, a potem kolejni chłopcy, z których żaden nie okazał się księciem z bajki, o którym marzyła. Opowiadała mi o nich, także o ostatnim, Cesarze, za którego chciała wyjść za mąż.
Ze wszystkich kobiet, które tak starannie dobrałem, Elyssa jest najmniej pewna siebie, taka szara myszka... Niepotrzebnie się na nią zdecydowałem, ale jej nazwisko... Idealne.
Uśmiecham się na tę myśl. Możliwe, że szeryf już dostał mój prezent. Cały posterunek będzie o mnie mówił.
Zapanuje chaos.
Dzisiejsze wiadomości będą o wiele ciekawsze niż wczorajsza nudna konferencja prasowa. Szeryf stał na schodach posterunku, ponury, upozowany na bohatera ze starych westernów. Jasne. Grayson, ty nudziarzu, zejdź na ziemię.
- Tędy - mówię, gdy Elyssa staje nad zamarzniętym potokiem. Szturcham ją nożem. Podskakuje, idzie szybciej, wspina się na brzeg. Jesteśmy już blisko, za nami prawie dwa kilometry drogi. Pewnie traci czucie w ciele.
Nie mam zamiaru jej nieść, więc krzyczę:
- Biegnij!
Zaskoczona, traci na moment równowagę, ale utrzymuje się na nogach. Wie, że ciągle mam nóż w ręku, więc rusza niezdarnym galopem, wbiega na wzgórze i niżej, na polanę. Stoi tam samotny cedr. Doskonałe miejsce.
Jej oczy się rozszerzają, gdy to widzi.
Rozumie.
Kręci głową, nie chce przyjąć tego do wiadomości, ale nie słucham jej sprzeciwów, zaklina mnie wzrokiem, wyciąga błagalnie ręce. Nie zwracam na to uwagi i bez żadnego oporu z jej strony przywiązuję ją do drzewa, przyciągam do szorstkiej kory. Słyszę jęk, gdy przywiera do niej plecami.
Nie mam już czasu, zresztą i tak opadła z sił, zwisa bezwładnie, włosy zesztywniały od śniegu. Skamle cicho. Sięgam po plecak, przybijam kartkę nad jej głową, wycinam gwiazdę w odpowiednim miejscu.
Jest słaba.
Żałosna.
Zasługuje na śmierć.
Kawałki kory spadają na jej głowę i ramiona. Nie ruszam ich. Milczy, chyba traci przytomność, a tego nie chcę. Pakuję się szybko, zarzucam plecak na ramię i odchodzę na skraj polany.
- Ej! - wołam, wyciągając aparat z kieszeni.
Nic.
Cholera, za długo to trwało!
- Ej, Elyssa! - Mój głos niesie się echem po kanionach. W końcu podnosi głowę. Pstrykam zdjęcie. Nie najlepsze, już to widzę, poruszone, ale trudno, musi mi wystarczyć. Przynajmniej udało mi się uchwycić przerażenie w jej oczach. Dobrze.
Naprawdę nie mam już czasu.
Natura zajmie się resztą.

Zostawiam ją i wracam biegiem tą samą drogą. Śnieg już zasypuje nasze ślady.
To nie było dobre doświadczenie. Lubię kobiety, które walczą, mają w sobie ogień.
Jak Padgett.
Myślę o niej podczas biegu, mój oddech ciągnie się obłoczkiem, pocę się w ocieplanym ubraniu. Czy już wie o bracie? Słyszała? W końcu jest wolna.
A demon nie żyje.
Mijam potok, lód się pode mną łamie, smużki wody wydostają się spod skorupy, poślizgnąłem się, ale odzyskuję równowagę.
O ile ofiara Elyssy była mało ekscytująca, następna będzie wspaniała, lepsza niż dwie ostatnie. Regan Pescoli to godna przeciwniczka, a ból w plecach i ślady na karku stanowią najlepszy dowód na to, że nie wolno jej lekceważyć.
Byłby to pożałowania godny błąd.
Dyszę ciężko, wspinam się na wzgórze, biegnę i wiem, że Elyssa umiera, a ta druga już zapewne nie żyje.
Idealnie.
Przeszywa mnie dreszcz na myśl, że odebrałem im życie. Mam moc. Umierają powoli, choć z dala ode mnie. Nigdy nie zaznałem ekstazy, która, jak sobie wyobrażam, jest udziałem nożownika.
Ale świadomość, że kontroluję los kobiety, której jedynym celem istnienia jest wypełnienie roli w moim planie, wystarcza.
Na razie.
Ostatnie wzniesienie i widzę samochód. Rzucam plecak do tyłu. Czuję zimno mimo rękawic. Nie ma czasu do stracenia!
Wsiadam, odpalam silnik i zwalniam hamulec. Zjeżdżam ze wzgórza powoli, ostrożnie, w tumanach śniegu.
Długo to trwa, ale wreszcie widzę drogę, a na niej nieliczne samochody. Uśmiecham się.
Na gładkiej powierzchni przyspieszam, zerkam niespokojnie na zegarek i wmawiam sobie, że jeszcze zdążę.
Mam ze dwie rzeczy do załatwienia, a potem wracam do kopalni, żeby sprawdzić, czy Pescoli nadal jest równie potulna, jak wczoraj wieczorem.
Zaciskam usta. Obawiam się trochę, że zostaną mi blizny, wieczna pamiątka po chwili słabości. Mało brakowało, a pokonałaby mnie.
Mało brakowało.
Jadę do domu.
Muszę się umyć, zanim wrócę do miasta, w którym, jak się domyślam, rozpętało się piekło.
W lepszym humorze włączam radio i znowu słyszę Burla Ivesa i tę idiotyczną melodyjkę.
Szukam stacji nadającej muzykę country. Na miłość boską, co się dzieje z didżejami? Czemu w kółko puszczają tę bzdurę?
Po chwili śpiewa Randy Travis, ja jednak cały czas mam w głowie *Radosne święta*.
Wiatr wali o szyby, a ja nucę pod nosem.
Pieprzona piosenka.

- Wiem tylko, że pan Long zadzwonił i powiedział, że się wybiera na ranczo - wyjaśniła Clementine.
- Brady Long - uściśliła Alvarez, choć było to raczej oczywiste; jeśli wierzyć doniesieniom prasowym, Hubert leżał na łożu śmierci.
- Tak. - Clementine nerwowo zacisnęła ręce, dolna warga jej drżała. Ross, jej syn, Wysoki, ponury nastolatek, miał taką minę, jakby wolał być gdziekolwiek indziej niż tutaj, w holu rezydencji nieboszczyka i rozmawiać z policjantką. Miał ogoloną na łyso głowę, cienką kozią bródkę, spod kołnierza kurtki narciarskiej wyglądał tatuaż. Na ramionach widniały plamy

stopionego śniegu, spodnie nad butami były mokre, jakby brnął przez śnieg. Policzki miał zarumienione. Z zimna? Z wysiłku? Łypał wrogo na Alvarez i robił wszystko, by wydać się złym chłopakiem.
- A ty? Rozmawiałeś z panem Longiem? - zapytała go. Energicznie pokręcił głową, na chwilę stracił opanowanie,
którym tak bardzo chciał się popisać.
- Rano nie było cię w domu?
- Nie... Pojechałem... Pojechałem do miasteczka. Zabezpieczono już wszystkie dowody na miejscu zbrodni, ale
ludzie szeryfa na wszelki wypadek oddzielili gabinet żółtą taśmą. W holu i korytarzu panował rozgardiasz - na meblach zostały czarne ślady proszku do zdejmowania odcisków palców, w całym domu były ślady butów.
- O czym pani z nim rozmawiała? - Alvarez wróciła wzrokiem do Clementine.
- Jak już mówiłam, nie było w tym nic szczególnego. Co jakiś czas pan Brady dzwonił i prosił, żebym przygotowała jego ulubione potrawy i sprawdziła barek, bo wybiera się tu na kilka dni, żeby odpocząć. Zawsze tak mówił: odpocząć, uciec...
- Wie pani, przed czym tak uciekał?
- Nigdy mi się nie zwierzał. Alvarez nie do końca w to uwierzyła.
- Ty też tu pracujesz? - Spojrzała na chłopaka.
- Kiedy nie mam zajęć, tak. Pomagam Santanie.
- To taki jakby zarządca - wtrąciła się Clementine. - Ross mu pomaga.
- I paru innych? Clementine skinęła głową.
- Długo już tu pani pracuje.
- Ponad dwadzieścia lat.
- A ojciec Rossa? - Spojrzała na chłopaka. Przestępował z nogi na nogę.
- Zostawił nas, jeszcze zanim Ross się urodził. Byłam panną, a on nie... nie chciał dziecka. - Oblizała usta, wbiła wzrok w podłogę.
- To Alvin Schwartz, kawał drania. Policjant - dodał Ross.
- Dosyć! - Clementine uciszyła syna.
Al? Z aresztu? Alvarez przypomniała sobie strażnika. Pracował na pół etatu. Potężny chłop, typ futbolisty. Był po czterdziestce i strzygł się prawie na łyso. Nie licząc fryzury, niewiele było podobieństw między ojcem a synem.
- Ross wdał się w moją rodzinę. - Clementine zdawała się czytać w myślach Alvarez.
Ross się żachnął.
- Nie chcę mieć z nim nic wspólnego.
Rozmawiali jeszcze chwilę o rodzinie Longów, ale Alvarez nie dowiedziała się niczego nowego.
- Pan Hubert umiera - powiedziała nagle Clementine. Przeżegnała się szybko. - A teraz odszedł pan Brady. Nie wiem nawet, czy nadal mam pracę. Kto to wszystko przejmie? - Zatoczyła łuk ręką, obejmując tym gestem dom i okolicę.
- Nie wiem, ale pewnie ktoś się z panią skontaktuje. - Alvarez wróciła spojrzeniem do Rossa.
- Studiujesz, tak? I tu pracujesz. Powiedz, co robiłeś wczoraj rano?
Przyglądał się jej.
- Myśli pani, że to ja go sprzątnąłem?
- Ross! - syknęła gniewnie Clementine. Wyglądała, jakby miała zaraz zemdleć.
- Właśnie o to jej chodzi. - W jego oczach pojawił się błysk, jakby przejrzał Alvarez na wylot. - Może nie?
- Sprawdzamy wszystkich, którzy go znali - odparła.
- Byłem na zajęciach, Jamie to potwierdzi.
- Kto to?

- Mój przyjaciel, jeździmy razem.
Zapisała telefon do Jamiego z uwagą, żeby się z nim skontaktować.
- Czy któreś z was zna Regan Pescoli?
- Kolejna policjantka - prychnął Ross pogardliwie.
- Moja partnerka.
- Zaginęła, tak? - Clementine przecząco pokręciła głową. -Widziałam w telewizji.
Ross wzruszył ramionami.
- Widziałem ją kilka razy, znam jej syna. Równy koleś.
- Tak? - Selena zadała jeszcze kilka pytań, ale wszystko wskazywało na to, że związek między Rossem DeGrazio a Jeremym Strandem właściwie nie istnieje. Widzieli się kilka razy. Nie przyjaźnią się. No i jest między nimi różnica wieku.
- Słyszałem, że pani partnerka bzyka się z Santaną.
- Przestań! - Clementine się zaczerwieniła. - Przepraszam -mruknęła.
Alvarez spojrzała na dzieciaka.
- Ross ma chyba problem z władzą.
- Nie lubię glin.
- Ze względu na ojca?
- Nie lubię i już.
Alvarez zapytała jeszcze o kilka drobiazgów, ale nie dowiedziała się niczego nowego. W końcu uznała, że więcej z nich nie wyciągnie. Ross DeGrazio nadal był na jej liście podejrzanych, podobnie jak Cort Brewster.
Tylko że dzieciak jest chyba zbyt niedoświadczony, by przeprowadzić tak skomplikowaną operację. Nie pasował do profilu. Brewster zresztą też. To prawda, nie lubiła go, a niektóre jego cechy odpowiadały psychologicznemu profilowi zabójcy, ale nie mogła go sobie wyobrazić, jak z zimną krwią latami planuje brutalne morderstwa. Przemądrzały Ross był na tyle głupi, że mógłby się wpakować w porachunki gangów, ale i to było mało prawdopodobne. Nie lubi policjantów? Owszem, ale sądziła, że będzie raczej trzymał się od nich z daleka, a nie prowokował, drażnił czy prowadził z nimi jakieś gry. Za wielki z niego tchórz, by zdobyć się na coś takiego. A jeśli chodzi o Brewstera, możliwe, że zabije na służbie albo gdy górę wezmą emocje. Atak na Jeremy'ego dowodził, że dość szybko puszczają mu nerwy. Nie wierzyła jednak, by któryś z nich zadał Fobie tyle trudu i poświęcił tyle czasu, by przygotować tak skomplikowany plan tych wszystkich zbrodni. I choć wcześniej podejrzewała Brewstera, teraz widziała, że to jednak nie on.
Zresztą czy mieli powody, by zabijać? A jeśli chodzi o czas i okazję, wyglądało na to, że ich alibi jest niepodważalne.
Właściwie ulżyło jej, że Brewstera może skreślić z listy podejrzanych, to jednak oznaczało, że musi szukać dalej, że mordercą jest ktoś inny.
Ktoś, kto zaciera ręce, patrząc, jak się kręcą w kółko, ktoś, kto uważa się za mądrzejszego od policji.
Jeszcze zobaczymy, draniu. Jeszcze się nie poddałam.

Rozdział 26

Santana zamknął drzwi do stajni i spojrzał w niebo. W górach Bitterroot zanosiło się na kolejną śnieżycę. I kolejna noc mijała bez wieści o Pescoli.
A Chilcoate nadal się nie odzywał.
Facet nie odbierał telefonów, nie oddzwaniał, nic.
Nie minęło jeszcze nawet dwanaście godzin, a ty już szalejesz. Daj mu czas, powtarzał sobie. W tym problem.

Czuł, że nie ma ani chwili do stracenia.
Musi coś zrobić.
Nie może tak bezczynnie siedzieć i czekać, na litość boską!
Postawił kołnierz kurtki, żeby ochronić się przed wiatrem. Nakita bawił się na świeżym śniegu. Spojrzał na rezydencję. W oknach paliły się światła, bez przerwy, odkąd znalazł ciało Brady'ego.
Czy to naprawdę było zaledwie wczoraj?
Jezu, wydawało się, że minęła cała wieczność.
Zauważył samochód na podjeździe - dżip! Przez ułamek sekundy ożyła w nim nadzieja, ale potem zobaczył, że do samochodu podchodzi Selena Alvarez. Był niemal identyczny jak wóz Pescoli, ten, który skończył w kanionie pod przełęczą Horsebrier.
Puścili się biegiem. Nakita, zachwycony zabawą, szczekał radośnie i biegał w kółko.
- Hej! - krzyknął Santana, zanim Alvarez usiadła za kierownicą.
Zatrzymała się. Pomachał, żeby go dostrzegła przez coraz gęściej padający śnieg. Brnął w świeżym puchu, który zasypywał ścieżkę, a przecież zrobił ją zaledwie wczoraj wieczorem. Kiedy w końcu dopadł samochodu, dyszał ciężko.
- Co się stało? - zapytała. Otworzyła drzwiczki.
- Byłem ciekaw, czy coś już pani wie. - Nie starał się ukryć uczuć. - O Regan.
- Nie. I chyba nie muszę panu przypominać, że nie jest pan częścią zespołu śledczego.
Puścił to mimo uszu.
- A co z Ivorem?
- Co z nim?
- Mówił, skąd się tu wziął? Oczywiście poza bajeczką, że przysłali go kosmici, żeby zobaczył yeti.
- Był pijany. O dziesiątej rano. Chyba oboje to widzieliśmy
- Przecież znalazł też jedną z kobiet.
Alvarez powoli skinęła głową. Śnieg gromadził się na rondzie jej kapelusza.
- Wtedy też był pijany?
Nie odpowiedziała. Santana spojrzał na dom i zobaczył Rossa, stojącego na półpiętrze, jakby chciał z ukrycia obserwować miejsce zbrodni.
Rozdzwoniła się komórka Alvarez.
- Przepraszam - mruknęła.
Nie, nie skończył z nią jeszcze. Nie liczył, że się czegoś dowie, ale i tak poczuł zawód.
- Jest dla mnie ważna - powiedział spokojnie. Nie patrzył na nią, uciekł wzrokiem w stronę stajni. Prawo chyba zawsze staje mu na drodze. - Chciałbym wiedzieć, kiedy coś się wyjaśni.
- Muszę odebrać.
Skinął głową i zawrócił do swojej chaty. Nakita, wyczerpany, posłusznie szedł przy nodze. Wiedział, że Alvarez nie zadzwoni. Miała związane ręce, nawet gdyby chciała mu pomóc. A nie chciała.
No dobra, jest wyrzutkiem, ale ma swoje sposoby. Po pierwsze, postawi drinka Ivorowi, zdecydował.

- Obawiam się, że mam złe wieści. - Doktor Ramsby spojrzała ze współczuciem na pochmurną kobietę po drugiej stronie biurka.
Padgett Long wpatrywała się w nią oczami bez wyrazu. Za oknem monotonnie padał deszcz. Padgett była nieumalowana, ale i tak zwracała uwagę nieprzeciętną urodą; gładka cera, ciemne kręcone włosy i błękitne oczy ocienione długimi czarnymi rzęsami. Nie reagowała.
Jalicia już dawno temu przekonała się, że najgroźniejsi są ci milczący. Każdy ma się na baczności w obecności agresywnego psychotyka, ale najniebezpieczniejsi są pacjenci cisi, zamknięci we własnym piekle, bo to oni budzą w lekarzu fałszywe poczucie bezpieczeństwa.

- Są to właściwie dwie wiadomości.
Nadal zero reakcji, nawet błysku zrozumienia.
- Po pierwsze, stan zdrowia twojego ojca bardzo się pogorszył. Wiem, że już to słyszałaś.
Padgett czekała. Cierpliwie, jakby w innym świecie.
- Ostatnio jednak rozmawiał ze mną Tinneman, prawnik twojego ojca, i dowiedziałam się, że życzeniem Huberta jest zobaczyć przed śmiercią wnuka, twojego syna. Początkowo nie chciałam z tobą o tym rozmawiać. Uważałam, że z taką prośbą powinien zwrócić się do ciebie ktoś z rodziny.
Czy jej się zdaje, czy w chabrowych oczach mignęło zrozumienie?
- Ale uznałam, że masz prawo wiedzieć. Twój ojciec chce odnaleźć wnuka. O ile mi wiadomo, oddałaś go do adopcji przez Cahill House. W San Francisco.
Nadal nic.
Doktor Ramsby czekała, czując, jak szarość zakrada się do gabinetu zza okien. Dzień od rana był deszczowy, pochmurny, ponury. Posępna atmosfera docierała nawet tutaj, do przytulnego gabinetu utrzymanego w ciepłych barwach i jasno oświetlonego.
Bawiła się długopisem i przeglądała akta Padgett, chciała coś zanotować, ale uznała, że może się to wydać wyrazem lekceważenia, zamknęła więc segregator i schowała do szuflady.
- Mam też informacje o twoim bracie. To samo spojrzenie niebieskich oczu.
- Niestety, wczoraj zginął. W waszej posiadłości w Montanie. Padgett wbiła wzrok w lekarkę, jakby uważnie słuchała.
- Wszystko wskazuje na zabójstwo. Po rozmowie z Tinnemanem dzwoniłam do biura szeryfa okręgu Pinewood i rozmawiałam z detektyw Alvarez. Nie wiadomo jeszcze, kto dokonał tej zbrodni.
Padgett poprawiła się na krześle. Splotła ręce na piersi.
- Zapewne odbędzie się pogrzeb. Zechcesz w nim uczestniczyć? - zapytała. Cień zainteresowania. Mrugnięcie. - Padgett? Rozumiesz, co do ciebie mówię?
- Doskonale - odparła kobieta bez chwili wahania. - Mój brat nie żyje, więc mogę stąd wyjść.
Doktor Ramsby dosłownie opadła szczęka.
- Co? - Padgett już wstawała, jakby chciała mieć ostatnie słowo po piętnastu latach milczenia.
- Chwileczkę... Nie odzywała się pani, odkąd trafiła pani do tego ośrodka, a teraz... pani mówi? I chce odejść?
- Zawsze byłam w stanie mówić.
- Nieprawda.
- Nie rozmawiałam z panią czy innymi kretynami w kitlach lekarskich, których zatrudniał mój ojciec, ale proszę zapytać Rosie, Toby'ego czy Scotta.
- Kto to?
- Inni więźniowie.
- Czyli pacjenci... Nie mamy Rosie ani...
- Rosie Ann Weeks, Tobias Settlemeier, Scott Dowd. Byli w ośrodku, zanim pani zaczęła tu pracować.
- A gdzie są teraz?
- Rosie nie żyje, doktor Ramsby. Usłyszałam to tutaj, w pani gabinecie. Popełniła samobójstwo, powiesiła się w następnym zakładzie, w którym zamknęli ją rodzice. Toby jest w więzieniu. Tego nikt mi nie powiedział, o nie, ale słyszałam, jak siostra Martha plotkowała z sanitariuszem. - Uśmiechnęła się sztucznie. - To straszna plotkara. I do tego podjada desery chorym, którzy nie mają kontaktu z rzeczywistością. Szczególnie upodobała sobie jabłecznik i lody.
Padgett odwróciła się do drzwi.
- Jeszcze nie skończyłyśmy! - zawołała lekarka.

- Ależ owszem, pani doktor. Zgłosiłam się do szpitala dobrowolnie, nigdy mnie nie ubezwłasnowolniono, nie pozbawiono praw obywatelskich, nie uznano za niepoczytalną. Mój ojciec zapewne liczył, że brat zawsze będzie się mną opiekował. - W jej oczach pojawiła się mroczna nienawiść. - Akurat. - Położyła dłoń na klamce. - Teraz, kiedy nie żyje, jestem bezpieczna. Wiem, że może mnie pani stąd wypuścić i przekazać pieniądze, które tu na mnie czekają. I znowu siostra Martha za dużo gada. Potrzebny mi samochód, którym dojadę na lotnisko, jest niedaleko, wiem, bo widać stąd startujące i lądujące samoloty. Chcę jak najszybciej znaleźć się w San Francisco.
- Chyba w Denver? - poprawiła doktor Ramsby. Zaczynało do niej docierać, że szczupła brunetka wie doskonale, czego chce. I to już od dawna.
- Nie, w San Francisco. Jak sama pani powiedziała, właśnie tam jest mój syn, ale nie zabiorę go do dziadziusia. Stary nie chciał go piętnaście lat temu, nie dostanie teraz. O ile oczywiście go odnajdę, co nie będzie łatwe. - Zacisnęła usta. - Bierzmy się do pracy, dobrze?
- Tak po prostu? Tak po prostu pani stąd wyjdzie?
- Od dawna miałam na to ochotę, ale byłoby to zbyt niebezpieczne.
- A teraz już nie jest?
- Mój brat naprawdę nie żyje? W takim razie nie.
- Nie chce pani do nikogo zadzwonić?
- Do kogo? Brat nie żyje. Jeśli miał nową żonę, nawet jej nie poznałam.
- Nie miał.
- Matka także nie żyje, ojciec, jak sama pani powiedziała, leży na łożu śmierci. Kto zostaje?
- Nie wiem... Zaraz... - Sięgnęła po akta Padgett, zerknęła na listę odwiedzających. - A Liam Kress?
W twarzy Padgett coś drgnęło.
- Liam od dawna się do mnie nie odzywał.
- Może chciałby się dowiedzieć, że odzyskała pani mowę i zamierza wyjść ze szpitala.
Padgett energicznie pokręciła głową.
- Nie, na pewno nie. No to do dzieła. - Skinęła ręką. - Niech pani wypełnia papierki, żebym mogła się stąd wypisać na własne życzenie. I to jak najszybciej. Myślę, że godzina nam wystarczy. Proszę zamówić mi taksówkę pod bramę, obserwowałam je od lat. Firma McMurray, o ile pamiętam.
- To nie wszystko.
- To prawda, muszę mieć dostęp do pieniędzy. Na pewno mam gdzieś jakieś konto.
- Nie wiem, dam pani telefon do Tinnemana.
- To mi nie wystarczy. Zakładam, że ośrodek ma część moich pieniędzy, w końcu ktoś płaci moje rachunki.
- To potrwa.
Padgett się uśmiechnęła.
- To moje pieniądze, pani doktor.
- Oprócz wypełniania dokumentów musi się pani jeszcze spakować i...
- Och, tak, zapominam, że pani jest tu stosunkowo nowa -mruknęła, zaplotła ręce na piersi. - Pewnie nie doczytała pani akt. Ja już jestem spakowana. Mam wszystko w torbie.
- Tak?
- Tak.
Ramsby nie wiedziała, co o tym myśleć, czuła, że Padgett z nią igra.
- Skąd pani wiedziała, że dzisiaj stąd wyjdzie? Że brat nie żyje? Padgett przerzuciła włosy przez ramię.
- Pakuję się co tydzień, a w każdą niedzielę sanitariusz Farrell rozpakowuje moją torbę i zabiera czyste ciuchy do prania. Tak więc widzi pani, że jestem gotowa od piętnastu lat. Moje

ubrania są zapewne straszliwie sprane i niemodne, ale ujdą na początek, a kiedy odzyskam wolność, kupię sobie nowe.
Podeszła do drzwi.
- O ile mi wiadomo, będzie mnie na sporo stać - rzuciła przez ramię, wychodząc. Psycholog szła tuż za nią. Padgett uśmiechnęła się tajemniczo i ruszyła w stronę wind, tych samych, koło których, jak się Jalicii zdawało, niedawno ją widziała.
Lekarka odprowadzała ją wzrokiem.
Padgett Long spodziewała się, że wkrótce wyjdzie, jakby wiedziała, że jej brat zginął, zanim jeszcze przekroczyła próg jej gabinetu.
Ale skąd mogła to wiedzieć?

Manny Douglas był ostatnią osobą, którą szeryf Grayson miał ochotę oglądać, ale dziennikarzyna był już w drodze na posterunek.
Zważywszy na napięte stosunki z prasą, a z „Mountain Reporter" w szczególności, Grayson najchętniej zadusiłby go gołymi rękami albo przynajmniej kazał się wynosić, gdzie pieprz rośnie, ale Manny nie dawał się spławić.
- Mam coś, co musicie zobaczyć - powiedział przez telefon piętnaście minut wcześniej. - Gdyby to ode mnie zależało, olałbym was, opublikował materiał i chodził w chwale bohatera, ale naczelny kieruje się dziwaczną etyką.
- Ma pan coś na mordercę? - zapytał Grayson, choć w to nie wierzył.
- Mam dowody. Wątpił.
- Jakie?
- Zobaczy pan.
- Co to jest?
- Przyjdę i pokażę panu.
- Jeśli ma pan dowody, Douglas, zostaną u nas.
- Pogadamy o tym.
- Jestem dzisiaj bardzo zajęty. - Grayson ciągle nie był przekonany. Manny już nieraz się przechwalał.
- Na to znajdzie pan czas. Będę za pół godziny. - Dziennikarz rozłączył się, dając do zrozumienia, który z nich dwóch jest naprawdę ważny. Jego obcesowe zachowanie i nadęty styl zawsze drażniły Graysona, ale w tym facecie irytowało go właściwie wszystko.
Zresztą, naprawdę miał pełne ręce roboty.
Ale jeśli Manny coś ma, choćby najmniejszy dowód, wskazówkę, która może ich doprowadzić do mordercy, nie można go zlekceważyć.
Na zewnątrz śnieżyca atakowała ze wzmożoną siłą, choć według prognozy po południu miało się uspokoić. Oby tak było.
Pogoda była także tematem wiadomości telewizyjnych, serwis zbliżał się do końca.
- „Dobre wieści dla dzieci - świergotała jasnowłosa pogodynka stacji KBTR. - Święty Mikołaj jednak da radę przejechać!
A zatem szykujcie mleko i ciasteczka, bo zanosi się na zimną noc. - Uśmiechnęła się do kamery, pompon na czapce Mikołaja zawadiacko opadł jej na oko. - Oddaję głos do studia.
- Dziękujemy, Rhondo! - Kelly, prezenterka, podniosła głowę. Miała jasne pasemka i równie jasną osobowość. Uśmiechnęła się szeroko do kamery. Zaraz jednak spochmurniała i była równie poważna, jak jej partner, Darren Faust, o potężnym karku i surowych rysach twarzy. - A teraz mniej przyjemna sprawa - zaczęła. Zerknęła na notatki. - Wczoraj wieczorem szeryf Grayson z okręgu Pinewood udzielił prasie wywiadu przed posterunkiem. Chodziło oczywiście o sprawę seryjnego zabójcy, który od kilku miesięcy grasuje w okolicy Grizzly Falls. Odkąd znaleziono w lesie ciało Theresy Charleton..."

Grayson wycelował z pilota jak z broni i wyłączył telewizor. Wiedział, co wczoraj mówił, jak odpowiadał na ich pytania. Nie musiał ponownie tego oglądać.
Przeciągnął się, wyszedł do holu. Sprzątacz energicznie ścierał z posadzki ślady butów Pracował na pół etatu, ale ostatnio, z powodu pogody, zostawał także po godzinach.
- Nie ma końca, co, Seymore? - zagadnął szeryf.
- Ano nie! - Potężny sprzątacz zachichotał i przesunął pachołek, którym oddzielał mokrą podłogę.
Alvarez siedziała za biurkiem; widział, że wróciła kilka minut temu. Intensywnie wpatrywała się w ekran komputera, analizując mapę okolicy, w której morderca strzelał ofiarom w opony.
- Dowiedziałaś się czegoś od Clementine i Rossa? - zapytał, stając w drzwiach.
Podniosła głowę.
- Poza tym, że dzieciakowi potrzeba silnej ręki?
- Aż tak źle?
- Rozpuszczony bachor, wychowywany przez samotną matkę, która...
- Za bardzo go kocha.
- Chciałam powiedzieć, że ze wszystkiego go rozgrzesza. Nie, nie dowiedziałam się niczego nowego. Ale spotkałam Santanę.
Pytał, co Ivor robił na ranczu, ale ponieważ staruszka już u nas nie ma, nie mogłam się tego dowiedzieć.
- Zdawało mi się, że wysłał go Crytor.
- Twierdzi, że...
- Jedzie tu Manny Douglas.
- Tak?
- Powiedział, że ma coś, co koniecznie muszę zobaczyć. To pewnie stek bzdur, ale pomyślałem, że będziesz mi towarzyszyć.
- Mam być rozjemcą?
- Masz dopilnować, żebym go nie zabił.
- Nie zabijaj, bo to przekreśli twoje szanse na ponowny wybór. Brewster już przyszedł?
- Dzwonił, coś zatrzymało go w mieście. Zaraz tu będzie. A co?
- Tak tylko pytam.
- Jasne. Alvarez, ty nigdy nie robisz niczego tak tylko.
- No dobra, masz mnie. Kocham się w nim - powiedziała i prawie się roześmiał. Zauważył iskierki w jej ciemnych oczach. Nie było ich, odkąd znaleźli pierwszą ofiarę.
- Czy Brewster wie?
- Jasne, ale wiesz, jest żonaty i w ogóle. Spojrzała na niego poważnie.
- Zdajesz sobie sprawę, że to żart?
- No, tak.
- Dobrze. - Odsunęła krzesło, wstała i poszła za nim do gabinetu. W tej chwili zadzwoniła Joelle z informacją, że zjawił się Manny.
- Wprowadź go - polecił Grayson. Zerknął na Alvarez, która stanęła przy oknie. - Kurtyna w górę - mruknął.
Joelle weszła, stukając obcasami, z Mannym u boku. Grayson zmusił się do uśmiechu.
- Manny. - Wstał i wskazał mu krzesło naprzeciwko biurka. -Zna pan detektyw Alvarez?
- Dzień dobry. - Manny skinął jej głową i usiadł. Ubrany jak zwykle w spodnie khaki, kraciastą koszulę i kamizelkę ze sklepu Eddie Bauer, był chodzącą reklamą tej firmy. Nawet kurtka wydawała się częścią starannie zaplanowanego wizerunku.
Grayson uznał, że najlepiej będzie postawić sprawę jasno i od razu uświadomić dupkowi, jak wygląda sytuacja.

- Rano rozmawiałem z naczelnym. Złożyłem skargę w sprawie tytułu dzisiejszego artykułu. Oszczerstwo jest karalne, jakby pan nie wiedział.
Manny nawet nie drgnął.
- Obstaję przy tym, co napisałem, szeryfie, i dlatego krew mnie zalewa, że musiałem tu przyjść. Gdyby nie naczelny...
- Co, pana zdaniem, jest takie ważne? - Grayson nie dał mu skończyć, ciągle zły o artykuł atakujący jego i jego ludzi.
- Seryjniak.
- Tak? - Alvarez lekko pochyliła się do przodu.
- Zdaje się, że chce ze mną korespondować. Grayson myślał, że się przesłyszał.
- Co?
Manny sięgnął do kieszeni i wyjął dużą szarą kopertę, zaadresowaną do niego tym samym pismem, którym wykaligrafowano listy przy zwłokach.
Przechylił ją i na stół wysypały się białe arkusiki - każda kartka nieco inna, z krótszym lub dłuższym tekstem. I zdjęcia - kolorowe fotografie ofiar przywiązanych do drzew.
- Jezu - szepnęła Alvarez.
Grayson poczuł, jak coś ściska go za gardło.
- Skąd pan to ma?
- Ze skrzynki pocztowej.
- Czy Pescoli... - zaczęła Alvarez.
- Nie. - Manny był pewny swego. - To oryginały, które dostałem, ale zachowałem kopie zdjęć i notatek. Rozpoznałem większość kobiet i wywnioskowałem, że ich inicjały układają się w przesłanie od mordercy. Ostatnich jeszcze nie znaleźliście.
Grayson znalazł najdłuższą notatkę i odetchnął z ulgą, widząc, że inicjałów Regan Pescoli, RP, nie ma wśród liter. Jeszcze nie.
- Ostatnich? - powtórzyła Alvarez. I po chwili dodała ze wzrokiem utkwionym w kartkę: - Brandy Hooper. - Krew odpłynęła jej z twarzy.

BEWAR THE SC ION' H

- Szykujemy specjalny numer - pochwalił się Manny.
- Nie wydrukujecie tego! - Grayson podniósł głos. Manny się zaperzył.
- Opinia publiczna ma prawo wiedzieć!
- To ja o tym decyduję. Najpierw musimy odnaleźć te kobiety, uratować je, jeśli to możliwe, zawiadomić najbliższych. Nie możemy ujawniać treści listów. - Grayson najchętniej udusiłby szczura.
- To mój materiał i mam zamiar go opublikować.
- Nie bez mojej zgody. Załatwię nakaz sadowy i dowody zostaną utajnione do zakończenia śledztwa. - Grayson był wściekły do granic możliwości, na skroni pulsowała mu żyłka. Najchętniej wsadziłby tego gnoja do więzienia i trzymał go tam do końca jego parszywych dni.
Manny nie dał się zastraszyć.
- W takim razie chcę prawo wyłączności.
- Nie ma mowy.
- Morderca zwrócił się do mnie. Wybrał mnie. - Manny uderzył się w piersi. - Zdjęcia i listy należą do mnie. Udostępniam je panu jako obywatel, który...
- Chce się obłowić na tragedii!
- Jestem głosem ludu! Waszym sumieniem!
- Na Boga, Douglas, chyba nie będzie mi pan wciskał tego kitu. - Grayson wstał, pochylił się nad biurkiem, na którym porozrzucane były fotografie i notki.

- Jeszcze pan nie rozumie, szeryfie? Musi pan ze mną współpracować. Morderca przyśle mi dalsze informacje, może nawet do mnie zadzwoni. Więc siedzę w tym, czy to się panu podoba, czy nie!
- Zgódź się - zdecydowała Alvarez.
- Co?
- Czy to ważne, kto pierwszy o tym napisze? Daj mu wyłączność, pod warunkiem że rozegra to zgodnie z naszymi wskazówkami. Ma rację. Może morderca znowu się z nim skontaktuje, posłuży się nim.
Douglas kiwał głową, choć jego brawura nieco opadła.
- Uwierzcie mi, tak jak wy chcę, żeby siedział za kratkami. Grayson w to wątpił.
Alvarez położyła mu rękę na ramieniu, przypominała, że ma zachować spokój, on tymczasem miał ochotę zamknąć gada w celi i zgubić klucze do jej drzwi. Ależ był wściekły. Jednak siedząc tu i gadając, tylko marnują czas. Jest nadzieja, choć marna, że odnajdą ostatnie ofiary jeszcze żywe.
Miała rację.
Wiedział o tym.
Ale był zły, że ulega szantażowi.
- Nie igraj ze mną, Douglas - warknął i pogroził dziennikarzowi palcem. - Nie próbuj mnie wykiwać, jasne? Rozegramy to po mojemu.
- Idziemy! - Znowu Alvarez.
- Uprzedzam, że mam kopie - przypomniał dziennikarz. Zostawił zdjęcia i listy na biurku szeryfa. - Ty też ze mną nie igraj, Grayson. To nie byłoby mądre.

Rozdział 27

Idź dalej.
Nie zatrzymuj się.
Musisz się stąd wydostać!
Regan była wyczerpana. Doszła do końca dwóch tuneli i nic, ani wyjścia, ani innych sekretnych pomieszczeń z uwięzionymi kobietami. Nogi się pod nią uginały, z trudem zaciskała dłoń na pogrzebaczu. Szła, jak jej się wydawało, głównym tunelem. Odchodziły od niego dwa, które kończyły się ślepo.
Traciła wiarę w powodzenie, miała wrażenie, że błądzi tu już od wielu godzin. Latarka powoli gasła. Bez światła zgubi się w labiryncie.
Dzięki znakom, które robiła na ziemi, wróciła do warsztatu zboczeńca, do pokoju ze stołem i szafą, w której trzymał swoje skarby, swoje trofea - zdjęcia ofiar i liściki, które porzuci przy następnych zwłokach. Nie powinno jej tu być, ale nie wiedziała, jak się wydostać!
Drzwi prowadzące do warsztatu były szczelne i sponad progu nie przenikała ani odrobina światła. Wytężała słuch i starała się ocenić, czy wewnątrz ktoś jest.
Czekała.
Cisza.
Nie słyszała kroków na kamiennej posadzce.
Na kominku nie strzelały drwa.
Zagryzła usta, wsunęła latarkę pod pachę, uniosła pogrzebacz, żeby się bronić, wsunęła nóż za pasek dżinsów i powoli otworzyła drzwi. Pomieszczenie było zimne i ciemne, jedynym źródłem światła był żar na palenisku. Odetchnęła z ulgą, rozglądając się bacznie i nasłuchując. Liczyła, że znowu usłyszy szloch drugiej ofiary.
Cisza.

Zaglądała do szuflad w poszukiwaniu baterii i po raz kolejny natknęła się na listy i zdjęcia, przerażające fotografie kobiet umierających na mrozie. Czyjeś córki, siostry, matki. Coś ściskało ją za gardło. To jej zadaniem było je chronić. Chronić i służyć. Zawiodła.
Postanowiła przejrzeć notatki mordercy. Cały plik, ułożone w kolejności. Przesłanie stawało się coraz dłuższe, w miarę jak przybywało inicjałów.
Jej także tu są, uświadomiła sobie.

BEWAR THE SC RPION'S H

I nagle wiedziała, co chce im powiedzieć. Spojrzała na ostatnią kartkę.

BEWARE THE SCORPION'S WRATH.

„Strzeż się gniewu skorpiona".
Tak, ją także chciał zabić, jak Elyssę O'Leary i jeszcze inne.
Czy już je pojmał? Ukrył gdzieś tu, w labiryncie kopalni?
Ale gdzie?
A może dopiero będzie na nie polował?
Nie miała czasu, żeby się nad tym zastanawiać. Musi iść. Znalazła w szufladzie jedną baterię, szukała dalej - potrzebowała dwóch. Wyłączyła latarkę. Może nawet jedna nowa bateria da dość światła, by się stąd wydostać.
Jeszcze jedne drzwi, zauważyła nagle. Także do labiryntu? Otworzyła je i zajrzała do ciemnego korytarza.
Ile tu tego jest?
Odetchnęła głęboko i ruszyła w cuchnący pleśnią mrok. Zrobiła zaledwie dwa kroki, gdy coś usłyszała.
Ruch.
O nie!
Zakryła ręką światło i zadrżała z zimna, otoczona ciemną wilgocią. Nasłuchiwała.
Tak, znowu to samo.
Cichy odgłos...
Elyssa? - pomyślała z nadzieją i w tym momencie poczuła, że coś musnęło jej głowę.
Mało brakowało, a krzyknęłaby.
Upuściła latarkę.
Potoczyła się, oświetlając ściany i tysiące malutkich oczu wpatrzonych w Pescoli. Ciszę wypełnił szelest skrzydeł. Znajdowała się w jaskini nietoperzy.
- O cholera - szepnęła. Serce waliło jej jak młotem. Nietoperze? Pieprzone nietoperze? To chyba dobry znak? Muszą się jakoś stąd wydostawać, polować?
Pochyliła się, podniosła latarkę, starła z niej pajęczyny i brud. Była przerażona i obolała, ale wytrwale parła naprzód w coraz słabszym świetle.
Nie skręcała w obawie, że się zgubi. Najwyżej wróci do warsztatu mordercy, poszuka lampy naftowej czy czegoś podobnego i pójdzie dalej.
Latarka zgasła i Regan otoczyła ciemność. Lewą ręką dotknęła ściany i szła dalej po omacku. Pokonała kilka zakrętów, ale nadal była pewna, że idzie głównym korytarzem.
Potknęła się o coś i upadła na drewniane schody. Czy jej się zdaje, czy z góry dociera świeże powietrze? Inne niż zaduch, w którym się porusza?
Dźwignęła się z kolan, zacisnęła dłoń na pogrzebaczu i latarce i ruszyła. Pierwszy stopień, drewniany, zużyty. I kolejny. Wyżej.
Chciało jej się płakać ze szczęścia. Wreszcie! Wolność!

Z mocno bijącym sercem pokonywała kolejne stopnie. Starała się zachować spokój i poruszać jak najciszej w drodze do wolności.
Powoli.
Ostrożnie.
Może on gdzieś tu czeka.
Wyżej, coraz wyżej.
Otaczało ją świeże powietrze, przez otwór w suficie sączyło się światło. Zapewne właśnie tędy nietoperze dostają się pod ziemię. Było na tyle jasno, że mogła się rozejrzeć.
Schody zakręciły po raz ostatni i wtedy zobaczyła drzwi.
Przeszył ją dreszcz oczekiwania. Odłożyła latarkę, pokonała ostatnie stopnie i zobaczyła metalowy zamek.
Boże, oby były otwarte.
Zatrzymała się.
Nasłuchiwała.
Przygotowała się psychicznie na to, co może się za nimi kryć.
Powoli, z zaciśniętymi zębami, nacisnęła klamkę. Drzwi otworzyły się do wewnątrz. Jej oczom ukazało się spore pomieszczenie, podobne do izby pod ziemią, z kominkiem i stołem. Ogień na palenisku już wygasł, ale przez okna wpadało dzienne światło.
Nogi się pod nią ugięły, gdy wyjrzała na dwór i zobaczyła szalejącą śnieżycę. Rozejrzała się po pomieszczeniu w poszukiwaniu broni lepszej niż pogrzebacz i znalazła narzędzia: młotek, śrubokręt i obcęgi. Wsunęła je do kieszeni i znowu pożałowała, że nie ma przy sobie pistoletu... Jakiejkolwiek broni. Tu jednak nie było niczego takiego. Nie było też telefonu ani komputera, ani innego środka łączności ze światem. Znalazła za to mikroskopijną łazienkę i kuchnię. I sypialnię z łóżkiem z kutego żelaza i wgniecionym materacem.
Czuła jego zapach i zbierało jej się na mdłości. Myślała o tym, jak ją zaatakował.
Jego wzrost.
Jego głos.
Jego chód.
Wszystko to było znajome. Czuła, że go zna, że jego twarz kryje się gdzieś na progu świadomości, ale nie mogła jej sobie przypomnieć.
Dalej. Lada chwila może wrócić.
Otworzyła kolejne drzwi zamykane na klucz.
Serce stanęło jej w piersi, gdy zobaczyła wąskie łóżko z patchworkową kołdrą i talerz z resztkami posiłku na nocnym stoliku, a obok niego szklankę z wodą.
Elyssa.
Tutaj ją więził. Leczył.
Opiekował się nią.
Dawał nadzieję.
A teraz jest już za późno.
Już ją zabrał.
Na śmierć.
Zawiodłaś.
Rozpacz rwała jej duszę na strzępy. Nie pomogły tłumaczenia, że dziewczyna od początku była stracona. Dowodziły tego przecież liściki, prawda? A jednak, gdyby mogła ją uratować...
Nie myśl o tym.
Uciekaj.
I to już.
Zanim drań wróci.
Możesz go załatwić.

Uratować inne.
Siebie.
Ale uciekaj!
Podeszła do drzwi wyjściowych. Nieważne, z czym przyjdzie jej się zmierzyć na zewnątrz; wszystko lepsze niż koszmar tego domu.
Sprowadź pomoc.
Sprowadź ich tutaj.
Aresztuj sukinsyna.
Chyba że go przedtem zabijesz.

Alvarez weszła do pokoju operacyjnego z kubkiem kawy w dłoni.
Listy, które zostawił im Manny, były chyba autentyczne. Alvarez porównała je z tymi znalezionymi przy ofiarach. Nowe wyglądały, jakby morderca przerysował je ze starych, wodził ręką po konturach liter, precyzyjnie ustalał ich pozycje na kartkach.
Oczywiście, zbadają nowy materiał dowodowy. Zajmą się nim technicy i FBI, ale wszystko wskazywało na to, że morderca pozbawił życia dwie kolejne kobiety. Choć nie Regan Pescoli.
Na razie.
Pokój wypełniał szmer rozmów i zgrzyt krzeseł o posadzkę.
Cort Brewster i Dan Grayson weszli jednocześnie, stanęli koło biurka Zoller, która znowu obsługiwała gorącą linię. Było to spotkanie nieformalne, informacyjne - chodziło o to, by wszyscy zaangażowani w śledztwo wiedzieli, co się dzieje.
- Będę się streszczał - zagaił szeryf - bo wiem, że wszyscy mamy mnóstwo zajęć. Przyszedł dziś do mnie Manny Douglas z „Mountain Reporter".
Pete Watershed zagwizdał, słysząc to nazwisko.
- Mój ulubieniec!
Pozostali prychali gniewnie, bo wszyscy czytali nieszczęsny artykuł. Grayson mówił dalej:
- Wygląda na to, że seryjniak nawiązał z nim kontakt.
- Z Douglasem? - Watershed się skrzywił.
- Ten facet nie wie, co oznacza słowo prawda - żachnęła się Rebecca O'Day.
- No cóż, teraz to nasz kontakt - stwierdziła Alvarez. Rozdała zebranym kopie notatek od Douglasa.
- Czyli świr postanowił zwrócić się do prasy? - Brett Gage myślał na głos. Był szefem wydziału kryminalnego. Za łagodnym uśmiechem kryła się żelazna siła woli. - O cholera.
- Dwie kolejne - szepnęła O'Day. Wszyscy wpatrywali się w liściki.

BEWAR THE SC ION' H

- Nie ma R i P, inicjałów Pescoli - zaczęła powoli Trilby VanDroz. - Ale gdyby je wstawić, trzecie słowo to skorpion.
- Jest apostrof - zauważyła Alvarez. - Czyli dopełniacz.
- Co on chce nam powiedzieć? - zapytała O'Day. - *Beware the scorpion's hell,* Strzeż się piekła skorpiona? Albo *Beware the Scorpion's hale,* Strzeż się nienawiści skorpiona? A może *Beware the scorpion's hiss,* Strzeż się syku skropiona?
- Skropiony nie syczą - zauważył Watershed.
- To wcale nie musi być skorpion - dorzucił Gage. - Nie możemy tak zgadywać i strzelać.
- A co proponujesz? - Grayson nie był przekonany.
- Zdaje się, że zwróciliśmy się do FBI? Mają specjalistów od łamania szyfrów? - wtrącił Brewster.

- Mamy listę zaginionych kobiet. Jeśli dodać ich inicjały, sami odgadniemy treść - podsunęła Alvarez.
Brewster chciał zaprotestować, ale Gage nie dopuścił go do głosu.
- Dobrze, listy to nie wszystko. Co jeszcze o nim wiemy?
- Że chce zwrócić na siebie uwagę - orzekła Alvarez. - Pilnuje, żebyśmy dostali jego przekaz. Chce być w centrum uwagi. Pewnie się wściekał, że o naśladowczyni przez pewien czas było głośniej niż o nim.
- Może dlatego podbił stawkę, zamordował dwie i napisał do prasy - zastanawiała się O'Day.
- Ale żeby akurat do Manny'ego Douglasa? - Gage się skrzywił. - Zawiadomiliście FBI? - Odchylił się z krzesłem do tyłu.
Grayson skinął głową.
- Są w drodze z Denver. Rozmawiali z Hubertem Longiem, ale nic nam to nie dało. Facet jest półprzytomny, przeżyje jeszcze najwyżej kilka dni.
W chwilowej ciszy wszyscy pogrążyli się we własnych myślach. Alvarez odezwała się pierwsza:
- Elyssa O'Leary i Brandy Hopper - orzekła. Patrzyła na listę zaginionych kobiet. - Prawdopodobnie to one dzisiaj zginęły.
- Nie mamy samochodu Hopper - zauważyła Van Droz.
- Znajdziemy go - mruknął Watershed. - To tylko kwestia czasu.
- Jeśli to naprawdę one, wygląda na to, że nasz seryjniak lubi studentki medycyny i dziedzin pokrewnych - stwierdziła Zoller. - Przyjrzyjmy się Hopper. Dwadzieścia siedem lat, stażystka w szpitalu w Portland w Oregonie. Jej rodzice zgłosili zaginięcie dziewięć dni temu, gdy nie dotarła do nich, do Missouli. Poszukiwano jej w Oregonie, Idaho i Montanie, tylko ona ma inicjały BH, które, w połączeniu z inicjałami Elyssy O'Leary, notabene studentki pielęgniarstwa, pasują do BEWARE THE SCORPION'S i coś z „h".
- W nazwisku O’Leary jest apostrof - zauważyła Alvarez i wszystkie spojrzenia skierowały się na nią.
- Myślisz, że posuwa się aż do tego? Że wybrał ją ze względu na apostrof? - zapytał szeryf.
- Przywiązuje wielką wagę do szczegółów - zauważyła.
- To tylko spekulacje - sapnął Gage. - Niewykluczone, że porwał inną o tych samych inicjałach. Kobietę, której zaginięcia nie zgłoszono, przynajmniej nie w tym okręgu.
- Rodzice O’Leary sądzą, że w jej zniknięciu maczał palce jej chłopak, Cesar Pelton - przypomniała Zoller.
- Mamy jakieś informacje na ten temat? - zainteresował się Grayson.
Brewster pokręcił głową.
- Chandler go sprawdzała.
- Na razie nie powinniśmy zakładać, że te kobiety nie żyją - powiedział Gage. - Może nadal je więzi, a może po prostu mają te same inicjały, co inne ofiary.
- Płonne nadzieje - orzekł Watershed. - Wszyscy wiemy, że to one.
- Niewykluczone, że wytypowaliśmy nie te kobiety - przyznała Alvarez. - Więc nie informujmy na razie rodzin. Nie możemy dać za wygraną. Znajdziemy je i wszystkie inne.
Grayson skinął głową, ale Brewster był innego zdania.
- Ja tam zgadzam się z Pete'em. Wiemy, że je ma.
- Wracamy więc do punktu wyjścia. Musimy je odnaleźć - odparł Grayson. - Póki nie zdobędziemy dowodów, że jedna z nich, Hopper czy O’Leary, padła jego ofiarą, ani słowa do prasy. Na razie Manny Douglas i jego szmatławiec milczą, ale facet aż pęka z niecierpliwości, żeby o tym napisać. Złapmy mordercę. Wyślijcie helikoptery i znajdźcie te kobiety!

Powiedział to z pasją i zebrani poderwali się energicznie. Alvarez widziała niepokój w ich oczach. Wszyscy się obawiali, że gdzieś tam, w montańskiej głuszy, czekają dwa ciała - sine i martwe.
Może trzy, licząc Pescoli.

Jeremy czuł się fatalnie. Przekimał się w pokoju gościnnym u Tylera po wyjściu z aresztu. Plecy go bolały, jakby spał na kuli do kręgli.
Usiadł z westchnieniem. Lepsze to niż cela. To dopiero był koszmar. I jeszcze ten dziad bełkoczący o kosmitach, starych babach i yeti... A o mamie ani słowa.
Poruszyłby niebo i ziemię, byle jej pomóc, ale co naprawdę może zrobić? Do kogo zadzwonić?
Jego telefon wibrował w kieszeni dżinsów. Wyjął go zdenerwowany i zobaczył, że Bianca dzwoniła ze sto razy i wysłała mu mnóstwo wiadomości tekstowych.
„Gdzie jesteś? Wracaj do domu!"
„Zadzwoń!!!"
„Mam tego dosyć!"
„Gdzie mama?!"
W każdej wiadomości wykrzykniki, jakby była naćpana, choć o ile mu wiadomo, mała jest czysta jak łza.
Odgarnął włosy z oczu, wstał, poszedł do łazienki i ochlapał twarz zimną wodą, żeby oprzytomnieć. Zajrzał do sypialni Tylera - przyjaciel spał w ubraniu, z twarzą wtuloną w poduszkę. Wyglądał jak trup, ale nagle cmoknął i przewrócił się na bok.
Mama Tylera także jeszcze spała, Jeremy słyszał jej chrapanie zza drzwi. Nieźle dawała.
Zabrał kluczyki do samochodu, telefon i portfel i wyszedł z mieszkania, nie budząc nikogo.
Kierował się na parking. Śnieg sypał jak szalony, na jego wozie było już z dziesięć centymetrów. Chciał włożyć rękawiczki, ale okazało się, że ma tylko jedną. Szukał drugiej wszędzie, w kurtce i dżinsach, ale jej nie znalazł. Wrócił nawet do mieszkania i sprawdził na kanapie - też jej nie było.
Świetnie.
Poślizgnął się na schodach i brnął przez śnieg do samochodu.
Jezu, miał już tego dosyć.
Wyobrażał sobie, że wyprowadza się z domu i wyjeżdża do Kalifornii, gdzie było gorące słońce i jeszcze gorętsze laski. Nauczy się surfować, zatrudni w knajpie na plaży albo w jakimś sklepie komputerowym, gdziekolwiek. Zrobi wszystko, byle uciec od tego zimna.
Ale najpierw musi wrócić mama. Musi. Nie może być inaczej. Jego telefon znowu zadzwonił. Tym razem to Heidi.
- Tak? - rzucił. Dobrnął do samochodu i zaczął odgarniać śnieg z przedniej szyby jedyną rękawiczką.
- Co tam?
- Niewiele.
- Jak to?
- Nieważne.
- Tata mówi, że byłeś w areszcie.
- Zgadnij, kto mnie tam wsadził? - Nadal był wściekły na jej ojca, króla dupków.
- Ale też wypuścił - zauważyła tym jękliwym głosem, który kiedyś go podniecał, a teraz tylko wkurzał.
- Bo nie miał powodu mnie aresztować!
- Uważa, że powinnam z tobą zerwać.
- To chyba nic nowego?
- Jesteś na mnie zły? - Teraz i ona się zdenerwowała.

- Jak by ci się podobało, spędzić noc w celi ze starym pijakiem, którego porwali kosmici? Średnia przyjemność.
- Gdzie jesteś?
- Właśnie wyszedłem od Tylera.
- Przyjedziesz po mnie?
- Nie! - Czy ona w ogóle nie myśli? - Nie zaryzykuję kolejnego starcia z twoim ojcem. Wiem, że pewnie jest w pracy, ale mam to w nosie. Później zadzwonię.
Rozłączył się, wsiadł do wozu, przekręcił kluczyk w stacyjce i ruszył w stronę centrum Grizzly Falls. Nie wiedział, dokąd się wybiera, z kim chce pogadać, kto mógłby mu pomóc w poszukiwaniach.
Wiedział tylko, że na policję nie ma co liczyć.
Wycieraczki usiłowały odgarnąć śnieg, który uparcie osiadał na szybie. Jeremy minął posterunek i przeszył go dreszcz. Za żadne skarby nie chciał tam wracać!
Znowu zadzwonił telefon. Cholerna Heidi. Ale nie. Tym razem to była Bianca.
- Dostałem twoje wiadomości, wszystkie. Nie mogę teraz rozmawiać - rzucił zniecierpliwiony.
- Wracaj po mnie! - jęknęła. - Nie wytrzymam tutaj! Gdzie mama? Wiesz coś?
- Nie, ja... - Jeremy gwałtownie wstrzymał oddech. Tuż przed nim Nate Santana, kochanek matki, wysiadał z półciężarówki. Może to on ją porwał. Może to jego wina!
- Co? - warknęła Bianca.
- Muszę kończyć. - Rozłączył się, rzucił telefon na fotel pasażera i zaparkował obok wozu Santany. Wyskoczył z auta i ruszył za ciemnowłosym mężczyzną po śliskim chodniku.
- Ej, Santana! - zawołał.
Mężczyzna przekrzywił głowę, odwrócił się powoli. Za jego plecami neon knajpy Spot rozjaśniał szarość śnieżycy. Santana zmarszczył brwi, jego ostre rysy stały się jeszcze wyraźniejsze. Jeremy podbiegł. Wpatrywali się w siebie przez kurtynę śniegu.
Jeremy patrzył na niego, wyobrażając sobie, co robił z mamą. Koszmar ostatnich dni wrócił do niego i nagle poczuł, że cały się gotuje. Najchętniej zabiłby go gołymi rękami.
- Wypruję z ciebie flaki! - ryknął. - Co zrobiłeś mojej matce?

Rozdział 28

Co do licha?
Chwilę trwało, zanim Santana rozpoznał Jeremy'ego Stranda, syna Regan. Chłopak miał zmierzwione włosy, pogniecione ubranie, ale stał tuż przed nim z ogniem w oczach i zaciśniętymi pięściami, gotowymi do walki.
- Myślisz, że miałem coś wspólnego z jej zniknięciem? - Santana podziwiał jego odwagę.
- Wiem, że z nią sypiasz!
- Ej! - Santana zrobił krok w jego stronę, pogroził mu palcem w rękawiczce. - Dosyć tego! Nie wiem, co się z nią stało, naprawdę. Ale nie miałem z tym nic wspólnego, jasne?
- Pewnie. - Jeremy splunął na ziemię. Ręce aż go swędziały do bójki.
- Nie mam czasu na takie bzdury. Spadaj stąd, wracaj do domu. - Czas mijał, upływały cenne sekundy życia Regan. -Wiem, że jest ci ciężko, ale takie zachowanie nie pomoże - dodał ciszej.
- Bo ty akurat coś o tym wiesz! - Jeremy zacisnął usta. Mocno. Wyglądało na to, że nie ma ochoty się wycofać. Pojawiła się już publiczność - kilku mężczyzn zatrzymało się w drodze do baru i obserwowało całe zajście spod ośnieżonych kapeluszy.
Nate skrzywił się w duszy.
Jeszcze tylko gapiów mu brakowało.

Lada chwila zatrzyma się przy nich patrol policyjny.
- Uspokój się. - Rozłożył dłonie w pojednawczym geście.
- Jesteś kolejnym żulem, z którym się zadaje.
Santana zacisnął zęby. Dzieciak szukał guza i Nate pomyślał, że przydałaby mu się nauczka. Byli mniej więcej tego samego wzrostu, ale Nate był od niego o dobre piętnaście kilo cięższy. Wiedział z własnego doświadczenia, że czasami dobra bójka to jedyny sposób, by nabuzowany testosteronem nastolatek odzyskał jasność myślenia.
Widzowie twardo stali w miejscu. Czekali, co będzie dalej. Drzwi baru uchyliły się na moment i dotarły do nich muzyka i hałas rozmów Ole Olson, stały bywalec, równie szeroki, jak wysoki, wyszedł na zewnątrz. Zapinał kurtkę, ale na widok mężczyzn gotowych do walki znieruchomiał. O, nie.
- Posłuchaj, Jeremy, wracaj do domu, do siostry, i czekaj.
- Moja siostra to kula u nogi! - Chłopak się żachnął.
- Może to cecha rodzinna.
- Nie czepiaj się mojej rodziny! - Jeremy się najeżył.
- Wiesz, że twoja mama chciałaby tego. Chciałaby, żebyście byli razem.
- Niby skąd wiesz, czego chciałaby mama?
- Mnie też zależy, żeby ją odnaleźć - wycedził przez zęby. -I staram się to zrobić, więc zejdź mi z drogi!
- Nie słuchaj go, młody. - Ole nigdy nie grzeszył inteligencją. Ciągle mocował się z suwakiem. - Dawaj, na co czekasz? -Szarpnął zamek tak mocno, że go urwał. - Cholera.
- O to ci chodzi? Chcesz się bić? - zapytał Santana.
- Tak!
- No to dawaj, uderz mnie. - Pomyślał, że Jeremy się zamachnie, a on wykręci mu rękę i, jeśli będzie trzeba, powali na oblodzony chodnik.
Kątem oka zobaczył, że Ivor Hicks przemyka przez jezdnię w niedozwolonym miejscu i pędzi do ciepłego schronienia w knajpie.
Jeremy także go zobaczył. Patrzył, jak Ivor znika za drzwiami. Jeśli to możliwe, sposępniał jeszcze bardziej.
- Nie mam na to czasu - mruknął Santana, wpatrzony w Ivora. Jeremy wykorzystał jego nieuwagę, zamachnął się i uderzył go w szczękę.
Cholera!
Ból eksplodował w podbródku. Nate instynktownie złapał chłopaka i wykręcił mu rękę chwytem, którego nauczył się w wojsku. Jeremy upadł na kolana, a Nate pochylił się nad nim i wycedził do ucha:
- Nie podskakuj mi, jasne? Robię, co mogę, żeby odnaleźć twoją matkę. Naprawdę mi na niej zależy.
- Nie potrzebuje cię!
- Jeśli nie chcesz trafić do aresztu, spadaj do domu. Zajmij się siostrą. Nic tu po tobie.
Puścił go i wszedł do knajpy, zaciskając usta w wąską linię. Zdawał sobie sprawę, że dzieciak musiał odreagować. Jego ojciec nie żyje, a Regan i przyrodnia siostra to wszystko, co Jeremy Strand ma na tym świecie.
Ale niech się nauczy, że pewnych spraw nie załatwia się pięścią.
Nate podszedł do okna i patrzył, jak Jeremy wstaje. Łypnął gniewnie za siebie i odszedł, skulony, do wiekowego poobijanego chevroleta.
Znajdę twoją matkę, obiecał Nate w myśli. Jeremy wsiadł i odpalił, ale zanim włączył się do ruchu, cudem uniknął zderzenia z półciężarówką z opuszczoną plandeką, która wyskoczyła nagle zza rogu. Jeremy krzyknął gniewnie, ale wóz już znikał w oddali.
Santana zaczerpnął tchu, odwrócił się od okna i wypatrzył Ivora Hicksa, który już zajął swój ulubiony stołek przy barze.

Mało brakowało, a walnąłbym w tego wraka.
Cholera!
Muszę bardziej uważać!
Moje ciało oblewa się potem, ale powtarzam sobie, że wszystko jest porządku. Nie doszło do wypadku.
Kolejne niebezpieczeństwo zażegnane.
Przed chwilą omal nie nadziałem się na Ivora - zauważyłem go w drzwiach knajpy, gdy wychodziłem z toalety. Na szczęście bardziej go interesowało zamieszanie na ulicy, więc zapłaciłem i wyszedłem tylnymi drzwiami - robię to na tyle często, że nikt nie zwrócił na mnie uwagi.
Chciałem mieć alibi - niech stali bywalcy mnie zobaczą.
Ale nie Ivor.
O, nie.
Oczywiście ani przez moment nie sądziłem, że zdoła dodać dwa do dwóch i dojść do oczywistych wniosków, ale w końcu to on widział mnie tuż przed tym, jak posłałem starego dobrego Brady'ego na spotkanie Stwórcy i niewykluczone, że gdy otrząśnie się z pijackiego zamroczenia, dotrze do niego, kogo naprawdę widział na ranczu. Że to byłem ja, a nie yeti.
Stary stanowi coraz poważniejszy problem.
Zawsze zjawia się nie w porę.
Zerkam w tylne lusterko i uświadamiam sobie, że samochód, na który o mało nie wpadłem, należy do syna Pescoli. Wiele razy widziałem go w tym starym chevrolecie.
Co za ironia losu, myślę, gdy jadę Boxer Bluff, mijając posterunek policji, nieco w głębi, z dala od drogi.
Ciekawe, czy Manny Douglas już się podzielił z glinami informacją o przesyłce. Może tak, może nie. Wiem, że chciałby to zatrzymać dla siebie, spróbować samodzielnie rozwiązać zagadkę seryjnego mordercy, opublikować swoje wnioski. Jego wielkie ego każe mu wierzyć, że w ten sposób zdobędzie sławę, a nazwisko Douglas będzie znane w całym kraju.
Ma o sobie wysokie mniemanie. Słyszałem, jak się przechwalał, że odrzucił posadę w „Seattle Post Intelligencer". Mówił o gazecie krótko, „Post", jakby nie było innych o podobnym tytule, jak choćby „New York Post" czy, bliżej domu, „Denver Post". O tak, Manny, jesteś świetny. Może dlatego, że u nich nie pracujesz, „Post" zrezygnował z wydania papierowego i ukazuje się jedynie w wersji elektronicznej. Bez ciebie nakład spadł na łeb, na szyję.
Ha!
Śmieję się na głos, a potem skręcam na tę samą, co zawsze, stację benzynową. Tankuję, kupuję kawę, gadam z kasjerką, życzę jej wesołych świąt. Kamery mnie zarejestrują, a ona zapamięta, podobnie jak kelnerka, której zostawiłem suty napiwek.
Alibi, alibi, alibi.
Jeśli Manny podzielił się z szeryfem tym, co ode mnie dostał, na posterunku rozpętało się piekło.
A jeśli nie... wkrótce sami się dowiedzą.
- Wesołych - rzucam na pożegnanie, zabieram kawę i wracam do samochodu.
- Wzajemnie!
Ładniutka jest. Gdyby miała odpowiednie inicjały, mogłaby się nadać. Nie, nie! Pamiętaj, nikogo z okolicy. Nikt, kogo można by z tobą powiązać. Tylko Pescoli, tak miało być.
Przekręcam kluczyk w stacyjce, pogrążony w myślach. Może Pescoli to błąd, ale nie mogłem inaczej. Nie dość, że jej nazwisko idealnie pasuje do przekazu, to jeszcze boleśnie dopiekę szeryfowi, zabijając jego podwładną.

No i Brady Long. Też tutejszy. Powiążą kulę ze strzałami w opony.
Rzeczywiście, może trochę zaszarżowałem, przesadziłem, przyznaję i odjeżdżam spod stacji. Z boku zwisa wielka plastikowa noga - dopiero z odległości widzę, że to cały Mikołaj wspina się na dach.
To miasto kretynów, tylko ja jestem normalny. Straszne.
Z pełnym bakiem i niepodważalnym alibi skręcam w drogę wylotową w stronę wzgórz.
Świetnie się bawiłem. Teraz czas zająć się Regan Pescoli.
Jeszcze jej nie złamałem.
Pewnie nawet teraz planuje kolejną próbę ucieczki.
Albo już to zrobiła.
Serce staje mi w piersi.
Zostawiłeś ją wyczerpaną i obolałą po walce, ale ona się łatwo nie podda.
Zerkam w boczne lusterko, widzę niepokój w moich oczach i naciskam pedał gazu. Od kopalni dzieli mnie niecałe pół godziny.

Biegnij!
Dalej!
Ile sił!
Boże, jak zimno.
Ale Regan szła dalej, wędrowała przez śnieg, przerażona jak nigdy.
Kiedy dotarło do niej, że jest wolna, porwała kurtkę, włożyła, a za progiem chatki puściła się biegiem. Na oślep, jak szalona. Pewna, że morderca jest tuż za nią. Nie miała pojęcia, gdzie jest. Słońce skryło się za chmurami i nie wiedziała nawet, w jakim kierunku biegnie.
Po prostu biegła.
Tak szybko, jak na to pozwalało zmaltretowane ciało.
Ale domek znikł jej już z oczu. Musiała się zatrzymać. Dyszała ciężko, boleśnie. Musi odpocząć. Musi się zastanowić. Myśleć jak policjantka, a nie spłoszona łania.
Zamknęła oczy. Skrzywiła się, walcząc z bólem, szukając w sobie opanowania, wyrachowania, efektów szkolenia. Nie uległa, nie rozpłakała się.
Rozpacz nie uratuje Elyssy O'Leary.
Myśl, Regan, myśl, do cholery.
Otworzyła oczy. Jeszcze raz nabrała powietrza. Poczuła płatki śniegu na twarzy.
Już popełniła błąd.
Zostawiła ślady. Będą widoczne przez jakiś czas, choć śnieg znowu padał.
Nieważne, kiedy sukinsyn wróci - pójdzie za nią. Nie trzeba wytrawnego tropiciela, by ją znaleźć.
Zaklęła pod nosem, starła wilgoć z twarzy, włożyła kaptur i spojrzała na śnieg.
Równie dobrze mogła zostawić na nim czerwone strzałki z napisem: „tędy do Regan Pescoli".
Weź się w garść, inaczej zginiesz, albo z rąk mordercy, albo przez własną głupotę.
Ale co robić?
Wiedziała, że zabrał Elyssę z domku. Niedawno. Są chyba inne ślady? Może przysypane, ale prowadzące do samochodu... Tego samego, którym ją tu przywiózł.
Musi wracać. Zatoczyć łuk. Udać, że biegnie w dół, a potem zawrócić do chaty i znaleźć ślad mordercy.
Drżała. Nie chciała tam wracać.
Ale nie miała wyboru. Żeby uratować siebie i Elyssę, musi dopaść mordercę.

Santana zajął stołek koło Ivora. Siedzieli na rogu baru, z dala od drzwi, kilka metrów od toalety. Z głośników zainstalowanych nad kontuarem płynęły świąteczne piosenki, ale

zagłuszał je stukot szklanek, syk syfonu z wodą sodową, odgłosy automatów do gry i szmer rozmów. Ivor smętnie kiwał się nad prawie pustą szklanką piwa.
- Wesołych świąt - zagaił Santana. Starał się zapomnieć o bójce z synem Regan. Wskazał szklankę Ivora. - Co pijesz?
- Piwko.
- W Wigilię? - Santana spojrzał na chłopaka za barem, dwudziestoparoletniego chudzielca z przedwczesną łysiną. - Nalej mu jeszcze jedno. Dla mnie to samo.
Ivor łypnął na Santanę.
- Nie miałbym nic przeciwko czemuś mocniejszemu... No wiesz, Boże Narodzenie i w ogóle.
- Nalej mu, czego chce. - Santana skinął na barmana.
- Jacka danielsa z lodem. - Ivor zerknął na Santanę znad okularów, nagle podejrzliwy. - Chcesz czegoś ode mnie?
- Pogadać. Zobaczyłem cię i przypomniałem sobie, jak wczoraj, no wiesz, znaleźliśmy Brady'ego. Po czymś takim trzeba odsapnąć.
- Wypijmy za to! - Podejrzenia Ivora opadły, gdy barman podsunął mu szklaneczkę. Od razu podniósł ją do ust.
Santana sączył piwo.
- To był dzień - zaczął. - No, z Bradym.
- Oj, tak. - Ivor się wzdrygnął. Upił kolejny łyk, gdy chwilową ciszę wypełniła następna kolęda. Bar się zapełniał, schodzili się mężczyźni z pierwszej zmiany.
Dell Blight z trocinami we włosach i szelkami opiętymi na wielkim brzuchu wdrapał się na stołek na przeciwnym krańcu baru. Dwaj inni przybysze podeszli do stołu bilardowego.
- Co robiłeś na ranczu Longa? - zapytał Santana.
- Spacerowałem.
- Trochę za zimno na spacery.
- Wiem, wiem, ale... - Ivor rozejrzał się na boki, jakby chciał coś powiedzieć, ale potem schował nos w swojej szklance.
- Ale co?
- Mam tego nie mówić. Billy, mój syn, strasznie się złości, kiedy mówię o kosmitach. - Uniósł brwi nad grubymi okularami. - Przynoszę mu wstyd. Więc już nic mu nie mówię. Ale o yeti musiałem. Tym z laserami w oczach.
- Z laserami?
- A jakże! - Wypił alkohol jednym haustem i podsunął szklaneczkę barmanowi. Ten zerknął na Santanę. Nate skinął głową. - Myślałem, że już po mnie, kiedy na mnie spojrzał, tak, tak! Pikawa prawie mi wysiadła, dlatego wszedłem do domu. Po pomoc, i wtedy... zobaczyłem ciebie i... sam wiesz.
Santana pokiwał głową.
- Nie mów Billy'emu, że coś mówiłem, bo się zdenerwuje. I wiesz co... Na wszelki wypadek nie mów mu też, że tu byłem. Nie spodoba mu się to.
- Nie ma sprawy - zapewnił Santana. Rzadko widywał Billy'ego Hicksa, więc to bez znaczenia. Znali się jako dzieci, ale to było dawno temu, w czasach, gdy wszyscy - Simms, Billy i Santana kochali się w Padgett Long.
Zamyślił się. Brady i Padgett, bogate dzieciaki, które przyjeżdżały tu tylko na wakacje.
- Dobrze, dobrze, bo nie chcę, żeby się denerwował. Ten mój Billy ma niezły charakterek. Odziedziczył go po matce, świeć Panie nad jej duszą. - Przeżegnał się. - Moja Lila była najpiękniejszą dziewczyną na świecie, o tak, ale była wredna. Ojoj. -Wpatrzony w kolorowe butelki błyszczące za barem, Ivor opowiadał dalej: - Co ona takiego mówiła, ilekroć Billy coś spsocił?
- Podrapał się w podbródek. - Jak to ona mówiła? Że jest żmiją?

- Potrząsnął szklanką, aż lód zagrzechotał. - Grzechotnikiem? Kobrą? - Odpłynął w czasie, nie widział szklanki na kontuarze, nie słyszał śmiechu Della Blighta. - O, już mam... Łapała się za pasek, to był sygnał ostrzegawczy, bo lała go pasem, a potem mówiła: „Uważaj"... Nie, inaczej... - Ivor spoważniał, wyszczerzył zęby i dokończył: - mówiła: „Strzeż się gniewu skorpiona", dotykając tego paska. Miała wtedy taki błysk w oku, jakby liczyła, że się jej postawi.
Z głośników płynęła już kolejna kolęda, ale Ivor tego nie zauważył.
- Piękna była ta moja Lila, o tak. I bogata... niby. Zawsze wierzyła, że stara kopalnia srebra jest coś warta, ale się myliła. Chyba jak my wszyscy.
- Kopalnia srebra... mieszkasz tam niedaleko.
- W starej górniczej chacie - potwierdził Ivor. - Ale co dom, to dom. - Zerknął na Santanę. - Od jej śmierci nic już nie jest takie jak kiedyś. Atak serca. - Pstryknął palcami. - Ot, tak.
- Przykro mi.
- Ano. To już dawne dzieje. - Pochylił się nad szklanką, szukając w niej pociechy.
Santana czuł, że rozwiązanie zagadki jest na wyciągnięcie ręki, że w paplaninie Wora jest coś ważnego, ale zanim zdołał to wychwycić, zadzwonił jego telefon. Cisnął kilka banknotów na ladę, poklepał Ivora po plecach i wyszedł na dwór.
Na wyświetlaczu migał numer Chilcoate'a.
Najwyższy czas, do cholery.
- Co masz? - rzucił do telefonu. Zauważył, że śnieg przestał padać. Dobrze. Zza chmur wyglądało błękitne niebo.
- Musimy pogadać.
- Gadamy.
- Nie przez telefon.
MacGregor wspominał o obsesji kolegi. Komputerowy geniusz panicznie się bał, że namierzą go federalni. Santana zdał sobie sprawę, że Chilcoate nie ustąpi.
- Będę u ciebie za dwadzieścia minut - rzucił do niego, biegnąc do samochodu.
- Za dziesięć.

Regan szczękała zębami z zimna. Dobiegła do chatki. Wiatr sypał śniegiem w oczy, rozwiewał włosy. Zobaczyła ślady od drzwi: jej na prawo, a na lewo - inne, zakryte do połowy śniegiem. Podwójne. Duże męskie ślady i obok mniejsze - jakby bosych stóp.
Zrobiło jej się słabo.
Elyssa O'Leary.
Sukinsyn dotrzymał słowa, zabrał ją z chaty, wyprowadził w las, gdzie zamarznie na śmierć.
Oczyma wyobraźni widziała poprzednie ofiary, nagie, przywiązane do drzew, do których prowadziły tropy ich bosych stóp.
- Drań - wycedziła przez zęby. Zataczała się, ale szła w stronę drzew, wpatrzona w trop.
Śnieg padał nieustannie, spowijał ją zasłoną, obawiała się jednak, że prześladowca wkrótce tę zasłonę zerwie.
Nie miała pojęcia, gdzie jest, nie widziała żadnych punktów orientacyjnych.
Byłaś w kopalni. Kopalni złota albo srebra.
W tych wzgórzach jest pełno starych kopalń, zapomnianych, opuszczonych.
Ale ta jest inna.
Duża.
Tych tuneli nie wykopał jeden człowiek. Sukinsyn pewnie je wyremontował, widać było, że włożył w to dużo pracy. Ale to stare rozległe szyby.
Znała historię okolicy, nazwiska pierwszych właścicieli. Większość z nich wzbogaciła się i wyniosła, nawet Hubert Long. Jego rodzina zbiła majątek na miedzi.
Ale złoto, srebro...

Nie odrywała wzroku od śladów, trzymała się ich i uważała, żeby nie zadeptać, ale teren był nierówny, pod śniegiem kryły się głazy.
Wśród nagich drzew hulał lodowaty wicher, przenikał ją na wskroś, smagał podmuchami. Dygotała na całym ciele, nie mogła się skupić, szła powoli, z wysiłkiem, coraz mniej widziała.
Musi iść, nie zwracać uwagi na odrętwiałe dłonie, na zimno wkradające się pod kurtkę.
Serce zabiło jej mocniej.
A jeśli wróci?
Musisz go załatwić.
Zbiegła ze wzgórza, pokonała zakręt i zobaczyła zadaszenie.
Jej serce na chwilę przestało bić.
Ślady prowadziły w tamtym kierunku, a dalej, teraz to widziała, była droga. Tak! Cywilizacja!
Puściła się pędem w stronę wiaty.
Puste miejsce - sądząc po plamach oleju na ziemi, wskazywało, że do niedawna parkował tu samochód.
Pikap z plandeką, którym cię przywiózł.
Ale najlepsze, że tuż obok stał skuter śnieżny.
- Jezu, błagam niech kluczyki będą w stacyjce - szeptała. - Błagam.
Zanim jednak zdążyła to sprawdzić, usłyszała coś w oddali... warkot, który przenikał leśną ciszę. Zamarła w pół kroku.
Włoski na karku stanęły jej dęba, gdy rozpoznała charakterystyczne wycie napędu na cztery koła, które przybierało na sile.
- O Boże - szepnęła. Za śnieżną kurtyną pojawiła się półciężarówka. Nie miała gdzie uciec, nie miała gdzie się schować.
Morderca wrócił.

Rozdział 29

Pescoli odgarnęła śnieg z twarzy.
Billy Hicks?
Za kierownicą ciężarówki siedzi syn Ivora, Billy?
Rozpoznała go, gdy wóz mozolnie wspinał się na wzgórze, wycieraczki walczyły ze śniegiem. Kierowca patrzył prosto na nią.
Teraz wie, że możesz go rozpoznać.
Już wcześniej wyrzuciła pogrzebacz, spowalniał ją, ale cały czas zaciskała dłoń na rękojeści noża. Ich oczy się spotkały. Billy przeklinał. Był wściekły. W jego oczach płonął ogień piekielny.
No cóż, o niej można powiedzieć to samo!
Zerwała się z prowizorycznej kryjówki koło skutera śnieżnego. Zanim Billy zgasił silnik, biegła już, uciekała przez świeży śnieg. Nie dać się złapać! Musi się uratować! Musi go pokonać!
Zdawała sobie sprawę, że nie ma z nim szans, że go nie wyprzedzi, nie umknie mu, musi go więc przechytrzyć. To jej jedyna szansa.
Biegnij dalej.
Była w połowie drogi do linii drzew, gdy warkot silnika ucichł, za to rozległ się trzask otwieranych drzwiczek.
- Ty durna suko! - wrzasnął. Kolejne trzaśniecie drzwiczek, zgrzyt metalu, jakby uderzył pięścią w karoserię. Nie odwracała się, biegła. Starała się jak najbardziej od niego oddalić.

Szybciej, szybciej!
Kręciło jej się w głowie, ciało protestowało, ale nie zważała na to, biegła dalej. Billy Hicks? Diaboliczny morderca? Mistrz organizacji?
Nie ogarniała tego umysłem, ale biegła, liczyła, że śnieżna kurtyna udzieli jej schronienia, i nagle przypomniała sobie, że matka Billy'ego odziedziczyła po swoim ojcu kopalnię srebra. Była to największa kopalnia w pobliżu Grizzly Falls. A Billy miał własny warsztat stolarski, pracował kiedy i jak długo chciał - bez szefa i karty zegarowej. Nic dziwnego, że zdołał wyremontować stare szyby. Miał czas i umiejętności. Wielki stół, ręcznie rzeźbiona szafa... to wszystko dzieło jego rąk.
Silnych.
Brutalnych.
Zaryzykowała, obejrzała się.
O Boże, goni ją. Rusza truchtem, ale zabrał coś z samochodu, gruby zwój sznura, który przerzucił sobie przez ramię i nóż myśliwski, o wiele większy niż ten w jej kieszeni.
Poczuła nagle ukłucie strachu. Zamierzał przywiązać ją do drzewa, gdy tylko ją dogoni. Kończy grę. Potknęła się i kątem oka dostrzegła jelenia wśród krzaków
Nie, nie panikuj, myśl. Pokonasz go. Przechytrzysz.
Dlaczego nie ma telefonu?
Albo broni!
„Gdyby marzenia miały skrzydła, nikt nie chodziłby po ziemi", przypomniała sobie stare porzekadło matki. Mknęła między sosnami, przeskakiwała zwalone pnie, potykała się o kamienie. Biegnij. Na miłość boską, biegnij! Dyszała ciężko, zimne powietrze parzyło w płuca. Nogi jej ciążyły, prawie ramię było bez czucia - skutek walki w kajdankach.
Nie myśl o bólu. Zapomnij o nim. Biegnij! W dół wzgórza! W końcu dotrzesz do drogi, do farmy...
Ale kiedy? Jest na odludziu, kopalnia Kressów leżała za miastem, niedaleko Mesa Rock.
Traci siły i...
Nie myśl o tym! Biegnij, do cholery!
Zacisnęła zdrową rękę na nożu, zakręciła przy wysokim modrzewiu, potknęła się o wystający głaz i skręciła kostkę. Ból promieniował na całą nogę.
- O Boże! - Źle stąpnęła, uderzyła stopą w korzeń pod śniegiem i zatoczyła się do przodu. Kolana się pod nią uginały. - Cholera! - syknęła, usiłując się czegoś przytrzymać. Nie, nie! Uważaj!
Za późno!
Upadła, nogi nie wytrzymały jej ciężaru. Runęła w dół, po stromym zboczu, do głębokiego wąwozu, koziołkowała coraz szybciej, pozbawiona kontroli nad własnym ciałem. Świat wirował, a śnieg był wszędzie.
Próbowała zwolnić tempo, powstrzymać upadek, wbijała palce w śnieg, starając się nie myśleć o drzewach i głazach, które majaczyły na dnie urwiska.
Sunęła coraz szybciej, na plecach, głową w dół, wpatrzona w niebo i rozpaczliwie chwytała się wszystkiego w zasięgu wyciągniętych rąk.
Łup!
Lewą ręką uderzyła w coś ostrego.
Nóż wysunął się z dłoni.
O nie!
Łap go!
Usiłowała się zatrzymać, złapać korzenia, gałęzi, czegokolwiek, ale mknęła dalej. I wtedy go zobaczyła. Przez moment przyglądał jej się z góry, a potem pobiegł wzdłuż krawędzi urwiska, ciągle mając ją na oku.
Drań, pomyślała, pieprzony drań!

Poddała się, nie hamowała upadku. Wszystko lepsze niż konfrontacja z mordercą, który wie już, że poznała jego tożsamość.

Grayson wyłączył wycieraczki, wjechał na swoje miejsce parkingowe przed posterunkiem. W głębokim śniegu stało kilka innych samochodów, dwa wozy transmisyjne usadowiły się w bocznej uliczce.
Wolałby w miarę możliwości unikać dziennikarzy.
Poranne spotkanie z Douglasem wystarczyło mu aż nazbyt. Od czterech godzin był w drodze, szukał zaginionych razem z resztą ekipy ratunkowej. Sprawdzali odległe kaniony i doliny w wyznaczonym wcześniej promieniu. Po kilka razy upewniali się, gdzie widziano te kobiety po raz ostatni, przejeżdżali trasę, którą prawdopodobnie jechały do celu.
Na darmo.
Bez sensu, szeptał wewnętrzny głos.
Na razie niczego nie znaleźli. Nie odkryli ciał, martwych czy żywych, przywiązanych do drzew.
Może to fałszywy alarm.
Może to ktoś od nich, z policji, podsunął te materiały Douglasowi.
Idiotyczna myśl.
Rozpaczliwa.
Listy były prawdziwe. Mógł tylko mieć nadzieję, że morderca zrobił je zawczasu, przed zbrodnią. Może też chciał ich zmylić i zawstydzić.
Tak, ale Brandy Hooper i Elyssa O'Leary zaginęły bez śladu.
Wrócili do punktu wyjścia. Boże, dopomóż tym kobietom.
- Idziemy! - Zagwizdał na Sturgisa. Czarny labrador wyskoczył z dżipa i merdając ogonem, pobiegł za Graysonem. Minęli grono zaprzysięgłych palaczy kulących się na wietrze przed wejściem na posterunek.
Ściągnął od razu rękawiczki, czapkę i kurtkę, bo wewnątrz było chyba ze trzydzieści stopni.
- Gorąco tu jak w piekle.
- Nie patrz tak na mnie! - Joelle, czerwona na twarzy, podniosła głowę. Na jej czole błyszczały krople potu. - Dzwoniłam po majstra, ale nie wiadomo, czy ktoś przyjedzie. W końcu to Wigilia. - Wachlowała się dłonią. - Nie wiem, co jeszcze mogłabym zrobić.
- Nie przejmuj się. - Miał ważniejsze sprawy na głowie. Upał w biurze to pestka. Poszedł do siebie i cisnął kurtkę na krzesło. Nie zdążył jednak usiąść za burkiem, a rozdzwoniła się jego komórka.
Na wyświetlaczu pojawił się numer Stephanie Chandler. Był zaskoczony - rozmawiali już dzisiaj, dzwonił do niej po wizycie Manny'ego Douglasa.
- Grayson - rzucił do telefonu.
- Wracamy z Haldenem do Montany, ale chciałam ci przekazać najnowsze wieści. - Słabo ją słyszał, jakby była na dworze, na wietrze. - Dzisiaj rano zmarł Hubert Long.
- Z przyczyn naturalnych? - Pewnie tak, ale kto to wie? Może ktoś nie mógł się doczekać i przyspieszył sprawę. Na przykład ta sama osoba, która załatwiła jego syna.
- Tak, nad ranem zapadł w śpiączkę, a potem organy przestały funkcjonować. Nic podejrzanego, ale wysłaliśmy już agenta do Seattle, żeby się skontaktował z Padgett w spawie zabójstwa brata.
- Alvarez rozmawiała z jej lekarką o Bradym - przyznał.
- No cóż, jeśli Padgett już wie, od nas nie dowie się niczego więcej, bo dzisiaj wypisała się ze szpitala na własne życzenie. Wybiera się do San Francisco.
- Co?
- Wiem, wiem, to dziwne. Personel ośrodka też był tym zaskoczony. Nasz człowiek dowie się wszystkiego na miejscu. Już tam jedzie.

- O ile pamiętam, nie mówiła, nie była w stanie samodzielnie funkcjonować.
- No właśnie. Dowiemy się więcej, kiedy agent dotrze do Mountain View. Trochę potrwa zwykły taniec na temat tajemnicy lekarskiej, ale mamy nakaz sądowy. Dobra, jest samolot. Zadzwonię, gdy wylądujemy.
Grayson rozłączył się z uczuciem, które ogarniało go, gdy nic nie trzymało się kupy, gdy zbieg okoliczności był jednym punktem zaczepienia. Dumał o śmierci Huberta Longa. Gdyby stary umarł przed Bradym, zgodnie z przewidywaniami, syn odziedziczyłby lwią część majątku. Padgett niczego by nie brakowało, ale to Brady sprawowałby kontrolę nad pieniędzmi. A teraz... Teraz pewnie to ona wszystko dziedziczy.
Mnóstwo pieniędzy. Kobieta o jakoby ograniczonych zdolnościach umysłowych.
Która na własne życzenie wypisała się ze szpitala, gdy tylko dowiedziała się o śmierci brata.
Grayson się zamyślił. Czy możliwe, by Padgett Long, która od piętnastu lat przebywała w zakładzie psychiatrycznym, w jakiś sposób zaplanowała i zorganizowała zabójstwo brata?
- Nie! - rzucił głośno, idąc do kuchni. Szukał Alvarez. Coś tu jest nie tak, myślał. Wyjrzał na dwór. Śnieg utrudniał pracę helikopterów Niebo to rozjaśniało się, to zasnuwało nowymi śnieżnymi chmurami.
Padgett nie mogła mieć nic wspólnego ze śmiercią brata. To niemożliwe. Prawda? Ale jego myśli już weszły na mroczną ścieżkę. Nalał sobie kawy, chwycił jedno z ciasteczek Joelle i szukał motywu.
Jeśli ktoś go miał, to Padgett Long z pewnością była na tej liście, choć sama nie pociągnęła za spust.
Myślał o jej wypadku, ostatnio ponownie przeglądał tamte akta. Brady'emu postawiono zarzut zaniedbania, ale nie stanął przed sądem, czy to dzięki wpływom Huberta, czy dlatego, że był wówczas niepełnoletni. A może sprawę rozstrzygnięto polubownie. W każdym razie dochodzenie zarzucono niemal natychmiast.
A Padgett zniknęła w zakładzie.
Ale umiała sama się z niego wypisać i wsiąść do samolotu?
Spojrzał na resztki ciasteczka - zadek renifera. Nie zorientował się nawet, że pożarł łeb, rogi i kopyta. Zjadł je do końca, otrzepał okruszki z palców i zawrócił do biurka Alvarez.

- Dobra, Chilcoate, co mamy? - Santana wszedł do jego domku.
Gnał jak wariat śliską szosą. A teraz żądał odpowiedzi, do cholery. Cały czas myślał tylko o Pescoli i o tym, co przechodzi.
Jeśli jeszcze żyje.
Ten strach nie dawał mu spokoju od dwóch dni. Teraz musi działać!
Nie ma czasu do stracenia! Choćby przyszło mu przeszukać całe góry gołymi rękami, zrobi to. Musi ją odnaleźć. Dosyć czekania.
- Nie pytaj, jak zdobyłem te informacje. - Chilcoate zamknął za nim drzwi. Zawahał się, walczył ze sobą.
- Mam w nosie, skąd to wiesz. Mów!
- Czekaj. Nie powinienem tego robić. Pieprzony MacGregor!
- Mówiłeś, że pomożesz, że...
- Mam, czego chciałeś - Chilcoate wpadł mu w słowo. - Nie o to chodzi. - Machnął ręką ze zniecierpliwieniem i ruszył w stronę wąskich schodów. - Chodź. Wszystko jest na dole.
Poprowadził go do zakurzonej piwnicy, która wyglądała, jakby od lat nie stanęła tu ludzka stopa, choć Santana zauważył kilka całkiem zręcznie ukrytych kamer. Chilcoate podszedł do ściany, wcisnął guzik i oczom Santany ukazało się kolejne pomieszczenie - mały arsenał komputerów, drukarek, modemów, skanerów i innych zdobyczy techniki. Wyglądało jak punkt dowodzenia tajnymi operacjami. Z ukrytych głośników płynęła piosenka *All Along the Watchtower* Jimiego Hendriksa.

- Nigdy tego nie widziałeś - zastrzegł Chilcoate, wchodząc do środka. - MacGregor powiedział, że jesteś w porządku.
- Nawet mnie tu nie było.
Chilcoate skinął głową.
- Nie mam wiele - zaczął. - Ale to chyba coś ważnego. Dziennikarz z „Mountain Reporter" dostał wiadomość od mordercy i napisał już o tym artykuł, który wysłał na swój adres elektroniczny. Dołączył też skany listów, które tamten mu przesłał.
- Włamałeś się na serwer gazety?
Chilcoate pokręcił głową.
- Żadnych pytań.
- Dobrze.
- Pytałeś też o Brady'ego Longa i jego siostrę. Dowiedziałem się, że opuściła Seattle, znalazłem ją w samolocie do San Francisco.
- Pomyłka. Jest w zakładzie dla psychicznie chorych.
- Już nie.
- Ale ona nie mówi! Nie odezwała się słowem od piętnastu lat. Jak to możliwe, żeby...?
Chilcoate rozłożył ręce.
- Mówię ci, czego się dowiedziałem. Mam jej plan podróży. Kupiła bilet i leci do San Francisco.
- Dlaczego? Co to wszystko znaczy?
- Ty mi powiedz. - Chilcoate przyglądał mu się badawczo.
- Myślisz, że jest w to zamieszana? - Santana sam w to nie wierzył. To wszystko było nierzeczywiste; nowoczesny sprzęt w piwnicy bez okien, ostre światło, a do tego akompaniament - riffy Jimiego.
- Nie wiem. - Chilcoate pokręcił głową. - Ale to ciekawe. Dowiem się czegoś więcej o jej pobycie w Mountain View. Z ich danych wynika, że nigdy dotąd nie opuszczała ośrodka.
- Ale miewała gości?
- Tak. I przyjmowała rozmowy telefoniczne. - Sięgnął na biurko, wziął plik wydruków. - Oto co mam z serwera redakcji. -Wręczył go Santanie. - To nie może opuścić tego pomieszczenia. Obyś miał dobrą pamięć.
Santana burknął coś niewyraźnie, pogrążony w lekturze. Artykuł opowiadał, jak to morderca skontaktował się z Mannym Douglasem i przesłał mu kopie listów, które zostawiał przy ofiarach. Douglas wywnioskował, że morderca wykorzystuje inicjały kobiet i układa z nich swoje przesłanie. Ostatnia kartka głosiła:

BEWAR THE SC ION' H

Santana wpatrywał się w nią intensywnie. W myślach dodał inicjały Pescoli.
- *Beware the scorpion's wrath,* Strzeż się gniewu skorpiona - wyszeptał. Pobladł, cytując słowa Ivora. Patrzył na mały arkusik i nagle wszystkie kawałki układanki znalazły się na swoim miejscu. Zmiął kartkę w dłoni.
- Co ty wyprawiasz?
- Dzisiaj już to słyszałem - powiedział zdławionym, martwym głosem.
- Od kogo? - zdziwił się Chilcoate.
- Od ojca mordercy. - Santana dałby sobie rękę uciąć, że to prawda.
Seryjnym zabójcą z Bitterroot jest Billy Hicks.

Alvarez ciągle nie było przy biurku, choć Grayson wiedział, że przyszła już do pracy.
W głowie kłębiły mu się dziesiątki pytań bez odpowiedzi. Zajrzał do pokoju operacyjnego. Tam także temperatura skoczyła niebotycznie wysoko. Zmianę Zoller przejął Scott Earhardt,

młodszy detektyw. Ociekał potem mimo uchylonego okna. Na stole nadal poniewierały się papierki po gumie do żucia i puste kubki po kawie z wcześniejszych spotkań. Spotkań, które na razie nic nie dały.

Alvarez stała przy mapie. Zobaczyła Graysona i rysy jej twarzy stężały.
- O Boże! - szepnęła, blednąc. - Znaleźli którąś? O'Leary? Pescoli?
- Nie. - Pokręcił głową. - Ale dzwoniła Chandler. Hubert Long zmarł dziś rano. A Padgett wyfrunęła z gniazda.
- Jak to?
Opowiedział jej o tym, jak wypisała się z zakładu i kupiła bilet do San Francisco.
- Zaledwie kilka godzin temu rozmawiałam z jej lekarką. Dzwoniła, kiedy byłam na ranczu Longa i przesłuchiwałam Clementine i Rossa - sapnęła Alvarez.
- Wypisała się trochę później, kiedy się dowiedziała o śmierci Brady'ego.
- Wypisała się... - Alvarez pociągnęła nosem i z niedowierzaniem pokręciła głową. - Nie pojmuję tego. Myślisz, że udawała psychicznie chorą?
- Mało prawdopodobne.
- Niewyobrażalne! Przyznał jej rację.
- Piętnaście lat to kawał czasu.
- Nie myślisz chyba, że ma coś wspólnego ze śmiercią brata?
- Niby jakim cudem? - zapytał. Przyglądali się sobie.
- A gdyby nawet... po co tyle czekać? Skoro znała zabójcę, czemu go nie zatrudniła od razu?
- Może wtedy nikogo nie miała. Może poznała go tam, a on potem zawędrował tutaj... Jezu, nie wiem. - Otarł pot z czoła. -Gorąco tu jak w piekle. - Zerknął na mapę. - Zapomnijmy o Padgett. Co masz?
- Coś nie daje mi spokoju... Właściwie kilka spraw. Popatrz tylko. - Wskazywała punkty na mapie oznaczające miejsca, w których znaleziono ciała i samochody. - Nie dostrzegliśmy żadnej zbieżności, żadnego wzorca w ich rozmieszczeniu, ale wszystkie znajdują się w promieniu piętnastu kilometrów od Mesa Rock i jeziora.
Kiwał głową. Nic nowego.
- Szukaliśmy tam.
- Może.
- Do czego zmierzasz?
- Zacznijmy od przełęczy Horsebrier, gdzie załatwił Pescoli. - Wskazała punkcik na mapie. - Idź na północ i masz Mesa Rock, górę, z której, jak twierdzi Ivor, porwali go kosmici. Idź dalej i masz kanion Wildfire, gdzie znaleźliśmy Wendy Ito. Jej priusa wyciągnęliśmy stąd. - Przesunęła palec do kolejnego punktu. - Tu mamy Ninę Salvadore. - Pokazała inne miejsce.
Grayson spocony i zmęczony, słuchał tego, co wiedzieli od dawna.
- No dobra, więc wszystko się dzieje blisko Mesa Rock, skąd Ivora porwali kosmici. Czyli co, nasze morderstwa mają coś z tym wspólnego? - Miało wypaść zabawnie, ale słyszał irytację w swoim głosie. - Nie myślisz chyba, że to Ivor. To chodząca butelka wódki. Jest szurnięty. Nie byłby w stanie tego zaplanować.
- Nie, nie myślę, że to Ivor - zapewniła Alvarez. - Tak, jest wiecznie pijany. Tyle razy już go zgarnialiśmy, że prosi, by nie zawiadamiać jego syna. Ale nie, to nie jest tylko szurnięty staruszek. To jedyny człowiek, który był na miejscu dwóch zbrodni, tam, gdzie zabito Wendy Ito i Brady'ego Longa.
- Longa znalazł Santana.
- Ale Ivor tam był. - Wskazała mapę. - Mesa Rock dotyka terytorium Longów, prawda?
Grayson uważniej przyjrzał się mapie.

- Owszem - wycedził powoli. - Przed laty Hubert senior, dziadek Brady'ego, chciał kupić więcej ziemi w tej okolicy. Góra znajduje się na terenach federalnych, ale niedaleko jest stara kopalnia. Nie miedzi. Chyba złota. Może srebra. Właściciel nie chciał jej sprzedać.
- Czyli kto?
- Już nie pamiętam. - Grayson zmrużył oczy. - Ale to chyba własność rodziny Kressów. Tak ją kiedyś nazywano. Kopalnia srebra Kressów. - Spojrzał jej w oczy. - Ivor Hicks ożenił się z Lilą Kress.
- I nadal tam mieszka - dodała.
- Co ci chodzi po głowie?
- Jego syn? Billy Hicks?
- Nie... - Grayson z niedowierzaniem pokręcił głową.
- Billy, zdaje się, też mieszka niedaleko? Na tej samej posesji? Znał Padgett i Brady'ego. Ma własny warsztat, sam sobie wyznacza godziny pracy. I jest członkiem ochotniczej straży pożarnej, a my mamy wspólny serwer z remizą. Nie tak trudno z ich komputera włamać się do nas. Być może od samego początku obserwował śledztwo.
- Billy Hicks to swój człowiek - sprzeciwił się Grayson. - Spędził tu całe życie! - Ale wszystko układało się w przerażająco spójną całość, a światełko w oczach Alvarez i jej zaciśnięte usta świadczyły, że jej zdaniem to właśnie Billy jest mordercą.
- To, że jego ojciec ma nierówno pod sufitem, nie oznacza, że syn też jest głupi.
- O nie, wręcz przeciwnie. Widziałem jego podanie, gdy ubiegał się o pracę. - Podrapał się w szczękę.
- Nie przyjąłeś go?
- Nie mieliśmy wakatów, wstrzymano rekrutację, zresztą często wdawał się w bójki... Jezu Chryste...
- Musimy go zgarnąć - zdecydowała.
- Pojedziemy do niego, pogadamy, poszukamy dowodów. -Grayson studził jej zapędy. - Bo jeśli się mylisz...
- Nie mylę się. Ma Regan.
- Cholera. - Jednocześnie ruszyli do drzwi, ale ledwo zrobili trzy kroki, gdy odezwała się komórka Graysona. Spojrzał na wyświetlacz. - To Kayan - mruknął i wcisnął guzik połączenia.
- Wygląda na to, że mamy następną, szeryfie - oznajmił Kayan Rule głosem pozbawionym emocji.
- Kolejną? - Wymienili z Alvarez spojrzenia. - Gdzie?
- Rozpadlina North Star. Przywiązana do drzewa. Znalazły ją dzieciaki, które w taką pogodę wybrały się na sanki.
- Zidentyfikowaliście ją?
- Nie, ale to nie Pescoli, jeśli o to pan pyta.
Tak, o to. Nagle poczuł ulgę i zarazem wyrzuty sumienia.
- Podaj dokładne namiary - zażądał. - Już jedziemy.
- To nie... - Alvarez nie dokończyła.
- Nie. To nie Pescoli.
Jeszcze nie.

Rozdział 30

Santana biegiem wypadł z domku Chilcoate'a i pognał do wozu. Wyjął komórkę, wybrał numer Alvarez.
- Odbierz, do cholery - mruknął. Wrzucił wsteczny bieg, wykręcił, wcisnął gaz do dechy.

Połączył się z pocztą głosową.
- Cholera! - Nagrał się: - Tu Nate Santana. Proszę do mnie zadzwonić. Wydaje mi się, że morderca ukrywa się w kopalni srebra Kressów i tam przetrzymuje Regan. - Pruł jak szalony, wyjechał z krętego podjazdu przed domem Chilcoate'a i skręcił na północ.
Ivor Hicks, stary świr, wygadał się. Ale to nie on, nie on musiał się strzec gniewu skorpiona. To jego syn.
Trudno w to uwierzyć.
Billy Hicks mordercą?
Na pewno! Na sto procent!
- Cholera, cholera, cholera... - Santana przeklinał pod nosem i pędził na złamanie karku, aż śnieg pryskał spod kół. Upiorne szkieletowate brzozy migały za oknami samochodu.
Strach o Regan doprowadzał go do szału, ale usiłował się skupić, wracał pamięcią do czasów, gdy wszyscy byli dziećmi - on, Billy, Padgett i Brady.
Włączył wycieraczki i przeklinał padający śnieg, choć spoza chmur wyglądało błękitne niebo - oznaka, że burza ma się ku końcowi.
To prawda, że Billy Hicks od początku traktował Padgett jak swoją własność, był bardzo zaborczy, ale nie on jeden. Santana także pragnął wtedy mieć ją tylko dla siebie. Wszyscy napaleni chłopcy z okolicy marzyli o Padgett. Była piękna, inteligentna i inna niż koleżanki ze szkoły. Bogata, wyrafinowana, zmysłowa. I zjawiała się tu tylko w wakacje i na Boże Narodzenie.
- Świeże mięsko - mruknął kiedyś Gerald Cartwright, czym doprowadził Billy'ego do szału. - Ciałko pierwsza klasa.
Skończyło się bójką i Gerald trafił do szpitala z złamanym nosem.
Santana pamiętał, jak wtedy uznał, że Cartwright miał szczęście. Billy jako dzieciak był bardzo wybuchowy, ale wydawało się, że gdy dorósł, nauczył się nad sobą panować.
Santana skręcił w boczną drogę. W oddali wznosił się Mesa Rock, wierzchołek o płaskim szczycie, który górował nad opuszczoną kopalnią srebra Kressów i ranczem Longa.
- Pod samym nosem - mruknął. Zerknął w boczne lusterko. Zaciskał wargi w wąską linię, jego oczy przybrały barwę obsydianu, kąciki ust krzywiły się z niesmakiem. Gdyby wcześniej dodał dwa do dwóch, gdyby wcześniej pomyślał, może Regan uniknęłaby w ogóle porwania.
Zmełł przekleństwo, gdy droga zakręciła gwałtownie. Na szczęście ruch był niewielki; dzięki Bogu.
Zmienił biegi i pomyślał o Bradym. Co za dupek. Znali się z Billym, ot, dziecinne przyjaźnie, ale to było dawno temu. Dlaczego Billy go zabił?
Kto to może wiedzieć?
Musi zawiadomić policję. Alvarez była poza zasięgiem, więc wybrał numer 911.
Dyspozytorka odebrała po pierwszym sygnale.
- Dzień dobry, w czym mogę pomóc?
- Mówi Nate Santana. Szukam detektyw Alvarez lub kogoś z policji. Szybko!
- W jakiej sprawie?
- W ważnej, do cholery. Wiem, kto zabija te kobiety i gdzie go znaleźć.
- Czy ktoś jest ranny?
- Zginęło pięć kobiet!
- Proszę pana...
- Proszę przekazać wiadomość detektyw Alvarez albo szeryfowi Graysonowi z okręgu Pinewood. Jadę do kopalni srebra Kressów, koło Mesa Rock. Wydaje mi się, że tam je przetrzymuje. Billy Hicks, morderca.
- Proszę zostać na linii...

Zobaczył samochód jadący z przeciwka. Kobieta za kierownicą chyba straciła panowanie nad pojazdem. Cholera!
Upuścił telefon na siedzenie pasażera.
Koła minivana ślizgały się, na próżno szukały oparcia, wóz zatańczył na oblodzonej nawierzchni.
- Cholera.
Oślepiła go światłami.
Nate zjechał na skraj szosy, ale nie zwalniał.
- Nie wjedź we mnie - mruknął pod nosem. - Opanuj się, kobieto!
W samochodzie siedziała grupa dzieci, a za kierownicą zapewne ich matka albo opiekunka.
Przejechała linię dzielącą pasy, koła wypadły z kolein pozostawionych przez inne wozy.
Santana nie miał czasu na wypadek czy zwłokę. Skręcił w prawo i znalazł się niebezpiecznie blisko krawędzi, za którą krył się rów, teraz niewidoczny pod śniegiem. Musi ją minąć!
Jechała prosto na niego.
Dodał gazu i minął ją o centymetry. Z trudem odzyskał panowanie nad wozem.
Zerknął w lusterko. Minivanem zarzuciło kilka razy, ale w końcu kobiecie udało się wskoczyć na właściwy pas jezdni.
- Wracaj do domu - mruknął pod nosem. Był zlany potem. -Idą święta.
Samochód znikł mu z oczu. Podniósł telefon, ale połączenie przerwano. Wycieraczki przesuwały się po czystej szybie. Wyłączył je i docisnął gaz do dechy.
Przed nim jeszcze piętnaście kilometrów krętych, śliskich dróg, zanim dotrze do kopalni i Regan.
I co dalej? Co zrobisz, gdy już tam będziesz? Jak ją znajdziesz? Kopalnia to kilometry podziemnych korytarzy. Niby jak znajdziesz Regan, zanim będzie za późno?
Znał odpowiedź na to pytanie.
Zacznie od domu Billy'ego.
Tam znajdzie wskazówki, gdzie gad przetrzymuje ofiary.
Może. A jak ci nie powie?
O nie, pomyślał, nie ma takiej opcji.
Przy odpowiedniej perswazji Billy powie wszystko.
Zazwyczaj Santana unikał przemocy, pracował ze zwierzętami, z którymi komunikował się dotykiem. Ale jeśli chodzi o ludzi, zwłaszcza brutalnych i okrutnych, miał sposoby, by wydobyć z nich wszystko, co wiedzą. Zasługa armii USA.

Suka się nie poddaje.
Biegnę za nią równym krokiem, oddycham ciężko.
Widzę, jak się potyka i spada. Idiotka. Nie widziała, że to niebezpieczne miejsce? Spada coraz szybciej, w głąb wąwozu. Zbiegam krawędzią urwiska, cały czas mam ją w polu widzenia, trzymam się jeleniej ścieżki, która prowadzi w dół.
Krzyczy, coś wypada jej z ręki. Kij... Nie, suka miała nóż! I to mój! Zgubiła go, nie znajdzie w śniegu.
Jest coraz gorzej.
Tracę kontrolę.
Ogrania mnie wściekłość.
Myśli, że może mnie okraść?
I pociąć moim własnym nożem? Zasłużyła na wszystko, co ją spotka, i jeszcze więcej! Leci w dół, ja biegnę ścieżką. Nie spuszczam jej z oka.
W końcu zwalnia, zatrzymuje się, z trudem dźwiga na nogi. Rusza chwiejnym krokiem, jestem coraz bliżej.
Po raz pierwszy odczuwam satysfakcję.

Już długo nie wytrzyma.
Śnieg przestał padać, na niebie widać plamy błękitu. Przeskakuję zwalony pień. Łasica, biały cień z czarną plamą ogona, znika w zaroślach. Biorę to za dobry znak.
Tak, pod wieloma względami to idealny dzień na jej śmierć.
Oczywiście wolałbym najpierw ją złamać.
Zmusić, by stała się ode mnie zależna.
Niech myśli, że się we mnie zakochała.
Niech mnie pragnie.
Niech mi się odda.
Chciałbym widzieć nadzieję w jej oczach, gdy sobie wyobraża, że biorę ją tak, jak ten drań Santana.
Och, przy mnie od razu by o nim zapomniała!
Pieprzyłbym ją do utraty tchu.
Zostawił, rozpaloną, zdyszaną, obolałą.
Oczywiście wcale bym tego nie zrobił. To nie figuruje w moim planie, a od planu nie ma odstępstw. Owszem, zostawiłem dwie jednego dnia, najpierw Brandy, potem Elyssę. Miało być odwrotnie, ale nie mogłem zostawiać Brandy zbyt długo samej, zbyt wiele było w niej woli walki, nawet kiedy już mi ufała.
Jeśli chodzi o złamanie Pescoli, trwałoby to za długo, wiązałoby się ze zbyt dużym niebezpieczeństwem. W pewnym sensie tak jest nawet lepiej. Ten pościg. Z satysfakcją zostawię ją w lesie, już zaraz, teraz. Mam ze sobą aparat, mały młotek i list. Zawsze mam to wszystko przy sobie, w mojej specjalnej kurtce do zabijania.
Poprawiam zwój sznura na ramieniu i czuję w żyłach elektryzujący dreszcz oczekiwania, przypływ adrenaliny, który dodaje mi sił. Moje nogi poruszają się płynnie, choć suche zimne powietrze pali w płucach.
Jak się poczuje Grayson, kiedy w końcu ją znajdzie?
Będzie zrozpaczony?
Załamany?
Wściekły?
Wszystko naraz?
I dobrze!
Dalej. Już się cieszę na myśl, że policjanci znajdą jedną ze swoich, nagą i martwą. Wtedy zrozumieją: nikt nie jest niezniszczalny. Nawet, ty, Grayson, ty świętoszkowaty dupku. I co, nadal uważasz, że się nie nadaję? Że jestem nikim? Ja, żałosny syn wariata i dziwki?
- Strzeż się gniewu skorpiona - mówię cicho. Ostrzeżenie unosi się nad ośnieżonymi drzewami, spływa na zamarznięte potoki, wypełnia las drżeniem oczekiwania.
Ile razy ta suka, moja matka, szeptała te słowa, zanim spuściła mi lanie - cienkim wąskim paskiem, który boleśnie wbijał się w gołe pośladki? Ile razy kazała mi stać nago w kącie? A ja dygotałem ze strachu i płakałem, i czekałem, aż zaatakuje. A ona pastwiła się nade mną i opowiadała o Orionie i ukąszeniu skorpiona, które zabiło wielkiego myśliwego. O tak, powtarzała tę historię z rozkoszą, napawała się nią tak samo, jak biciem.
Chora, podła kobieta!
A ja to znosiłem. Znosiłem jej okrucieństwo i gniew, a kochany tatuńcio udawał, że niczego nie widzi i uciekał w alkohol, aż zostawił rozum w butelce.
O tak, matko. Karałaś mnie, aż do tamtego dnia, gdy - już dwunastoletni - stawiłem opór. Byłem twojego wzrostu i równie silny. Powiedziałem, że się nie rozbiorę. Odebrałem ci pasek i przysiągłem, że cię zabiję, jeśli jeszcze raz mnie uderzysz!
No, ale i tak wygrałaś. Wykręciłaś mi jeszcze jeden numer, upokorzyłaś po raz ostatni. Niecały tydzień później wyszłaś z domu i umarłaś. Wygrałaś, zostawiłaś mnie samego ze starym pijakiem, który wierzył w UFO. Musiałem znosić litość całego miasteczka.

Słyszałem, jak szepczą za moimi plecami. Obgadują mnie od lat. Śmieją się ze starego capa i tego biedaka, jego syna.
Bolą mnie zęby, gdy o tobie myślę.
Otrząsam się jak ze snu. Zmarnowałem za dużo czasu, dumając o przeszłości, a Regan mi ucieka. Zamyślony, biegłem instynktownie, w dobrym kierunku, ale nie udało mi się zmniejszyć odległości między nami.
Koniec z tym!
Koncentruję się.
Przyspieszam.
Czuję, jak bije mi serce, a lina wrzyna się w ramię. Nie zdejmuję dłoni z rękojeści noża i oto przestrzeń między nami się zmniejsza. Gnam coraz szybciej, oddycham zimnym powietrzem, skupiam całą swoją uwagę na ofierze.
Wpatruję się w jej kształtne pośladki.
Jest zmysłowa w specyficzny, mroczny sposób.
A teraz zwalnia. Dyszy ciężko. Jej silne nogi już nie dają rady.
A więc pójdzie łatwo, stwierdzam z satysfakcją.

Brandy Hooper nie żyła, była sina, otarcia na rękach zdradzały, że walczyła do końca, usiłowała pozbyć się sznura, którym przywiązał ją do wysokiej jodły. Na korze morderca wyrył gwiazdę, a pod nią przybił wiadomość. Alvarez zdjęła kartkę. Podmuch zimnego wiatru szarpał arkusikiem, poruszał sztywnymi włosami martwej dziewczyny. Zgodnie z przewidywaniami notatka była identyczna jak ta, którą otrzymał Manny Douglas.
- Boże, zlituj się nad nami - szepnęła Alvarez. Ogarnęła ją wściekłość. Instynktownie, po raz pierwszy od bardzo dawna, przeżegnała się; był to automatyczny ruch, wspomnienie z dzieciństwa. Ledwie zdała sobie sprawę, co zrobiła, speszyła się i zaczerwieniła mimo chłodu.
Co ją ugryzło?
Są święta Bożego Narodzenia, a ty umierasz ze strachu. Odchrząknęła. Spojrzała na martwą kobietę, która chciała zostać lekarzem, poświęcić się ratowaniu innych.
- To znaczy, że Elyssa O'Leary też nie żyje - stwierdziła grobowym głosem.
- Nie wiemy tego na pewno. - W głosie Graysona był upór. Pokręcił głową, jakby nie dopuszczał do siebie tej myśli.
A Pescoli? Co z nią? Alvarez cały czas myślała o partnerce. Gdzie ona jest? W jakim stanie?
O Boże. Znowu chciała się przeżegnać. Ta sprawa ją wykańcza.
Eksperci kryminalistyki już tu byli, otaczali teren żółtą taśmą.
- Dosyć już widziałam - stwierdziła, odwracając się. Czuła, jak czas przecieka im przez palce. Brandy Hooper już nie pomogą, ale może jeszcze uratują Elyssę O'Leary. Kogo chcesz oszukać? Sama powiedziałaś, że nie żyje. Wiesz o tym.
Ale Regan Pescoli... Ona jeszcze nie zginęła. Boże, oby tak było. Muszą ją odnaleźć.
- To Billy Hicks - powiedziała. Czuła to w głębi duszy. Hicks podbijał stawkę. A jeśli znowu zabije? Co go powstrzyma?
- Sprawdźmy go - zdecydował Grayson.
Przejaśniło się na tyle, że mogły wystartować helikoptery i Grayson zarządził poszukiwania w okolicy starej kopani srebra Kressów. Alvarez to nie wystarczyło.
- Musimy mieć dowody - sapnął Grayson, gdy szli do jej dżipa. - Coś, co połączy Billy'ego ze zbrodniami.
- Znajdziemy je. - Już wsiadała do wozu. - Jedźmy do niego.
- Szybko - mruknął Grayson ponuro.

O Boże, Boże, nie poddawaj się. Nie!

Brakowało jej tchu, po głowie błąkały się setki myśli: jak się uratować? Hicks był coraz bliżej; nie ma czasu.
Śnieg przestał padać, widoczność się poprawiła. Jednak słońce, które odbijało się od śnieżnej połaci, oślepiało i nadal nie wiedziała, gdzie jest.
Jeśli dojdzie do walki wręcz, przegra.
Zgubiła nóż i jej jedyną broń stanowił śrubokręt.
Musi go przechytrzyć.
W jakiś sposób.
Konała ze zmęczenia.
Wysiłek pozbawił ją energii, nie mogła myśleć.
Brnęła naprzód, chciwie łapała ustami powietrze, gnała w dół zbocza, nie wiedząc, dokąd ją zaprowadzi. Za linią drzew dostrzegła wielką polanę, dziwnie gładką, otoczoną lasem.
Jak to? Dlaczego tu jest tak równo?
Jezioro!
Zamarznięte jezioro. Śnieg na lodzie.
Jeśli dopadnie tafli, Hicks wbiegnie za nią na lód. Jest od niej cięższy o dobre trzydzieści kilogramów, do tego niesie zwój ciężkiej liny. Jest nadzieja, że lód załamie się najpierw pod nim.
To wariactwo. Załamie się także pod tobą i utoniesz.
Ale on również.
Nie ma innego wyjścia.
Wszystko lepsze, niż poddać się bez walki.
Dalej, Billy. Czekam!

Rozdział 31

Właściwie nie powinno mnie to dziwić.
Biegnę za nią i już wiem, że to idiotka.
Pescoli, niby taka mądra pani detektyw, jest jak ci wszyscy durnie z policji, którzy odrzucili moje zgłoszenie. No popatrz tylko, Grayson. Jak się teraz czujesz? Jesteś pośmiewiskiem całego kraju! Tak jest, dupku, dziennikarze nawet z końca Stanów, z Nashville i Los Angeles pomiatają tobą! I to ja zrobiłem z ciebie kretyna, nieudacznika, fajtłapę. No to pij to piwo, coś go sobie nawarzył!
Dlaczego ta idiotka biegnie na jezioro? Kolejna durna decyzja!
Pewnie Regan Pescoli też się ze mnie śmiała, nie raz i nie dwa. Zawsze, kiedy przyjeżdżałem po mojego żałosnego ojca, który odsypiał pijaństwo w celi.
O tak, świetnie się bawiła moim kosztem. Suka! Taka sama jak one wszystkie. Pospolite, głupie, okrutne dziwki!
Tylko Padgett była inna. Dobra.
Na samą myśl o niej coś ściska mnie za gardło.
Śliczna.
Mądra.
O inteligentnych błękitnych oczach i kochających dłoniach.
Ona jedna się nie śmiała.
Ona jedna nie unikała syna rąbniętego Ivora.
Nawet kiedy jej ojciec zabronił nam się spotykać, wymykała się do mnie. Wtedy, przed laty, zastanawiałem się, czy przypadkiem nie jest to tylko akt buntu, ale miałem to w nosie. Wygrałem główną nagrodę! Była jedynym jasnym punktem w moim żałosnym życiu.

Uśmiecham się na myśl o niej, tracę równowagę, ale zaraz biorę się w garść. Jestem już zmęczony, tracę oddech, mam skurcze w nogach. Muszę to szybko skończyć.
Dla siebie.
Dla Padgett.
Obiecałem jej, wtedy, gdy kochaliśmy się pod letnim rozgwieżdżonym niebem, że nigdy nie pozwolę jej skrzywdzić.
Oczywiście nie dotrzymałem słowa.
Skąd mogłem wiedzieć, że Brady nas śledził? Że nas sfotografował, jak się kochamy? Że uwiecznił jej nagie piersi i mnie, gdy w niej szczytuję? Kto by pomyślał, że zniszczy coś tak pięknego, że pokaże te zdjęcia ojcu?
Stary się wściekł, zabronił nam się spotykać. Jakby tego było mało, Padgett popełniła straszny błąd, wsiadając do łódki z bratem.
Cudem przeżyła.
Ten drań usiłował ją zabić!
Jestem święcie przekonany, że Brady pragnął jej śmierci. No cóż, teraz sam nie żyje.
Zginął z mojej ręki. Za sprawą mojej cierpliwości. W ciągu minionych lat było mnóstwo sytuacji, gdy byłem tak blisko, że mogłem go udusić gołymi rękami albo wbić nóż w jego czarne serce. A ja czekałem. Jeszcze nie nadszedł jego czas.
Teraz jednak wszystko wyszło idealnie.
A Brady krwawił i patrzył na mnie. Wiedział, że to ja go zabiłem, zrozumiał, że wreszcie przyszło mu zapłacić za grzechy.
Wszystko poszło zgodnie z planem. Poza Pescoli. Ale to już kwestia minut.
Patrzę, jak biegnie w stronę jeziora. O co jej chodzi? Pcha się na lód? A zatem skończyły się jej pomysły. Dobrze.
Mobilizuję się, jestem już na tyle blisko, że widzę strach w jej oczach, gdy za siebie się ogląda.
Tak jest, pani detektyw. Nadchodzę.
Regan gnała prosto przed siebie, na białą taflę. Słonce odbijało się od kawałków lodu nieprzykrytych śniegiem. To jej jedyna szansa.
Ponownie zerknęła przez ramię.
O Boże, jest tak blisko, jakieś dziesięć metrów za nią!
Uśmiechał się, ale nagle, jakby zdał sobie sprawę, o co jej chodzi, pokręcił głową.
- Zatrzymaj się, ty głupia...
Nie czekała na dalsze obelgi.
Oszalałe bicie serca i huk krwi w uszach zagłuszały jego słowa.
Biegła przed siebie mimo przeszywającego bólu. Zostawiała za sobą ślad, który prowadził go prosto na jezioro. Poślizgnęła się, gdy wbiegła na taflę, lód był tuż pod śniegiem.
- Nie! - Głos Hicksa niósł się echem nad jeziorem, a ona biegła coraz dalej i cały czas czuła pod sobą niewzruszoną twardość lodu. Kierowała się na środek jeziora. To Cougar Basin, pomyślała, widząc w pobliżu Mesa Rock. Wiedziała w końcu, gdzie jest.
Gdyby tylko mogła wezwać pomoc. Powiedzieć im. Ale jest sama, a ciszę przerywa jedynie jej chrapliwy oddech.

Szkoda, że nie zabrałem broni. Mojej strzelby albo chociaż jej pistoletu.
Ale kiedy w pośpiechu wysiadałem z samochodu, kiedy w panice ruszałem w pogoń, zostawiłem broń w pikapie i zabrałem tylko sznur. Wtedy mi się wydawało, że huk wystrzału może zwrócić na mnie uwagę, że nie powinienem używać broni palnej tak blisko mojego domu.

I nie chciałem do niej strzelać. Cóż to za przyjemność. Gdyby o to mi chodziło, mógłbym wszystkie wybrane kobiety odstrzelić w samochodach, podczas jazdy, nie zabierałbym ich do siebie, nie taszczył na własnych plecach, nie leczył, nie wzbudzał ich zaufania i miłości...
Więc nie wziąłem broni, nawet żeby ją postraszyć, bo wiedziałem, że na nią to i tak nie podziała. No i, powiedzmy sobie szczerze, liczyłem, że łatwiej będzie ją złapać.
A teraz biegnie prosto na jezioro! Owszem, jest zamarznięte, pewnie nawet na środku pokrywa lodowa ma kilkanaście centymetrów grubości, ale to jednak niebezpieczne.
- Stój! - wołam za nią, ale ta idiotka biegnie dalej, ślizga się na dziewiczej połaci.
Ruszam za nią. Lód jest solidny. Nic nie trzeszczy. Chyba wszystko w porządku.
Chyba.
Dogonię ją.
Ale muszę uważać, nasłuchiwać tego zdradzieckiego trzasku, który niesie śmierć.
- Nie masz wyjścia! - wołam za nią, ale nawet nie zwalnia. Mogłem się spodziewać, że będzie z nią więcej zachodu, niż jest warta. Dlaczego jej nie doceniłem?
Ogarnia mnie furia.
Czas to skończyć. I to już.
Pieprzyć ostrożność. Ruszam pędem, jakby gonił mnie sam diabeł.

Santana podjechał do domu Billy'ego Hicksa na tyle blisko, na ile starczyło mu odwagi. Ponadstuletnia chałupka stała niedaleko kopalni, na polanie wśród drzew. Zaparkował za kępą sosen i wpatrzony w budynek przekradał się przez las.
Zero ruchu koło domu.
Ciemne, martwe okna.
Pułapka?
Obserwował, świadom każdej upływającej sekundy, a myśl, że Regan jest gdzieś w pobliżu, dodawała mu sił. Ale wnętrze było ciemne, z komina nie unosił się dym. Dom wydawał się porzucony
Zobaczył ślady na śniegu. Ktoś tędy szedł i to ktoś drobniejszy niż potężny mężczyzna.
Regan?
Serce zabiło mu szybciej.
Poczuł dreszcz emocji.
Czyżby udało jej się uciec?
Nerwowo podszedł do drzwi, zajrzał do środka, ale zaraz stwierdził, że nikogo tam nie ma. Znalazł jednak ślady czyjejś obecności w ciasnym pokoju gościnnym.
Czy tutaj ją trzymał? Więził? Ale stąd chyba nie zdołałaby uciec?
Szukał dalej i trafił do drugiej sypialni o nagich, surowych ścianach. Łóżko zasłano z wojskową precyzją.
Pokój Hicksa.
A może przyprowadził ją tutaj? Rozebrał... Przywiązał do łóżka i...
Nie! Z prasy wiedział, że morderca, choć okrutny, nie gwałcił ofiar.
Wrócił do saloniku. Ogień na kominku wygasł. Drzwi prowadziły do podziemnych tuneli.
Czy tam uwięził Regan?
Nie, ślady mówiły co innego.
Chyba że to tropy innej kobiety, innej ofiary, której inicjały służą mu za element dziwacznego przesłania.
Jednak dom wydawał się opuszczony.
Z podziemnych korytarzy nie dobiegał żaden dźwięk. Wyczuwał, że są puste.
A ślady na zewnątrz...
Świeże.

Z bijącym sercem zatrzymał się pośrodku i zamknął oczy, choć wyobraźnia podsuwała mu różne wizje losu Regan - jedną straszniejszą od drugiej.
Miejsce wydawało się martwe, nie wyczuwał żadnej istoty ludzkiej.
Cholera. Otworzył drzwi prowadzące do podziemi, wołał Regan na całe gardło, czekał, ale odpowiadało mu jedynie echo.
Nic.
Zero.
Ani jej głosu, ani szczęku broni, gdyby to Hicks go usłyszał i się zaczaił.
Spróbował jeszcze raz.
- Regan, to ja, Nate! Gdzie jesteś? - wrzasnął co sił w płucach.
Jeśli Hicks gdzieś tu się zaczaił, Santana stracił element zaskoczenia.
Nic.
Żadnego ruchu.
Tylko martwe, zastałe powietrze.
Teraz musi zdać się na instynkt. Wyszedł na dwór i ruszył tam, gdzie kierowały go częściowo przykryte śniegiem ślady.

Alvarez gnała jak opętana, ostro brała zakręty, kierując się na wzgórza otaczające kopalnię Kressów. Tam był dom Billy'ego Hicksa.
Komórka wibrowała w jej kieszeni. Wyjęła ją na pierwszym prostym odcinku.
Grayson, szykując broń, właśnie rozmawiał z dyspozytorką. Gdy się rozłączył, przekazał jej wieści:
- Santana jakimś cudem wykombinował, że to Hicks.
- Właśnie słyszałam. - Wskazała na swój telefon. - Przekonajmy się, co wie. - Zahamowała na zakręcie, ale po chwili znowu nacisnęła pedał gazu. Przed nimi wznosiła się Mesa Rock.
Santana nie odbierał.
- Cholera - mruknął szeryf. - Pewnie bawi się w Chucka Norrisa. Gazu.
Posłuchała.

Santana umiał czytać tropy. Przy szopie, w której stał samochód Billy'ego, pojawiły się nowe ślady, większe. Zakładał, że mniejsze zostawiła kobieta, być może Regan, a większe zapewne Billy Hicks we własnej osobie.
Goni ją.
Bez wytchnienia.
Santana miał wyrzuty sumienia. Znał Billy'ego od dziecka. Powinien był wyczuć w nim brutalnego, bezlitosnego mordercę.
Dopadnij go.
Znajdź Regan.
W samochodzie leżały strzelba i pistolet.
Zabrał jedno i drugie.
Ruszył biegiem, obawiając się, że może być już za późno, ale pędził po śladach. Umierał ze strachu.
A jeśli już po wszystkim?
A jeśli znajdzie ją nagą i martwą, przywiązaną do drzewa?
Nie myśl o tym! Biegnij!
Rozdzwoniła się jego komórka i mało brakowało, a upuściłby ją, gdy na darmo usiłował otworzyć aparat w rękawicach. Zdenerwowany, ściągał jedną, gdy rozpoznał numer Alvarez, ale nie zdążył odebrać.
Biegł równym tempem, którego nauczył się w wojsku, patrzył przed siebie, nie spuszczając oczu z tropu. Wybrał numer Alvarez.

Odezwała się po drugim sygnale.
- Alvarez. - Zanim się przedstawił, rzuciła: - Odebrałam pańską wiadomość.
Dzięki Bogu.
- Wiemy, że to Hicks.
- Jestem niedaleko jego chaty. Jest pusta, ale w szopie od południowej strony stoi jego samochód. Sądząc po śladach, dwie osoby ruszyły na północ, przez las. Przypuszczam, że Pescoli uciekła, a on ją goni. Biegnę za nimi.
- To sprawa policji, Santana. Nie mogę panu pozwolić na...
- Pospieszcie się. I wyślijcie helikoptery niedaleko Mesa Rock, na południe od góry! - wyjaśnił jej w kilku słowach, czego się dowiedział, a na koniec dodał: - Sprowadźcie tu psy, helikoptery i skutery śnieżne. Kieruję się na północ. - Rozłączył się i przyspieszył.
Poślizgnął się lekko i zobaczył miejsce, gdzie trop się rozdzielał - Regan prawdopodobnie spadła w dół wąwozu, a Hicks ostrożnie schodził w dół po szlaku. Ruszył jego tropem. Gnał na złamanie karku, gałęzie drzew chlastały go po twarzy, śnieg osypywał się na włosy, ale pędził przez las ze zręcznością doświadczonego tropiciela.
Przeciął polanę na dole urwiska, dopadł świeższych śladów.
Jest coraz bliżej!
Mknął przez las, ciągle na północ. Nad jego głową szybował jastrząb.
Dokąd oni się kierują?
Co tu jest oprócz jeziora?
Jej śmierć. Zabije ją tutaj.
Santana biegł przez zimowy las, zaciskając dłonie na strzelbie i pistolecie, z każdym krokiem bliżej miejsca, które upatrzył sobie psychopata. Nie wiedział, ile dzieli go od celu, czuł jednak, że jest zdecydowanie za daleko.

Regan była już na środku jeziora, płuca płonęły jej żywym ogniem, nogi odmawiały posłuszeństwa, bezużyteczne ramię zawadzało.
Hicks był kilka metrów za nią.
Czekała, modliła się, błagała los, by lód się pod nim załamał. Na razie na próżno.
- Pescoli! To już koniec! - zawołał. On też sapał z wysiłku.
Biegła dalej.
- Mówię poważnie. - Miał w ręku nóż, był na tyle blisko, że mógłby go w nią rzucić.
Biegła dalej, zygzakiem, chciała go zmylić. Lód pod śniegiem był śliski, trudno było utrzymać równowagę. Słońce świeciło coraz mocniej, na niebie zostały już tylko nieliczne chmury, powietrze było rześkie, przyjemne.
Miała wrażenie, że na całym świecie zostali tylko oni, ranna, słabnąca kobieta i zdyszany morderca, który zmniejszył dystans między nimi. Brzeg był daleko, ośnieżone drzewa lśniły w słońcu.
- Już czas, Pescoli.
- A gówno. - O Boże, jest już bardzo blisko. Puls dudnił jej w uszach, oczy szczypały z zimna.
- Powiedziałem, już czas! - Zaatakował, rzucił się na nią, uniósł nóż.
Odskoczyła na bok, poślizgnęła się...
Łup! Uderzył ją, ale nadal stała.
- Cholera!
Poderwała się do biegu.
Ślizgała się.
Chciała go zostawić daleko za sobą.
Obejrzała się, nie mogła się powstrzymać.
Był jak rozjuszony byk. Wstał.

- Nie masz dokąd uciec. Poddaj się!
Znowu ją gonił, czerwony na twarzy, z oczami płonącymi nienawiścią. Ale zyskała trochę czasu.
Postaraj się go przewrócić, skocz na niego i wbij śrubokręt! Znowu był coraz bliżej. Słyszała za sobą jego ciężki oddech.
- Dlaczego? Dlaczego to robisz, Billy?! - zawołała. Chciała go zmylić, zaskoczyć, odwrócić uwagę.
Była tak blisko, niemal na wyciągnięcie ręki.
Nie, nie, nie!
- Bo muszę.
Przyspieszył. Znowu usiłowała się uchylić, ale poślizgnęła się, upadła.
I poczuła, jak potężna dłoń zaciska się na jej kostce.
O nie!
- A nie mówiłem? - Wydawał się bardzo zadowolony z siebie. - Już czas. - Ale ciszę przerwał jeszcze inny odgłos - głuchy, ostry dźwięk pękającego lodu. - Co jest? - Tak, tam, gdzie jego palce zaciskały się na jej kostce, niemal ją miażdżąc, na lodzie pojawiły się pierwsze nitki pęknięć, zapowiedź pajęczyny szczelin. Spojrzał na nią gniewnie. - Ty głupia cipo!
- To już koniec, Billy - powiedziała i kopnęła go z całej siły. Celowała wolną nogą w głowę.
Trzask.
Lód trzeszczał przeraźliwie.
Regan czuła, jak masa pod nią rusza się, jęczy.
Zaciskał dłoń na jej kostce, wykręcał. Krzyknęła, gdy poczuła pękające ścięgno.
To już koniec, wiedziała to, ale jeśli ma zginąć, zabierze potwora ze sobą.

- Helikoptery w górze! - zawołał Grayson.
Alvarez zahamowała gwałtownie. Stanęli koło wozu San-tany.
- Skutery śnieżne jadą nad jezioro, nasi odcinają cały teren.
- Otworzył drzwiczki od strony pasażera. Alvarez także wysiadła.
- Mam nadzieję, że Santana wie, co mówi.
- Nie oszukałby nas. To zbyt poważna sprawa.
Z bronią gotową do strzału, cicho, fachowo obeszli dom. Alvarez zobaczyła ślady i wskazała je szeryfowi. Skinął głową. Zapukali do drzwi.
- Billy Hicks? Otwieraj! Policja!
Cisza.
Spojrzeli po siebie.
Wsparcie zjawi się za pięć minut.
Za pięć minut, których nie mieli.
Wpadli do domu, najpierw Grayson, potem Alvarez.
Pusto.
Szybko się przekonali, że nawet jeśli ktoś tam był, mógł przebywać jedynie w labiryncie tuneli.
- Sukinsyn - warknął Grayson i zadzwonił do Brewstera. -Odciąć wszystkie wejścia do kopalni i przeszukać tunele. Facet chyba urządził tam sobie katakumby.
Zobaczyli ślady.
- Idziemy!
Puścili się biegiem.

Lód trzeszczał, łamał się, w szczelinach wykwitały smużki wody.
To już koniec, pomyślała Regan. Zdawała sobie sprawę, że czeka ją straszna śmierć w lodowatej wodzie, która wypełni płuca. Już nigdy nie zobaczy dzieci. Kto się nimi zajmie?

Jeremy, o Boże, Joe, tak mi przykro. Za mało o niego dbałam, to moja wina... Syn już teraz ma kłopoty, a gdy straci i matkę...
A Bianca... Lucky, dbaj o nią.
Hicks wrzasnął, gdy lód pękł. Upuścił nóż, usiłował się czegoś przytrzymać, czegokolwiek, gorączkowo chwytał się krawędzi, ale runął w szczelinę, w lodową głębię. Nie puścił jej jednak i choć kopała z całej siły, trzymał ją jak w imadle.
I powoli wciągał za sobą.
- Regan! - usłyszała swoje imię. Kurczowo czepiała się śliskiej powierzchni. Głos Nate'a dobiegał z daleka, zagłuszał huk grzmotu. Z daleka, z bardzo daleka...
Jej noga znalazła się w wodzie, Billy wciągał ją nieubłaganie do ziejącej dziury. Tonął, ale zabierał ją ze sobą.
- Regan! Trzymaj się! Santana? O Boże...
Ostatnim rozpaczliwym szarpnięciem Billy wciągnął Regan w mroźną lodową topiel...

Nie! - Santana poślizgnął się i upadł. Widział walkę, patrzył z przerażeniem, jak Billy Hicks wciąga Regan pod lód.
- Boże, nie! - Tu, gdzie stał, lód był masywny, ale im był bliżej miejsca walki, tym więcej widział złowieszczych żyłek.
Musi ją uratować. Musi.
Odrzucił bezużyteczną broń, ściągnął kurtkę i ruszył w stronę ciemnej zimnej wody. Nad jego głową zawisł helikopter. Policja. Bogu dzięki!
- Stop, Santana! - Nie znał tego głosu. Ktoś wołał przez megafon, zagłuszając monotonny szum śmigła. - Nate Santana, proszę się wycofać!
Dobiegł do przerębla. Skoczył.

Tonęła, ale miotała się, walczyła z szaleńcem w odmętach. Uderzył ją, chciała oddać, ale nie trafiła, jej ręka wplatała się w sznur. Nad ich głowami było światło, dziwne, załamane. Coś ich ściągało w dół, z dala od powierzchni, ku śmierci.
Billy znowu był blisko. Wyjęła śrubokręt z kieszeni. Zamachnęła się i zadała cios jak w zwolnionym tempie. Ostrze wbiło się w jego oko.
Woda zabarwiła się krwią.
Regan młóciła nogami, płuca jej pękały. Nie wytrzyma. Nie dotrze do powierzchni, choćby dała z siebie wszystko.
To już koniec, pomyślała gorączkowo. Billy miał rację. Już czas. Adrenalina kazała walczyć, ale płuca, o Boże, jej płuca zaraz eksplodują...
Pomyślała o Biance na progu kobiecości. Skarbie, nie chciałam... Kocham cię...
Jeremy...
Nate...
Czuła, że nie wytrzyma, że jej płuca ulegną.
Ból, ostry, przenikliwy.
Wypuściła powietrze.
Ulga.
Nie poddawaj się! Walcz! Dla dzieci! Dla Santany! Masz po co żyć!
Ale ból...
Znowu bąbelki.
Billy, jak ośmiornica w chmurze atramentu, miotał się, ale odpływał coraz dalej od niej, od liny...
Wypuściła powietrze.
Poczuła lekkość.
Więc to już...

Jej rękę wplątaną w sznur coś ciągnęło i ostatnią myślą Regan było, że Billy Hicks, seryjny morderca, jednak osiągnął cel: zginie od sznura, którym chciał ją przywiązać do drzewa. Wypuściła powietrze po raz ostatni i poczuła, że nabiera haust wody.

Nie!
Santana widział, jak się poddaje.
Patrzył, jak kobieta, którą kocha, wydaje ostatnie tchnienie.
Nie, Regan, do cholery, nie umrzesz mi!
Szarpał za linę, w którą wplatała się jej ręka, ciągnął i parł w górę. Od przeręblа dzieliło go zaledwie kilka metrów. Płuca mu płonęły, ale nie podda się, płynął jak dawniej, jak na uczelnianych zawodach. Wyskoczył na powierzchnię, chciwie zaczerpnął powietrza, pociągnął ją za sobą, przygarnął jej głowę do piersi, chwytając się kruchego lodu. Ekipa ratunkowa z helikoptera już do nich spieszyła.
- Trzymaj się - szeptał w jej mokre włosy. - Do cholery, Pescoli, nie waż się teraz umrzeć, słyszysz? - Głos mu się załamał. Był na siebie wściekły za tę słabość. Całował jej włosy i szeptał: - Kocham cię, do cholery. Kocham cię.

Rozdział 32

Wolność!
Nareszcie.
Pół życia spędziła w zakładzie zamkniętym, ale teraz koniec z udawaniem. Padgett Long stała na tarasie małego bistro w Sausalito. Była tu sama - pozostali goście siedzieli w środku, przy wielkim kominku.
Nocny wiatr był bezlitosny. Zimny. Niósł zapach Pacyfiku, burzył jej włosy. Ona jednak wzniosła kieliszek szampana w niemym toaście, wpatrzona w światła miasta nad zatoką.
Boże, wolność jest słodka.
Wreszcie może zacząć własne życie.
Gdzieś tam, wśród wzgórz San Francisco, znajduje się Cahill House, a w jego archiwach odpowiedzi na pytania. O syna.
Jest już nastolatkiem, a za chwilę będzie mężczyzną, może zapuszcza baki, może ma trądzik. Czy jest podobny do ojca? Uśmiechnęła się do siebie i zadrżała. Nikt nie wiedział, kto nim jest, nikt się nie domyślał. Gdyby wiedzieli, podejrzewaliby, że to Billy Hicks, znany także jako Liam Kress.
Kretyn!
Był intrygujący, fascynowały ją w nim okrucieństwo i brak wyrzutów sumienia. Zwróciła na to uwagę jako zbuntowana nastolatka. Później te cechy bardzo się przydały, otworzyły jej drzwi do wolności. Wystarczyło kilka rzuconych mimochodem uwag, że póki Brady żyje, zostanie w zakładzie w roli, którą sama sobie narzuciła.
Tak naprawdę nie sądziła, że Billy zabije Brady'ego. Nie żeby ten drań, jej brat, na to nie zasłużył. Kula to dla niego za dobra śmierć. Według niej powinien cierpieć. Kiedy się dowiedział, że jest w ciąży, że na świecie będzie kolejny kandydat do fortuny ojca, próbował się jej pozbyć. Ale przetrwała, urodziła dziecko i udawała chorą psychicznie. Choć na początku naprawdę było z nią źle, dumała. Wiatr bawił się jej włosami.
Kiedy wyciągnęli ją z wody, nie mogła mówić, nie widziała na oczy, niczego nie rozumiała. Prawie nie pamiętała narodzin syna i ta świadomość nie dawała jej spokoju.
Tak, Brady dostał za swoje.

A to za sprawą Billy'ego Hicksa i jego przekonania, że go kocha. Przykro mi, Billy. Był tylko narzędziem, środkiem do celu. I też dostał za swoje. Pomyśleć tylko - seryjny zabójca. Prawdziwy psychopata.
Jezu!
Wiedziała, że jest pokręcony, widziała jego okrucieństwo, domyślała się nawet, skąd się bierze, ale nie przypuszczała, że zacznie polować na kobiety, kierując się dziwacznym planem. Bez sensu. Śmierć Brady'ego to co innego, to konieczność. Zemsta. Ale te kobiety...
Wbiła wzrok w kieliszek. Zmarszczyła brwi. Była smutna, ale przede wszystkim zła, że nie wiedziała, ile w nim podłości. Nie żeby mogła coś z tym zrobić. Gdyby coś powiedziała, gdyby usiłowała się wydostać ze szpitala, Brady zabiłby ją, była tego pewna. Póki uważał, że nie kontaktuje, nie mówi, że jest chora na umyśle, nie przejmował się nią.
Kretyn.
Drań.
Więzy krwi? Bzdura, lansowana przez mięczaków. Nic nie znaczą, kiedy w grę wchodzi fortuna.
A zatem teraz... jest bogata. Nie musi już ukrywać się za murami szpitala. Nabrała w płuca zimnego powietrza i wypuściła z uśmiechem. Wreszcie może zacząć nowe życie. I to zaraz, tutaj, nad tą chłostaną wiatrem zatoką.
W Cahill House.
Gdzie, jak liczyła, uzyska informacje.
Nie musi się spieszyć.
Jakkolwiek by było, pomyślała, dopijając szampana, Padgett Long już udowodniła, że potrafi być bardzo cierpliwa.

- O ile pamiętam, prosiłam, żebyście nie pakowali się w kłopoty. - Pescoli chłonęła wzrokiem milczące dzieci. Stały przy jej szpitalnym łóżku. Jeremy, w za dużych ciuchach, oczywiście w nieśmiertelnej czapce na głowie. I Bianca, w kurtce narciarskiej narzuconej na golf i dżinsy.
Jeszcze nigdy nie wydawali się jej tak piękni.
Łzy napłynęły jej do oczu, ale opanowała się; nie załamie się przy nich, nie da po sobie poznać, że dręczą ją koszmary, że w snach tonie, a twarz Billy'ego Hicksa wypełnia jej pole widzenia.
Zważywszy na to, co przeszła, odniosła stosunkowo niegroźne obrażenia. Owszem, o mało nie umarła, ale reanimowano ją, a potem badał ją chyba każdy lekarz w szpitalu. Skończyło się na mnóstwie siniaków i zadrapań, poobijanych żebrach, zerwanym ścięgnie w barku, ale wyjdzie z tego.
- W nic się nie wpakowaliśmy - odparła Bianca. Zaczepnie odrzuciła kasztanowe loki na plecy, ale była blada i miała sińce pod oczami. Bała się. O matkę.
- A co, u ojca zachowywałaś się jak aniołek? - zapytała Pescoli, chcąc rozluźnić atmosferę.
- Och, mamo... - Bianca przewróciła wielkimi oczami, oczami Luke'a. - Starałam się.
- No cóż, wiem, że to niełatwe - przyznała Pescoli i wywołała uśmiech na twarzy córki. - A ty, Jer? Słyszałam, że wdałeś się bójkę z Cortem Brewsterem.
- Może. - Uciekł wzrokiem w bok.
- To mój szef - zauważyła Pescoli.
- To dupek. - Jeremy obstawał przy swoim.
- Jer! - Bianca zrugała go wzrokiem.
Pescoli na darmo starała się powstrzymać śmiech.
- Niech to zostanie między nami. - Była na lekkim haju, efekt środków przeciwbólowych.
- Musimy wracać do Luke'a? - Sądząc po minie Jeremy'ego, mieszkanie z ojczymem było równoznaczne z noclegiem w jaskini głodnego lwa.

- Póki jestem w szpitalu? Tak. - Pod tym względem Pescoli była nieugięta.
- Nie wiem, jak to zniosę - jęknęła Bianca.
- To twój ojciec. - Nie pozwoli, by błąkali się samopas. Mogą sobie narzekać, ile chcą.
- Ale nie mój - rzucił Jeremy.
- Lekarz mówi, że za kilka dni mnie wypuści. Do tego czasu wytrzymacie. Zrobicie to dla mnie, prawda? - Milczeli. - Prawda? - powtórzyła.
- Jestem dość duży, by mieszkać sam - stwierdził Jeremy.
- Nie, mój drogi, nie wobec prawa. Jeszcze nie. - Bycie matką wymagało niekiedy anielskiej cierpliwości. -1 nie sądzę, żebyś w ostatnich dniach wykazał się wielką dojrzałością.
Jeremy wbił w nią wzrok, tak podobny do spojrzenia Joego, jego ojca.
- Martwiłem się o ciebie. Coś ścisnęło ją za gardło.
- Wiem i doceniam to. Ale nic mi nie będzie, więc proszę, wytrzymajcie jeszcze dwa dni u Lucky'ego i Michelle, a kiedy wyjdę, urządzimy sobie święta w styczniu.
Zgodzili się.
- U Bianki zamawiam ciasteczka w kształcie bałwanów i różową choinkę - dorzuciła.
- Au! - powiedział z ironią Jeremy.
- Miau! - odcięła się Bianca. Przez uchylone drzwi dobiegł odgłos pagera jednego z lekarzy. - Mamo! Grasz nie fair!
- Pewnie to wina leków - odparła i wszyscy się roześmiali.
- A teraz, jeśli naprawdę chcecie coś dla mnie zrobić, idźcie do Dzikiego Willa, zamówcie hamburgera na wynos i mi go tutaj przeszmuglujcie! Ej, a to co? - Dopiero teraz zobaczyła srebrną obrączkę na palcu córki.
Bianca się zarumieniła.
- Prezent świąteczny od Chrisa. Pierścionek obietnicy. Pescoli się to nie spodobało.
- Co za obietnica?
Bianca bawiła się wąską obrączką na serdecznym palcu lewej dłoni.
- No wiesz, że mnie lubi.
- Jeremy? - Spojrzała na syna. - Co to znaczy?
- Nie wiem, ale mniej więcej, że się kiedyś, no wiesz, zaręczą.
Wbiła wzrok w córkę.
- Tak?
Bianca pokręciła głową.
- Nie do końca. - Kłamstwo.
- Masz trzynaście lat. Żadnych obietnic.
- Mamo, to było takie słodkie! - Bianca nie zamierzała poddać się bez walki.
- Słyszałaś, co powiedziałam? - Boże, musi się stąd wyrwać.
- Masz mu to oddać.
W oczach córki pojawiły się gniewne iskry.
- Ale...
- Dobrze, dobrze, porozmawiamy, kiedy wrócę do domu, ale nie zmienię zdania. Jesteś za młoda na jakiekolwiek obietnice poza: pójdę z tobą na imprezę, chociaż i to już za wiele.
- Usiadła, czując, że kroplówka się przekrzywia. Jezu, czy nikt jej nie uwolni? - Słuchajcie, wyrwę się stąd, więc posprzątajcie w domu, urządzimy sobie święta. - Dostrzegła błysk w oczach syna. - A tymczasem czekajcie na mój telefon. U Lucky'ego.
Dzieciaki pomarudziły jeszcze chwilę i wyszły, a Pescoli przyciskiem wezwała pielęgniarkę. Wyjdzie stąd, choćby się waliło i paliło.
Dwie minuty później drzwi się otworzyły.
- Muszę stąd wyjść i to jak najszybciej - oznajmiła, nie patrząc, kto wchodzi.
- I masz rację! - Alvarez pokręciła głową. Zebrała włosy w ciasny kok na karku i była ubrana na czarno. Jakby się wybierała na pogrzeb, do cholery. Tylko złote kolczyki rozjaśniały jej

strój. Niosła bukiet, białe goździki i stokrotki, i paczkę gumy nicorette. - Bez ciebie wydział się sypie.
Pescoli uśmiechnęła się, słysząc złośliwą uwagę. Selena Alvarez zazwyczaj nie żartuje, a tu proszę, jej usta unoszą się w uśmiechu.
- Wiesz, Pescoli, najadłam się przez ciebie strachu. - Postawiła kwiaty na parapecie wychodzącym na parking. Płatki śniegu wściekle atakowały odśnieżony asfalt.
- Nie chciałam. - Skrzywiła się i uniosła oparcie łóżka. - Mamy ciało Hicksa?
- Jeszcze nie.
A więc jej koszmary nie ustaną.
Alvarez cisnęła paczkę gumy na stolik przy łóżku, obok szklanki z wodą.
- Wesołych świąt. Pomyślałam, że pewnie chce ci się palić, ale skoro jesteś w szpitalu, a Nowy Rok za pasem, powinnaś rzucić. Na dobre. Zresztą nie sądzę, by lekarze mnie pochwalili, gdybym ci przyniosła paczkę fajek.
Pescoli spojrzała na nią spod oka.
- Zastanowię się.
- Czyli: odwal się?
- Mniej więcej. - Ale sięgnęła po gumę bez smaku. - Na poważnie: co w biurze?
- Lepiej, odkąd zamknęliśmy sprawę seryjniaka. Joelle chce urządzić sylwestra, ale wszyscy padają z nóg i marzą, by spędzić trochę czasu z rodzinami.
- A ty? - zapytała Pescoli i dostrzegła cień na twarzy partnerki.
- Nie mam krewnych w tej okolicy. Wzięłam dodatkowe zmiany.
- Powinnaś odpocząć.
- Zrobię to. - Wskazała głową łóżko. - Kiedy moja partnerka stanie na nogi.
Drzwi się otworzyły i do pokoju zajrzała tęga pielęgniarka o rumianych policzkach.
- Słucham?
- Kiedy mnie wypiszecie?- wypaliła Pescoli. - Lekarz mówił, że wypuści mnie dzisiaj. Muszę wracać do domu, do pracy.
- Jutro, lekarz mówił, że może jutro. - Siostra Patterson nie dała się nabrać. - Zapytam go.
- Dobrze.
Pielęgniarka wyszła. Alvarez spoważniała.
- Jezu, Pescoli, wiem, że ty i ja, że jesteśmy jak ogień i woda, nie zawsze się dogadujemy, mamy różne zdanie na wiele spraw, ale... Ale w pracy dobrze się nam układa.
- Tak?
- I kiedy wiedziałam już, że ten drań cię ma, że twoje inicjały stanowią część przesłania, kiedy myślałam, że cię zabił... - Jej oczy pociemniały. - Byłam pewna, że znajdziemy twoje zwłoki w środku lasu, przywiązane do drzewa.
- Tak się nie stało.
- Na szczęście. Jezu, Pescoli, co ci strzeliło do głowy! Wyjeżdżać samej? Dać się złapać? - Była zdenerwowana, policzki jej poczerwieniały. Pescoli nigdy nie widziała jej w takim stanie. Alvarez zawsze panowała nad sobą.
- Myślałam tylko o dzieciach. Nie prosiłam go przecież, żeby strzelał do mojego dżipa!
- Wiem, ale manipulował tobą!
- Nami wszystkimi.
- No... tak. - Alvarez podeszła do łóżka. - To fakt. Ale posłuchaj, mówię poważnie: jeśli jeszcze raz tak mnie nastraszysz, sama cię zabiję.
Pescoli skinęła głową.
- Z mojego pistoletu.
Oczy Alvarez zmieniły wyraz. Roześmiała się z niedowierzaniem.
- Jesteś...

- Wiem, wiem, zupełnie inna niż ty, ale słuchaj, załatwiłyśmy go! Może nie? Ja żyję, a drania nie ma!
- To prawda, partnerko. - Alvarez nie chciała się dłużej kłócić. Westchnęła głośno. - Święta prawda.

Epilog

Sylwester

No to jak, kowboju, powitamy Nowy Rok toastem? - odezwała się Pescoli z kanapy w saloniku. Choinka smętnie marniała w kącie.
Santana, rozparty w bujanym fotelu po przeciwnej stronie stolika, pytająco uniósł brew.
- Czym? Dietetyczną colą?
- Myślałam raczej o szampanie.
- Ciągle bierzesz leki.
- A ty nie umiesz się bawić! - sapnęła, zachwycona tym, że się z nim drażni.
- Poczekajmy, aż w pełni dojdziesz do siebie.
- Czyli kilka lat.
- No, może rok.
- To już za godzinę. - Poruszyła się, poczuła ból w barku i westchnęła. - Nie znoszę leżenia.
- Czyżby?
Regan uśmiechnęła się lekko. Nie pamiętała niczego z koszmaru, którym zakończyła się ucieczka przed Billym. Powiedziano jej, że straciła przytomność, była sina, nie oddychała, że gdyby nie Santana, który wyciągnął ją z lodowatego jeziora i zaaplikował sztuczne oddychanie, mogłaby się już nie ocknąć.
Teraz trudno było jej w to uwierzyć. I choć wpadła do tej wody zaledwie tydzień temu, miała wrażenie, że to wszystko zdarzyło się w innym życiu.
Do tej pory nie znaleziono ciała Billy'ego Hicksa.
Poszukiwania nie przyniosły efektów.
Ale na wiosnę, gdy nadejdą roztopy, podejmą je na nowo. Liczyli, że wtedy szczątki mordercy wypłyną na powierzchnię. Ponownie przeszukają jezioro, gdy stopnieje lód, na razie jednak Hicks był uwięziony w mokrym, ciemnym grobie.
I bardzo dobrze, jeśli chodzi o Pescoli.
Znaleźli zwłoki Elyssy O'Leary. Przywiązał ją do cedru na wzgórzu nad jeziorem.
Wiadomość o jej śmierci przyprawiła Re-gan o falę wyrzutów sumienia. Tak bardzo chciała ją uratować. Tak bardzo. Wyglądało jednak na to, że Elyssa była ostatnią porwaną.
FBI i ludzie szeryfa przeszukali tunele kopalni i zabezpieczyli znaleziska z kryjówki Hicksa. Regan opowiedziała im o kartotece i zdjęciach potencjalnych ofiar. Opinia publiczna odetchnęła z ulgą. Znaleziono dokumenty, z których wynikało, że William Liam Hicks czasami występował jako Liam Kress, używał drugiego imienia i panieńskiego nazwiska matki. Właśnie tak przedstawiał się w ośrodku Mountain View, ilekroć odwiedzał Padgett Long.
Czy przebywająca w zamkniętym zakładzie kobieta miała coś wspólnego ze śmiercią brata? To śliska sprawa, dotychczas nierozstrzygnięta. Nie mogli udowodnić, że wynajęła Billy'ego Hicksa vel Liama Kressa, żeby zamordował Brady'ego, ale Chandler i Halden z FBI nie dawali za wygraną. Mieli dowody, że Billy ukradł z posiadłości Longa testament Huberta - w palenisku znaleziono skrawek papieru z nazwą kancelarii Tinnemana i kroplą krwi Brady'ego.
Ivor był załamany.

Nie wierzył.
Szukał ukojenia w butelce i jeszcze bardziej zagłębiał się w swoje fantazje o porwaniu przez kosmitów, jeśli wierzyć stałym bywalcom Spot.
Teraz, gdy koszmar się skończył, Regan czuła, że jest gotowa zmierzyć się z osobistymi problemami. Mile ją zaskoczyła wiadomość, że Lucky zrezygnował z walki o pełną opiekę nad dziećmi, a Jeremy i Bianca wydawali się bardzo z tego zadowoleni. Żadne z nich nie wspominało już o przeprowadzce do Lucky'ego i jego żony. Ba, Pescoli usłyszała kiedyś niechcący, jak śmiali się z Michelle i jej świątecznych naleśników - mikołajów z oczami z jagód i brodą z bitej śmietany.
Denerwowało ją, że ich reakcja sprawia jej przyjemność, ale tak było i już. Dzisiaj oboje wyszli. Jeremy z Tylerem, podejrzanym kumplem, ale Regan przypuszczała, że znajdzie sposób, by spotkać się z Heidi Brewster. Prosiła go, żeby się nie spieszył, a nawet zostawiła u niego w pokoju paczkę prezerwatyw, żeby wiedział, gdzie są, gdy przyjdzie co do czego, ale zaznaczyła, że nie pochwala seksu nastolatków.
Chociaż sama też to kiedyś robiła.
Bianca nocowała u przyjaciółki. Córka zaklinała się, że jej chłopaka, Chrisa, tam nie będzie. I że odda mu pierścionek. No, zobaczymy.
Przynajmniej nie nosiła go w obecności Regan, na razie tyle musi jej wystarczyć.
- Posłuchaj... - Santana wyciągnął rękę po kawałek świątecznego ciasta Joelle. - Co byś powiedziała na to, żebyśmy zamieszkali razem?
- Co? Mówisz poważnie? - Przecząco pokręciła głową. -Mam dzieci.
- I własne życie, moja droga. - Zjadł ciastko, a potem przeniósł się na kanapę, koło Regan. Położył sobie na kolanach jej nogę skutą gipsem.
- Byłbyś beznadziejnym ojczymem.
- Byłbym fantastycznym ojczymem. - Udał, że go uraziła.
- Tak?
- Tak.
Przyglądała mu się uważnie.
- Chcesz tego? Uśmiechał się powoli, leniwie.
- Chcę ciebie, ale to sprzedaż wiązana. Poza tym stanowią ciekawe towarzystwo.
- Ha!
Pogłaskał ją po nodze i nagle nie mogła się skoncentrować.
- Podobało mi się tak, jak było dawniej - zaczęła.
- Hm. - Mnóstwo niedowierzania w tak krótkim słowie.
- Czemu nie obskurny motel?
- Kto powiedział, że motelu już nie będzie? Zamyśliła się.
- Obawiam się, że jeśli zamieszkamy razem, skończy się coś pięknego.
Pochylił się i pocałował nagą skórę na jej nodze. Cholera, jego usta przyprawiały ją o dreszcze, a przesuwały się coraz wyżej.
- Albo zacznie - mruknął.
- Jesteś okropny. - Naprawdę nie mogła się skoncentrować.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo.
- Owszem, wiem.
- Sprawdźmy tę teorię. - Ułożył się obok niej na kanapie i pocałował Regan w skroń. - Pani detektyw, jaka jest pani najbardziej skrywana fantazja erotyczna?
- Oprócz tych z tobą, tak?
- Niegrzeczna dziewczynka - powiedział niskim głosem i pochylił się nad nią.
Dotknęła jego podbródka i puściła oko.
- Nawet nie wiesz, jak bardzo.